

ŚLADY



ZBRODNI

Bestseller

NEW YORK TIMESA

# DAVID BALDACCI

A photograph of medical supplies on a white surface. On the left, a white pill bottle is tipped over, with several blue, round tablets scattered on the surface. In the center, a clear plastic syringe with a black plunger and a needle is lying horizontally. On the right, several orange, cylindrical capsules are scattered. The background is a plain, light-colored surface with some faint smudges.

## MIASTO UPADŁYCH



WYDAWNICTWO  
DOLNOŚLĄSKIE

**DAVID  
BALDACCI**

**MIASTO  
UPADŁYCH**



**WYDAWNICTWO  
DOLNOŚLĄSKIE**

**WROCLAW 2019**

Tytuł oryginału  
*The Fallen*

Projekt okładki  
MARIUSZ BANACHOWICZ

Fotografia na okładce  
© Floortje/iStock  
© emmy-images.iStock

Koordinacja Projektu  
NATALIA STECKA  
Redakcja  
ANNA JACKOWSKA  
Korekta  
IWONA HUCHLA  
Redakcja techniczna  
KRZYSZTOF CHODOROWSKI

Copyright © 2018 by Columbus Rose, Ltd.  
Polish edition © Publicat S.A. MMXIX (wydanie elektroniczne)

Wydanie elektroniczne 2019

ISBN 978-83-271-5933-5



jest znakiem towarowym Publicat S.A.

Publicat S.A.  
61-003 Poznań, ul. Chlebowa 24

*Cindi i Johnowi Harkesom*  
*– to wielkie szczęście mieć Was za przyjaciół*

*Kto cię zabił?*

*A raczej: kto cię zamordował?*

Ostatecznie to była istotna różnica.

Amos Decker stał na tarasie na tyłach domu należącego do siostry Alex Jamison, jego koleżanki z FBI. On i Alex przyjechali do niej w odwiedziny. Obejmując dwoma palcami szyjkę butelki piwa, już trzeciego tego wieczoru, rozważał dręczące go pytania. Wiedział, że większość ludzi nigdy nie myślała o takich rzeczach, ponieważ nie mieli powodu, by to zrobić. Tymczasem znajdowanie odpowiedzi na to drugie pytanie zdominowało jego zawodowe życie – tak naprawdę jedyne życie, jakie mu jeszcze zostało.

Miał też świadomość, że różnica między tymi dwoma pytaniami była bardziej złożona, niż mogłoby się wydawać.

Na przykład człowieka można zabić, z punktu widzenia prawa nie popełniając morderstwa.

Zdarzają się przecież wypadki ze skutkiem śmiertelnym. Nieumyślnie taranujesz samochodem inny pojazd, w którym giną ludzie, albo upuszczasz broń, z której pada przypadkowy strzał i kula trafia postronną osobę. Ktoś stracił życie, ale z punktu widzenia prawa to nie jest morderstwo.

Istnieje pojęcie samobójstwa wspomaganego – śmiertelnie chora osoba chce skrócić sobie cierpienia, a ty jej w tym pomagasz. Gdzieniegdzie to legalne, ale nie wszędzie. Również w tym przypadku ktoś się rozstaje z życiem. W przeciwieństwie do śmierci w wypadku ta śmierć jest zamierzona, ale to nie to samo co morderstwo, ponieważ zmarły sam postanowił odebrać sobie życie.

Jest też zabójstwo usprawiedliwione. Najlepszy jego przykład to samoobrona. W tym przypadku skutkujące śmiercią działanie jest świadome i celowe, ale masz prawo się bronić.

Nawet morderstwo ma swoją gradację.

Jeśli przez nieuwagę lub zaniedbanie spowodujesz wypadek drogowy albo przypadkowo kogoś postrzelisz, w efekcie czego ten ktoś zginie, możesz zostać oskarżony o nieumyślne spowodowanie śmierci.

Spontaniczna przemoc ze skutkiem śmiertelnym może się skończyć poważniejszym oskarżeniem – o zabójstwo z zamiarem afektywnym.

Morderstwo drugiego stopnia, jego bliski krewny, zawiera element złej woli albo działania z zamiarem ewentualnym, ale nie przemyślanym.

Sącząc piwo, Decker rozważał kwalifikacje prawne umyślnego pozbawienia kogoś życia. Najgorsza w jego przekonaniu była ostatnia kategoria.

Morderstwo pierwszego stopnia zawsze nosiło cechy działania z zamiarem bezpośrednim. Inaczej mówiąc, z premedytacją. Ktoś chce czyjejś śmierci, gdyż ma z tego korzyść, i zaplanował wszystko tak, by mieć pewność, że ta śmierć nastąpi.

Najsurowsze prawne konsekwencje były zarezerwowane właśnie dla sprawców tego rodzaju haniebnych czynów.

Ściganiu takich przestępców Decker poświęcił prawie całe dorosłe życie.

Wysączył z butelki kolejny łyk piwa.

*Łapię zabójców. To tak naprawdę jedyna rzecz, w której jestem dobry.*

Zapatrzył się na nocne niebo nad północno-zachodnią Pensylwanią, niedaleko granicy z Ohio, w miejscu zwanym Baronville. Słyszał, że niegdyś w tym robotniczym miasteczku, zawdzięczającym swoje istnienie rodzinie Baronów, która eksplorowała tutejsze kopalnie i tworzyła miejsca pracy, dobrze prosperował przemysł. Te czasy dawno jednak minęły. Zostało po nich niewiele. Mimo to wydawało się, że mieszkańcy radzą sobie na rozmaite sposoby, lepiej lub gorzej. Podobnie można było podsumować to, co działo się w wielu innych częściach Ameryki, jak kraj długi i szeroki.

Wewnątrz domu Alex Jamison i jej starsza siostra Amber raczyły się białym winem i rozmawiały z Zoe, prawie

sześcioletnią siostrzenicą Alex, nader dojrzałą jak na swój wiek. Decker i Jamison przyjechali tu odpocząć od rozwikływania zbrodni, czym zajmowali się w Waszyngtonie w specjalnej grupie operacyjnej FBI. Decker nie kwapił się do wyjazdu z Jamison, ale ich szef, agent specjalny Bogart, nalegał, żeby jego podopieczny wziął trochę wolnego i gdzieś wyjechał. A kiedy Jamison oznajmiła, że wybiera się w odwiedziny do siostry, i zaproponowała, by jej towarzyszył, nie przyszło mu do głowy żadne inne miejsce, w którym mógłby przeczekać swój urlop.

*No i jestem.*

Pociągnął kolejny łyk z butelki i przyjrzał się swoim stopom w rozmiarze czterdzieści osiem.

Kiedy tu przyjechali, został przedstawiony domownikom. Potem nastąpiła wymiana uścisków i uprzejmości, odstawili bagaże, a Jamison wręczyła siostrze i siostrzenicy prezenty przydatne do urzędzenia nowego domu – Amber i jej rodzina były świeżo po przeprowadzce. Kolacja została przygotowana i zjedzona, ale nie minęło wiele czasu, a Decker wyczerpał pomysły na podtrzymanie rozmowy i zabawianie towarzystwa. Wtedy Jamison, która znała go bodaj lepiej niż ktokolwiek inny, dyskretnie zasugerowała, żeby zabrał swoje piwo – i swoją niezręczność – na zewnątrz, a ona i siostra nadrobią zaległości, tak jak to często robią kobiety, kiedy nie ma przy nich mężczyzn.

Decker nie zawsze był taki aspołeczny. Ten dawny gracz zawodowej drużyny futbolu amerykańskiego, mierzący sto dziewięćdziesiąt pięć i pół centymetra i ważący trochę ponad sto trzydzieści kilogramów – może nawet więcej niż trochę – kiedyś był towarzyski, zabawny, nawet nieco głupkowaty i zawsze skory do żartów.

A potem spadł na niego cios – i to dosłownie – podczas gry, na boisku. Paskudne uderzenie w głowę, które na zawsze odmieniło jego życie i to, kim był. Uraz mózgu, którego się wtedy nabawił, omal go nie zabił. Przeżył, ale jego umysł, żeby wydobrzcć, przeszedł metamorfozę, która odcisnęła na nim piętno. A właściwie dwa.

Pierwszym była hipermnnezja, zwana też pamięcią absolutną. Ta

przypadłość zwykle ogranicza się do informacji autobiograficznych, a obdarzone nią osoby w innych aspektach życia często wykazują zdolność do zapamiętywania poniżej przeciętnej. Ale nie Decker. Z nim było tak, jakby ktoś zainstalował w jego głowie aparat fotograficzny z nieograniczoną pojemnością. Nie potrafił zapomnieć niczego. Przekonał się, że to dar i klątwa w jednym.

Drugim skutkiem urazu była rozwijająca się synestezja. Kojarzył różne dziwne rzeczy, na przykład śmierć, z jakimś kolorem. W przypadku śmierci był to przenikliwy jaskrawoniebieski, od którego jeżyły mu się włosy na karku i miał mdłości.

Razem z metamorfozą mózgu zaszła zmiana jego osobowości. Zabawny dowcipniś znikł na zawsze, a na jego miejscu...

*...Jestem ja.*

Kariera futbolisty była definitywnie skończona. Został policjantem, a potem detektywem z wydziału zabójstw w swoim rodzinnym miasteczku Burlington w stanie Ohio. Miał za żonę wspaniałą kobietę o imieniu Cassandra, na którą zawsze mówił Cassie, dochowali się cudownego dziecka, Molly.

*Miał.*

To wszystko było czasem przeszłym, ponieważ już nie miał wspaniałej żony ani ich ślicznej córeczki.

*Kto cię zabił?*

*Kto cię zamordował?*

Cóż, Decker doszedł do tego, kto mu odebrał rodzinę. Ta osoba zapłaciła za to najwyższą cenę.

To jednak było niczym w porównaniu z ceną, jaką zapłacił Decker. I którą miał płacić w każdej minucie swojego życia, aż do ostatniego tchnienia.

– Ciocia Alex mówi, że pan niczego nie zapomina.

Decker, wyrwany ze swoich rozmyślań, przeniósł uwagę na źródło głosu. Zoe Mitchell – dwa blond kucyki, różowa bluzeczka z długimi rękawami, cała w kwiatkach, do tego białe szorty eksponujące kolana z dołeczkami – przypatrywała mu się z ciekawością, stojąc po drugiej stronie tarasu.



– Tak, pamięć mam całkiem dobrą – przyznał Decker.

Zoe wyciągnęła przed siebie kartkę papieru. Było na niej zapisanych kilkanaście bardzo długich liczb. Podała ją Deckerowi.

– Potrafi pan zapamiętać je wszystkie? – zapytała z nadzieją w głosie.

Decker spojrział na kartkę i oddał ją dziewczynce.

– To znaczy, że nie potrafi pan? – zapytała Zoe, a na jej piegowatej buzi odmalowało się rozczarowanie.

– Nie, to znaczy, że już je zapamiętałem.

Wyrecytował liczby w takim porządku, w jakim widniały na kartce, gdyż właśnie to widział w swojej głowie – stronę zapisaną liczbami.

Zoe błysnęła ząbkami w szerokim uśmiechu.

– Ale super!

– Tak myślisz? – zagadnął Decker.

Jej jasnoniebieskie oczy zrobiły się duże ze zdziwienia.

– A pan nie?

– Tak, czasem to jest super.

Oparł się o balustradę i sączył piwo, a Zoe dalej go obserwowała.

– Ciocia Alex mówi, że pan łapie złych ludzi.

– Razem to robimy. Ma do tego nosa.

Zoe wyglądała na zdezorientowaną jego odpowiedzią.

– Zna się na ludziach jak mało kto – wyjaśnił. – I widzi rzeczy, których nie dostrzegają inni.

– To moja ulubiona ciocia.

– A ile ich masz?

Zoe westchnęła.

– Całe mnóstwo. Ale żadna nie jest taka fajna, jak ciocia Alex. – Nagle się rozpromieniła. – Przyjechała do mnie, bo niedługo mam urodziny. Kończę sześć lat.

– Wiem. Powiedziała mi, że pójdziemy wszyscy razem do miasta i będziemy świętować.

Decker potoczył wzrokiem wokół, zmieszany tym, że Zoe nadal mu się przygląda.

– Ale pan jest wielki. Naprawdę wielki – zauważyła.  
– Nie pierwszy raz to słyszę.  
– Nie pozwoli pan żadnemu z tych złych ludzi skrzywdzić cioci Alex, prawda? – zapytała, a jej buzia i ton głosu nagle spoważniały.

Decker właśnie miał wysączyć łyk piwa. Powoli opuścił butelkę.

– Nie, nie pozwolę. To znaczy... zrobię wszystko, żeby do tego nie dopuścić – dodał, trochę niezdarnie.

Gdzieś w oddali rozległ się przeciągły grzmot.

– Zbiera się na burzę – zauważył Decker, chwytając się okazji do zmiany tematu.

Zerknął na Zoe i z konsternacją stwierdził, że nadal wpatruje się w niego swoim beztroskim spojrzeniem. Odwrócił wzrok. Po niebie przetoczył się kolejny dudniący łoskot.

Lato już się kończyło, niepostrzeżenie ustępując jesieni, a jedna z tak częstych w tym okresie burz właśnie zmierzała w ich stronę.

– Zbliża się – mruknął Decker, bardziej do siebie niż do Zoe.

Spojrzał na dom naprzeciw, stojący tyłem do tego, w którym mieszkała dziewczynka. Wyglądał jak jego kopia. Taki sam drewniany taras i podwórko na tyłach. Identyczny klon na samym środku spłachcia uschłej trawy.

Była jednak pewna różnica.

W domu naprzeciwko błyskało światło. Zapalało się i gasło. Raz za razem.

Decker popatrzył w górę. Chociaż grzmiało, nie było widać błyskawic. W każdym razie żadnej nie dostrzegł. Jednocześnie trochę się ochłodziło, a z ziemi podnosiła się mgła, jeszcze bardziej zasnuwając ciężkie od chmur niebo.

Chwilę później gdzieś wysoko zobaczył czerwony rozbłysk. Nie dostrzegł samolotu, który przemknął powyżej, bez wątplenia próbując uciec przed burzą.

Przeniósł wzrok z powrotem na dom i obserwował skrzące się światło. Błyskało nerwowo, jakby ktoś nadawał alfabetem Morse'a. Pomyślał, że to pewnie przez dużą wilgotność powietrza. Zroszone wilgocią przewody elektryczne mogły

dawać właśnie taki efekt.

Gdzieś w pobliżu rozległ się hałas. Po chwili usłyszał go znowu. I jeszcze raz. To był ten sam dźwięk, powtarzający się raz za razem. Właściwie dwa wyraźnie różne dźwięki – stuk i zgrzyt, jakby dwie rzeczy tarły o siebie.

Potem zawarczał włączony silnik. Samochód musiał się znajdować na ulicy przed frontem domu, na który patrzył Decker. Pomyślał, że ktoś wyjeżdża prosto w nadciągającą burzę.

Kilka minut później niebo przeszył grot błyskawicy, której towarzyszył suchy trzask. Wydawało się, że świetlisty zygzak znikł w ziemi na wprost przed nim. Chmury, teraz niemal czarne, nabrały złowrogiego wyglądu. Napierający na nie wiatr z wielką siłą przepychał burzę po nieboskłonie.

– Lepiej wejdźmy do środka – powiedziała niespokojnie Zoe. – Mama mówi, że błyskawice trafiają więcej ludzi, niż się wydaje.

– Zoe, kto tam mieszka? – zapytał, wskazując ręką na sąsiedni dom.

Dziewczynka przystanęła z dłonią na kłamce drzwi prowadzących do środka.

– Nie wiem – odparła.

Wzrok Deckera przykuł nagły rozbłysk w jednym z okien. Nie wiedział, czy to jedynie refleks odbitego w szybie światła, czy może coś bardziej złożonego i potencjalnie niebezpiecznego.

Musiał to sprawdzić. Odstawił butelkę i zbiegł z tarasu.

– Dokąd pan idzie? – zawołała za nim Zoe. W jej głosie zabrzmiała nutka paniki.

– Wejdz do środka, Zoe! – odkrzyknął przez ramię. – Chcę tylko coś sprawdzić.

Nad nimi rozległ się rozdzierający trzask i ogłuszający łoskot pioruna. Zoe w okamgnieniu czmychnęła do domu, a Decker pospieszył w przeciwną stronę.

Mimo zwałistej postury przez wiele lat był znakomitym sportowcem. Złapał szczyt płotu rozdzielającego obie posesje, zręcznie nad nim przeskoczył i wylądował na podwórku.

Pobiegł przez trawnik w stronę domu. Mimowolnie odnotował w myślach, że temperatura powietrza spada coraz gwałtowniej.

Porywisty wiatr szarpał mu ubranie i podcinał nogi. Decker wychował się na Środkowym Zachodzie, gdzie nawykł do tych niebezpiecznych zjawisk pogodowych. Dolina Ohio była ich kolebką. Płodziła i wyrzucała z siebie tornada jak nowotwór mnożący zmutowane komórki. Wiedział, że następny będzie deszcz – kurtyny wody zacinającej z siłą rwącego strumienia.

Dopadł tarasu z impregnowanego ciśnieniowo drewna i wbiegł po schodkach. Nie oglądał się za siebie, dlatego nie zauważył Alex Jamison, która wyszła na zewnątrz rozejrzeć się za nim.

Podszedł do okna, w którym wcześniej zobaczył refleks światła. Od razu poczuł charakterystyczny swąd. Zamoczone przewody elektryczne. Badał już sprawy zabójstw, w których przewijał się wątek podpalenia. Tego zapachu nie można było z niczym pomylić. W środku rozwijał się pożar.

Zbliżył twarz do szyby i zajrzał do wewnątrz. Ogień powstały ze zwarcia instalacji elektrycznej przemieszczał się szybko – zwykle w obrębie ścian, gdzie mógł się rozprzestrzeniać po kryjomu aż do czasu, gdy było za późno, by go opanować.

W następnej chwili dostrzegł coś, co potwierdziło jego najgorsze obawy – pełgający płomień i pnący się po ścianie dym.

Spojrzał w prawo i w tym samym momencie wokół nagle zrobiło się jasno.

Decker zamarł na widok tego, co zobaczył w jaskrawym świetle błyskawicy. Otrząsnął się i podbiegł do tylnych drzwi. Bez wahania napał na nie ramieniem, jak to niegdyś wielokrotnie robił na treningach z sankami obciążeniowymi. Liche drzwi momentalnie ustąpiły pod naporem i rozwarły się na oścież.

Burza rozszalała się na dobre, dlatego Decker nie dosłyszał nawoływań Jamison. Jego partnerka zbiegła z tarasu i spieszyła w stronę ogrodu, kiedy on wyłamał drzwi. Deszcz zacinał teraz z siłą chłuszczącego bata. Z nieba nad zachodnim skrajem Pensylwanii lały się hektolitry wody. Jamison pogubiła buty i przemokła do szpiku kości, jeszcze zanim dobiegła do płotu.

Decker, sam ociekający wodą, wpadł do kuchni i skreślił w prawo. Odruchowo sięgnął po służbową beretę, którą omiatał przestrzeń przed sobą. Żałował, że wypił tyle piwa. Przytępił

swoje skądinąd znakomite zdolności motoryczne, a mógł ich teraz potrzebować.

Żwawym krokiem przeszedł ciemnym korytarzem, objając się o ścianę. Zawadził o coś ramieniem, strącając to na podłogę. Obrazek.

Sklął się w myślach za to, jak niezdarnie zachowuje się w miejscu, gdzie – co do tego nie miał wątpliwości – będzie pracowała ekipa śledcza. Teraz już nic na to nie mógł poradzić. Nie miał pojęcia, co tu się działo. To, co przed chwilą dostrzegł, mogło być tylko wierzchołkiem góry lodowej.

Ostrożnie wysunął zza rogu pistolet, a potem głowę. Omiótł wzrokiem przestrzeń przed sobą. Wyprostował się.

Już wiedział, co było przyczyną iskrzenia, od którego wszystko stanęło w ogniu.

I migających świateł.

Rzeczywiście doszło do kontaktu odsłoniętych przewodów z płynem.

Ale to nie była woda.

To była krew.

– Decker...?

Obejrzał się i zobaczył przemokniętą, dygoczącą, bosą Jamison. Stała w głębi korytarza, którym przyszedł.

– Masz swoją broń? – zapytał półgłosem. Jaskrawoniebieskie światło zalewało go fala za falą. Odczuwał mdłości i zawroty głowy.

Jamison pokręciła głową.

Skinął, żeby podeszła.

Zbliżyła się szybkim krokiem, wyszła zza rogu, zobaczyła to, co Decker, i zamarła.

– Dobry Boże!

Decker skinął głową. To był odpowiedni komentarz do tego, na co patrzyli.

Przed sobą mieli wisielca. Sznur został przewleczony przez hak podtrzymujący żyrandol, który teraz leżał na podłodze.

Mężczyzna miał zaciśniętą na szyi pętlę. Śmierć przez powieszenie zwykle jednak nie powodowała krwawienia.

Decker przyjrzał się śladom na drewnianej podłodze. Krew utworzyła kałużę, następnie ściekła strużką ku ścianie, gdzie natrafiła na wystrzępiony kabel od lampy stojącej i spowodowała zwarcie.

Zanim pojawiła się Jamison, Decker odłączył kabel i zdeptał iskry. Potem uderzeniami mokrej marynarki zdusił płomień na ścianie, gdzie zajął się luźny kawałek tapety, a tłący się fragment dywanu ugasił, zwijając go w rulon. Później cofnął się, żeby nie zatrzeć więcej śladów. Właśnie wtedy zawołała go Alex.

Omiótł wzrokiem ciało mężczyzny, rozglądając się za czymś, co tłumaczyłoby, skąd na podłodze wzięło się tyle krwi.

Nie zauważył żadnej rany. Teraz nie mógł szukać dokładniej. Tym musiała się zająć policja. Ale było coś, co nie mogło czekać.

– Podejrzewasz, że ktoś jeszcze jest w domu? – wyszeptała Jamison, jakby czytając w jego myślach.

- Właśnie to musimy ustalić. Masz przy sobie telefon?
- Nie.
- Ani ja. Tutaj też nigdzie nie zauważyłem. Okej, wróć do siostry i wezwij kawalerię. Ja skończę przeszukiwać dom.
- Decker, musisz poczekać na policję. Nie masz wsparcia.
- Może jest tu ktoś ranny albo zabójca.
- Właśnie ta druga możliwość mnie niepokoi – syknęła Jamison.
- Przecież jestem policjantem! – fuknął Decker. – Przeszkolonym do radzenia sobie w takich sytuacjach. Mam broń. Poza tym jest duża szansa, że zabójca, jeśli go tu zastanę, będzie ode mnie mniejszy. Idź już.

Jamison powoli się odwróciła, po czym wybiegła korytarzem na zewnątrz, z powrotem w ulewę.

Decker sprawdził parter. Dom był piętrowy, a jeśli faktycznie nie różnił się niczym od tego, w którym mieszkała siostra Jamison, musiał mieć jeszcze piwnicę.

Cofnął się do korytarza, z którego prowadziły schody na górę. Wchodził po dwa stopnie i przystawał, czując przy każdym kroku, jak bezwiednie napina mięśnie. Przez te dziesięć lat spędzonych w mundurze, zanim został detektywem w Ohio, nieraz wchodził do domów, w których ktoś zginął. W takich wypadkach obowiązywały procedury, wpajane policjantom po to, by zminimalizować ryzyko, że sami zginą. Tego się nie zapominało, podobnie jak umiejętności jazdy na rowerze. Mimo wszystko przeszukanie domu, w którym mógł się czać ktoś z bronią, nie było równie automatyczną czynnością – z jednego ważkiego powodu. Wsiadając na rower, nie ryzykujesz, że zarobisz kulkę.

Na piętrze znajdowały się dwie małe sypialnie ze wspólną łazienką. Przeszukał wszystkie pomieszczenia i nie znalazł nikogo. Dom wyglądał na opuszczony.

Może nie było tu nic do odkrycia oprócz wisielca na parterze. Decker zszedł z powrotem po schodach i znalazł wejście do piwnicy.

U szczytu schodów zauważył włącznik, ale go nie użył. Nie wiedział, jaki wpływ miało zwarcie na resztę światła w domu.

Poza tym ciemność była teraz jego sprzymierzeńcem. Ostrożnie stawiał stopy, testując każdy stopień z osobna, zanim nastąpił nań całym ciężarem. Mimo to niektóre trzeszczały, a on, słysząc to, krzywił się za każdym razem. Zszedł na sam dół. Jak dotąd, nikt go nie próbował atakować.

Rozejrzał się. Wokół było dość ciemno i nie mógł dostrzec zbyt wiele, ale odniósł wrażenie, że to pomieszczenie jest nieukończony. W powietrzu unosił się, specyficzny dla takich miejsc, odór stęchlizny.

Zrobił krok naprzód i omal się nie przewrócił. Odzyskał równowagę i natychmiast się wycofał.

Musiał zaryzykować włączenie światła. Szybkim krokiem wspiął się po schodach i sięgnął do włącznika. Na dole zrobiło się jasno. Celując z pistoletu przed siebie, zaczął powoli schodzić, aż dojrzał, o co się potknął.

Ciało leżało na wznak. Patrząc na nieruchomą twarz, znowu poczuł w głowie nasilające się jaskrawoniebieskie impulsy.

To był mężczyzna. Na oko trzydzieści parę lat, bliżej czterdziestki. Miał ciemne włosy i bladą skórę. Średnia budowa. Wyglądał na jakieś sto siedemdziesiąt pięć centymetrów, chociaż trudno to było dokładniej ocenić, ponieważ leżał na podłodze.

Decker, jak przystało na policjanta z długim stażem, automatycznie rejestrował w głowie te spostrzeżenia. Wszystkie one były drugorzędne wobec jednego faktu – mężczyzna miał na sobie policyjny mundur.

Decker przyklęknął obok i sprawdził tętno na szyi.

Nie wyczuł pulsu. Skóra była bardzo zimna, niemal lodowata. Dotknął kończyn. Były sztywne, co oznaczało, że nastąpiło już stężenie pośmiertne. Doświadczenie Deckera w wydziale zabójstw sprawiło, że odruchowo zadał sobie pytanie o przyczynę i czas zgonu.

Pobieżnie obejrzał ciało, wypatrując ran, ale nie zauważył żadnej. Nie zamierzał ruszać zwłok. I tak narobił już dość bałaganu na miejscu zbrodni.

Skoncentrował uwagę na ustach denata. Zauważył tam odrobinę piany. To mogła być oznaka co najmniej kilku rodzajów



śmierci.

Mógł dostać ataku.

Albo został otruty.

*No dobrze, przyczyna śmierci jest oczywista. A kiedy nastąpił zgon?*

Spojrzał na nozdrza mężczyzny. Plujki. Samice. Już złożyły jajeczka, ale infestacja była znikoma. Muchy potrafiły zwęszyć martwe ciało z wielu kilometrów i były najlepszym sojusznikiem każdego policjanta, ponieważ – wraz z uruchomieniem biologicznego zegara śmierci – te natrętne owady pomagały ustalić, kiedy nastąpił zgon.

Gdy jednak Decker przymierzył do siebie wszystkie naukowe elementy układanki, w jego głowie zadźwięczał alarm. Coś tu się nie zgadzało.

Zesztywnienie kończyn było oznaką, że mężczyzna nie żył od dłuższego czasu. W istocie stężenie pośmiertne mogło już ustępować, cofając się od dużych grup mięśni z powrotem do małych, co oznaczałoby, że był martwy naprawdę od dawna. To pasowało do niskiej temperatury zwłok, ale z pewnością kłóciło się z resztą spostrzeżeń Deckera.

Jego rozmyślenia przerwał narastający dźwięk syren.

Szybko wrócił po schodach na górę, schował broń do kabury, wyszedł na werandę i czekał.

Kilkanaście sekund później przed dom zajechał radiowóz.

Podczas gdy Decker był wewnątrz, burza przetoczyła się dalej, chociaż nadal się błyskało i słychać było pomruki piorunów. Przynajmniej deszcz już nie zaczął.

Kiedy tylko policjanci wysiedli z samochodu, Decker zawołał do nich i uniósł legitymację agenta FBI. Obaj gliniarze sięgnęli po broń, a jeden z nich skierował na niego światło swojego maglite'a.

– Podnieś ręce, żebym je widział! – krzyknął ten, który wyglądał na młodego i nieco zdenerwowanego.

Decker już trzymał ręce w powietrzu tak, że mogli się im przyrzuć do woli, dlatego jedyne, co jeszcze mógł zrobić, to powiedzieć:

– Jestem federalny. Wezwała was moja partnerka.

Policjanci weszli na werandę. Drugi z tej dwójki miał starannie przystrzyżony szpakowaty wąsik i wyglądał na kogoś po czterdziestce. Schował broń do kabury, sięgnął po legitymację i przyjrzał się jej. Potem oświetlił latarką twarz Deckera.

– Co się tu dzieje? – zapytał.

– W środku są dwa ciała. Jedno wisi w salonie. Drugie leży w piwnicy. – Decker zerknął na mundur rozmówcy. – Nie wiem, czy ten drugi to jeden z waszych, ale ma na sobie podobny mundur.

– Że co? – Starszy policjant zareagował podniesionym głosem.

– Powiedziałaś, że nie żyje? – wtrącił ten młodszy, który wciąż do niego mierzył.

Decker przeniósł na niego wzrok.

– Tak, nie żyje. A ty mógłbyś celować gdzie indziej, a nie we mnie?

Młody odruchowo zerknął na swojego partnera, który skinął głową i oddał Deckerowi legitymację.

– Zaprowadź nas – zarządził.

W tej samej chwili zza rogu wybiegła Jamison.

Młodszy z policjantów raptownym ruchem obrócił się i wycelował w nią.

– Nie! – ryknął Decker. Rzucił się do przodu i podbił rękę mężczyzny na ułamek sekundy przed tym, jak ten pociągnął za spust. Kula przeszła niecałe pół metra nad głową Jamison, która rzuciła się plackiem na trawę.

Policjant zatoczył się do tyłu i teraz wymierzył broń w głowę Deckera.

– To moja partnerka – warknął Decker. – To ona do was dzwoniła. Alex, jesteś cała?

Jamison powoli wstała i podeszła do nich na miękkich nogach. Wzięła głęboki oddech i skinęła głową.

– Tak, nic mi nie jest – odrzekła, chociaż wyglądała, jakby zaraz miała zwymiotować.

Starszy policjant spiorunował wzrokiem swojego partnera i poprosił Jamison o legitymację. Obejrzał ją, oddał i znów

spojrzał na młodego.

– Omal nie zastrzeliłeś agentki federalnej, Donny – powiedział karcącym tonem. – Będziesz miał teraz furę papierów do wypełnienia i dupsko przykute do biurka, dopóki nie skończysz. No i wydział wewnętrzny na głowie. Gratulacje.

Młodszy policjant schował broń i spojrzał spode łba, ale nie odezwał się ani słowem.

– Zaprowadź nas – powtórzył ten starszy.

– Tędy – odparł Decker.

– Nie znam go – stwierdził starszy policjant, który po drodze przedstawił się Deckerowi i Jamison jako Will Curry.

Jego partner też pokręcił głową. Stali nad umundurowanym mężczyzną leżącym na podłodze piwnicy. Denata piętro wyżej obejrzeni już wcześniej. Jego też żaden z policjantów nie rozpoznał.

– Nie ma plakietki z nazwiskiem – zauważył Curry. – Wszyscy takie nosimy.

– Znalibyście go, gdyby był stąd? – zapytał Decker. – To znaczy... lokalna policja jest na tyle mała?

Curry pomyślał chwilę.

– Nie znam każdego, kto w tych okolicach nosi mundur, ale znam wielu.

– W kaburze nie ma broni – stwierdził Decker.

Curry kiwnął głową.

– Tak, zauważyłem. Nie ma też radiotelefonu. Słuchajcie, muszę to zgłosić. Sprawę przejmie wydział zabójstw. Donny, trzeba otaśmować teren. Przypilnuj, żeby nikt się tu nie kręcił.

Donny wyszedł wykonać polecenie, a Curry wyjął telefon, odsunął się w róg piwnicy i zadzwonił.

Decker przyklęknął i uważnie obejrzał ciało. Jamison spoglądała ponad jego szerokim barkiem.

– Jak zginął? – zapytała.

– Żadnych ewidentnych obrażeń. Tak jak tamten na górze, mimo kałuży krwi.

– Śmierć przez powieszenie zwykle nie jest taka krwawa – zauważyła Jamison. – Chyba że coś w tym facecie pękło i znalazło sobie ujście na zewnątrz.

– Nie miał krwi na ubraniu – odpowiedział Decker – dlatego nie wiem, jakim cudem mogłoby do tego dojść.

Wrócił do nich Curry.

– Okej, będę potrzebował waszych zeznań, no i musicie stąd

wyść. Śledczy urwą mi głowę, jeśli was tu zastaną.

Weszli po schodach na parter i opuścili budynek przez drzwi od podwórka. Curry zauważył, że są uszkodzone.

– A to jak się stało?

– To moja robota – przyznał Decker. – Wszedłem do domu razem z drzwiami. Wyjaśnię dlaczego.

Burza prawie już minęła. Chmury zaczęły się rozstępować i wysoko na niebie widać było nawet kilka gwiazd.

Curry wyjął służbowy notes.

– No dobrze, opowiadajcie.

Decker, a po nim Jamison, złożyli zeznania. Kiedy skończyli, usłyszeli, że ktoś ich nawołuje.

– Alex, wszystko w porządku?

Obejrzeni się i zobaczyli Amber wraz z Zoe stojące przy płocie rozdzielającym posesje.

– Wróćcie do środka, przyjdę za kilka minut! – zawołała do nich Jamison. – Moja siostra Amber i jej córka Zoe – dodała, zwracając się do Curry'ego. – Jesteśmy u nich w odwiedzinach.

– A więc mieszkają tu? – zapytał Curry.

– Tak.

– Będziemy musieli z nimi porozmawiać. Może widziały coś, co pomoże nam wyjaśnić, dlaczego w domu obok są dwa trupy.

– Jasne, oczywiście – przytaknęła Jamison.

– A wy dwoje czym się zajmujecie w FBI? – zapytał.

– Ścigamy ludzi, którzy robią krzywdę innym – powiedział Decker. – Czyli zajmujemy się właśnie tym, co się tu wydarzyło.

Curry wyczuł, do czego zmierzał Decker.

– To nie jest sprawa dla federalnych.

– Może tak, może nie... Przecież jeszcze nic nie wiadomo. – Decker nie ustępował. – Chętnie pomożemy.

– Decker – wtrąciła się Jamison poirytowanym tonem. – Jesteśmy na urlopie. Przyjechaliśmy tu właśnie po to, żeby się oderwać od... takich rzeczy.

– Może ty – skwitował Decker – ale ja nie miałem powodu, żeby się oderwać od „takich rzeczy”.

– Twoja decyzja. Załatw to sobie z wydziałem zabójstw.

– Nie ma sprawy.

Curry zamknął notes.

– Skoro już tu jesteście... Macie jakieś pomysły, co tu właściwie zaszło?

Decker obejrzał się na dom, z którego wyszli.

– Powieszenie człowieka to coś osobistego, demonstracja władzy nad ofiarą. Taka śmierć jest koszmarna. Facet albo się udusił, albo się szarpał, aż mu chrupnęły kręgi. Tak czy inaczej, chwilę to trwało.

– A ta krew? – zapytał Curry.

– Skąd się wzięła? Może wykrwawił się gdzie indziej, a potem krew została zebrana, przyniesiona do salonu i rozlana na podłodze... Tylko po co?

– A facet w piwnicy? – dopytywał Curry.

– Pytanie, czy to naprawdę policjant. A jeśli nie, to dlaczego był w mundurze. I jak zginął? Nie widziałem żadnych ewidentnych obrażeń, ale na ustach miał trochę piany, więc może go otruto. I jeszcze jedno. Kto jest właścicielem tego domu? Któryś z tych dwóch mężczyzn? Ktoś inny?

Curry ponownie otworzył notes i skrzątnie w nim wszystko zapisywał.

– Coś jeszcze?

– Tak. Obawiam się, że wasz koroner będzie miał problem z ustaleniem czasu zgonu.

– Dlaczego?

– Dlatego, że to, co tu dzisiaj zobaczyłem, z punktu widzenia medycyny sądowej wydaje się niemożliwe.

Amber wysłała opierającą się Zoe do łóżka i teraz siedziała z siostrą i Deckerem w salonie swojego domu.

– Dwóch martwych mężczyzn? – zapytała drżącym głosem. – Zamordowanych? Nie mogę w to uwierzyć. W domu tuż obok? Mój Boże!

– Na jakimś etapie śledztwa policja będzie chciała z wami porozmawiać – uprzedziła ją siostra.

– Ale dlaczego? – Amber zareagowała emocjonalnie. – Nic o tym nie wiemy.

– Standardowa procedura – zauważył Decker uspokajającym tonem. – To dlatego, że znalazłyście się tak blisko miejsca zbrodni. Nie ma się czym denerwować. Rutynowe działanie.

– Dzwoniłaś do Franka? – zapytała Jamison, pocierając ramię siostry.

Frank Mitchell był mężem Amber.

– Próbowałam, ale nie odbiera. Kiedy zadzwoniłam do biura, powiedzieli mi, że jest na spotkaniu. W tej nowej pracy zasuwa na okrągło.

– Czym się zajmuje? – zapytał Decker.

– Jest zastępcą menedżera w centrum dystrybucji. Realizują internetowe zamówienia wielu różnych firm. Przeprowadziliśmy się właśnie dlatego, że Frank dostał tu pracę. Pracował dla tej samej firmy w Kentucky, to dla niego awans. Zatrudniają mnóstwo ludzi.

– Takie centra to teraz wielcy pracodawcy – zauważyła Jamison. – Czytałam o tym. Płacą przyzwoicie, w każdym razie więcej niż wynosi minimalne wynagrodzenie, do tego rozmaite świadczenia, ale tak naprawdę to ciężka fizyczna harówka.

– Coś o tym wiem – odpowiedziała Amber. – W Kentucky, gdzie mieszkaliśmy wcześniej, Frank był rozliczany z tego, ile paczek zdołał wyekspediować. Dzięki Bogu awansował do kadry kierowniczej. Jest po trzydziestce i w dobrej kondycji, ale tempo

tamtej pracy go wykańczało. Wciąż się uskarżał, że coś go boli.

Amber spojrzała w stronę domu, w którym znajdowały się dwa trupy.

– Myślałam, że tutaj zaczniemy wszystko od nowa. A teraz proszę, za oknem mamy miejsce zbrodni!

– Ta sprawa może być zupełnie niezwiązana z tą okolicą. Ci dwaj mężczyźni mogli pochodzić skądinąd.

Amber nie wyglądała na przekonaną.

– Co mam powiedzieć Zoe? Jest bardzo wrażliwa i spostrzegawcza. Będzie miała milion pytań.

– Mogę z nią porozmawiać. Albo Decker.

Decker spojrzał na Alex spłoszony.

– Myślę, że będzie lepiej, jeśli ty z nią porozmawiasz – stwierdził.

– Ale przecież zamieniliście słowo na tarasie.

– I właśnie dlatego wolałbym, żebyś to ty z nią pomówiła.

Jamison spojrzała na siostrę.

– Amber, wszystko będzie dobrze.

– Nie rozumiesz.

– Nie rozumie czego? – podchwycił Decker.

– To nie jedyne morderstwa, jakie wydarzyły się w Baronville w ostatnim czasie. Widziałam w telewizji.

– Były inne? – zapytał szybko Decker.

Amber właśnie miała odpowiedzieć, gdy nagle rozległo się pukanie do drzwi wejściowych.

Na ganku stali mężczyzna i kobieta. Oboje z posępnym wyrazem twarzy.

Mężczyzna miał pięćdziesiąt parę lat i około stu osiemdziesięciu centymetrów wzrostu. Był siwy, a jego zapadnięta klatka piersiowa kontrastowała z wydatnym, wystającym zza paska brzuchem. Kobieta – po trzydziestce, drobnej budowy, wzrostu około stu sześćdziesięciu centymetrów – miała ładną twarz, blond włosy sięgające do ramion i wysportowaną sylwetkę. Mężczyzna miał na sobie wymięty garnitur i nierówno zawiązany krawat, a na kołnierzyku jego białej koszuli widniała mała czarna plama. Krzywe zęby pożółkły mu od nikotyny. Kobieta była



ubrana w obcisły czarny kostium, nieskazitelnie białą bluzkę i buty na masywnych, pięciocentymetrowych obcasach, rekompensujących jej skromny wzrost. No i zęby miała olśniewająco białe.

Wyciągnęli odznaki i zapytali, czy mogą wejść.

– Detektywi Marty Green i Donna Lassiter – przedstawił ich mężczyzna. – Pani tu mieszka? – zapytał Amber, która odruchowo skinęła głową.

– Tak, jestem Amber Mitchell.

Green spojrział na Deckera i Jamison.

– To znaczy, że wy dwoje byliście pierwsi na miejscu zbrodni. Rozumiem, że to wy jesteście ci z FBI? Mogę zobaczyć wasze legitymacje?

Decker i Jamison wyjęli je wprawnym ruchem. Green ledwie na nie zerknął, ale Lassiter przyjrzała im się uważnie.

– Czytaliśmy wasze zeznania – oświadczył Green. – Teraz chcielibyśmy je usłyszeć z pierwszej ręki.

Usiedli wszyscy w salonie.

– Przepraszam, czy mogłaby pani poczekać w pokoju obok, dopóki nie skończymy? – zapytała Lassiter, zwracając się do Amber. – Oczywiście później będziemy chcieli porozmawiać także z panią.

Amber szybko wstała, spojrzała niespokojnie na siostrę i wyszła.

Detektywi utkwili wzrok w drugiej parze.

– Z waszych dokumentów wynika, że nie jesteście agentami specjalnymi – zauważyła Lassiter.

– Bo nie jesteśmy – odpowiedziała Jamison. – Jesteśmy cywilami pracującymi dla oddziału specjalnego FBI.

– Doprawdy? – wtrącił Green, patrząc na Deckera. – Pracuję w policji od dawna i coś mi mówi, że ty też jesteś policjantem.

– Burlington, Ohio. Mundurowy przez dziesięć lat, potem kolejne dziesięć jako detektyw, zanim przystałem do federalnych.

Green odchrząknął i otworzył notes.

– No dobrze, omówmy, co tu się dzisiaj wydarzyło.

Decker opowiedział pierwszy, po nim Jamison.

Green metodycznie wszystko spisywał. Decker zwrócił uwagę, że Lassiter używa małego dyktafonu i z wprawą przesuwając palcami po klawiszach.

– Ustaliliście już przyczynę śmierci? – zapytał Decker, kiedy skończyli opowiadać. – Albo ich tożsamość?

Green już zaczynał coś mówić, ale wyprzedziła go Lassiter.

– To my tu jesteśmy od zadawania pytań.

Decker zerknął na Greena.

– Mam przez to rozumieć, że odpowiedź na oba pytania brzmi nie?

– Pracujemy nad tym – odparł Green. – Było tam dużo krwi, ale nie ustaliliśmy źródła.

– Rzeczywiście, też się nad tym zastanawiałem. Na wisielcu nie zauważyłem żadnych ran. Ale będziecie musieli sprawdzić, czy to była jego krew. Mogli go zabić, wykrwawić i powiesić.

Green się skrzywił.

– To brzmi jak jakiś mord rytualny. Żołnienie ofiary.

– A jeśli to nie jego krew? – zapytała Lassiter.

– Jeśli nie jego, to kogoś innego. Może kogoś, kto już figuruje w bazie danych. – Decker zamilkł na chwilę. – Możliwe też, że to nie jest ludzka krew.

Lassiter i Green spojrzeli na niego z niedowierzaniem.

– Skąd ten pomysł? – zapytał Green.

– Nie twierdzę, że tak jest. Mówię tylko, że zabicie zwierzęcia i zebranie jego krwi jest mniej problematyczne niż zrobienie tego samego z człowiekiem. Kiedy tu jechaliśmy, mijaliśmy farmy z krowami, z kozami i ze świniami. To tylko jedna z możliwości. A co z tym w piwnicy? To jeden z waszych?

Lassiter zamierzała coś powiedzieć, ale tym razem to Green nie dopuścił jej do słowa.

– On nie, ale miał na sobie nasz mundur. Pytanie, skąd go wziął. Próbujemy też ustalić właściciela domu. Żaden z denatów nie miał przy sobie dokumentów.

W trakcie tej wymiany zdań Lassiter patrzyła na swojego partnera z nieskrywaną irytacją. W końcu pochyliła się ku niemu.

– Marty, nie wykluczaliśmy tych dwojga jako podejrzanych –

wyszeptała na tyle głośno, że Decker i Jamison wyraźnie słyszeli każde jej słowo.

Green zerknął na nią i zrobił minę świadcząca o tym, że opadły go wątpliwości. Przeniósł wzrok na Deckera.

– Musimy sprawdzić, gdzie byliście w tym czasie – oznajmił.

Decker skinął głową.

– Dopiero co przyjechaliśmy. Około szóstej po południu. Chwilę wcześniej zatrzymaliśmy się zatankować. Płaciliśmy kartą, więc łatwo sprawdzić. Zapis monitoringu ze stacji benzynowej też to potwierdzi. Po kolacji wyszedłem na taras na tyłach domu. Zrobiło się ciemno. Kilka minut później zajrzała do mnie siostrzenica Alex. W tym czasie Alex rozmawiała z siostrą wewnątrz. Jakiś kwadrans po ósmej zauważyłem iskrzenie w sąsiednim domu, pobiegłem tam i znalazłem ciało. Chwilę potem Alex zadzwoniła pod dziewięćset jedenaście<sup>1</sup> i przyjechali wasi ludzie – powiedział i zamilkł na moment. – Sprawdziłem tętno faceta na dole, by się upewnić, że nie żyje. Z tym na górze nie musiałem tego robić. Ciało w piwnicy było lodowate, chociaż bynajmniej nie czuło się tam takiego zimna. Denat miał sztywne kończyny, a w nosie muchy. Odniosłem wrażenie, że już złożyły jajeczka, chociaż infestacja była minimalna. – Decker zamilkł i obserwował, jaką reakcję wywoła jego zeznanie na twarzach rozmówców.

– Jeśli wasze alibi się potwierdzi – powiedział Green – to czas zgonu obu mężczyzn wykluczy was z kręgu podejrzanych. – Zerknął z ukosa na partnerkę. – Ile spraw zabójstw prowadziłeś, agencie Decker?

– Setki. W Ohio i w FBI. Formalnie jestem na urlopie, więc jeśli zyczycie sobie dodatkowej pary rąk do pracy, służę pomocą.

– Decker, jaki to urlop, skoro chcesz pracować nad kolejną sprawą? – upomniała go Jamison.

– Tak czy inaczej, to wykluczone – stwierdziła kategorycznie Lassiter.

Decker nie odrywał wzroku od Greena.

---

<sup>1</sup> 911 – amerykański numer alarmowy, odpowiednik europejskiego 112. [Wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza].

– Zaproponowałem pomoc, ponieważ słyszałem, że to nie jedyne morderstwa, jakie ostatnio wydarzyły się w tym mieście.

– Skąd wiesz? – Lassiter zareagowała ostro.

– To prawda? – zapytał Decker.

Green zerknął na Lassiter i skinął głową.

– Niestety, tak.

Bang, bang.

Tylne drzwi karawanu zatrzęsnęły się i dwa niezidentyfikowane ciała odjechały spod domu, w którym je znaleziono.

Decker i Jamison odprowadzili wzrokiem mijający ich samochód, za którym podążył radiowóz.

Taśma policyjna trzepotała na wietrze pozostawionym przez burzę.

Detektyw Green podszedł do nich, a Lassiter wróciła do środka.

– Sprawdzimy odciski palców w naszej bazie. Może nam powiedzą, co to za jedni.

– Wielu ludzi nie ma w bazach – zauważyła Jamison.

– Ale jest ich tam całkiem sporo – zripostował Green.

– Opowiedz nam o tych innych zabójstwach – wtrącił Decker.

Green odpakował listek gumy do żucia i wsunął go do ust, po czym zmiął paperek w kulkę i schował do kieszeni.

– W Ohio miałem partnerkę, która żuła gumę cały czas – odezwał się Decker, przyglądając się detektywowi. – Próbowwała rzucić palenie.

– Rzuciłem dwa lata temu. Za to zęby pościerałem do samych dziąseł.

– Więc jak to jest z tymi zabójstwami? – wrócił do tematu Decker.

– Mamy w tym mieście sporo problemów. Upadające biznesy, egzekucje hipoteczne... Wielu ludzi nie ma pracy ani żadnych perspektyw. Uzależnienie od opioidów rośnie na potęgę.

– Nie tylko tutaj – zauważyła Jamison. – Tak jest wszędzie.

– Kiedy byłem dzieckiem, kopalnie i fabryki jeszcze działały. Ludziom się powodziło. Tatusiowie pracowali, mamusie siedziały w domach i wychowywały dzieci. W niedziele chodzili do kościoła. Centrum tętniło życiem. Potem przemysł splajtował i wszystko się posypało. Zresztą nic dziwnego. Kopalnie i fabryki

były jedynym powodem, dla którego to miasto w ogóle powstało.

– Baronville? – spytała Jamison. – Siostra trochę mi o tym opowiedziała.

Green pokiwał głową, miarowo poruszając zuchwą.

– Dawno temu przyjechał tu John Baron senior i odkrył złoża węgla. Wybudował miasto, ponieważ potrzebował rąk do pracy w kopalniach. Zbił na tym fortunę. Z czasem otworzył koksownię, zakłady włókiennicze, a później fabrykę papieru. A potem trafił na gaz ziemny i zrobił na tym jeszcze większe pieniądze. Mój dziadek powiedział mi, że stary Baron zaliczył tylko jedną wpadkę w całym swoim życiu. Jego biznes włókienniczy nie wypalił i Baron zamierzał go sprzedać, ale nie zdążył, bo zmarł. Poza tym jednym wyjątkiem na wszystkim zarabiał krocie. Wybudował sobie wielką rezydencję i żył jak król. Po jego śmierci kolejne zakłady zaczęły podupadać. Biznesy traciły na wartości i były wyprzedawane. Kiedy w latach siedemdziesiątych gospodarka padła na pysk i produkcja wyniosła się za granicę, nastąpił koniec. Czar prysł i mieszkańcy Baronville zostali z niczym. Od tego czasu jest, jak jest.

Decker zaczął się niecierpliwić.

– Opowiesz nam o tych zabójstwach czy będziesz nas dalej raczył smętną historią Baronville?

Green wypluł gumę do żucia i spojrzał Deckerowi prosto w oczy.

– Cztery trupy, dwa miejsca zbrodni. Obie sprawy wypłynęły w ciągu dwóch tygodni. Ostatnia tydzień temu.

– Jakieś podobieństwa? Schemat działania? – dopytywał Decker.

– Tylko takie, że każdy był dziwaczny – odparł Green, a jego usta wykrzywił grymas odrazy.

– Żadnych wskazówek? – zapytała Jamison.

– Nic, co by nas posunęło do przodu. A, jak dobrze wiecie, im więcej czasu mija, tym mniejsze są szanse na rozwiązanie spraw.

– Opowiedz nam o nich – powiedział Decker.

W tej samej chwili z domu wyszła Lassiter i skinęła na Greena.

– Marty, mógłbyś tu podejść i rzucić na coś okiem?

Green spojrział na nią z przeciwległego końca podwórka.

– Co tam masz? – zawołał.

Lassiter zerknęła na Deckera.

– Nie chcę o tym mówić w obecności nieuprawnionych osób – odparła, kładąc nacisk na przedostatnie słowo.

Green odwrócił się do detektywa.

– Będę jutro rano na posterunku. To na bulwarze Barona, gdybyście chcieli zajrzeć.

– Znowu Baron – zauważył Decker.

– Jeśli zostaniecie tu na trochę, to nazwisko szybko wam zbrzydnie.

– Czy któryś z Baronów jeszcze tu mieszka? – zapytała Jamison.

– Tak, jeden – odpowiedział Green i począł przez lśniący wilgocią trawnik w kierunku czekającej Lassiter.

Jamison obróciła się w stronę Deckera.

– Nie mogę uwierzyć, że już zabrnąłeś w kolejną sprawę zabójstwa. W Waszyngtonie byłeś świadkiem jednego. Na alei Pensylwanii, dziwnym trafem. A teraz przyjeżdżasz do Pensylwanii i od razu znajdujesz dwa trupy.

– Skoro już tu jestem, to mógłbym przynajmniej spróbować się dowiedzieć, kto tych ludzi pozbawił życia.

– Czy ty nigdy nie masz tego dosyć? – zapytała znużonym tonem.

– Tym się zajmuję. Gdybym tego nie miał, nie miałbym niczego.

– Och, gdyby tylko więcej ludzi mogło zaznawać szczęścia dzięki morderstwom.

– Alex, wyczuwam w twoim głosie złość.

– Bo jestem zła! Tak czy inaczej, zanosi się, że nie pozwolą ci pracować nad tą sprawą. Słyszałeś Lassiter.

– Słyszałem też jej partnera. Potrzebuje wsparcia, nawet jeśli ona jest przeciwko temu.

– Nie dopuszczą nas do tej sprawy – upierała się Jamison.

– Jeśli tu doszło do wielokrotnego morderstwa, przyda im się każda pomoc.

– Lepiej nie próbuj dzwonić do Bogarta i go prosić, żeby ci to załatwił.

Decker spojrział na nią badawczo.

– Może ty byś do niego zadzwoniła?

– Nie ma mowy, mnie do tego nie mieszaj.

– Alex, w tym mieście właśnie popełniono sześć morderstw.

Sześć!

– Wiem! – Jamison się uniosła, pąsowiejąc na policzkach.

– Tu mieszka twoja siostra i jej rodzina. I tak się składa, że ostatnie miejsce zbrodni mają na wyciągnięcie ręki.

Jamison popatrzyła na detektywa z nieufnością.

– Decker, nie wierzę własnym uszom, że tak ze mną pogrywasz.

– Tu giną ludzie, Alex.

– A policja dowie się, kto za tym stoi.

– Nie byłbym tego taki pewien.

– Dlaczego?

– Dlatego, że detektywi Green i Lassiter najwyraźniej nie wychycili elementarnej sprzeczności na miejscu zbrodni. Dałem im szansę, żeby się wypowiedzieli na ten temat, ale nie zaskoczyli.

– Jakiej sprzeczności?

– Zaufaj mi. Po prostu nie jestem pewny, czy staną na wysokości zadania.

Jamison chciała coś dodać, ale tylko się zająknęła. Spojrzała w kierunku domu, z którego dopiero co zabrano dwa trupy, po czym ciężko westchnęła.

– No dobrze, dobrze – powiedziała pojednawczym tonem.

– Alex, nie musisz nic robić. Ciesz się urlopem i pobytam u siostry, a mnie daj popracować nad tą sprawą.

– Chyba nie sądzisz, że pozwolę ci się w tym babrać samemu. Nawet o tym nie myśl.

Teraz Decker się zająknął.

– Chodzi... Chodzi o Zoe.

– W sensie?

– Obiecałem jej, że dopilnuję, by cię nie skrzywdzili źli ludzie.

– To bardzo miłe z twojej strony, Amos. Doceniam, naprawdę. Ale jestem już dużą dziewczynką, jakbyś nie zauważył. Wyszkoliło mnie FBI i jestem w szczytowej formie fizycznej.



Potrafię się posługiwać bronią. I jestem dobra w tym, co robię.

Decker uśmiechnął się pod nosem.

– Co? – zapytała zaczepnym tonem.

– Chciałbym móc powiedzieć o sobie, że jestem w szczytowej formie fizycznej.

– Grałeś w NFL. Wątpię, czy kiedykolwiek jeszcze będziesz w takiej formie. Ale tym się nie przejmuj.

– Co masz na myśli?

Teraz ona uśmiechnęła się szelmowsko.

– Dopilnuję, żeby nikt nie zrobił krzywdy tobie.

– To jakiś obłąd – powiedział Frank Mitchell.

Siedział w swoim salonie z Amber, Deckerem i Jamison. Było po północy. Przyjechał kilka minut wcześniej. W końcu oddzwonił do Amber w drodze do domu i wtedy dowiedział się o wszystkim.

Frank miał około stu osiemdziesięciu pięciu centymetrów wzrostu, kręcone blond włosy i przydługawe bokobrody. Był ubrany w ciemne luźne spodnie i białą koszulę garniturową, którą teraz rozpiął pod szyją. Poluzował też krawat. Skarpety, jakby strudzone całym dniem w pracy, zsunęły mu się na kostki. Noski jego czarnych butów miały liczne obtarcia i zarysowania.

Amber siedziała obok, wtulona w ramię męża, który ją objął troskliwym gestem.

– Kiedy usłyszałam w telewizji, jak rozmawiają o tych wszystkich morderstwach – powiedziała – byłam w szoku. Wydawało mi się, że w takich małych społecznościach jak tutaj to nie do pomyślenia. Żałuję, że się tu przeprowadziliśmy.

Frank spojrzał na nią z wyrzutem.

– Am, mnie tu przeniesiono. Nie miałem wyboru.

– Co nam możesz powiedzieć o tych pozostałych morderstwach? – zapytał Decker. – Wspomniałaś, że mówiono o nich w telewizji.

Amber wzruszyła ramionami.

– Widziałam relację w lokalnych wiadomościach. Nie zwracałam uwagi na szczegóły, zapamiętałam tylko, że jacyś ludzie zostali zamordowani i że policja prowadzi śledztwo. Potem wyłączyłam, bo do pokoju weszła Zoe.

Frank zdjął krawat, rzucił go na stolik i potarł dłonią kark.

– Wciąż nie mogę się przyzwyczaić do noszenia garnituru w pracy – powiedział i uśmiechnął się bez cienia radości. – Jak już wspominałem, mogłem wziąć tę posadę albo dalej zasuwać przy taśmie w Kentucky. Zanim zatrudniłem się w obecnej firmie,

pracowałem w sprzedaży detalicznej. Tam nie zagrałem miejsca, bo galerie handlowe upadają. Wszyscy teraz kupują przez Internet. Nigdy nie skończyłem college'u. No i jestem tu, gdzie jestem.

– Twoja mama zachorowała i rzuciła studia, żeby pomóc w domu, kochanie. A teraz ciężko pracujesz i dostałeś awans – powiedziała Amber, jakby chciała zrehabilitować męża w jego własnych oczach.

Frank uśmiechnął się blado i pogłaskał żonę po ramieniu.

– No tak, rzeczywiście... W każdym razie wylądowaliśmy w Baronville, przynajmniej na jakiś czas. Zarabiam teraz prawie dwa razy więcej i świadczenia mam dużo lepsze. Poza tym życie tu jest o wiele tańsze. Dlatego takich centrów nie buduje się w dużych miastach ani nawet na ich obrzeżach. Ziemia i wszystko inne jest tam za drogie.

– W takich miasteczkach jak to nowe miejsca pracy na pewno się przydadają – zauważyła Jamison.

– Wyobraź sobie, że nie możemy obsadzić wszystkich stanowisk.

– Jak to możliwe? – zdziwiła się Jamison. – Wydawałoby się, że ludzie będą walić do was drzwiami i oknami.

– Bo tak jest, ale nie przechodzą testów narkotykowych. Rozpoczęliśmy nabór w innych częściach stanu, a nawet w sąsiednim, w Ohio.

– Zbierajmy się spać – wtrąciła Amber. – Frank spędził w pracy cały dzień i musi być skonany. Jadłeś coś w ogóle, kochanie?

– Zamówili nam pizzę. Wytrzymam do rana. – Zerknął na Deckera i Jamison, po czym uśmiechnął się nieśmiało. – Dobrze znowu cię widzieć, Alex. I miło cię poznać, Amosie. Boleję nad tym, że przyjeżdżając do nas, wpakowaliście się w coś takiego.

Decker spojrzał na niego.

– Wiem, że policja już rozmawiała z Amber, ale... czy kiedykolwiek widzieliście kogoś w domu za wami?

Frank się zamyślił.

– Nie, nie przypominam sobie. Wprowadziłem się tu kilka

miesiący przed Amber i Zoe, żeby się zaaklimatyzować, zapoznać z nową pracą, urządzić dom i tak dalej. Wyjeżdżam wcześniej rano i wracam późno w nocy. Tak to będzie wyglądało jeszcze przez jakiś czas. Muszę się dużo nauczyć, dlatego zostaję po godzinach.

– Nigdy nikogo nie widziałeś na tamtym podwórku? Przy drzwiach na taras albo w oknie?

Frank pokręcił głową i spojrzał na żonę.

– Prawie nigdy nie wychodzę na podwórko – powiedziała Amber. – Za dużo jest do zrobienia w środku. Do diabła, jeszcze nie wypakowałam wszystkiego z pudeł. Właśnie to powiedziałam policji.

– Jak zginęli ci ludzie? – zapytał Frank.

– Policja jeszcze to ustala – odpowiedział wymijająco Decker.

– Ale to ty znalazłeś ciała – zauważyła Amber. – Musisz mieć jakąś teorię na temat tego, co tam zaszło.

– Mam. Ale to nie jest coś, czym chciałbym się z tobą podzielić.

Amber spojrzała na niego zmieszana.

– Możliwe, że będziemy asystować przy tej sprawie – pospieszyła z wyjaśnieniem jej siostra. – To dlatego nie bardzo możemy o niej rozmawiać.

– Asystować przy sprawie! Myślałam, że jesteście na urlopie.

Jamison spojrzała wymownie na Deckera.

– Mnie też się tak wydawało – odpowiedziała. – Wygląda jednak na to, że mordercy nie mają wolnego.

– Mój Boże – westchnęła Amber i objęła się, jakby miała dreszcze. – Wciąż nie mogę w to uwierzyć. Morderstwo prawie pod naszym domem. – Spojrzała na Deckera. – Wyobrażam sobie, że na tobie takie rzeczy już nie robią wrażenia.

– To mylne wyobrażenie – odparł Decker. Następnie zerknął na swoją partnerkę. – Co powiesz na małą przejażdżkę? – zapytał.

Jamison popatrzyła na niego zdezorientowana, ale z rezygnacją skinęła głową.

Do Baronville przyjechali samochodem z wypożyczalni – głównie dlatego, że prywatny samochód Jamison był niewielkim autkiem i Decker musiałby prawie złożyć się wpół, żeby wejść do środka. To niezbyt miła perspektywa na tak długą podróż. Yukon miał dużo więcej miejsca na głowę i nogi.

– Krótka przejażdżka, tak? – zagadnęła Jamison. – O rany, już chyba wiem, dokąd jedziemy...

– Na ulicę obok, Alex.

– Mogę zapytać po co, skoro już tam byliśmy?

– Chcę coś zobaczyć.

– Mogliśmy się przejść.

– Samochodem będzie prościej.

Kiedy wjeżdżali w sąsiednią ulicę, Decker wskazał na znak drogowy.

– Ślepa uliczka.

– Rzeczywiście. Tamci dwaj, których ciała znalazłeś, już się stąd nie wydostali – skomentowała Jamison.

Na miejscu zbrodni nadal pracowała policja. Jeden z funkcjonariuszy zerknął na nich, kiedy przejeżdżali obok. Zanim jednak zdążył zareagować, Jamison minęła dom. Dojechała do końca ulicy, zawróciła i zaparkowała ich SUV-a przy krawężniku, kilka domów od miejsca zbrodni, następnie wyłączyła światła.

Chwilę później w drzwiach wejściowych zobaczyli Greena i Lassiter. Widoczni w świetle lampy nad gankiem, prowadzili ożywioną rozmowę.

– To chciałeś zobaczyć? – zapytała Jamison, ziewając.

Decker pokręcił głową. Chciał się przyjrzeć ulicy i zaparkowanym przy niej samochodom. Od razu zwrócił uwagę, że domy nie mają garaży, tylko otwarte wiaty albo miejsca przy krawężniku.

Oprócz radiowozów i ich SUV-a na ulicy nie było innych samochodów. Decker rozejrzał się po domach wzdłuż ulicy. W żadnym nie paliło się światło, chociaż mogło to być spowodowane późną porą.

– Te domy w większości wyglądają na niezamieszkanne –

zauważył.

– No cóż, sam słyszałeś, że Baronville nie tętni życiem.

– A to oznacza, między innymi, że nie znajdziemy tu wielu świadków, którzy nam powiedzą, czy ktokolwiek się kręcił przy tamtym domostwie. Ktoś tu sprowadził tych dwóch mężczyzn, żywych lub martwych. Dom nie ma garażu, do którego można by wjechać prosto z ulicy, więc w pewnym momencie musieli być na widoku.

– Może tych dwóch zwyczajnie weszło do środka i tam zostało zabitych.

Decker zamknął oczy i skupił myśli na tym, co widział i słyszał, zanim światła w domu zaczęły migotać z powodu zwarcia.

Przelatujący samolot.

Seria dźwięków – na przemian stuk i zgrzyt.

Warkot uruchamianego silnika samochodowego.

Samolot? Oczywiście żadnego związku ze sprawą.

Dziwne hałasy? Potencjalny związek.

Samochód odjeżdżający spod domu po zostawieniu tu ciała?

Zacisnął powieki. Jego pamięć absolutna przodowała w doznaniach wzrokowych. Niemniej również rzeczy, które usłyszał, pamiętał znacznie lepiej niż większość ludzi.

– Co robisz? – zapytała Jamison.

Decker skrzywił się, słysząc głos, który zakłócił jego proces myślowy w chwili, gdy usiłował dokładnie odtworzyć z pamięci tamte dźwięki.

– Decker, jest prawie pierwsza w nocy i chciałabym się już położyć. Spędziliśmy w samochodzie ponad sześć godzin, żeby tu dojechać. Nie wspomnę nawet, że to ja prowadziłam całą drogę.

Decker rozluźnił mięśnie twarzy.

– Przecież jesteśmy u twojej siostry. Jeśli kiedyś pojedziemy odwiedzić moje siostry, ja będę prowadziła.

– Jedna mieszka w Kalifornii, druga na Alasce. Jeśli kiedyś wybierzemy się do nich, to na pewno nie samochodem.

– No cóż, skoro tak, to pewnie ich nie odwiedzimy.

Jamison westchnęła i osunęła się głębiej w fotelu, bezmyślnie bawiąc się manetką kierunkowskazów na kolumnie kierownicy.

– Dlaczego to dla ciebie takie ważne? Rozumiem, że to morderstwo. Okropna rzecz. Ale przecież nie możesz prowadzić śledztwa w sprawie każdego morderstwa, z którym się zetkniesz.

– A to niby dlaczego? – zapytał szorstko.

– Bo tak nie można! – burknęła.

Decker pokręcił głową.

– Nie musimy się zgadzać we wszystkim – stwierdził.

Minęło kilka chwil ciężkiej ciszy, zanim Jamison ponownie zabrała głos.

– Amos, dorwałeś tych, którzy zabili Cassie i Molly. Dostali to, na co zasłużyli. Nie możesz zajmować się każdym popełnionym morderstwem. To po prostu niemożliwe. W końcu cię to przerośnie.

Decker nie odezwał się ani słowem. Siedział tylko i wpatrywał się przez przednią szybę w dom, w którym znalazł dwa ciała.

– Możemy już jechać? – zapytała w końcu Jamison. – Czy mam się zwinąć na tylnym siedzeniu i tam odespać?

– Możemy jechać.

Jamison z ulgą ruszyła z miejsca.

Mitchellowie oddali im dwie sypialnie na piętrze. Amber powiedziała, że kiedyś była tam jedna duża sypialnia, którą przerobili na dwie. Zoe miała już sześć lat, a Frank i Amber chcieli więcej dzieci.

Jamison zamieniła parę słów z siostrą, która czekała, aż wróci. Potem poszła z Deckerem na górę i rozeszli się do swoich pokoiów.

Decker usiadł przy oknie i wyglądał na ulicę. Okolica przypominała mu jego rodzinne miasteczko w Ohio. Na wpół żywe, na wpół martwe. Może nawet bardziej martwe niż żywe.

Zrzucił z siebie ubranie, położył się na łóżku i wpatrywał się w sufit.

Jamison trafiła w sedno.

*Wciąż próbuję schwytać mordercę Cassie i Molly, raz za razem. To nigdy się nie skończy, bo morderców nigdy nie zabraknie. Witam w moim świecie.*

Rankiem następnego dnia Decker właśnie wkładał buty, kiedy zadzwonił telefon.

To był Green.

– Co słyhać, detektywie? – zagadnął Decker.

– Krew na podłodze domu...

– Tak?

– Miałeś rację. Nie jest ludzka.

– Będę za pół godziny.

Trzydzieści pięć minut później Decker patrzył na dwa metalowe stoły, na których leżały ciała znalezionych w domu mężczyzn. Oba były już po autopsji. Klamry spinające nacięcia w kształcie litery Y na piersiach wyglądały jak wielkie suwaki. Green stał po jego lewej, Jamison po prawej. Ona wyglądała, jakby przez całą noc nie zmrużyła oka. Koroner krzątał się po przeciwległej stronie stołu. Detektyw Lassiter jeszcze ich nie zaszczyliła swoją obecnością.

– Jesteście pewni, że to nie jest ludzka krew? – zapytał Decker.

Koroner, niski, łysiejący mężczyzna z brzuchem i starannie wymodelowaną siwą brodą, skinął głową.

– Ustaliłem to wczoraj, a właściwie już dzisiaj, kiedy obrabiałem tych dwóch tutaj – powiedział, ziewając. – Prosty test. Odczynnik reagujący na ludzką krew nic nie wykazał. Ale to jest krew. Raczej zwierzęca niż syntetyczna. Kiedy zrobię więcej testów, będziemy wiedzieć dokładnie, z czym mamy do czynienia.

– Wychodzi na to – odezwał się Green – że ktoś rozlał krew, zapewne zwierzęcą, pod nogami faceta wiszącego w salonie.

– Czy faktycznie przyczyną śmierci było powieszenie? – zapytał Decker.

Koroner skinął głową.

– Wszystko na to wskazuje. Wybroczyny na szyi, rozerwane



naczynia włosowate w oczach.

– Krwotok punkcikowaty w twardówce... – rzucił mimochodem Decker.

Green spojrział na niego przenikliwie.

Z pomocą koronera Decker obrócił jedno z ciał na bok i spojrział na szyję mężczyzny.

– To ten wisielec?

– Zgadza się – przytaknął Green.

Decker ułożył ciało z powrotem na wznak, po czym obejrzał stopy, uszy, dłonie i pachwiny mężczyzny.

Wyprostował się i zmarszczył brwi.

– O co chodzi, Decker? – zapytała Jamison.

– Nie miał skrępowanych rąk – stwierdził, ignorując jej pytanie.

– Nie widzę też żadnych obrażeń sugerujących, że się bronił. Ktoś, kogo się wieszka, stawia opór. A to był mężczyzna słusznej postury, z wyglądu sprawny fizycznie.

Koronera wskazał miejsce z tyłu głowy denata.

– Ślad po uderzeniu narzędziem tępokrawędziowym. Myślę, że został ogłuszony, następnie powieszony. To dlatego nie trzeba było go krępować.

– A ten? – zapytał Decker, spoglądając na drugie ciało i to również obracając na bok. – Na jego ustach były ślady piany. Zwykle oznacza to śmierć przez utonięcie. Albo otrucie.

– Poddaliśmy go testom toksykologicznym – odpowiedział koroner. – W płucach nie miał wody, dlatego utonięcie możemy wykluczyć. Może przedawkował. Akurat to zdarza się nam tu dość często. Ta chłodnia mieści dwadzieścia ciał. Swego czasu wydawało się, że to dużo miejsca. Nigdy nie była pełna. A potem kryzys opioidowy tak przybrał na sile, że miasto musiało kupić kontener chłodniczy, by pomieścić wszystkie ciała. Trzymamy go na parkingu. Teraz nawet on jest pełny. Nie wszystkim denatom robię sekcję. Nie ma na to czasu. Jeśli tu przyjeżdżają z igłą sterczącą z ramienia, to mi wystarcza do określenia przyczyny zgonu.

Decker spojrział z niedowierzaniem na koronera, ale mężczyzna najwyraźniej tego nie zauważył. Położyli drugie ciało

z powrotem na plecy.

– To nie tłumaczy, skąd wziął się wisielec i kałuża krwi.

– Rzeczywiście – przyznał Green.

Drzwi się otworzyły i do pomieszczenia weszła Lassiter. Miała na sobie to samo ubranie co dzień wcześniej. Wydawało się, że nie była w domu.

– Donna, powinnaś była chociaż się zdrzemnąć – zaczął Green.

Lassiter nawet na niego nie spojrzała. Wpatrywała się w Deckera i Jamison.

– Przecież ustaliliśmy, że...

– Zatem mamy zwierzęcą krew – powiedział Green, zwracając się do koronera. – Co nam to mówi?

Zapytany wzruszył ramionami.

– Ja jedynie ustalam przyczyny zgonów. Ty jesteś śledczym. Nie jestem patologiem sądowym – dodał, zwracając się do Deckera. – Najwyraźniej jest ich za mało i za dużo kosztują. – Tę uwagę okraszył szerokim uśmiechem. – Takiego miasteczka jak to nie stać na ten luksus. Jestem tylko miejscowym lekarzem dorabiającym do emerytury. Urologiem. Oczywiście zrobiłem wymagane kursy. No i mam dużą praktykę.

– To może nie wystarczyć – skwitował Decker, na co koroner nastroszył brwi. – Ta krew ma jakąś symbolikę? – kontynuował Decker, zwracając się do Greena. – Wiadomość? Rytuał?

– Obawiam się, że na te pytania nie znamy jeszcze odpowiedzi – przyznał detektyw.

Lassiter zamknęła drzwi i podeszła do stołu. Stała bezpośrednio za Deckerem, który wydawał się nie zwracać na nią uwagi.

– Ustaliliście ich tożsamość? – zapytał.

– Przepuściliśmy odciski obu przez AFIS – powiedział Green. – Żadnych trafień. Wiem, że AFIS nie jest idealny, ale jeśli to przestępcy, to nigdy nie byli aresztowani.

– Sprawdźcie w innych bazach danych – rzucił Decker. – To mogli być cywile, których przeszłość sprawdzano, kiedy ubiegali się o pracę. Albo coś w tym rodzaju.

– Już się tym zajmujemy – wtrąciła Lassiter.

Decker odwrócił się i zobaczył, że stoi tuż za nim. Choć była na obcasach, różnica wzrostu między nimi wciąż wynosiła około trzydziestu centymetrów. Musiała zadrzeć głowę, żeby mu spojrzeć w oczy, podczas gdy on patrzył na nią z góry.

– To dobrze – powiedział i odwrócił się z powrotem w stronę ciał. – Domyślam się, że żaden z nich nie miał nic wspólnego z tym domem? Nie był jego właścicielem?

– Skąd to przypuszczenie? – wyrzuciła z siebie Lassiter.

– Gdyby tak było, pewnie już byście ich zidentyfikowali. Do kogoś jednak ten dom należy.

– Do banku – odparł Green. – Miał założoną hipotekę, a właściciele nie spłacali kredytu. Wyjechali stąd prawie rok temu. Od tego czasu dom stoi pusty.

– Ale jest tam prąd, inaczej nie doszłoby do zwarcia i pożaru. Po co prąd w domu, w którym nikt nie mieszka od tak dawna?

– Cóż, zdarzają się dzicy lokatorzy – tłumaczył Green. – Włamują się do opuszczonych domów i mieszkają w nich tygodniami, nawet miesiącami. Potrafią się nielegalnie podłączyć do sieci elektrycznej. Bywa też, że banki wynajmują takie domy, chcąc trochę na nich zarobić, zanim znajdą kupca. Wtedy muszą zapewnić lokatorom prąd.

– Czy ten dom kiedykolwiek wynajmowano? – zapytała Jamison.

– Nadal to ustalamy, ale nie sądzę.

– Całe sąsiedztwo wygląda pustawo – zauważył Decker. – Przy ulicy nie parkują żadne samochody.

– To nic niezwykłego w tej okolicy – oświadczył Green. – Baronville straciło około połowy mieszkańców. Kiedy działały wszystkie kopalnie i zakłady, ludzi było tu prawie dwa razy więcej niż obecnie. Niemal tyle, co w Erie. Ale to już przeszłość.

– Rzecz w tym – powiedział Decker – że nie będzie wielu osób do pomocy w ustaleniu, co się stało w tym domu.

– Na tej ulicy zamieszkałe są tylko trzy domy – odrzekł Green. – Ja rozmawiałem z mieszkańcami jednego, a Donna drugiego. Tego wieczoru nic nie słyszeli ani nie widzieli. A wcześniej też nie zauważyli, żeby ktoś się kręcił w okolicy.

– Zupełnie nic? – zdziwił się Decker.

– Według nich nic – odpowiedział Green.

– Są jakieś powody, by wierzyć, że ktoś z nich mógł być w to zamieszany? – zapytała Jamison.

– Alice Martin to starsza kobieta, która całe życie mieszkała w Baronville – odpowiedziała Lassiter. – Tak się składa, że ją znam, ponieważ była moją nauczycielką w szkółce niedzielnej. Drugi dom należy do Freda Rossa, staruszka na wózku inwalidzkim. Najprawdopodobniej nie było go tutaj. Ostatni znajduje się najbliżej miejsca zbrodni, ale mężczyzna, który w nim mieszka, Dan Bond, jest niewidomy. Rozmawiałam z Bondem, a mój partner z Martin. Myślę, że spokojnie możemy ich wykluczyć z kręgu podejrzanych.

Decker obrócił się i zmierzył ją wzrokiem.

– Tak? A to dlaczego?

Lassiter zamruwała.

– To chyba oczywiste?

Decker spojrział na Greena.

– W dochodzeniu w sprawie morderstwa pewne rzeczy są oczywiste. Wykluczenie kogoś z kręgu podejrzanych po jednorazowym kontakcie albo na podstawie przypuszczenia nie jest jedną z nich.

Decker zauważył, że Lassiter oblała się rumieńcem, a jej twarz wykrzywił grymas złości. Nie zważając na to, kontynuował:

– A więc Dan Bond i Alice Martin zostali przesłuchani. Dlaczego nikt nie rozmawiał z Fredem Rossem?

– Nie zastaliśmy go w domu – odpowiedział Green. – Jeszcze do niego zajrzemy.

– Macie jakiś pomysł na to, jak jeden z waszych mundurów znalazł się na umarlaku z piwnicy? – zapytał Decker.

– Nie. O ile mi wiadomo, żadnego nie brakuje.

– A dostawca mundurów? – wtrąciła Jamison.

– Wszystko to sprawdzamy – warknęła Lassiter, która wyglądała, jakby miała za moment eksplodować. – Nie wypadliśmy sroce spod ogona.

Decker zignorował tę uwagę i wskazał przebarwienie

na ramieniu mężczyzny znalezione w piwnicy.

– Co to jest?

– Odnotowałem to w raporcie – odparł coroner. – Może to coś, co tu było i zostało usunięte.

– Na przykład?

– Możliwości jest wiele. Plaster przeciwbólowy albo antynikotynowy.

– Palił? – zapytała Jamison.

– Tak, w jego płucach widać pewne uszczerbki spowodowane przez nikotynę. Oceniam, że nie miał jeszcze czterdziestu lat, więc jeśli rzucił palenie, jego płuca miały szansę się zregenerować.

– Teraz to już chyba bez znaczenia – zauważył Green.

– Przy założeniu, że to był plaster medyczny, badania toksykologiczne wykażą, co zawierał. Oczywiście pod warunkiem że uwolniona substancja jest nadal obecna w ciele. Jeśli bowiem plaster został zdjęty dawno temu, to organizm już ją wydalil.

Decker spojrzał uważnie na coronera.

– Zatem nasuwa się kluczowe pytanie... Czy znamy czas zgonu?

– Kiedy przyszedłem do tamtego domu, kończyny obu mężczyzn były sztywne, co świadczyło o stężeniu pośmiertnym. W mojej ocenie nie żyli od około dwudziestu godzin. Nie wykluczam jednak, że zabito ich znacznie wcześniej i że zostali znalezieni na etapie, gdy stężenie już się cofało. Będę wiedział coś więcej później.

– Doktorze, czy mierzył pan temperaturę głęboką?

– Mój sprzęt zaszwankował – przyznał coroner poirytowanym głosem. – Pokazywał dziwaczne wartości.

– Bardzo niską temperaturę?

Mężczyzna spojrzał na Deckera zdumiony.

– Skąd pan wie?

– Więc nawet nie znając temperatury głębokiej, wydał pan ostateczny werdykt, doktorze, że to dwadzieścia godzin albo więcej? Jest pan pewny?

Koroner wyglądał na oburzonego faktem, że Decker podaje w wątpliwość jego diagnozę.

– Tak, jestem pewien – powiedział oschle. – Nie żyją co najmniej od dwudziestu godzin. Dlaczego pan pyta?

– I jest pan przekonany, że po śmierci obu mężczyzn ich ciała nie ruszano z miejsca?

Koroner obrzucił szybkim spojrzeniem oba trupy i przeniósł wzrok z powrotem na Deckera.

– Tak. Wydaje mi się, że tak. Ale do czego pan zmierza?

– Doktorze, moim zdaniem powinien pan się jeszcze podszkolić i nie poprzestawać na kursach obowiązkowych. A najlepiej znaleźć sobie inne zajęcie, które nie wymaga przeprowadzania autopsji.

– Co to, do cholery, miało znaczyć?! – Mężczyzna się obruszył.

– Wydawało mi się, że wyraziłem się jasno – odparł Decker. – Jesteśmy dogadani w sprawie śledztwa? – zapytał, zwracając się do Greena. – Pracujemy nad tym razem?

Green chwilę milczał, spoglądając na niego z zaciekawieniem.

– W porządku – odpowiedział w końcu. – Ale informujecie nas absolutnie o wszystkim. Żadnych wyjątków.

– Nie ma sprawy – zgodził się Decker bez wahania.

– A tak z praktycznego punktu widzenia jak chcesz się do tego zabrać? – zapytał Green.

– Mamy mnóstwo roboty, dlatego proponuję dwa zespoły po dwie osoby.

– Dobrze – wtrąciła Lassiter. – Ja z tobą, a twoja partnerka z Martym.

Jamison wyglądała na zaskoczoną.

– Ale dlaczego? Macie swój zespół, a my mamy nasz.

– Dlatego, że w ten sposób będziemy na bieżąco z pracą obu – odpowiedziała Lassiter. – Unikniemy zdawania długich relacji i tłumaczenia sobie wszystkiego. Oszczędność czasu i energii.

– Jak dla mnie, może być – rzucił od niechcenia Decker.

Usłyszawszy to, Jamison posłała mu szybkie, przenikliwe spojrzenie.

Kiedy wychodzili z prosektorium, Jamison odciągnęła Lassiter

na bok.

– Tak między nami... Mój partner jest dość trudny we współpracy.

– Wierz mi, zdążyłam to zauważyć.

– Obawiam się, że nie masz pełnego obrazu.

– Cóż, Marty też nie jest łatwy. Ale jesteśmy dziewczynami na terytorium facetów, prawda? Musimy sobie jakoś radzić.

Ta niespodziewana uwaga wywołała uśmiech na twarzy Jamison.

– Myślę, że to pierwsza rzecz, co do której się z tobą zgadzam.

– Miejmy nadzieję, że nie ostatnia.

*Miejsce zbrodni numer dwa.*

W każdym razie tak je w myślach nazwał Decker.

To był warsztat samochodowy. Nieoczekiwane miejsce na popełnienie morderstwa, ale w tych sprawach większość okoliczności zwykle jest nietypowa.

Decker i Lassiter wysiedli z czterodrzwiowego bładoniebieskiego priusa, w którym było dość ciasno, zwłaszcza dla tak wielkiego faceta jak on. To był jej prywatny samochód. Wydział nie miał w budżecie pieniędzy na auta dla swoich detektywów. Decker dowiedział się tego od niej, kiedy jechali na miejsce zbrodni. To numer dwa.

– Tak między nami – napomknął. – Po drodze widziałem co najmniej sześć transakcji z dilerami.

– Siedem – odparła Lassiter. – Mogłeś nie zwrócić uwagi na mamuszkę z małą dziewczynką na tylnym siedzeniu. Kupowała sobie działkę od gościa na ostatnich świątkach, zanim podrzuciła dziecko do opieki dziennej.

– A ty po prostu przejechałaś obok, jak gdyby nigdy nic?

– Jeślibym interweniowała za każdym razem, kiedy coś takiego widzę, nie miałabym czasu jeść, spać ani korzystać z toalety. Tak się składa, że znam tę kobietę. Teraz nie zażyje. Zrobi to później, w domu, kiedy przyjdzie mąż, który zajmie się nią i dzieckiem.

– Jaką tu macie ulubioną używkę?

– Kiedyś to był oksykodon, później fentanyl. Teraz heroina, chociaż fentanyl jest znacznie silniejszy.

– To musi mieć odbicie we wskaźniku przestępczości.

– Ludzie włamują się do sąsiadów i wynoszą przedmioty, które potem sprzedają, żeby zaspokoić swój nałóg. Albo synalek czyści mamie konto bankowe w tym samym celu. Albo babcia podkrada wnuczce drobne ze skarbonki. To szaleństwo, ale tak tu jest na co dzień.

– A heroina jest popularna, ponieważ gram kosztuje około



pięćdziesięciu dolców i wystarcza na znacznie dłużej niż fentanyl czy oksykodon, który na ulicy chodzi po... ile? Osiemdziesiąt dolców?

– Do diabła, już nie trzeba wychodzić na ulicę, żeby się zaopatrzyć. Można zamówić z dostawą do domu, jak pizzę. Kupić w aptece albo od miejscowego druha drużynowego. Potem rozkruszyć i wciągnąć przez nos albo sobie wstrzyknąć. Żeby się odurzyć, ludzie tutaj nawet żują plastry fentanylowe, zamiast je naklejać na skórę.

– Może ten ślad, który miał facet z piwnicy, to po plastrze fentanylowym?

Lassiter skinęła głową.

– Być może. Wskaźnik przedawkowań od zeszłego roku podskoczył nam o siedemdziesiąt procent. A ostatnie dziesięć przypadków, którymi się zajmowaliśmy, dotyczyło osób po sześćdziesiątym piątym roku życia. Niektórzy nazywają to emeryturą z pasa rdzy<sup>2</sup>.

– Odszedłem z policji w Ohio, jeszcze zanim kryzys opioidowy zaczął się na dobre, ale pamiętam, że już wtedy nazywaliśmy to apokalipsą zombie.

– Dlatego wszyscy tutaj nosimy przy sobie nalokson.

– Do reanimacji tych, którzy przedawkowali?

– Tak. A magistrat uchwalił prawo dobrego samarytanina, które zwalnia od odpowiedzialności karnej w przypadku zgłoszenia przedawkowania, nawet jeśli osoba zgłaszająca sama jest pod wpływem narkotyków. Ta kobieta, którą minęliśmy? Jej mąż trzyma nalokson w domu. Można go dostać za darmo w miejscowym centrum odwykowym. Niektórzy mówią, że to przyzwolenie. Ja uważam, że zanim wykombinujemy, jak to powstrzymać, lepiej utrzymywać ludzi przy życiu. Mamy tu armię ćpunów i centrum odwykowe z dwudziestoma łózkami. To nie ma sensu. Sądzę, że władze się poddały. Nie chcą wydawać pieniędzy podatnika, których zresztą nie mają, na ludzi, którym

---

<sup>2</sup> Niegdyś obszar północno-wschodniej części Stanów Zjednoczonych z racji rozwiniętego tam przemysłu ciężkiego nazywano pasem stali. Wraz z upadkiem przemysłu nazwę zmieniono na pas rdzy.

jest wszystko jedno. Słyszą o terapii metadonem i myślą, że właśnie to biorą uzależnieni od metamfetaminy, żeby się nawalić. Nawet im do głowy nie przyjdzie, że to coś, co leczy z uzależnienia. Nie chcą tutaj „tych” ludzi, chociaż „ci” ludzie to często ktoś z ich rodziny. Mówi się, żeby im pozwolić umrzeć, wtedy problem sam się rozwiąże.

– Ale ty tak nie uważasz?

– To nie są obce mi sprawy, Decker. Dlatego nie, nie uważam, że lepiej przymykać oko na śmierć bliźnich.

– Kogoś z twojej rodziny?

– Nie ciągnij mnie za język – zareagowała oschle.

Po chwili zajechali przed warsztat.

– Zakładam, że skoro Martin była twoją nauczycielką w szkółce niedzielnej, tu się wychowałeś – zagadnęła Decker.

– Tak. College zrobiłam w Filadelfii, prawo karne w Temple. A potem tu wróciłam i wstąpiłam do policji. Po czterech latach w mundurze zdałam egzaminy i awansowałam na detektywa.

– Szybka ścieżka zawodowa.

– Okupiona ciężką pracą.

– Nie wątpię. Musiałaś dowieść, że nie jesteś gorsza od facetów.

– Jakiż ty jesteś bystry, Decker.

– Zamknęliście warsztat po tym, co tu się wydarzyło, czy już był zamknięty?

– Był zamknięty. Gość, który go prowadził, wygrał jakieś sześćset tysięcy w loterii stanowej i od razu się stąd wyniósł.

– Masz klucze?

Lassiter wyjęła z kieszeni pojedynczy klucz i otworzyła nim drzwi wejściowe.

W środku znajdowała się mała recepcja, a za nią trzy stanowiska obsługowe, widoczne przez szklaną ścianę z drzwiami.

– Okej, poprowadź mnie krok po kroku.

– Dostaliśmy zawiadomienie o możliwym włamaniu. Przyjechali mundurowi i znaleźli ciała.

– Kto zgłosił?

– Zgłoszenie anonimowe. Próbowaliśmy namierzyć, ale bez

skutku.

– To zastanawiające. Większość ludzi nie nosi przy sobie telefonów, których nie można namierzyć. Gdzie znaleźliście ciała?

Zaprowadziła go na jedno ze stanowisk.

– Denat numer jeden leżał tu – powiedziała, wskazując na kanał serwisowy w podłodze.

– Przyczyna zgonu?

– Rana postrzałowa głowy.

– Tożsamość?

– Michael Swanson. Czarny, lat trzydzieści parę. Drobnny diler uliczny. Dilerką zajął się od razu po szkole. Wcześniej był zatrzymywany za niewielkie wykroczenia. Dwa razy siedział krótko w tutejszym areszcie. W sumie nic poważnego. Ostatni jego adres, jaki znaleźliśmy, to mieszkanie na przedmieściach. W dzielnicy bardzo tanich czynszówek.

– A drugie ciało?

Poprowadziła go w stronę urzędnika służącego do wyjmowania silników z pojazdów.

– Wisiał tutaj, owinięty łańcuchami.

– Przyczyna zgonu?

– Ta sama co u Swansona. Ale na czole miał zrobiony znak.

– Jaki znak?

– Jesteś na to gotów?

– Bardziej już nie będę.

– Płomień, ale odwrócony górą na dół.

– Masz na myśli pochodnię? To symbol greckiego boga śmierci Tanatosa.

Lassiter rozdziawiła usta.

– Skąd wiesz?

– Czytałem kiedyś książkę. Taką z obrazkami. Coś o nim wiemy?

– Bradley Costa. Biały, trzydzieści pięć lat. Mieszkał tu od niedawna. Pracował w Narodowym Banku Baronville. Starszy wiceprezes.

– Wysokie stanowisko jak na kogoś w jego wieku.

– Przyszedł z Wall Street. Miał duże doświadczenie. Ludzie tego

pokroju nie zjawiają się tu codziennie.

– Jakież związki ze Swansonem?

– Nic, czego moglibyśmy dowieść. Może był jego klientem? Bankierzy też się narkotyzują. A biorąc pod uwagę profesję Costy, przychodzi mi do głowy pranie brudnych pieniędzy albo inne finansowe przekręty. Tego jednak też nie udało się nam wykazać. Poza tym wątpię, by Swanson wyciskał ze swojego biznesu tyle, żeby potrzebować człowieka od prania pieniędzy.

– A mimo to obaj skończyli w tym miejscu – zauważył Decker, rozglądając się po warsztacie. – Jak się tu dostali?

– Nie wiemy. Costa nie miał żadnej rodziny, w każdym razie nic nam o tym nie wiadomo. Jego zaginięcie zgłosił szef banku. Swansona nikt nie szukał. W takich kręgach się obracał. Raczej nie wśród praworządnych obywateli.

– Takich jak bankierzy? – zapytał Decker.

– Kiedyś tak właśnie było.

– Jakież użyteczne tropy?

– Żadnych odcisków ani łusek po nabojach. Żadnego niedopałka z materiałem DNA. Tylko krew obu ofiar.

– To pewne, że zabito ich tutaj?

– Potwierdzają to rozbryzgi krwi. Poza tym koroner stwierdził, że jej ilość odpowiada ranom na ciele i że wykrwawili się tutaj.

– Ten, którego poznałem dzisiaj?

– Tak, Charlie Duncan. Coś z nim nie tak?

Decker przemilczał to pytanie.

– Co miałeś na myśli, mówiąc, że powinien się jeszcze podszkolić albo nie brać się więcej do sekcji zwłok? Uważasz, że błędnie określił czas zgonu?

– Na pewno przeoczył dwie poważne nieściśłości – powiedział Decker, odwracając się do niej. – Ale ty i twój partner też je przegapiliście.

– Ale co konkretnie? – zapytała obronnym tonem.

– Ciało w wilgotnej piwnicy, martwe od ponad dwudziestu godzin i z oznakami pełnego stężenia pośmiertnego miałoby na sobie dużo więcej niż kilka much i jajeczek. Plujki potrafią zwęszyć zwłoki i przylecieć do nich w ciągu kilku minut

od śmierci. Na ciele wiszącym na parterze w ogóle nie zauważyłem much. To w piwnicy miało ich tylko kilka. Każda mucha potrafi złożyć ponad dwieście jajeczek, a larwy wykluwają się z nich po okresie od ośmiu do dwudziestu czterech godzin. Właśnie to miałem na myśli, kiedy powiedziałem, że z punktu widzenia medycyny sądowej rzeczy, które widziałem na miejscu zbrodni, wydają się niemożliwe. Zesztywniały trup z minimalną infestacją i bez choćby jednej larwy? Wasz koroner powinien od razu to zauważyć. Ale on się skupił na stężeniu pośmiertnym zamiast na entomologii, braku rozkładu ciała i odczytach pomiaru temperatury głębokiej. Założył, że instrument przekłamuje, zamiast zadać sobie pytanie, skąd tak niska temperatura ciała denata, niższa od temperatury otoczenia. Kompetentny koroner musi mieć całościowy ogląd sytuacji. Wszystko jest ze sobą powiązane. Inaczej dajesz plamę i morderca pozostaje na wolności.

Lassiter wyglądała na poruszoną jego wykładem.

– Okej... – wycedziła. – Rozumiem, do czego pijesz. Ale ciała zostały znalezione w domu. Czy zamknięte wewnątrz nie stanowi zbyt dużej przeszkody dla much?

– Może. Zdziwiłabyś się jednak, gdzie potrafią się dostać. A tu mamy pusty dom ze starą piwnicą, zapewne pełną dziur i szczelin. Wierz mi, gdyby to ciało leżało tam od dwudziestu godzin albo dłużej, dobrałyby się do niego.

– A druga nieścisłość?

– Plamy opadowe. Kiedy serce przestaje tłoczyć krew i rozpoczynają się wewnętrzne procesy gnilne, naczynia robią się nieszczelne. Krew, reagując już tylko na siłę ciężenia, spływa do najniższej położonych miejsc. U wisielca są to czubki palców, płatki uszne i stopy. Może mieć nawet pośmiertną erekcję.

– Że co?

– Kiedy się umiera w pozycji pionowej, krew zbiera się również w pachwinach. Ciało jest trochę jak balon napełniony wodą. Serce już nie bije, dlatego krew nie ma możliwości opuszczenia tego miejsca, kiedy się tam już dostanie. W prosektorium, oglądając ciało wisielca, zauważyłem plamy opadowe na jego

plecach. To oznacza, że nie zginął powieszony i z pewnością nie wisi tam dwadzieścia godzin.

– Czyli został zabity gdzie indziej i przywieziony do tego domu? Decker skinął głową.

– Wasz koroner nawet się nie zająknął na temat nietypowego dla wisielca ułożenia płam opadowych. Albo tego nie zauważył, albo nie ma o tym pojęcia.

– Będę musiała z nim porozmawiać.

– Powodzenia. A wracając do naszych ofiar... Dlaczego zabito mężczyzn tutaj?

– Warsztat był opuszczony. Ma kanały w podłodze. Urządzenia do powieszenia kogoś...

– Myślałem o szerszym kontekście.

– To znaczy?

– Dlaczego w Baronville?

Dwoje ludzi zastrzelonych przy stole w jadalni.

Właśnie to chwilę wcześniej Green powiedział Jamison.

To się nazywa ostatnia wieczerza.

Znaleziono ich w domu przypominającym ten, w którym Decker odkrył ostatnie dwa trupy.

– Najpaskudniejsza rzecz, jaką w życiu widziałem – stwierdził Green, mlaskając gumą do żucia. – Siedzieli sobie przy stole i nagle bum! Koroner mówi, że oboje zginęli natychmiast. Tak to zwykle bywa, jak się oberwie z bliska z gładkolufowej strzelby.

– Ofiary mieszkały tutaj?

– Nic nam o tym nie wiadomo. W każdym razie nikt tu nie mieszkał legalnie. Ten dom, podobnie jak tamten, był własnością banku.

– Coś łączyło tych dwoje?

Green zajął do służbowego notesu.

– Niczego takiego nie ustaliliśmy. Różne środowiska. Żadnych znanych nam relacji.

– Co o nich wiadomo?

– Joyce Tanner, biała, pięćdziesiąt trzy lata. Pracowała w JC Penney do czasu jego zamknięcia. W chwili śmierci była bezrobotna. Rozwódka, żadnych dzieci. Jej były wyjechał stąd dawno temu. Próbuje go namierzyć, ale na obecnym etapie nie ma podstaw, by sądzić, że miał z tym cokolwiek wspólnego. Toby Babbot był biały i miał czterdzieści lat. Na rencie inwalidzkiej z powodu wypadku w pracy.

– Miał rodzinę?

– Nigdy nie był żonaty. Nie znaleźliśmy żadnych informacji o nieślubnych dzieciach.

– Oboje pochodzili z Baronville?

– Nie. Babbot przeprowadził się tu z Pittsburgha jakieś sześć lat temu. Pracował w zakładach produkujących klimatyzatory. Do czasu ich zamknięcia. Potem miał się rozmaitych zajęć.

- A Tanner? Była stąd?
- Jej rodzice zginęli w wypadku samochodowym w Connecticut. Przeprowadziła się tu z ciotką i wujkiem około czterdziestu lat temu. Wychowali ją. Oboje już nie żyją. Zmarli z przyczyn naturalnych.
- Jakież pomysły, co tych dwoje tu robiło? – zapytała Jamison.
- Żadnych. Przetrzepaliśmy okolicę, ale sama widzisz, że mało tu potencjalnych świadków. Nie mamy żadnych poszlak.
- Jedli posiłek, kiedy to się stało?
- Nie. Wyglądało to raczej tak, jakby im kazano usiąść przy stole i wtedy zastrzelono.
- Jakież inne nietypowe okoliczności śmierci?
- Green wskazał ścianę, na której wciąż widniały rozbryzgi krwi.
- Morderca napisał coś markerem. Wycięliśmy to i zabezpieczyliśmy jako dowód.
- Co to było?
- Werset z Biblii.
- Który?
- Żaden z tych znanych. Jestem dobrym metodystą. Chodzę do kościoła co niedzielę, a mimo to musiałem go wyszukać. – Green zerknął do notesu i przewrócił parę kartek. – „Niewolnicy! – zaczął czytać. – Z całą bojaźnią bądźcie poddani panom nie tylko dobrym i łagodnym, ale również surowym. To się bowiem podoba Bogu, jeżeli ktoś ze względu na sumienie uległ Bogu znosi smutki i cierpi niesprawiedliwie”<sup>3</sup>. – Zamknął notes i podniósł wzrok na Jamison.
- To z pierwszego listu Świętego Piotra, rozdział drugi, werset osiemnasty – powiedziała.
- Green spojrział na nią zaskoczony.
- Zgadza się. Skąd wiesz?
- Mój ulubiony wujek był pastorem. Pomagałam mu uczyć w szkółce niedzielnej. Ćwiczył mnie w czytaniu Biblii. Był też uznanym religioznawcą, zapoznał mnie z wieloma pracami na ten temat.
- W takim razie wciel się w rolę religioznawcy i daj mi jakiś

---

3 Tłumaczenie za: Biblia Tysiąclecia, wyd. Pallottinum, Poznań 1990.



kontekst tego wersetu.

– Piotr był więziony i bity za swoją wiarę. Może więc mówił o dochowaniu wierności sobie w godzinie próby. W tamtych czasach było wielu niewolników. To, co powiedział, brzmi trochę jak usprawiedliwienie niewolnictwa i próba zniechęcenia do ewentualnej rewolty. Skoro Bóg mówi, że tak jest okej... – Jamison zmarszczyła czoło. – To dość diaboliczne, jeśli się nad tym zastanowić.

– Coś jeszcze?

– Wielu religioznawców uważa, że to nie Piotr jest autorem tego tekstu.

– Dlaczego?

– Treść listu zdradza dobrą znajomość greki i biegłość w filozofii, których Piotr zwyczajnie nie miał. Poza tym masowe prześladowania chrześcijan zaczęły się długo po jego śmierci.

Green się uśmiechnął.

– Dzięki. Jesteś skarbnicą wiedzy.

Jamison jednak spochmurniała.

– Nie wiem tylko, czy w jakikolwiek sposób posuwa to nasze śledztwo. Chyba że macie tu szajkę handlarzy ludźmi.

– To mogło być ostrzeżenie. Zadrzecie z nami, a to samo spotka was. Z drugiej strony zabijanie ludzi, których nic nie łączyło, którzy nawet się nie znali... Nie rozumiem. Może to przypadkowe ofiary.

Jamison intensywnie myślała.

– Baronville to nie metropolia. Mimo to mamy tu trzy miejsca zbrodni, po dwie ofiary w każdym. Do tego enigmatyczny werset z Pisma Świętego. W domu, do którego trafiliśmy z Deckerem, była zwierzęca krew. A to miejsce, gdzie są teraz?

– Facet ze znakiem na czole – odparł Green. – Mam wrażenie, że to podchodzi pod dziwaczną okoliczność.

– Nie wierzę, żeby wszystkie te morderstwa nie były ze sobą jakoś powiązane. Myślę, że mamy do czynienia z jednym zabójcą albo z jedną grupą zabójców, detektywie.

Green ciężko westchnął.

– Wspaniale... Seryjne morderstwa w Baronville. Akurat teraz,

kiedy to miasto próbuje z powrotem stanąć na nogi. Prędzej czy później o wszystkim dowiedzą się krajowe media i rozdmuchają temat tak, że ludzie będą omijać Baronville szerokim łukiem.

– Myśleliście o tym, żeby wezwać posiłki? Policję stanową?

– Szczerze mówiąc, oni też są zarobieni. Nie jesteśmy jedynym miastem z problemami. A budżet stanowy się skurczył. – Zamilkł na moment. – À propos wsparcia... Decker wydaje się dobry w tym, co robi.

– Najlepszy, jakiego widziałam. Śmiem twierdzić, że najlepszy, jakiego widziało FBI.

– No to może mamy szanse. Pomijając kilka jego zgryźliwych uwag, wydaje się człowiekiem, z którym da się pracować.

– Och, poczekaj, aż się rozkręci – odpowiedziała Jamison, kryjąc uśmiech.

– Nie jesteś głodny?

Jamison patrzyła na Deckera siedzącego po drugiej stronie stołu w restauracji, do której przyszli na kolację. Zdążyli już sobie opowiedzieć o tym, co każde z nich widziało i czego się dowiedziało na „swoim” miejscu zbrodni. Decker zapewnił ją też, że Lassiter przekaze Greenowi wątpliwości co do ustaleń koronera w kwestii czasu zgonu ofiar.

Decker ledwie skubał jedzenie, aż w końcu odłożył sztućce i sięgnął po szklankę piwa.

– Sześć morderstw – stwierdził. – Żadnych ewidentnych powiązań między ofiarami, żadnych oczywistych podobieństw zbrodni, a mimo to wydaje mi się, że wszystkie są elementami tej samej układanki.

– A my musimy jakoś dopasować te elementy do siebie – odpowiedziała Jamison, która też odłożyła nóż i widelec. Dla siebie zamówiła, zamiast piwa, lampkę merlota. Uniosła ją i zanurzyła usta w winie.

– A jeśli nie są ze sobą powiązane? – powiedział, jakby myśląc na głos.

Jamison odstawiła wino i zaczęła międlić w palcach serwetkę.

– Powiedziałaś Greenowi, że moim zdaniem wszystkie te sprawy coś łączy. Sześć dziwnych morderstw w takim miejscu? Jakie są szanse, że to przypadek? A z tego wynika, że tych dwóch, których znalazłeś, ma związek z pozostałą czwórką.

– Ale nie robimy żadnych postępów.

– Decker, dopiero zaczęliśmy. Takie sprawy wymagają czasu. Wiesz to lepiej niż ktokolwiek inny.

– Nie mamy za dużo czasu, Alex. Tylko tydzień urlopu.

– Cholera, zupełnie o tym zapomniałam.

– A coś mi mówi, że z tą sprawą nie uwiniemy się w tydzień.

– Co chcesz zrobić?

– Na razie ciężko pracować, ale jeśli zacznie nam się kończyć czas, będziemy musieli pogadać z Bogartem, żeby nam przedłużył urlop albo pozwolił pracować nad tą sprawą w imieniu FBI.

Jamison zmarszczyła brwi.

– Obawiam się, że to nie takie proste.

– A powinno być. Sześć osób, którym ktoś odebrał życie. To nie jest wystarczający argument?

– Jasne, oczywiście – odpowiedziała nerwowo, gdyż podniesiony głos Deckera sprawił, że parę osób przy sąsiednich stolikach obejrzało się na nich. – Wiesz już, co było w drugim domu – dodała szybko. – Dwie ofiary i werset z Biblii na ścianie.

– Tak – odpowiedział nieobecny głosem, jakby jej nie słuchał.

– I co o tym myślisz?

– Myślę, że to za dużo.

Jamison spojrzała na niego skonsternowana.

– To znaczy?

– Zadałem to pytanie Lassiter i teraz zadam je tobie. Dlaczego Baronville?

– Dlaczego co?

– Sześć dziwnych, niewyjaśnionych morderstw w jednym miasteczku. Co w nim jest takiego wyjątkowego, że generuje tyle niecodziennych zbrodni?

– Nawet takie miejsca mają swój odsetek dziwaczych przestępstw.

– To prawda, ale w tym dzieje się coś, co wykracza poza normę.

– Myślisz, że wszystkie te morderstwa mają jedno źródło? – zapytała.

Skinął głową.

– Ale to nie sprawka naśladowców, bo większość kluczowych szczegółów jest różna. Myślę, że wszystkie przypadki łączy ten sam sprawca albo sprawcy.

– Twoja pamięć absolutna przydała się dzisiaj do czegoś?

– Nie mam w pamięci niczego, co mogłoby się tu przydać.

– Naprawdę? Nic?

– Może tylko to, że kilka minut przed tym, jak zobaczyłem

iskrzenie, usłyszałem odjeżdżający samochód.

Jamison wyprostowała się na krześle.

– Wspominałeś mi o tym. Widziałeś go?

– Nie. Musiał być po drugiej stronie domu.

– No cóż, na tej ulicy mieszkają tylko trzy starsze osoby. Może nawet nie korzystają z samochodów. Pamiętasz, kiedy tam byliśmy, na ulicy nie stał ani jeden. Myślisz, że słyszałeś auto zabójcy, który podrzucił ciała i właśnie odjeżdżał?

– Możliwe. Muchy potrafią znaleźć trupa bardzo szybko.

Na zewnątrz właśnie zaczęło mżyć. Ochłodziło się i po ciepłym dniu nie został nawet ślad.

– Powiedziałaś Greenowi, że jutro rano podzielimy się z nimi naszymi przemyśleniami – stwierdziła Jamison. – A ty jak się umówiłeś z Lassiter?

– Nijak. Podrzuciła mnie pod dom i tyle. Poza tym nie mam żadnych przemyśleń.

– Może coś ci przyjdzie do głowy przez noc.

– Wątpię.

– Hej, to ty chciałeś pracować nad tą sprawą. Przestań więc jęczeć i weź się do roboty.

Decker spojrzał na nią surowo i zobaczył, że się do niego uśmiecha.

– Masz rację – odpowiedział, uśmiechając się z zakłopotaniem. – Zachowuję się jak idiota.

– Wow. Na palcach jednej ręki mogłabym policzyć, ile razy przyznałeś, że mam rację.

– Masz rację znacznie częściej, niż myślisz.

– Zoe powiedziała mi, co jej mówiłeś o mnie. Że znam się na ludziach jak mało kto i że widzę rzeczy, których nie dostrzegają inni.

– Tylko niech ci to nie przewróci w głowie.

Jamison uśmiechnęła się pod nosem.

– Dzięki. Green obiecał, że jutro będą mieli dla nas wszystkie akta.

– Znakomicie. – Decker się ożywił. – Może coś wypłynie.

Potem oboje zamilkli na dłuższą chwilę.

– Rozmawiałaś ostatnio z Melvinem? – zapytała Jamison.

– Nie. Pojechali gdzieś z Harper. Nad Morze Śródziemne, o ile się nie mylę. Dlaczego pytasz?

– Wiem, jacy jesteście sobie bliscy. Pewnie mogłeś pojechać z nimi na te wakacje... Chociaż w trójkę mogłoby być niezręcznie. Zwłaszcza w tak romantycznych okolicach.

Decker nie skwitował tego ani słowem, jedynie wpatrywał się nieobecny wzrokiem w talerz przed sobą.

– Tak między nami... – kontynuowała Jamison. – Niedaleko domu mojej siostry jest park, a w nim ścieżka joggingowa.

Decker podniósł na nią wzrok.

– A do czego mi potrzebna ta informacja?

– Zauważyłam, że wzięłaś się za siebie i zrzuciłaś sporo kilogramów. Po prostu chciałabym, żebyś nie spoczął na laurach. Wiesz, trudniej wrócić do formy, niż ją utrzymać.

– Dzięki za oświecenie mnie w tej kwestii.

Decker wyjrzał przez okno na spowitą mrokiem ulicę. Paru przechodniów, niekiedy jakiś przejeżdżający samochód. Centrum Baronville było złudnie spokojne. Do czasu.

– O czym myślisz, Decker?

Nie odwracając wzroku od ciemności na zewnątrz, odpowiedział:

– Zastanawiam się, kto zginie następnym.

Kiedyś to była okazała rezydencja, być może niemająca sobie równych.

Teraz się rozpadała – nie tyle ze starości, ile z zaniedbania.

Pamiętała czasy, kiedy pieniądze przepływały swobodnie, nie było podatku dochodowego, wszyscy żyli ostentacyjnie i prosto, każdy znał swoje miejsce. Nikt jeszcze nie słyszał o globalizacji, a informacje rozchodziły się wolniej, dlatego większość ludzi tkwiła w błogiej nieświadomości.

Mężczyźni zapewniali byt. Wracali z pracy do domu, spędzali czas z rodzinami, palili papierosy, pili piwo, słuchali tych samych audycji w radiu i oglądali te same programy w telewizji. Potem szli spać, a rano wstawali, żeby powtórzyć wszystko od nowa, podczas gdy kobiety robiły swoje na froncie domowym.

Stojąc w oknie na tyłach domu, John Baron spoglądał na to, co niegdyś stanowiło część starannie wypielegnowanej posiadłości. Teraz rozciągały się tam porośnięte chwastami nieużytki.

Był wysokim mężczyzną, ponad sto dziewięćdziesiąt centymetrów wzrostu, szerokim w ramionach i wąskim w talii. Fizyczną siłą i sprawnością cieszył się całe życie. Dopiero teraz, w wieku pięćdziesięciu trzech lat, zaczynał odczuwać pewną słabość w mięśniach i sztywność niektórych stawów.

Jego szpakowate włosy były długie, nietknięte nożyczkami profesjonalnego fryzjera.

Na sobie miał przypadkową zbieraninę rzeczy z innej epoki: spłowiałą marynarkę smokingową, białą koszulkę polo, znoszone džinsy, które podtrzymywał stary skórzany pas, a na nogach robocze buty. Jego przystojną, ogorzałą twarz pokrywał kilkudniowy zarost.

Nie dbał o swój wygląd. Mieszkał sam. Nie było komu się podobać.

Jego dom rodzinny miał prawie dwa i pół tysiąca metrów

kwadratowych, a zabudowania gospodarcze i pozostałe nieruchomości na terenie posesji jeszcze ponad połowę tej powierzchni. To była bez porównania największa posiadłość w okolicy i przypuszczalnie jedna z największych w całej Pensylwanii. Niegdyś zajmowała tysiące arów i była położona w najwyższym punkcie miasta, które nosiło swoją nazwę od nazwiska jej właścicieli.

Było coś znamiennego w tym, że z miejsca, w którym żyli, Baronowie patrzyli na wszystkich innych z góry.

Mieszkał tu od urodzenia. Jedyny potomek Benjamina i Dorothy Baronów. Ostatniego małżeństwa w tym domu. Ich syn nigdy się nie ożenił.

John Baron za młodu był znakomitym sportowcem, a także człowiekiem bystrym i powszechnie lubianym. Jego przyszłość wydawała się pewna – nieunikniona i godna pozazdroszczenia.

Do czasu, aż jego rodzice zginęli pewnego wieczoru w koszmarnym wypadku, chociaż co do przyczyny ich śmierci nie było pewności. Jedynym spadkobiercą został dziewiętnastoletni wówczas John. Wiedział, że jego rodzina nie była już bajecznie majątna, ale trwał w przeświadczeniu, że jakaś część dawnej fortuny ocalała. Tak było, dopóki nie spotkał się z prawnikiem i księgowym. Poinformowali go, że dług przerósł pozostałe aktywa w stosunku dwadzieścia do jednego. Spłata zaległych należności spadała na niego, jedynego dziedzica i ostatniego z rodu Baronów.

Przez kolejne dekady John Baron wyprzedał większość nieruchomości i negocjował najzręczniejszy, jak potrafił, tocząc desperacką bitwę o to, by zachować dom. Posiadłość była jednak obciążona tak monstrualną hipoteką, że większość przychodu szła na spłatę odsetek. Podobnie jak jego poprzednicy, ratował się wyprzedając ziemi wokół posiadłości. Po tysiącach arów pozostało wspomnienie. Budynek gospodarcze w większości popadły w ruinę. Sam dom wołał o pomstę do nieba. John nie miał złudzeń, że kiedy umrze, samotny i bezdzietny, bank natychmiast położy na wszystkim łapę i sprzeda, co tylko się da. Potem ktoś zburzy jego rodowe gniazdo i postawi w tym miejscu



coś nowego i bardziej odpowiadającego współczesnym czasom – jeśli Baronville w ogóle będzie jeszcze istniało.

Nawet rodzinny cmentarz, położony dość daleko od domu i otoczony blisko dwumetrowym ceglany murem, mógł zostać przeniesiony, a miejsce po nim zagospodarowane.

Spoglądał z okna swego gabinetu na okolice, po których radośnie hasał jako mały chłopiec. Miał wtedy dużo energii, a mimo to nigdy nie udało mu się wybiec poza granice posiadłości. To było krzepiące i jednocześnie przytłaczające uczucie.

Spojrzał przez ramię na ściany wypełnione książkami. Przeczytał je wszystkie i wiele zdołał zachować – znacznie więcej, niż wydawało się możliwe. Te najcenniejsze sprzedał już dawno temu, na pokrycie rachunków. Jaki byłby sens zachowywać książki, gdyby stracił dom, w którym je trzymał?

Obrócił się, podszedł do biurka i usiadł przy nim. Fotel jęknął i zatrzeszczał pod jego ciężarem. Wszystko w tym domu wydawało z siebie takie dźwięki przy byle dotknięciu.

*Ja sam trzeszczę i pojękuję – tylko dlatego, że jeszcze żyję.*

Jakkolwiek by patrzeć, była to żalosna egzystencja i na nic innego nie mógł liczyć do końca życia.

Kiedy zabrakło rodziców, musiał opuścić college i zająć się sprawami domu. A gdy w końcu wrócił na uczelnię i otrzymał stypendium sportowe, zerwał miesiąc obrotowy. Dla bejsbolowego miotacza taka kontuzja oznaczała koniec kariery. W następnym roku cofnęli mu stypendium. Nie mając środków na kontynuowanie nauki, rzucił studia. Próby rozkręcenia biznesu nie powiodły się z braku kapitału. Wydawało się, że ci, którzy od tak dawna żyli pod butem Baronów, teraz z lubością odmawiali jakiegokolwiek pomocy ostatniemu z rodu.

Miejscowe kopalnie i fabryki od lat prowadzili inni właściciele. Mimo to, kiedy ostatnia z nich została zamknięta, bezrobotni pracownicy, a razem z nimi wszyscy mieszkańcy Baronville, winą za swoją niedolę obarczyli jedną osobę. John Baron, w tamtym czasie ledwie dwudziestoparolatek, ściągnął na siebie odium całej społeczności. Wystosowano nawet petycję, by miastu nadać

nową nazwę. Pomysł zarzucono, przypuszczalnie dlatego, że mieszkańcy chcieli, by stara nazwa przypominała im, kto jest winien ich problemów.

John Baron stał się wyrzutkiem. Powinien był się stąd wyprowadzić. Zostawić za sobą ten dom, to miasto i tę żalostną egzystencję. A jednak tego nie uczynił. Sam nie był pewien, czy stał za tym jego upór, szaleństwo czy wybuchowa mieszanka obu tych rzeczy. Tak czy inaczej, coś w jego głowie powstrzymało go przed rzucającem wszystkiego i rozpoczęciem od nowa gdzie indziej. A rzeczy, które się rodzą w głowie, mogą mieć wielką moc. Sam się o tym przekonał.

W końcu wyprzedził dość majątku i spłacił dość długów, by pozwolić sobie na życie tutaj, nawet jeśli z dawnym luksusem nie miało to nic wspólnego. Wraz z upływem lat wygasła w nim ambicja, by walczyć o więcej.

Patrząc przed siebie w mrok nocy, miał pełną świadomość, że koncertowo spieprzył to, co zapowiadało się na udane życie.

A miasto marniało razem z nim.

Domy i fabryki, kiedyś tętniące życiem, stały porzucone, opustoszałe. Potężne zakłady i kopalnie, które wznosił jego przodek, od dawna nie istniały.

Baronville powstało z marzeń Johna Barona Pierwszego o bogactwie. Teraz te marzenia przerodziły się w koszmar. Dla nich wszystkich.

Spoglądając z wysokości okna swego gabinetu, Baron niejednokrotnie obserwował konduktory żałobne powoli zmierzające na jeden z cmentarzy. Miejsca na nowe groby zaczęło brakować już dawno temu. Wiedział o pladze przedawkowań. Utraciwszy wszelką nadzieję, mieszkańcy sięgali po strzykawki i pigułki, by choć na chwilę zapomnieć, jak nędzne stało się ich życie.

Czasem jednak widział też furgonetki firm przeprowadzkowych, które przywoziły nowe rodziny ze świeżymi nadziejami. Czy ci ludzie przyjeżdżali tu obgryzać kości truchła, którym się stało to miasto? Czy Baronville miało jeszcze szansę na odrodzenie?

Może tak.

Chociaż w żaden sposób nie przyczynił się do upadku tego, co było tworem jego rodziny, odbierał to jako osobistą porażkę. Tak już miało być zawsze. Poza tym wiedział, że to miasto nigdy nie da mu zapomnieć, że je zawiódł.

Wstał zza biurka.

Było za wcześnie, by się położyć do łóżka. Poza tym chciał się jeszcze gdzieś wybrać. To stało się dla niego swoistym rytuałem.

Wyszedł z domu kuchennymi drzwiami. W garażu na sześć samochodów od trzech dekad stał tylko jeden pojazd.

To był bladoniebieski suburban rocznik 1968, który wcześniej należał do ogrodnika. Po śmierci rodziców Baron musiał zwolnić całą służbę – zatrzymał jedynie jego, gdyż na terenie posesji wciąż było wiele do roboty. To się jednak zmieniło, kiedy wyprzedał ziemię. Orodnik, który wtedy miał już prawie dziewięćdziesiąt lat, zostawił samochód Baronowi i zmarł w pobliskim domu opieki, przeżywszy swoją żonę o kilka lat.

Baron na swoje szczęście studiował inżynierię. Intuicyjnie potrafił dojść, jak dane urządzenie działa. Przez te wszystkie lata raz za razem przywracał starego suburbana do życia, chociaż po pięciu dekadach nie wiedział, ile tego życia jeszcze zostało.

*I ile życia zostało mnie.*

Wsiadł do samochodu i wyjechał z garażu. Brama dawno się zepsuła, dlatego zawsze była otwarta. Kluczyki trzymał za osłoną przeciwsłoneczną.

Zjechał krętą drogą ze wzgórza, mijając domy, które powstały na wyprzedanej przez niego ziemi. Roztaczał się z nich widok na całą okolicę – prawie tak atrakcyjny, jak z jego rezydencji. Chociaż teraz pewnie mało który z tych domów był zamieszkały.

Dojechał do głównej drogi i przyspieszył.

W kieszeni miał pieniądze. Zamierzał je wydać.

Bar Merkury był tak naprawdę jedynym miejscem w mieście, gdzie mógł zaznać odrobiny spokoju.

Wjechał na parking i wysiadł z samochodu. Smokingową marynarkę zostawił w środku. I tak się narażał – samym chodzeniem po ulicach tego miasta – dlatego nie chciał

ekscentrycznym wyglądem przyciągać więcej uwagi, niż musiał.  
Był Baronem. Ostatnim.

Zakładając, że nie zaszwankuje mu zdrowie, miał przed sobą jeszcze jakieś trzydzieści lat tej gównianej egzystencji. Nic dziwnego, że potrzebował szkockiej z lodem albo dwóch. Albo trzech.

Dzisiaj jednak jego wizyta w barze miała się nie skończyć na kilku drinkach.

John Baron zacisnął powieki i bezgłośnie jęknął.

Otworzył oczy, nie odrywając dłoni od szklanki. To był jego... Nie pamiętał, ile już ich wypił. Ale wszystkie mu smakowały.

Ten ostatni szczególnie.

A teraz oni przyleźli, żeby mu to zepsuć.

– Ty jesteś ten koleś John Baron, co?

Baron obejrzał się i zobaczył trzech młodzieńców stojących obok jego stołka przy barze.

Barmanka, nerwowo polerując kufel, przyglądała się tej konfrontacji.

Baron uniósł szklankę do ust, pociągnął łyk szkockiej i poczekał, aż kojący płyn powoli spłynie w głąb gardła.

– Tak, to ja. Macie z tym jakiś problem? – odpowiedział, odstawiając szklankę.

Mężczyźni byli ubrani w brudne dżinsy, T-shirty i przyduże trampki bez sznurowadeł. Dwóch miało czapki z godłem Pittsburgh Steelers.

Najroślejszy z ich trójki uśmiechnął się wrednie.

– My? Nie... To ty masz problem.

– Na przykład jaki?

– Twoja cholerna rodzinka zgnoiła całe to miasto.

– A niby jak to zrobili?

– Pozamykali kopalnie. I fabryki.

– Po tym, jak prowadzili je przez kilkadziesiąt lat, dając pracę większości ludzi stąd? Pewnie też twoim rodzicom. I dziadkom. I pradziadkom. – Baron wysączył łyk szkockiej. – Nie widzę więc, jakim cudem mielibyśmy kogokolwiek tu zgnoić.

– Przez ciebie nie mam roboty.

– Nie wiedziałem, że to ja muszę ci zapewnić pracę.

– Mieszkaś w tym wielkim domu na wzgórzu – wtrącił drugi natręt. – Myślisz, że jesteś lepszy od nas?

– Mogę cię zapewnić, że nie tylko nie myślę, że jestem lepszy

od kogokolwiek. Ja to wiem. A co do wielkiego domu, pozory mogą mylić.

– Moja matka mówi, że masz tam stare monety i biżuterię. I że tylko udajesz biednego.

Baron obrócił się i popatrzył na niego.

– Udaję biednego? A po co? Ty byś tak zrobił? – Spojrzał na pozostałych dwóch mężczyzn. – Albo wy?

– Matka mówiła, że wy się krzyżujecie między sobą. Brat żeni się z siostrą i takie tam. I że od tego macie powalone w głowach. To może taki ktoś jak ty udaje biednego.

– No cóż, nie mam siostry. I nie jestem żonaty. Ani nie udaję biednego. Trzy pudła, wypadasz z gry.

– Nie sądzę – powiedział pierwszy mężczyzna i pchnął Barona z taką siłą, że omal nie zrzucił go z barowego stołka.

– Ej, nie zmuszajcie mnie, żebym zadzwoniła po gliny! – zawołała barmanka. – Zostawcie go w spokoju.

– Pozwolisz, żeby cię broniała kobieta? – rzucił drugi mężczyzna szyderczym tonem.

– Ostrzegam was – wysyczała barmanka, trzymając w ręce telefon.

Chłopak ponownie pchnął Barona.

– Będiesz się chował za plecami kobiety, dupku?

Baron chlusnął resztą drinka w twarz napastnika.

– Nie, raczej nie – odpowiedział i wstał. Górował wzrostem nad każdym z nich.

Ten, którego twarz ociekała szkocką z lodem, zamachnął się pięścią. Baron złapał go za rękę i wykręcił ją do tyłu. Następnie mocno odepchnął napastnika, przewracając go na podłogę. Zasłonił się przed uderzeniem drugiego mężczyzny i sam zadał cios, trafiając w szczękę.

Wtedy jednak ten trzeci zaszedł go od tyłu i zdzielił pięścią w nerkę. Baron zatoczył się i osunął na kontuar.

Pozostali dwa mężczyźni zerwali się na równe nogi. Zaczęli go okładać pięściami i kopać. W barze byli jeszcze inni ludzie, ale nikt nie próbował ich powstrzymać.

Oprócz jednego.

– FBI!

Amos Decker mierzył w napastników z broni.

Zaskoczeni, zastygli w bezruchu.

– Odsunąć się od niego. Natychmiast! – warknął Decker, który dopiero co wszedł do baru i natknął się na bójkę.

Kiedy mężczyźni się cofnęli, zerknął na Barona.

– W porządku?

Zapytany otarł usta z krwi i dźwignął się z podłogi. Jedno oko miał zamknięte opuchlizną. Przytrzymując się kontuaru, stanął prosto. Rozmasował dłońią łędźwie i się przeciągnął.

– Żadnych trwałych urazów, mam nadzieję – powiedział, chociaż skrzywił się z bólu.

– Chlusnął mi drinkiem w twarz – poskarżył się chłopak. – To on zaczął.

– Nie on, tylko wy trzej, gnojki – warknęła barmanka.

– Trzech na jednego? – zawtórował jej Decker. – Jesteście od niego dwa razy młodsi.

– Nie róbmy z tego sprawy – wtrącił Baron.

– Że co?

Baron spojrział na barmankę, która zaczęła wybierać na klawiaturze telefonu numer 911.

– Proszę, nie. Ci młodzieńcy ewidentnie są pod wpływem alkoholu. Z pewnością nie chcieli nikomu wyrządzić krzywdy.

– Jestem pewny, że bardzo chcieli wyrządzić krzywdę – skwitował Decker. – Panu.

Baron uniósł rękę.

– Tak czy inaczej, aresztowanie ich nie przyniesie nic dobrego. Wręcz przeciwnie.

– Jest pan pewny?

– Tak, jestem. Dziękuję.

Decker spojrział na mężczyzn.

– Jeśli choćby pomyślicie o tym, żeby tknąć tego człowieka, dobiorę się wam do dupy. Zrozumiano?

Największy z całej trójki spojrział spode łba na Deckera i otarł whisky z twarzy.

– Jasne...

Decker schował broń do kabury, podszedł do niego, złapał za koszulkę i przycisnął do ściany.

– Nie, żadne tam „jasne”. Zrozumiałeś?!

– No dobra, dobra, zrozumiałem. Kurde!

Decker puścił go i pchnął w stronę wyjścia.

– A teraz wynocha stąd!

Mężczyźni szli powoli, zerkając przez ramię na Deckera i Barona. Ostatni, wychodząc, trzasnął drzwiami.

Decker spojrział na Barona.

– O co poszło?

– Nie słyszał pan?

– Nie. Wygląda na to, że za późno wszedłem.

– Mówiąc w dużym skrócie, to miasto stacza się do rynsztoka. Rzekomo z mojej winy.

– Okej... – wycedził Decker, uważnie przyglądając się swojemu rozmówcy.

– Słyszę to nie pierwszy raz i pewnie nie ostatni.

– Ludzie tu chowają urazy, jak miemam?

– Ludzie tu chowają wiele uraz. Mogę postawić drinka?

W ramach podziękowań.

Decker usiadł przy barze, a Baron wrócił na swój stółek.

– Pan pozwoli, że się przedstawię – powiedział, wyciągając rękę. – John Baron Czwarty.

Decker uściśnął jego dłoń.

– Amos Decker. Domyślam się, że nazwa tego miasta i pańskie nazwisko to nie przypadkowa zbieżność?

– Zgadza się. Kiedyś to był powód do dumy. Obawiam się, że już dawno tak nie jest. Zresztą widział pan na własne oczy.

– Co podać, John? – zapytała barmanka. – Na koszt firmy. Masz, przyłóż sobie. – Wyciągnęła plastikowy woreczek z lodem, który Baron przytknął do siniaka na twarzy.

– To bardzo miłe z twojej strony, Cindi. – Uśmiechnął się do barmanki i zamówił kolejną whisky.

Decker poprosił o piwo.

– Jest pan tu w interesach? – zagadnął Baron.

– Na urlopie.



Baron wyglądał na ubawionego.

– Zjawił się pan tu dla... własnej przyjemności?

– Moja partnerka ma tu rodzinę. Przyjechała w odwiedziny, a ja się zabrałem do towarzystwa. Zatrzymaliśmy się u nich.

Baron wysączył łyk szkockiej.

– A gdzie jest teraz pańska partnerka?

– W domu. Mnie nie chciało się jeszcze spać.

– I jak się panu podoba w naszym małym rajku?

– Szczerze mówiąc, tak sobie. Może ma to związek z kilkoma morderstwami.

Baron ze zrozumieniem pokiwał głową.

– Słyszałem o tym. Paskudna sprawa. Ale ciężkie czasy przynoszą ze sobą złe rzeczy.

– Tak to sobie pan tłumaczy?

– W ogóle tego nie tłumaczę. Ja tylko powoli się upijam i plotę, co mi ślina na język przyniesie.

– Często się to panu zdarza?

– Nie mam nic innego do roboty. Wpadam tu na godzinę raz w tygodniu, potem jadę do domu i nie wychodzę z niego aż do czasu, kiedy tu wracam. Chyba że muszę coś załatwić w mieście, ale to tylko sporadycznie. Nie mam żadnych obowiązków, które by zakłócały tę rutynę.

– Szczęściarz z pana.

– Niekoniecznie... Po wejściu tutaj zawołał pan: „FBI!”. Jest pan agentem czy to była tylko taka... hiperbola?

– Jestem zwykłym policjantem, ale pracuję dla FBI.

– Skąd pan pochodzi?

– Burlington, Ohio. Miasto z pasa rdzy, jak to mówią.

– W rzeczy samej. Poznał pan już historię Baronville i odpowiedzialności mojej rodziny za jego upadek?

– Co nieco.

– Trochę w tym prawdy jest. Miasto powstało, bo mój przodek, którego nazwisko noszę, odkrył tu szczególnie zasobne złoża węgla. Większość poszła do pieców hutniczych stalowni Pittsburgha. To dlatego wybudował tu również koksownię. A potem zakłady włókiennicze. A jeszcze później odkrył złoża

gazu ziemnego. Prowadził też wiele innych biznesów i praktycznie był właścicielem większości Baronville. Prawie każdy tutaj pracował dla niego. To był facet z głową do interesów. Miał więcej szczęścia i kapitalistycznej determinacji niż reszta jego rodziny razem wzięta.

– Słyszałem o jego imperium. Chociaż o stalowniach chyba nie. Baron skinął głową.

– Koks używany do produkcji stali pochodzi z węgla, który poddaje się procesowi destylacji. W tamtych czasach węgla było pod dostatkiem i był stosunkowo tani. Magnaci przemysłu metalurgicznego zbijali fortuny, a przy okazji bogacili się także ci, którzy robili z nimi interesy. W tym względzie John Baron senior trzymał się starej, sprawdzonej formuły. Z tego, co mi wiadomo, był bezwzględny człowiekiem. Zmiażdżył związki zawodowe, korumpował polityków, truł rzeki, ziemię i powietrze wokół. Swoim pracownikom płacił jak najmniej i generalnie traktował ludzi jak najgorzej. Dorobił się wielkich pieniędzy, z których żyły całe pokolenia jego potomków.

– A potem wszystko zaczęło się sypać?

– To zawsze następuje, prędzej czy później. Zasadniczo Ameryka nie lubi gospodarczych dynastii. Takie rodziny jak Rockefellerowie to raczej wyjątek niż reguła. Rzekomo tacy jak my wszystko zawdzięczają tylko sobie. Przypuszczam jednak, że na liście „Forbesa” jest dość osób, które żyją z odziedziczonego majątku, by można zadać kłam tej tezie.

– Ale pańskiej rodzinie zostało trochę pieniędzy?

– Trochę. Przynajmniej do czasu.

– Znał pan którąś z zamordowanych osób?

Baron zmierzył go wzrokiem.

– To dość nieoczekiwana zmiana tematu. Skąd to pytanie?

– Jestem policjantem. Zadaję pytania w nadziei, że odpowiedzi pomogą mi złapać przestępców.

– Proszę mi przypomnieć, kim były ofiary.

Decker opisał pokrótce każdą.

– Niestety, nie kojarzę żadnej.

Detektyw zauważył jednak u swego rozmówcy moment

zawahania.

– Jest pan pewny?

Baron uniósł swoją szklanę.

– Ja nie jestem już pewny prawie niczego. Zwłaszcza w barze Merkury.

Decker zerknął na barmanę, która uważnie przysłuchiwała się ich rozmowie, jedynie udając, że wyciera kontuar. Była całkiem ładna, wysoka i szczupła, z blond włosami do ramion. Miała na sobie czarne dżinsy i bluzkę bez rękawów odkrywającą silne, opalone ramiona.

Decker przeniósł wzrok z powrotem na Barona.

– Naprawdę przychodzi pan tu co tydzień?

– Wielkiego wyboru nie ma. – Spojrzał na barmanę. – Poza tym odpowiada mi tu towarzystwo – dodał.

Słyszac to, kobieta się uśmiechnęła. Kiedy tylko zauważyła na sobie wzrok Deckera, odwróciła się i zaczęła wkładać brudne szklanki do zmywarki za barem.

– Mogę prosić o pański adres?

– Po co?

– Niewykluczone, że będę chciał jeszcze z panem porozmawiać.

– Po co?

– Już powiedziałem. Jestem policjantem, który szuka odpowiedzi.

– No to proszę się rozejrzeć za najwyższym punktem w mieście. Zobacz pan tam największy i najbardziej zapuszczony dom w okolicy. Powinien pan wiedzieć, że dzwonek do drzwi nie działa, a ja nie wstaję wcześniej.

Baron wychylił do dna swoją whisky, skinął głową w stronę barmanki i przesunął po barze gotówkę, żeby zapłacić za drinki.

– Dziękuję, Cindi. Do zobaczenia następnym razem. – Dźwignął się ze stołka i poklepał Deckera po ramieniu. – A panu, panie Decker, dziękuję za przyjsie z odsieczą. – Odszedł chwiejnym krokiem.

– Hej, na pewno czuje się pan na siłach, żeby prowadzić?

Baron odwrócił się, skłonił w pas i uniósł rękę.

– Absolutnie nie czuję się na siłach, żeby prowadzić, ale mimo

to podejmę heroiczną próbę. Jest duża szansa, że jeśli w cokolwiek wjadę po drodze, będzie miało wyryte nazwisko mojej rodziny, co umniejszy moją odpowiedzialność prawną.

Decker odprowadził go wzrokiem, po czym chciał przenieść uwagę z powrotem na barmankę.

Ona jednak też usunęła się z pola widzenia.

Akta. Cała sterta akt.

Papierowe kości, a na nich bardzo mało mięsa.

Decker odłożył ostatnie na stos pośrodku biurka, usiadł głębiej na krześle i odetchnął zatęchłym powietrzem wypełniającym posterunek policji w Baronville przy bulwarze Barona. W gmachu obok mieścił się urząd miasta, noszący dumną nazwę Baronville City Hall.

Jamison siedziała naprzeciwko i sporządzała notatki. Decker, z jego pamięcią absolutną, nigdy nie musiał tego robić. Bezmyślnie obserwował długopis w jej dłoni, mozolnie sunący po papierze. Chwilę później otworzyły się drzwi i wszedł detektyw Green.

– I jak? Coś macie? – zapytał i wsunął do ust listek gumy do żucia.

Jamison dokończyła zdanie, które pisała, i uniosła wzrok znad kartki.

Decker przymknął oczy.

– Joyce Tanner i Toby Babbot byli bezrobotni. Michael Swanson handlował narkotykami. Bradley Costa był starszym wiceprezesem banku. Wszyscy mieszkali sami. Żadnej rodziny. Tanner miała męża, ale się rozwiodła.

Green zamknął drzwi za sobą.

– Tak, tak, to wszystko już wiemy.

Decker otworzył oczy.

– Na co cierpiał Babbot? – zapytał, spoglądając na Greena, który się sadowił na krześle naprzeciw.

– Z akt wynika jedynie, że był inwalidą – zauważyła Jamison. – Nie ma nic o tym, jak do tego doszło ani dlaczego.

– To ma jakieś znaczenie? – zapytał Green.

– Wszystko ma znaczenie, dopóki nie dowiedziesz, że jest inaczej – odparł Decker.

– Sprawdzę. – Green rozparł się na krześle. – No i co, żadnych

wskazówek? – zapytał.

Zanim Decker czy Jamison zdążyli odpowiedzieć, drzwi ponownie się otworzyły i weszła Lassiter. Miała na sobie beżowy żakiet, spódnicę do kolan i buty na masywnych obcasach. Rozpuszczone włosy swobodnie opadały jej na ramiona.

– Umknęło mi coś z narady wojennej? – zapytała, siadając obok Greena.

– Niespecjalnie – zauważył jej partner. – Chociaż słyszałem, że nie ma rzeczy bez znaczenia.

– Poznałem wczoraj Johna Barona – oświadczył Decker, wpatrując się w ścianę przed sobą.

Jamison spojrzała na niego ze zdziwieniem, ale zachowała milczenie.

– Jakieś gnojki właśnie go tłukły w barze – kontynuował Decker. – Zainterweniowałem. Nie chciał złożyć zawiadomienia. Jakieś pomysły dlaczego?

– Może z poczucia winy? – zasugerował Green.

– Z jakiego powodu? – zapytała Jamison.

– To skomplikowane – odpowiedziała Lassiter.

– Mam dużo czasu – odrzekł Decker. – Jestem na urlopie. – Złożył dłonie na piersiach i spoglądał na nią wyczekująco.

Lassiter poruszyła się niespokojnie i zerknęła na Greena.

– Okej... Chodzi o to, że Baronowie... wyzyskiwali to miejsce, a potem je po trochu wyprzedawali i w końcu zwinęli cały interes. Mieszkali w luksusie tam, na wzgórzu, podczas gdy reszta miasta cierpiała i powoli umierała. Nadal umiera.

– Czy John Baron ma z tym cokolwiek wspólnego? – zapytał Decker.

Lassiter pokręciła głową.

– Nie. Był jeszcze w college’u, kiedy zginęli jego rodzice. Ale od tego czasu mieszka tam, na górze.

– Więc czemu winić jego?

– Nazywa się Baron – wtrącił Green.

– Czyli odpowiedzialność zbiorowa? – rzuciła Jamison.

– Nie osądzam, czy to w porządku. Po prostu mówię, że tak jest – odparł Green. – Osobiście nic do niego nie mam. Nigdy mi nic

nie zrobił. Zresztą nikomu, kto mnie obchodzi.

– Farciarz z ciebie – rzuciła Lassiter.

Jamison spojrzała na nią uważnie.

– Zaszкодził komuś z twoich bliskich?

Lassiter uniosła dłoń.

– To nie ma nic do rzeczy.

– Parafrazując twoje słowa... – dorzucił Green, zerkając na Deckera. – Nie widzę, jak grzebanie się w smętnej historii Baronville mogłoby nam pomóc w rozwiązaniu sprawy sześciu morderstw.

– Zapytałem Barona – odezwał się Decker – czy znał którąś ofiar. Odpowiedział, że nie.

– No cóż, może z wyjątkiem bankiera to nie są ludzie z jego kręgów – zauważyła Lassiter. – Zwłaszcza ten uliczny diler.

– Sama stwierdziłaś, że obraca się w różnych kręgach. Może jednak znał Swansona albo którąś z pozostałych ofiar.

– A więc nie uwierzyłeś mu? – zapytał Green ostrym tonem.

– Nie wierzę nikomu. Początkowo.

– W porządku, ale czy macie jakieś użyteczne spostrzeżenia? – zapytał Green, wskazując na stertę akt.

– Musimy jeszcze raz przyjrzeć się wszystkim ofiarom, ponieważ jestem przekonany, że coś je łączy – stwierdził Decker.

– Już to przerabialiśmy – zaprotestował Green.

– Świeże spojrzenie. – Decker go zbył. – Będziemy potrzebowali kluczy do wszystkich miejsc, w których mieszkali.

– Ostatnich dwóch ofiar nawet nie zidentyfikowaliśmy – zauważyła Lassiter.

– Ale pozostałe cztery tak.

– Może za dużo sobie wyobrażałem – powiedział Green tonem zdradzającym rozczarowanie. – Myślałem, że wy, federalni, uwiniecie się z tą sprawą raz-dwa.

– Partnerka przekazała ci, że wasz koroner mylił się co do czasu zgonu i jeszcze w paru innych kwestiach? – zapytał Decker.

– Tak, wspominała – odparł nieco speszony. – Muchy i stężenie pośmiertne. Niezły haczyk. Badamy to od nowa.

– Wspaniale. Podrzucę ci jeszcze jeden trop, żebyś do reszty nie

stracił wiary w federalnych.

– Jaki trop? – zapytała Lassiter.

– Powiedźcie waszemu koronerowi, żeby sprawdził, czy ta krew znaleziona na miejscu zbrodni nie pochodzi od świni. Mam nadzieję, że tyle potrafi.

– Krew świni?! – zawołał Green. – Skąd, na Boga, ten pomysł?

– Oglądasz stare seriale policyjne?

– Które? *Prawo i porządek*? – zapytał Green.

– Jeszcze starsze.

– Ale co to w ogóle ma do rzeczy? – wtrąciła Lassiter.

– To może być klucz do całej sprawy – odparł Decker.



– Świńska krew? – zapytała Jamison, kiedy niedługo później jechali samochodem.

– Strzał w ciemno. Zobaczmy, co z tego wyniknie.

– Nie powiedziałaś mi, że poznałaś wczoraj Johna Barona.

– Cóż, teraz już wiesz.

– Jaki jest?

– Wysoki, szczupły, gęste szpakowate włosy, koło pięćdziesiątki. Dobra prezencja. Elegancki, jak gwiazdor filmowy albo model. Eloquentny erudyta. Skory do żartów. I chociaż te gnojki były od niego dużo młodsze, odniosłem wrażenie, że jednemu albo dwóm przyłożył. Tak więc potrafi się bić.

– Naprawdę został napadnięty w barze?

– Tak, przez trzech głupeków z urazą do Baronów.

– Sądząc po zachowaniu Lassiter, nie oni jedni w tym mieście żywią urazę. Myślisz, że Baron to prawdziwe nazwisko? Brzmi dość pretensjonalnie.

– Nie zastanawiałem się nad tym i nie obchodzi mnie to – odpowiedział Decker.

– Naprawdę sądzisz, że jest zamieszany w te morderstwa?

– Nie mam pojęcia. Kiedy jednak zapytałem go, czy zna którąś z ofiar, jego odpowiedź mnie nie przekonała.

– Dlaczego?

– Przeczucie.

– No cóż, twoje przeczucia zwykle się sprawdzały. Dokąd teraz?

– Do lokum Joyce Tanner. Weźmiemy się do nich pojedynczo.

„Lokum” Joyce Tanner znajdowało się w przyziemiu drewnianej rudery, która wyglądała, jakby miał ją przewrócić silniejszy podmuch wiatru.

Green zaopatrzył Deckera w klucz.

– Jestem zaskoczona, że Green i Lassiter nie upierali się, by nam

towarzyszyć – zauważyła Jamison, kiedy rozglądali się po małym pomieszczeniu od frontu.

– Green dał do zrozumienia, bynajmniej nie subtelnie, że jest nami rozczarowany. Myślę, że nie chcą marnować więcej czasu. Lassiter od początku nie chciała mieć z nami nic wspólnego.

– Może to się zmieniło. Odniosłam wrażenie, że nawiązałyśmy nic porozumienia. Swoją drogą ona naprawdę nie cierpi Baronów.

– Sądząc po tym, co widziałem wczoraj, w tym mieście nie znajdzie się wielu ludzi, którzy darzyliby ich sympatią – zarówno tych z przeszłości, jak i tego, który im się ostał. W barze było około dwudziestu osób, ale żadna z nich nawet nie kiwnęła palcem, żeby mu pomóc. Nikt nie wyjął telefonu, żeby wezwać policję – powiedział Decker i zamilkł. – Oprócz barmanki – dodał po chwili. – Chyba go lubi. W każdym razie na pewno on lubi ją.

– Całkiem tu schludnie – zauważyła Jamison, rozglądając się po pokoju.

– Już zebrali odciski palców, więc nie ma potrzeby wkładania lateksowych rękawiczek. Bierzmy się do roboty.

– Nic tu nie ma – stwierdziła Jamison, kiedy skończyli. – Ciekawe, co się stanie z jej rzeczami osobistymi.

– Green powiedział, że miała dalekiego krewnego z Kentucky, który tu jedzie.

– Trochę poniewczasie.

– To chyba jej jedyna rodzina. Rozwiodła się dawno temu, a jej eks stąd wyjechał. Nie mieli dzieci.

Decker usiadł na łóżku. Rozejrzał się. Tym, co najbardziej cenił w swej niezwykłej pamięci, było wyłapywanie niespójności. Przypominało to przyłożenie matrycy do nowego materiału. Jeśli coś, choćby najdrobniejszy szczegół, nie pasowało, potrafił to zauważyć.

A jednak ta metoda teraz go zawiodła.

Na szczęście zadziałały inne atuty, którymi dysponował. Na przykład zdrowy rozsądek.

- Green powiedział, że mieszkała tu około roku – zauważył.
- Tak mówił.
- Z akt wynika również, że została zwolniona z JC Penney pół roku temu i od tego czasu nie miała pracy.
- Prawda.
- To skąd brała na czynsz czy inne wydatki? Zasiłek dla bezrobotnych nie mógł pokryć wszystkiego. Gdyby zaś miała coś odłożone na czarną godzinę, wątpię, czyby mieszkała w takiej norze. W aktach jest informacja, że w ostatnim miejscu zatrudnienia nie dostała żadnej odprawy.
- No i miała samochód. Czyli wydatki na paliwo, ubezpieczenie i tym podobne – dodała Jamison. – Myślisz, że ktoś jej pomagał?
- Niewykluczone. To miejsce wygląda na takie, że jeśli zalegasz z czynszem, lądujesz na ulicy. Wierz mi, wiem, jak to jest. Mieszkałem w takich lokalach.
- Ja też.
- Obejrzyjmy jej samochód – zaproponował Decker.
- Dwunastoletni szary nissan stał zaparkowany przy ulicy.
- Decker otworzył drzwi kluczykiem, który dostał od Greena.
- Paliła – zauważyła Jamison, wachlując dłonią przed nosem, by rozwiać wstrętną woń. – Pewnie można by dostać raka płuc od samego siedzenia tu przez kilka dni.
- Decker z trudem wcisnął swoje masywne ciało za kierownicę i się rozejrzył.
- Jamison zauważyła parę pluszowych kości do gry dyndających ze wstecznego lusterka.
- Myślisz, że uprawiała hazard?
- Mnóstwo ludzi wiesza sobie takie kości, chociaż nigdy w życiu nie rzucali prawdziwymi – skwitował Decker.
- Żartowałam.
- Z tego, co udało mi się dowiedzieć od Greena i Lassiter, ostatni raz widziano ją trzy dni przed śmiercią.
- Wiele może się wydarzyć przez trzy dni.
- Zastanawia mnie też, jak spłacała debet na karcie.
- Jakieś lewe źródło pieniędzy? – zastanawiała się na głos Jamison. – Może to coś powiązanego z jej morderstwem.

Narkotyki? To przynajmniej łączyłoby ją ze Swansonem.

Wysiedli z samochodu. Decker obszedł go dookoła i przyklęknął obok tylnego koła od strony pasażera. Za pomocą kluczyków wydułbał coś z bieżnika opony i uniósł.

– Gwóźdź – zauważyła Jamison.

– Gwóźdź druciak, ściśle mówiąc. Takich się używa w pneumatycznych gwoździarkach.

– Mogła go złapać gdziekolwiek.

– Nie sędzę. Spójrz na oponę.

Po wyjęciu gwoździa w oponie powstała dziura, przez którą z sykiem uchodziło powietrze.

– Nie jest zardzewiała. Wygląda na nową. Gdyby utkwiał w oponie podczas jazdy, powietrze zaczęłoby schodzić wcześniej i byłby flak. W dodatku ta opona wygląda na nowszą od pozostałych. Z nalepki na przedniej szybie wynika, że Tanner robiła przegląd w tym miesiącu. Przypuszczam, że jedna opona nie przeszła przeglądu i trzeba było ją wymienić na tę tutaj.

– Okej, ale to nie zmienia faktu, że ten gwóźdź mógł się wbić gdziekolwiek, na przykład na parkingu sklepu z narzędziami.

– Możliwe, ale takie gwoździe są połączone, sprzedają je w bloku przypominającym taśmę amunicyjną do karabinu maszynowego. Nie wypadają ot, tak sobie.

Jamison zrobiła telefonem zdjęcie opony i gwoździa.

– Coś jeszcze?

– Samochód Tanner stoi tutaj, co znaczy, że do domu, w którym znaleziono jej ciało, dostała się w inny sposób. Chyba że osoba, która ją zabiła, odstawiła samochód z powrotem tutaj.

– Może pojechała samochodem swojego zabójcy?

– Albo osobno? Może z Tobym Babbotem?

– Decker, przecież policja nie znalazła żadnego związku między tą dwójką.

– Mylisz się, łączy ich jedna bardzo ważna rzecz.

– Mianowicie?

– Zginęli razem.

Toby Babbot, zanim został zamordowany, nie mieszkał w domu ani nawet w mieszkaniu. Wegetował w starej, zdezelowanej przyczepie kempingowej kilka kilometrów za miastem. Wiodąca tam polna droga była częściowo wysypana żwirem. Spłacheć poźółkłej trawy, pośrodku którego stała ta namiastka domu, otaczały drzewa.

Jamison zatrzymała SUV-a przed przyczepą. Kiedy tylko wysiedli, Decker sięgnął po broń.

– Ktoś jest w środku – szepnął do partnerki.

Ona też wyjęła pistolet.

Decker dostrzegł cień przesuwający się za jednym z okien.

– Myślisz, że są tylne drzwi? – zapytała Jamison, kiedy podeszli bliżej.

W tej samej chwili usłyszeli oddalający się tupot nóg.

– Najwyraźniej tak! – odpowiedział Decker, zrywając się do biegu.

Przystanęli na rogu przyczepy. Rozejrzeli się.

– Tam! – zawołała Jamison, wskazując na prawo, w stronę gęstego lasu.

Dobiegli do linii drzew i zanurzyli się w gęstwinę. Choć Decker był wysoki, masywny i w nie najlepszej formie, poruszał się między drzewami z zaskakującą zwinnością. Mimo to stracił ściganą osobę z pola widzenia i zatrzymał się tak raptownie, że Jamison na niego wpadła.

Rozejrzał się, dysząc. Zwielokrotnione echem odgłosy przedzierania się przez chaszczę wydawały się dobiegać zewsząd.

– Gdzie jest? – zapytała Jamison.

Decker pokręcił głową.

– Zgubiłem go.

Nagle usłyszeli trzaśnięcie drzwi samochodowych i ryk odpalanego silnika.

Decker ponownie rzucił się biegiem. Kiedy jednak wybiegł spomiędzy drzew, zobaczył jedynie tylne światła znikające w głębi kolejnej żwirowej drogi.

Jamison dogoniła go chwilę później. Oboje, zgięci w pół, łapczywie chwyтали powietrze.

– Już nigdy nie będę ci dogryzała, że nie jesteś w formie – wysapała Jamison.

– No cóż – mruknął Decker, prostując się – jak widać, nie byłem dość szybki. Nawet nie dostrzegłem, czy to mężczyzna, czy kobieta. Z samochodem też kicha. Nie odczytałem ani jednej litery z tablicy rejestracyjnej.

– Decker, zrobiliśmy, co się dało.

– Chodźmy zobaczyć, czy przynajmniej znajdziemy to, po co tu przyjechaliśmy – wymamrotał, kierując kroki w stronę przyczepy.

Weszli do środka tylnymi drzwiami.

– Nikt się tędy nie włamał. Drzwi wejściowe też nie wyglądały na uszkodzone.

– Zatem były otwarte albo ktoś oprócz nas ma klucze – rozumowała Jamison.

Wewnątrz przyczepa nie wyglądała na przetrząsniętą. Wszędzie były jakieś przedmioty codziennego użytku starannie poukładane w stosiki: na krzesłach, blatach i podłodze.

– Graciarz. Kiedy nie masz wiele, nie wyrzucasz niczego – stwierdził Decker tonem kogoś, kto wie aż za dobrze, o czym mówi.

– Green zapewniał, że nie znaleźli tu żadnych odcisków oprócz tych Babbota.

– A więc żadnych gości, chyba że używali rękawiczek.

– Jeden gość właśnie tu był – zauważyła Jamison.

Kiedy skończyli przeszukanie, Decker oparł się o ścianę w maleńkiej kuchni.

– Żadnych poręczy ani specjalnego sedesu w toalecie. Ani podjazdu dla wózka inwalidzkiego. Za to garść pustych fiolek po środkach przeciwbólowych na receptę. Na czym właściwie polegała jego niepełnosprawność?

– Green powiedział, że to sprawdzi.

– Gdyby to było coś oczywistego, nie musiałyby sprawdzać.

A gdzie samochód tego faceta?

Jamison wyjrzała przez okno.

– Może nie miał samochodu?

– Musiał mieć, przynajmniej przez jakiś czas. Na zewnątrz są koleiny. Prawdopodobnie zawsze parkował w tym samym miejscu. Poza tym za przyczepą widziałem puszki po oleju silnikowym marki Valvoline.

– Może Babbot pojechał samochodem do domu, w którym znaleziono jego ciało?

– Gdyby tak zrobił, powinna być o tym wzmianka w aktach. Skoro nie ma, to zakładam, że tak się nie stało.

Decker jeszcze raz przejrzał stół wbudowany w ścianę między kuchnią a pokojem od frontu. Leżał na nim wielki blok papieru milimetrowego.

– Ciekawe, po co to... – powiedział, siadając przy stole.

Jamison przyłączyła się do niego.

– Używałam czegoś takiego w szkole średniej do zadań domowych z matematyki, ale mój blok był znacznie mniejszy.

Decker pochylił się i przyjrzał się z bliska wierzchniemu arkuszowi.

– Są na nim odciski.

– Myślisz, że to ślady po notatkach z wyrwanej kartki?

Decker skinął głową.

– Tak sądzę.

Ostrożnie oderwał arkusz i wręczył go partnerce. Jamison wsunęła znalezisko do przyniesionego z samochodu plastikowego worka na dowody i schowała do torebki.

Decker sięgnął po czasopisma na stole i przewertował je. To samo zrobił z książkami na małej półce.

– Babbot miał szerokie zainteresowania – zauważył. – Od pornografii, przez mechanikę i broń palną, do historii i teorii spiskowych.

– Widzę w tym całą Amerykę – rzuciła Jamison półzartem.

Decker uniósł z kuchennego blatu pustą fiolkę.

– Niestety, to też jest cała Ameryka – powiedział, odczytując etykietę. – Tu był percocet. W innych fiolkach vicodin, oxyContin, tylox i demerol. To są wszystko silne środki.

– Silne i uzależniające. Lekomania. To jedna z przyczyn kryzysu opioidowego, który mamy.

– Doktor Freedman – mruknął Decker, czytając jedną z etykiet. – To samo nazwisko jest na innych fiolkach.

– Ten człowiek mógłby nam powiedzieć, co dolegało jego pacjentowi.

Decker się rozejrzył.

– Ciekawe, od jak dawna Babbot tu mieszkał. Był na rencie. To nie są pieniądze, za które można żyć w dostatku. Jeśli musiał się tu przeprowadzić w ostatnim czasie, bo nie wystarczało mu na rachunki, powinniśmy pogadać z jego sąsiadami. Może nam powiedzą o nim coś interesującego. Green pewnie ma tę informację. – Wyjrzał przez okno w stronę drzew. – Tu mamy tylko wiewiórki i jelenie – mruknął.

– Co to było? – powiedziała nagle Jamison.

Decker spojrzał na nią.

– Co?

– Wydawało mi się, że coś słyszałam. Przed przyczepą.

Podeszli do okna i wyjrzeni. Na zewnątrz zrobiło się już ciemno.

– Nic nie widzę – przyznał Decker.

– Może to jakieś zwierzę.

– Czujesz? – powiedział, pociągając nosem.

– Co to? Dym?

– Ogień.

Podbiegli do drzwi wejściowych. Decker złapał za gałkę i przekreślił. Drzwi nawet nie drgnęły. Spojrzeli po sobie.

– Jakieś zwierzę...? – powtórzyła Jamison.

Decker rzucił się do tylnych drzwi.

– Jedne i drugie są zablokowane! – zawołał.

Nagle spod podłogi na końcu przyczepy buchnął ogień. Płomienie momentalnie wspięły się po ścianach, obejmując sufit.

– O mój Boże! – wrzasnęła Jamison. – Decker!

Decker rozglądał się, jednocześnie kątem oka obserwując



pełzające w ich stronę płomienie.

Książki i czasopisma stanęły w ogniu. Powietrze zrobiło się gęste od dymu. Jamison zaczęła gwałtownie kaszleć. Cofnęli się przed napierającą ścianą ognia, ale znaleźli się w pułapce.

Zanim weszli do środka, Decker zauważył na tyłach butlę z propanem zamocowaną w połowie długości przyczepy. Wiedział, że jeśli płomienie dotrą do tego miejsca, wszystko wyleci w powietrze.

Dym już tak zgęstniał, że detektyw ledwie widział Jamison. Okna były za małe, aby przez nie przejść, ale jedno rozbił krzesłem i wychylił głowę, żeby zaczerpnąć powietrza.

Wyjął pistolet i przestrzelił zamek we frontowych drzwiach, ale te nadal nie ustępowały.

– Alex, wskakuj mi na plecy!

– Co? – wysapała Jamison.

– Na barana. Już!

Zrobiła to i skrzyżowała nogi w pasie.

– Schyl głowę! – zawołał.

Cofnął się i z rozpędu grzmotnął w drzwi. Te wygięły się i zaczęły ustępować. Decker pochylił ramię, ugiął nogi i runął na nie masą dwóch ciał. Rozległ się trzask i wyrwane z zawiasów skrzydło klapnęło przed przyczepą.

Decker podszedł chwiejnym krokiem, z Jamison nadal trzymającą się kurczowo jego pleców, do yukona.

Obejrzał się za siebie. Płomienie dotarły do otworu wejściowego w połowie długości przyczepy. To oznaczało, że zostało im kilka sekund.

Ciężko oddychając, zaniósł Jamison za SUV-a. Tam osunął się na kolana, a jego partnerka zeskoczyła na ziemię.

– Wejdz pod samochód. Alex, szybko! – wysapał.

Pomógł kobiecie wpełznąć pod yukona tak, że wystawały jej tylko stopy, które osłonił własnym ciałem. On sam był za duży, by się tam zmieścić.

W następnej chwili płomienie dosięgły butli z gazem. Eksplozja uniosła przyczepę ponad fundament z pustaków. Kawałki konstrukcji wystrzeliwały we wszystkie strony, łomocząc

o Yukona, który zakołysał się pod naporem fali uderzeniowej. Decker usłyszał, jak pęka przednia szyba. Rozległ się głuchy huk uderzenia w dach samochodu.

Jamison wrzasnęła.

Nagle Decker uświadomił sobie, że nie może złapać oddechu. Jakby jakiś ogromny ciężar uciskał go w sam środek szerokiej klatki piersiowej.

*Cholera! Czyżbym miał zawał? Teraz?*

Właśnie wtedy jakiś spadający z wysoka przedmiot trafił go w głowę i Amos Decker poczuł, że znika w czarnej czeluści.

Pojawił się nowy kolor.

Żółty.

W jego synestetycznym mózgu śmierć była niebieska.

Co więc, do diabła, oznaczał żółty?

Niebo?

*Czyżbym nie żył?*

Decker pomyślał, że to całkiem możliwe, ponieważ nie mógł otworzyć oczu. Skoro mimo zamkniętych oczu widział żółty kolor, musiało się to dziać w jego głowie. Czyż to nie był dowód na świadomą myśl, a tym samym życie?

Czy może tak właśnie wygląda życie po życiu?

Nagle coś poczuł. Szturchnięcie, dziwnie odległe.

Bolało go w uszach. I jeszcze to dudnienie w głowie. Jak armatnia kanonada.

Poza tym nie odbierał żadnych innych bodźców. Tylko dudnienie. I żółty kolor.

Znowu szturchnięcie.

Ból w uszach się nasilił. Coś go uderzyło w twarz. Lekko, potem mocniej.

Próbował otworzyć oczy, ale udało mu się jedynie zmarszczyć czoło.

Następny cios w twarz przyniósł pożądany skutek.

Z olbrzymim wysiłkiem zdołał zamrugać.

W pierwszej chwili zobaczył jedynie ciemność.

Potem w środku tej ciemności coś dostrzegł. Było włochate i majaczyło tuż nad nim; wyczuwał jego oddech na twarzy.

Ponownie zamknął oczy. Miał wrażenie, że zapada się w ziemię.

Już sobie przypominał. Pojechali za miasto.

Przyczepa.

Eksplozja.

Nagle ten korowód myśli w jego głowie się urwał. Klatka piersiowa Deckera, poruszająca się w górę i w dół przy każdym

oddechu, znieruchomiła.

W ostatnim przebłysku świadomości wyczuł na twarzy zbliżający się oddech włochatego stworzenia.

Zwierzę. Jakies zwierzę przyszło, by się nim pożywić.

Wtedy stracił przytomność. A może to było coś więcej?

Na moment przed tym, jak wszystko zasnuło się nieprzeniknioną czernią, poczuł, że coś rozwiera jego usta. A potem uderza tuż poniżej klatki piersiowej.

Ciemność.

Nie miał pojęcia, ile minęło czasu.

Coś nim szarpnęło i przewróciło go na bok. Zwymiotował i przez kilka sekund leżał, jęcząc.

Poczuł dotyk na swoim ramieniu i szarpnął się gwałtownie.

Przypomniawszy sobie o włochatym stworze. Te szturchnięcia. Oddech na twarzy. Uderzenie w pierś. Przeraził się. Czy to był niedźwiedź?

Dźwignął się na kolana i próbował uciekać.

– Amos!

Na dźwięk jej głosu zatrzymał się, obrócił i pacnął na pośladki, dysząc.

Jamison przykucnęła obok. Była umorusana i rozczochrana, ale wyglądała na całą i zdrową. To nie jej wygląd, a wyraz twarzy zmroził Deckera.

– A-Alex, wszystko z tobą w porządku?

Podniosła się z ziemi i stanęła niepewnie na nogach.

– Ze mną? To ty... przestałeś oddychać. Musiałam ci zrobić resuscytację.

Decker odruchowo dotknął ust, a potem mostka.

*Resuscytacja?*

To Jamison z powrotem wtłoczyła w niego życie.

– To byłaś ty? Widziałem tylko... Włosy. Myślałem, że to jakies zwierzę. Wielkie, włochate zwierzę.

Jamison nastroszyła brwi i odgarnęła z twarzy bujne kosmyki.

– No proszę, jeszcze czegoś takiego o sobie nie słyszałam. – Jej twarz zaraz jednak złagodniała. – Już ci lepiej? – zapytała.

Decker wziął głęboki oddech i pomasażował się po tyle głowy.

Kiedy cofnął dłoń, była cała we krwi.

– Coś mnie tam walnęło. I chyba mnie uszkodziło.

– O nie!... – zawołała Jamison. Wyjęła telefon, włączyła w nim latarkę i obejrzała miejsce, z którego sączyła się krew. – Rozcięcie, głęboka rana. Potrzebujesz lekarza. – Znalazła w torebce papierowe chusteczki i przyłożyła je do rany. – Masz. Trzymaj tak.

Decker zrobił, jak mu poleciła.

– Myślałem, że mam zawał, ale to chyba niemożliwe. W każdym razie niezły nokaut.

Ostrożnie wstał i się rozejrzał. Po przyczepie nie było śladu. Ich yukon miał poważne uszkodzenia.

– Uratowałeś mi życie – powiedział.

– No cóż, z pewnością ty uratowałeś moje. – Wskazała na miejsce, gdzie stała przyczepa. – To byłoby nasze krematorium.

Decker skinął głową i kilka razy głęboko odetchnął.

– To pewnie przez ten cały dym w płucach. A potem bieg.

– Ze mną na plecach. I jeszcze ta rana w głowie. Pewnie oberwałeś kawałkiem przyczepy. Szkoda, że nie zmieściłeś się pod samochodem.

– W czasach kiedy byłem szczuplejszy, też nie zmieściłbym się pod samochodem. Nawet pod SUV-em.

– Musimy wezwać karetkę.

– Musimy wezwać kogokolwiek, jeśli nie chcemy wracać do miasta na piechotę – zauważył Decker, spoglądając na przód yukona. Obie opony były przebite, a koła zdeformowane. – Powinni też przyjechać strażacy i ogarnąć to miejsce, zanim ogień przeniesie się na las.

Jamison zadzwoniła do Greena. Lakonicznie poinformowała go o tym, co zaszło. On obiecał, że natychmiast podejmie stosowne działania.

Jamison schowała telefon i spojrzała na pogorzeliśko.

– Ktoś próbował nas zabić...

– Cieszy mnie to.

– Że co? – zapytała, wyglądając na wstrząśniętą tymi słowami.

– Nasza obecność tu kogoś denerwuje. A to oznacza, że zmierzamy we właściwym kierunku. Bardzo dobrze.

– Mogliśmy zginąć! – fuknęła Jamison.

– Masz ten papier milimetrowy?

– Co?

– Papier z przyczepy.

– Mój Boże, Decker, właśnie cudem uniknęliśmy śmierci. Ty chyba nawet umarłeś na chwilę. I nadal jedyne, o czym myślisz, to śledztwo?!

Kiedy nie odpowiedział, westchnęła i podała mu wyjęty z torebki arkusz.

Przyciskając sobie do głowy garść chusteczek, Decker położył papier na ziemi i z pomocą latarki w telefonie zaczął mu się przyglądać. Chociaż świecił nań z odległości zaledwie paru centymetrów, musiał mrużyć oczy, żeby cokolwiek odczytać.

– Widzisz tam coś? – zapytała Jamison.

– Niewyraźny odcisk ołówka albo długopisu, którym ktoś coś rysował. Coś dużego, co zajmowało prawie cały arkusz. Przyjrę się później, w lepszym oświetleniu.

Wyłączył latarkę, oddał papier, wstał i oparł się o zderzak samochodu.

– Myślisz, że osoba, którą ścigaliśmy, wróciła tu i próbowała nas zabić? – zapytała Jamison.

– Nie wiem. Możliwe, ale to byłoby ryzykowne.

– Więc może ktoś inny? Myślisz, że byliśmy śledzeni?

Decker obejrzał się na zwirową drogę, którą przyjechali.

– Byłoby trudno zrobić to tak, żebyśmy nie zauważyli.

Jamison wróciła wzrokiem w miejsce, gdzie stała przyczepa.

– Dobrze, że ją przeszukaliśmy, zanim wybuchła. Chociaż w zasadzie niczego nie znaleźliśmy.

– Coś jednak mamy.

– Na przykład?

Nagle Decker jęknął i złapał się za głowę.

– Co z tobą? – zapytała niespokojnie.

– To tylko masakryczny ból.

Kilka minut później przyjechały dwa radiowozy, ambulans

i dwa wozy strażackie.

Strażacy zajęli się pogorzeliem – polewali je i wszystko wokół wodą. W tym czasie dwóch sanitariuszy obejrzało Jamison i Deckera. Ona, oprócz paru siniaków i zadrapań, jedynie nawdychała się dymu. Opatrzyli ją i podali tlen. To samo zrobili z Deckerem, ale po obejrzeniu rany na głowie i sprawdzeniu jego reakcji na bodźce oświadczyli, że musi pojechać do szpitala na prześwietlenie i inne badania. – Nie mam wstrząsu mózgu – zaprotestował Decker. – W każdym razie nie takiego poważnego.

Słyszając to, Jamison przewróciła oczami.

– Decker, przestałeś oddychać. Jedziesz na badania i koniec dyskusji. Pojadę z tobą.

W drodze do szpitala Decker leżał na noszach. Głowę miał owiniętą krwawym bandażem. Jamison wytarła sobie umorusaną twarz i próbowała pozbyć się plam z ubrań, pocierając je mokrą szmatką, którą dostała od sanitariuszy.

– Muszę sobie kupić jakieś rzeczy. Kiedy się pakowałam na ten wyjazd, nie brałam pod uwagę, że mogę prawie utonąć w monsunowej burzy i omal nie zginąć w wybuchu – powiedziała. Oparła się plecami o ścianę karetki i zamknęła oczy.

Decker wpatrywał się w nią z noszy.

– Alex, jak ci się podoba? – zapytał słabym głosem.

Otworzyła oczy i spojrzała na niego ze zdziwieniem.

– Jak mi się podoba co?

– Twój urlop.

– Miał metalową płytkę w głowie – oświadczył Green. – Wstawili mu ją po wypadku w pracy.

Deckera właśnie wypisywali ze szpitala. Okazało się, że jednak doznał wstrząśnienia mózgu. Ponadto lekarze orzekli, że zatrzymanie akcji serca nastąpiło w wyniku uderzenia w głowę i podtrucia dymem. Zamiast założyć szwy, posklejali mu skórę i teraz jego sterczące włosy wyglądały jak pióra kakadu. W dodatku z powodu obrażeń nosił ciemne okulary.

– Sam się czuję, jakbym miał metalową płytkę w głowie – mruknął zrzędlowie.

Green maszerował obok wózka inwalidzkiego, którym wieźli Deckera do nowego samochodu wynajętego przez Jamison. Ona popychała wózek z Deckerem przed sobą.

– A więc inwalidztwo Toby’ego Babbota było związane z uszkodzeniem mózgu? – zapytała.

– Na to wygląda. Od tego czasu tylko sporadycznie dorabiał. Drobne prace fizyczne. Był na zasiłku dla bezrobotnych. Potem przyznano mu rentę, ale niewielką.

– A gdzie mieszkał, zanim się wprowadził do przyczepy? – zapytał Decker.

– Dzielił mieszkanie z niejaką Betsy O’Connor. Czysto platonicznie. W każdym razie ona tak twierdziła, kiedy z nią rozmawiałem w zeszłym tygodniu.

– To co ich łączyło? – zapytała Jamison.

– Znali się. Oboje popadli w kłopoty finansowe. Nie było ich stać na samodzielne lokum, dlatego zamieszkali razem. To się tutaj często zdarza.

– Więc dlaczego się wyprowadził? – zapytał Decker.

– Nie miał stałej pracy. O’Connor dorabiała w różnych miejscach, ale to nie wystarczało na czynsz i media. Każde musiało pójść w swoją stronę. Ona teraz mieszka we wschodniej części miasta z dwoma współlokatorami. Babbot, jak sądzę, tę



przyczepę pod lasem znalazł porzuconą i ją zasiedlił. Nie wiemy, czy mieszkał gdzieś jeszcze, zanim się tam wprowadził.

– Miał samochód?

– Tak. Do czasu, aż go zabrał bank.

– To jak się przemieszczał? – zapytała Jamison.

– Tego nie wiemy.

– Jak twoim zdaniem znalazł się w domu, w którym został znaleziony martwy razem z Joyce Tanner?

– Może zawiózł go tam jego zabójca?

Kiedy dotarli do samochodu, Decker wstał z wózka i się zachwiał. Green objął go asekuracyjnie ramieniem.

– Na pewno nic ci nie jest? Może jednak powinieneś zostać na noc w szpitalu?

– Przeżyję. W istocie jestem głodny. Poczuję się lepiej, jak coś zjem.

– Polecam lokal przy placu Barona. Nazywa się Restauracyjka. Dobrze tam karmią i niedrogo. Zresztą tu już nie ma drogich lokali.

– Plac Barona, mówisz? – odezwała się Jamison. – Trudno uciec od tego nazwiska, co?

– Trzeba by się stąd wyprowadzić – przyznał z uśmiechem Green. – Ach, nasz specjalista od podpaleń sprawdził przyczepę. Nie wiemy, czym zostaliście zaryglowani w środku, bo to też się spaliło. Znaleźliśmy za to ślady po czymś w rodzaju koktajlu Mołotowa i po stercie suchego drewna pod przyczepą, od czego zaczął się pożar. Nawet po deszczach, które tu ostatnio mieliśmy, drewno musiało się zająć w jednej chwili. A przyczepa była stara. Wątpię, czy dostałaby atest przeciwpożarowy.

Jamison zawiozła Deckera do domu swojej siostry. Tam oboje doprowadzili się do porządku i pół godziny później spotkali się na parterze. Chociaż dochodziła dziewiąta wieczorem, Frank Mitchell jeszcze nie wrócił z pracy. Amber i Zoe były na przedstawieniu w szkole. Jamison nie zdążyła opowiedzieć siostrze, co się im przydarzyło.

– Robi się późno – stwierdziła, spoglądając na zegarek. – Miejmy nadzieję, że jeszcze będzie otwarte.

Kiedy szli do samochodu, Jamison zauważyła, że jej partner zdjął ciemne okulary.

– Lekarz powiedział, że powinienes przez jakiś czas chodzić w okularach.

– Zalecił mi też, żebym siedział w ciemnym pokoju w całkowitej ciszy. Miewałem już wstrząśnienia mózgu, Alex. To dzisiejsze to drobiazg.

– Okej... – odparła, chociaż nie wyglądała na przekonaną.

Przez kilka minut jechali w milczeniu.

– Decker, przez te wszystkie lata, kiedy grałeś w futbol, czy nigdy nie obawiałeś się...

– Czego? Chronicznej encefalopatii pourazowej? Demencji?

– No tak.

– Po każdym rozegranym meczu czułem się, jakbym uczestniczył w wypadku drogowym. Przy każdym wznowieniu gry kaski tłuką o siebie. Na tym to polega. Nie masz wpływu na wszystko, co ci się przydarza.

– Dość fatalistyczna postawa.

– Jestem realistą. Za to prawie nie grałem z zawodowcami, więc może jest dla mnie jakaś nadzieja. Zawodnicy NFL zderzają się z dużo większą siłą niż amatorzy w college'ach.

– Obyś miał rację. Potrzebujemy twojego mózgu do łapania złych ludzi.

– Trzeba sporządzić listę osób do przesłuchania. Na pewno doktor Freedman i Betsy O'Connor. Każdy, kto miał coś wspólnego z Joyce Tanner. Musimy się dowiedzieć, z czego żyła. Należy również odwiedzić miejsce pracy i dom Bradleya Costy. I ustalić, gdzie się dekował Michael Swanson.

– Słuchaj, chociaż oboje wierzymy, że wszystkie te morderstwa są ze sobą powiązane, tak naprawdę nie mamy na to żadnego dowodu.

Decker spojrzał na nią badawczo.

– Sugerujesz, że powinniśmy odpuścić?

– Nie! Oczywiście, że nie – obruszyła się Jamison. – Mówię tylko...

– A ja mówię – przerwał jej Decker – że niezależnie od tego, czy

morderca jest jeden, czy jest ich kilku, czy działają razem, czy osobno, i tak powinni odpowiedzieć za swoje zbrodnie. A my jesteśmy od tego, żeby tak się stało.

Jamison westchnęła i pokiwała głową.

– Rozumiem. Pamiętaj jednak, że lista będzie długa. Trochę to zajmie. Dłużej niż tydzień – zauważyła.

– Całkiem możliwe. Powinnaś zadzwonić do Bogarta i go uprzedzić.

– Nie, ty do niego zadzwoń. To był twój pomysł. Ja tylko chciałam odwiedzić siostrę i siostrzenicę, a nie pakować się w kolejne śledztwo.

Decker nic nie odpowiedział.

– Omal dzisiaj nie zginęliśmy – dodała Jamison.

– Tak, wiem. Byłem tam, Alex.

– Ktokolwiek to zrobił, może spróbować znowu, jeśli dalej będziemy mu deptać po piętach.

– Powiedziałem ci, że zajmę się tym sam. A ty naciesz się rodziną.

– Nie mogłabym o niczym innym myśleć, gdybym nie zajmowała się tym z tobą.

– No to co robimy?

– Kontynuujemy śledztwo w sprawie kilku powiązanych ze sobą lub niepowiązanych morderstw. Razem.

Decker obrócił się w jej stronę.

– Zrobię, co w mej mocy, żeby nic ci się nie stało, Alex.

– Wiem. Obiecałeś Zoe.

– Nie. Dlatego, że jesteś moją partnerką. Osłaniamy się nawzajem. Pamiętasz? Sama mi to powiedziałaś.

– Pamiętam, Amos. Już kilka razy zdążyłeś uratować mi życie. Muszę jednak polegać na sobie nie mniej niż na tobie. To samo dotyczy ciebie.

– Z tym nie będę polemizować.

Restauracyjka była jeszcze czynna. Zjedli kolację w wypełnionej do połowy sali, czując na sobie skryte spojrzenia pozostałych

osób.

– Najwyraźniej w Baronville wieści szybko się rozchodzą – zauważyła Jamison.

– Jak to w małym mieście – odpowiedział Decker, przełykając ostatni kęs steku. – Mamy martwego faceta z metalową płytką w głowie, żyjącego z renty w przyczepie, która właśnie wyleciała w powietrze. Mamy Joyce Tanner, zwolnioną z JC Penney, która żyje nie wiadomo z czego.

– I jeszcze cztery trupy.

Decker spojrział na swój telefon, który właśnie zabrzęczał. Zmarszczył brwi i odłożył widelec.

– Co tam? – zagadnęła Jamison. – Kolejny trup?

– Nie. To SMS od Greena z odpowiedzią na moje pytanie.

– Które?

– Czy to była świńska krew.

– I była?

– Tak.

– Co to oznacza, że tak zapytam? Bo nigdy nie raczyłeś mi powiedzieć – rzuciła Jamison, ewidentnie poirytowana.

Decker nie odpowiedział. Wybrał numer na klawiaturze i spoglądał w sufit, czekając, aż osoba po drugiej stronie odbierze.

– Detektywie Green, tu Decker. Właśnie otrzymałem twoją wiadomość.

– Tak, rzeczywiście to świńska krew. Skąd ci to przyszło do głowy?

– Taki strzał prawie w ciemno. I wolałbym się mylić. Tych ostatnich dwóch denatów musimy sprawdzić w jeszcze jednej bazie danych.

– Sprawdziliśmy wszystkie bazy przestępców i cywilów, do których mamy dostęp.

– Obawiam się, że to nie są cywile ani przestępcy.

– A kto?

– Policjanci.

– Dlaczego policjanci? – zapytała Jamison, kiedy jechali samochodem na posterunek.

– Jesteś za młoda, żeby to wiedzieć, ale w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych „świnia” była powszechnie używanym obelżywym określeniem policjanta. Dlatego wspomniałem o starych serialach telewizyjnych. Ofiara w mundurze policjanta i świńska krew... To zaczyna mieć sens. To również oznacza, że mamy do czynienia z mordercami z określonego pokolenia.

– Niekoniecznie – zripostowała Jamison. – Moda na to słowo ewidentnie wróciła. Używają go teraz rozmaici ludzie.

– Okej, ale najpierw musimy ustalić, czy tych dwóch denatów, których znaleźliśmy, rzeczywiście było policjantami. Możliwe, że moja teoria okaże się wyssana z palca.

– Boże, to zaczyna przypominać kiepski horror.

– Alex, każde morderstwo, nad którym pracowałem, miało w sobie coś makabrycznego. – Decker spoglądał dłuższą chwilę przez okno. – Jeśli to policjanci, powstaje pytanie, skąd się tu wzięli – dodał. – Gdyby byli stąd, już by ich zidentyfikowano.

– A więc z innego stanu?

– Co by tu robili? Zakładam, że znaleźli się tu służbowo. Lokalna policja prawie nigdy nie zapuszcza się poza granice swojego stanu. – Znowu zamilkł i zawiesił wzrok na jakimś odległym punkcie za oknem.

– Zaraz, Decker. Myślisz, że to byli...

– Tak, Alex. To mogli być federalni.

Green i Lassiter czekali na nich w komisariacie.

– Sprawdziliśmy odciski w bazach, do których mamy dostęp – oświadczył Green. – Niewiele tego. W każdym razie zero trafień.

– Mogę załatwić, żeby je przepuszczono przez bazy FBI. Tylko

mi dajcie zestaw odcisków. – Decker spojrzał na Jamison. – Chyba jednak będę musiał pogadać z Bogartem.

– Masz za swoje – odparła jego partnerka z przekąsem.

Decker zadzwonił z ustronnego pokoju na posterunku.

Trzeba przyznać, że Bogart, agent specjalny FBI, nie wrzeszczał ani nawet nie przerywał, kiedy Decker referował, co zaszło.

– Możesz mi przesłać te odciski teraz? – zapytał Bogart.

– Jak tylko skończymy rozmawiać.

– Decker, jeśli to federalni, zrobi się z tego niezła rozpierducha.

– Już się zrobiła.

Decker i Jamison czekali przy biurkach Greena i Lassiter, ustawionych obok siebie w przestronnej części posterunku, którą zajmowali detektywi. W pomieszczeniu było jeszcze jedno biurko, przy którym pracował funkcjonariusz w cywilnym ubraniu.

Po półgodzinie zadzwonił telefon Deckera. Zanim odebrał, razem z Jamison weszli do pustego biura.

To był Bogart.

Decker przełączył telefon na tryb głośnomówiący, żeby Jamison też mogła wszystko słyszeć.

– Przepuściliśmy odciski przez bazę naszych pracowników i nic, dlatego nasze biuro łącznikowe udostępniło je innym agencjom.

– Coś znalazły?

– Nie. Wszystkie już się do nas odezwały. Oprócz jednej.

– Której?

– DEA<sup>4</sup>.

– Okej, zadzwoniliście do nich, skoro się sami nie odezwali?

– Tak. Dowiedzieliśmy się, że specjalny zespół zadaniowy DEA pojawi się w Baronville za dwie godziny.

– A więc ci dwaj zabici to ich ludzie? – zapytała Jamison.

– W tym rzecz. Nie potwierdzają, nie zaprzeczają.

– Ale wysyłają zespół?

– To może oznaczać wiele różnych rzeczy. Mam znajomego

---

4 DEA – Drug Enforcement Administration, agencja antynarkotykowa.

w oddziale DEA w Waszyngtonie. Rozmawiałem z nim, zanim zadzwoniłem do was. Powiedział, że sprawa trafiła na samą górę, na biurko szefa DEA. Słuchajcie, mogę wskoczyć do samolotu agencji i być tam u was za jakieś dwie godziny.

– Nie ma takiej potrzeby, przecież masz co robić.

– A wy dwoje podobno jesteście na urlopie!

– Czekałem, aż to powiesz – odparł Decker.

– Próbowałam go od tego odwieść – wtrąciła Jamison. – Ale znasz Deckera. Jak tylko zwęszy morderstwo, nie może się oprzeć.

– Poważnie, dzieje się tam u was coś, co bardzo mi się nie podoba – stwierdził Bogart.

– Tu się dzieje wiele rzeczy, które mi się nie podobają. Przed wszystkim to, że ktoś morduje ludzi. A mnie i Alex omal nie usmażył żywcem.

– Okej, będę monitorował sytuację stąd. Kiedy przyjadą ci z DEA, na pewno zechcą z wami porozmawiać.

– Niewiele się od nas dowiedzą. Dopiero rozgryzamy tę sprawę.

– Rzecz w tym, że współpraca z DEA będzie raczej jednostronna.

– Jak zawsze z naszymi trzyliterowymi agencjami – zauważyła Jamison. – Pamiętajcie, jak było z DIA<sup>5</sup>? Oni też tylko zadawali pytania.

– Jeśli ci dwaj denaci to ich ludzie – zauważył Bogart – będą chcieli przejąć śledztwo. Możecie mieć tam kryzys kompetencyjny.

– Jestem tu tylko po to, żeby dojść do prawdy – odpowiedział Decker. – Od dyplomacji może być ktoś inny.

– Dlatego, Alex, od kontaktów z DEA będziesz ty. Wpadną tam do was i przejadą się po miejscowych glinach jak brygada czołgów. Po prostu nie pozwólcie, żeby was potraktowali tak samo. Macie prawo tam być. Zaproszono was do udziału w tym śledztwie. Nie mogą was teraz wyłączyć z niego siłą.

– Poradzę sobie – zapewniła Alex.

---

<sup>5</sup> DIA – Defense Intelligence Agency, Agencja Wywiadowcza Departamentu Obrony.

– A jeśli będą się stawiać, zawsze mogę wezwać odsiecz.  
Jesteście z FBI. Nikt nie będzie wam mówił, co macie robić.  
Powodzenia.

Decker się rozłączył i spojrzał na swoją partnerkę.

– Międzyagencyjne przepychanki. Nienawidzę tego.

Widząc jego skwaszoną minę, Jamison się uśmiechnęła.

– No i jak tam, Decker, podoba ci się twój urlop?



Ośmioosobowy zespół DEA wpadł niczym huragan czwartego stopnia.

Na jego czele stała agentka specjalna Kate Kemper, kobieta o twarzy jakby wykutej w granicie. Przywitała się z Deckerem i pozostałymi stalowym uściskiem dłoni. Była po czterdziestce, średniego wzrostu, ale krzepka. Włosy miała koloru popielatego blondu. Wyraziste rysy twarzy zdradzały kogoś, kto napotkał wiele przeciwności losu i wszystkie je pokonał.

– Muszę zobaczyć ciała – oświadczyła nieznoszącym sprzeciwu głosem.

Green skinął głową.

– Są w prosektorium. To wasi ludzie?

– Najpierw obejrzymy ciała, potem porozmawiamy. Na tyle, na ile mogę.

Słyszac to, Green nastroszył brwi, ale skinął głową.

– No to się przejedźmy.

Zespół DEA podążył za Greenem, Lassiter, Deckerem i Jamison do prosektorium.

W środku czekały na nich wysunięte szuflady z ciałami.

Po zdjęciu nakryć Kemper przyjrzała się pierwszemu mężczyźnie, potem drugiemu.

W tym czasie Decker obserwował ją uważnie.

– Dziękuję – powiedziała do koronera. – Zabierzemy ciała. Dochodzenie też przejmujemy – dodała, zwracając się tym razem do Greena.

– Możecie prowadzić śledztwo i ja was przed tym nie powstrzymam – odpowiedział Green. – Ale wy też nie możecie nas odsunąć od tej sprawy.

Kemper wyjęła komórkę.

– Oczywiście, że mogę. Jednym telefonem.

Green właśnie miał zaprotestować, kiedy zainterweniowała Jamison.

– Słuchajcie, to będzie długie, skomplikowane śledztwo. Im więcej rąk do pracy, tym lepiej – powiedziała i spojrzała na Kemper. – DEA może iść na szpicy, ale FBI już się w to zaangażowało i chcemy sprawę dociągnąć do końca. W Baronville w krótkim czasie doszło do sześciu morderstw. Jeśli odsuniecie od dochodzenia miejscową policję, media nie dadzą wam żyć. Tylko podbijecie oglądalność stacjom telewizyjnym. A my nie mamy czasu ani ochoty, żeby jeszcze się opędząć od wścibskich reporterów.

Wszyscy spojrzeli na Kemper, żeby zobaczyć jej reakcję.

W pierwszej chwili wydawało się, że ostro zripostuje wypowiedź Jamison. Ona jednak skinęła głową.

– Zasada numer jeden: nic nie dzieje się bez mojej wiedzy i zgody. Poszlaki, wskazówki, notatki z przesłuchań, konkluzje. DEA to mózg tej operacji.

– Jestem przekonany, że te morderstwa coś łączy – powiedział Decker. – Jeśli rzeczywiście tak jest, dwaj wasi ludzie są w jakiejś mierze zamieszani we wszystkie.

– Niby dlaczego?

– To proste.

– Doprawdy? – Kemper zmierzyła go wzrokiem.

– Przede wszystkim, muszę wiedzieć, od jak dawna byli tajniakami.

– A kto, do cholery, powiedział ci, że byli?

– Nikt mi nie musiał mówić. – Decker omiół wzrokiem agentów DEA. – FBI rozsyła zapytanie na temat dwóch denatów, którzy mogli być agentami. Wszystkie agencje udzielają negatywnej odpowiedzi. Oprócz waszej. Nie tylko nie odpowiedzieliście, ale sprawa trafiła aż do waszego szefa, a zaraz potem przyjeżdżacie tu całym zespołem.

– No i skąd ci się wzięli tajniacy? – zapytała Kemper. – Przecież to mogli być zwykli agenci.

– Gdyby dwaj agenci zaginęli podczas wykonywania rutynowych obowiązków, wiedzielibyście o tym od razu. Jednak tajniacy nie meldują się regularnie. O ich zaginięciu dowiedzielibyście się dopiero, gdyby nie stawili się na spotkanie

z waszym kontaktem.

– A skąd ty wiesz tak dużo o działaniach tajnych agentów? – zapytała Kemper podejrzliwie.

– Wyobraź sobie, że kiedy pracowałem w policji w Ohio, byłem tajnym agentem. Moja niewyjściowa aparycja predysponowała mnie do tej roli. Duży ze mnie facet. Większość ludzi kupowała historyjkę o tym, że jestem szukającym roboty mięśniakiem. Nie meldowałem się całymi dniami, bo tamci mieli mnie na oku. To nie jest tak, że możesz się urwać w każdej chwili i wysyłać przełożonym SMS-y co pięć minut. Jeśli się wcielasz w jakąś rolę, to nią żyjesz. Musisz dbać o wiarygodność. Więc nad czym pracowali tamci dwaj?

– Nikt w tym pomieszczeniu oprócz mnie i mojego zespołu nie jest uprawniony do tego, żeby to wiedzieć.

– W ten sposób trudno będzie nam razem pracować – zauważył Decker.

– Powiedziałam, że jestem mózgiem tej operacji, a nie, że będziemy prowadzić śledztwo razem.

Decker spojrział na Greena.

– Okej, w takim razie możemy kontynuować dochodzenie w sprawie pozostałych czterech morderstw, z którymi DEA formalnie nie ma nic wspólnego, a które leżą w waszej jurysdykcji. Jeśli znajdziemy jakieś zbieżności, wezwiemy zespół agentów FBI, żeby pociągnął ten bajzel. Rozwiążemy całą sprawę, a DEA wyjdzie na bandę matołów, którymi są.

– Zapominasz się! – warknęła Kemper.

Decker zmierzył ją od stóp do głów.

– Marnujemy czas, ponieważ najwyraźniej ego waszej agencji jest dla was ważniejsze niż ustalenie, kto zamordował dwóch waszych ludzi. Jeśli w ten sposób prowadzisz swoje śledztwa, twoja sprawa, ale ja to robię inaczej. Tak więc, mówiąc przynajmniej w imieniu FBI, walcie się. Miłego dnia.

Odwrócił się na pięcie i wyszedł z pokoju.

Kemper odprowadziła go wzrokiem, po czym spojrzała na Jamison.

– Podzielasz jego stanowisko?

– To mój partner, więc tak, oczywiście. I wiesz, co ci powiem?  
Tak się składa, że ma rację – powiedziała i też wyszła.  
Chwilę później to samo uczynili Green i Lassiter.

Decker leżał na łóżku w domu Mitchellów, pocierając dłonią posklejaną skórę.

Było późno, był zmęczony i doskwierał mu ból głowy.

Nie powiedział Jamison wszystkiego. To prawda, że grając w futbol odniósł wiele urazów. Także wstrząśnięć mózgu. Tym razem jednak było inaczej. Ten uraz wydawał się poważniejszy. Bardziej inwazyjny.

Prześwietlenie wykazało, że cokolwiek trafiło go w głowę, nie przebiło czaszki. Nie doszło do pęknięcia, a mimo to czuł się dziwnie. Nie tylko dlatego, że jego mózg odbił się od kości, co w zasadzie było istotą wstrząśnienia. Po prostu nie był pewny, dlaczego czuł się jakoś inaczej.

Sen nie nadchodził, dlatego o trzeciej nad ranem wziął prysznic, ubrał się i zszedł na dół.

Na stole w kuchni zobaczył kartkę papieru. Podniósł ją. To były numery, które napisała Zoe, żeby sprawdzić, czy Decker je zapamięta.

Wiedziony przecuciem, postanowił przeprowadzić test. Odłożył kartkę. Przywołał w pamięci obraz i zaczął „przeoglądać” rzędy cyfr. Wszystko szło dobrze aż do momentu pod sam koniec. Coś w jego głowie przeskoczyło – jakby płyta DVD pod wpływem rysy.

*Nie widzę ostatnich dwóch cyfr.*

Nieco oszołomiony, wyszedł tylnymi drzwiami i usiadł w wiklinowym fotelu na tarasie. Był on częściowo osłonięty, na szczęście, gdyż mżył drobny deszcz. Nie żeby to przeszkadzało Deckerowi. Już zdarzało mu się siedzieć w deszczu. Ba, nawet spał na deszczu, kiedy był tymczasowo bezdomny w Ohio.

Potarł skronie. Mając pamięć absolutną od tak dawna, przyjął za pewnik, że będzie ją miał zawsze. Czasem jej nie cierpiał, na przykład za to, że nie potrafił wymazać koszmarnych obrazów pomordowanej rodziny. Niemniej zdawał sobie sprawę, że ten

niezwykły dar pomaga w ściganiu morderców. A co, jeśli go właśnie traci?

Zamknął oczy i ponownie przywołał w pamięci obraz liczb. Tym razem zobaczył ostatnie dwie, ale trzech w środku już nie. Były niewyraźne, jakby ktoś rozmazał atrament, którym zostały napisane.

*Cholera, no to pięknie.*

Spojrzał na dom, od którego zaczęło się śledztwo. Gdyby nie to, że akurat wtedy wyszedł na taras z butelką piwa, ani on, ani Jamison nie mieliby teraz nic wspólnego z tą sprawą.

*Kto was zamordował?*

Decker chciał poznać odpowiedź na to pytanie bardziej niż na jakiegokolwiek inne.

– Wszystko okej, panie Amos?

Odwrócił się i zobaczył Zoe Mitchell w różowej pizamce, stojącą w drzwiach. Trzymała jaskrawozielony kocyk, a jej kciuk krążył w pobliżu buzi. Wyglądała na zaniepokojoną.

– Tak, nic mi nie jest, Zoe.

– Słyszałam, jak ciocia Alex mówiła, że rozbił pan sobie głowę.

– To nic takiego. Nabiłem sobie guza. Nie możesz spać?

Zoe wyszła na taras i siadła w kucki obok, tuląc kocyk.

– Czasem się budzę. Wtedy idę napić się mleka, ale dzisiaj nie było, bo mama zapomniała kupić. – Przestała mówić i wsunęła kciuk do buzi.

Kiedy Decker na nią spojrział, nagle zobaczył inną dziewczynkę; swoją córeczkę Molly.

– Czy twój kocyk ma imię? – zapytał cicho.

Zoe pokręciła głową.

– Moja córka też miała ulubiony kocyk. Nazwała go Hermiona. Pamiętasz, z *Harry'ego Pottera*? Hermiona Granger.

– Moja mama nie czyta mi takich książek. I nie pozwala mi jeszcze oglądać filmów. Mówi, że jestem za mała.

– No cóż, kiedy podrośniesz, na pewno je polubisz.

– Jak pana córka ma na imię?

– Molly.

– Jest starsza ode mnie?

Decker odwrócił wzrok, czując nagły ucisk w gardle. To był zły pomysł, żeby wspominać o Molly.

Skinął głową.

– Jest starsza od ciebie około sześciu lat.

– Dlaczego nie przyjechała z panem?

*Tak, bardzo zły pomysł.*

– Ma teraz... szkołę.

– Aha. Jest ze swoją mamą?

– Tak, są teraz razem.

Zoe spojrzała na dom, w którym Decker znalazł dwa trupy.

– Pan i ciocia Alex sprawdzacie, co tam się stało?

– Pomagamy policjantom.

Zoe znowu zaczęła ssać kciuk, robiąc duże oczy i marszcząc czoło.

– Mama mówi, że tam ktoś umarł – wymamrotała.

– Zoe, zupełnie się tym nie przejmuj, dobrze? To nie ma nic wspólnego z tobą ani z twoją rodziną.

– Ciocia Alex jest moją rodziną. A pan powiedział, że pomagacie policjantom.

Decker poczuł, że dał się zapędzić w kozi róg.

– Tak, to prawda. To znaczy... – Zająknął się, a dziewczynka popatrzyła na niego bezradnie. – Zoe... Powinnaś wracać do łóżka. Jest naprawdę późno.

– A dlaczego pan nie jest w łóżku?

– Czasem ma się tyle myśli w głowie, że nie można zasnąć, wiesz?

– Mnie pomaga to – stwierdziła Zoe i próbowała mu wręczyć swój kocyk.

Decker go dotknął i uśmiechnął się na ten ujmujący gest małej dziewczynki.

– Dziękuję, ale myślę, że ty i twój kocyk powinniście trzymać się razem. Po prostu tak jest lepiej.

Zoe przytuliła się do kocyka, wstała i podreptała w stronę drzwi. Tam się odwróciła.

– Mam nadzieję, że już więcej nie zrobi pan sobie krzywdy, panie Amos – powiedziała.

Decker popatrzył na nią.

– Postaram się.

Kiedy dziewczynka zniknęła, Decker znowu utkwiał wzrok w domu naprzeciwko. Zamknął oczy i pozwolił, by jego pamięć zaczęła pracować jak projektor filmowy.

Nagle otworzył oczy.

Miał ku temu dobry powód.

Zwykle obrazy w jego głowie „wyświetlały się” w takim porządku, w jakim je pierwotnie zobaczył. Teraz jednak wspomnienia były chaotyczne i bezładne, jakby poszczególne kadry się przemieszały. Poczuł irytację i niepokój. Uznał, że to efekt niedawnego urazu głowy.

Bardzo dziwnego urazu.

Ponownie ułożył się wygodniej w wiklinowym fotelu i wrócił pamięcią do pierwszego wieczoru w Baronville. Do tego, co wtedy widział. I słyszał.

Odjeżdżający samochód.

Przelatujący samolot.

Błysk światła w oknie.

Makabryczne odkrycia.

Potem, w niewłaściwej kolejności, dwa dźwięki: stuk i zgrzyt.

Decker nie lubił czegoś nie wiedzieć, chociaż to stanowiło nieodłączną część jego pracy. Często miał poczucie, że nie wie nic, dopóki nie dowiedział się wszystkiego.

Nagle zapragnął się przejść.

Wrócił do domu i po cichu rozejrzał się za parasolem. Normalnie nie przejmowałby się takimi drobiazgami, ale teraz musiał brać pod uwagę, że ma na głowie świeżą ranę.

Zajrzał do szafy przy drzwiach wejściowych. W środku znalazł oparty o ścianę parasol. I coś jeszcze.

To był zwój planów architektonicznych. Stał obok taniej, poobijanej walizki.

Decker w pierwszej chwili pomyślał, że to plany domu, ale zwój był za duży jak na taką skromną willę.

Zaciekawiony rozwinął znaleźisko na podłodze w przedpokoju. Wyjął telefon i poświecił sobie latarką.



To był wielki budynek rozrysowany na siatce.

Decker zauważył napis na szczycie arkusza.

Centrum dystrybucji, w którym pracował Frank Mitchell.

Nie było w tym nic dziwnego. Frank piastował tam funkcję menedżera, a samo centrum powstało niedawno.

Decker zrolował plany i odstawił zwój na miejsce.

Wyszedł na zewnątrz, rozłożył parasol i ruszył przed siebie skrajem drogi. Doszedł do końca i skręcił w kierunku równoległej ulicy.

Chciał coś zobaczyć.

Dom Mordu. Tak go sobie nazwał w myślach.

Wewnątrz się świeciło, a przed budynkiem stał radiowóz.

Za radiowozem zaparkowały dwa czarne SUV-y. Podczas gdy Decker obserwował okolicę, z pierwszego pojazdu wysiadł policjant w żółtym sztormiaku. Wówczas w drzwiach jednego z SUV-ów od razu pojawił się mężczyzna w wiatrówce DEA, który dołączył do funkcjonariusza.

Kemper ewidentnie nie miała zaufania do miejscowych stróżów prawa.

Decker omiół wzrokiem dom, działkę, zaparkowane samochody i pogrążone w mroku budynki po obu stronach ulicy.

Spojrzał w niebo, przypominając sobie samolot, który tamtego wieczoru przeleciał nad jego głową.

Potem jeszcze raz spojrzał w głąb ulicy.

To było dziwne. Zerknął na zegarek.

Trzecia czterdzieści.

Po drugiej stronie, jakieś sześć domów dalej, paliło się światło.

Decker skierował tam swoje kroki.

– Późno chodzisz spać, młody człowieku. Albo wcześniej wstajesz.

Kiedy Decker podszedł do domu, w którym dostrzegł światło, zobaczył starca siedzącego w wózku inwalidzkim na zadaszonej werandzie. Zauważył też prowadzący na werandę drewniany podjazd.

Niewielki, pokryty gontem dom wyglądał na dawno nieremontowany. Trawnik przed nim był zasłany uschłymi liśćmi i zarośnięty chwastami. Wszystko wokół sprawiało wrażenie, jakby już tylko czekało na swój kres.

W przydomowej wiacie stał stary pasażerski van.

Zagadnięty Decker przystanął przed domem.

– Pan też – odpowiedział.

Mężczyzna siedział skulony na swoim wózku. Był łysy, pomarszczony i pokryty brązowymi plamami od nadmiaru słońca. Nosił okulary w drucianych oprawkach.

– W moim wieku nie ma znaczenia, która jest godzina – odrzekł, wzruszając ramionami. Opatulił się mocniej swetrem i zadrżał. Chociaż powietrze było wilgotne od deszczu, nogi miał okryte kocem. Musiał zauważyć, że Decker patrzy na koc. – Lato, zima, jeden diabeł. I tak mam dreszcze. Lekarze mówią, że to problem z krążeniem. Ja myślę, że mi się rurki zatykają od długiego życia. To jeden z powodów, żeby nie zostawać za długo na tym świecie. Wszystko zaczyna szwankować.

– Mieszka pan tu?

– A nie widać?

– Fred Ross?

– A kto pyta? – zareagował oschle Ross.

– Ja. Nazywam się Amos Decker.

– Amos? Dawno nie słyszałem tego imienia. Przypomina mi ten serial, *Amos i Andy*. Stare dzieje. Do diabła, wszystko to stare dzieje. Tak to już jest, kiedy się człowiek zestarzeje. Mam

osiemdziesiąt pięć lat. Zwykle czuję się, jakbym miał o sto więcej. Czasem, kiedy się zbudzę, zastanawiam się, kim ja, do cholery, jestem. Jak ten stary facet wszedł w moją skórę. To już nawet nie jest śmieszne.

Decker podszedł bliżej werandy. Deszcz ustał, więc złożył parasol.

– Był pan tu dwie noce temu, panie Ross?

Lassiter powiedziała, że Rossa prawdopodobnie nie było wówczas w domu, ale Decker chciał to sam usłyszeć.

Ross spojrział w głąb ulicy.

– Kiedy stało się to, cokolwiek tam się stało?

– Tak.

– Policjant?

– Tak.

– Widziałem ich wcześniej, jak wchodzili – powiedział Ross, wskazując ręką. – Wyglądali mi na federalnych.

– Skąd to przypuszczenie?

– Oglądam telewizję.

– A więc był tu pan tamtego wieczoru?

Ross pokręcił głową.

– W szpitalu. Problemy z oddychaniem. Już mi lepiej. Często mam problemy z oddychaniem. Na ostrym dyżurze znają mnie już po imieniu. Żaden powód do chwały, szczerze mówiąc. Jeśli jesteś stary i bogaty, to co innego. Ale stary i biedny... Nie polecam, Amosie.

– Przykro mi to słyszeć. Policja już do pana zaglądała?

– Nie. Wróciłem dopiero dzisiaj. A właściwie to już chyba wczoraj.

– Mieszka pan sam?

Ross skinął głową.

– Moja pani zmarła... Prawie dwadzieścia lat temu. Paliła. Nigdy nie pal, Amosie, jeśli nie chcesz umierać w męczarniach.

– Panie Ross, widział pan kiedyś, żeby ktoś się kręcił przy tantym domu? Ktokolwiek? Nawet jeśli wyglądało to najzupełniej normalnie. A może zauważył pan coś, co wydało się panu dziwne, nie na miejscu?

Ross zawiesił wzrok na Deckerze.

– Moje oczy także mają już swoje lata. Słabo widzę.

– Nosi pan okulary. Poza tym powiedział pan, że ludzie, którzy weszli do tamtego domu, wyglądali na federalnych.

Ross zdjął okulary i wytarł szkła w sweter.

– Większość domów przy tej ulicy jest pusta. Całe Baronville jest prawie puste – powiedział i wsunął okulary z powrotem na nos.

– Powstało nowe centrum – zauważył Decker.

Ross wzruszył ramionami.

– Nie ma tam dość pracy, żeby przywrócić to miasto do życia. I nie płacą już tyle, co kiedyś. Do diabła, nic nie jest już takie, jak dawniej. Nie byłem na studiach, nie dostałem swojej szansy, ale miałem dobrze płatną robotę. Teraz jak się nie znasz na komputerach, to mają cię za nic. – Wzniósł ręce ku niebu. – Nikt już niczego nie buduje. Wszyscy siedzą i klepią w te klawiatury. Tylko tym się zajmują. Klepaniem w klawiatury. Do diabła, co to jest za praca?

– Pracował pan w tutejszych kopalniach albo fabrykach?

– W kopalni, w papierni, potem przy krosnach. Tam naprawiałem maszyny. Trochę też w koksowni. W tamtych czasach, kiedy wjeżdżało się do miasta, czuło się ten zapach w powietrzu. Węgiel i ta breja, z której robili papier. Podobno Baronowie mówili, że to zapach pieniędzy. Do diabła z nimi. Teraz Meksykanie i Azjaci robią to samo półdarmo. Niedługo zastąpią ich cholerne roboty. Wtedy ci z Meksyku i kitajce też zostaną bez pracy. – Zarechotał. – Kiedyś przez środek miasta biegła linia kolejowa. Wywozili nią węgiel i koks do Pittsburgha i dalej, żeby ludzie mieli światło w domach. Tak, byłem górnikiem, ale szybko z tym skończyłem. Płacili dobrze, zgoda, ale nikt nie chce skończyć z czarnymi płucami, prawda? Od tego zmarła moja małżonka, chociaż w życiu nie postawiła nogi w kopalni. Ja nie chciałem tego syfu w sobie. O, nie.

– Znał pan rodzinę Baronów?

– Dupki, każdy jeden. – Ross splunął na werandę.

– Dlaczego?

– Stworzyli to miejsce, a potem pozwolili, żeby zdechło. Dlatego. Ten facet siedzi tam, w swoim wielkim domu na wzgórzu, i tylko spogląda na nas wszystkich z góry. Sukinsyn!

– John Baron?

– Dupek.

– Ale kiedyś dobrze pan zarabiał, prawda? Tak pan powiedział.

– Pracowałem na to. Nikt mi niczego nie dał za darmo. Urobiłem sobie ręce po łokcie. Tak, zarobiłem swoje, ale oni zbili tu fortunę.

– Ma pan jakąś rodzinę?

– Syna. Nigdy nie odwiedza człowieka, który go sprowadził na ten świat. Do diabła z nim.

Decker spojrzał na wózek inwalidzki.

– Co się panu przydarzyło?

Oczy Rossa skurczyły się do rozmiaru kulek śrutu.

– Co mi się przydarzyło? Do diabła, życie mi się przydarzyło. Więcej nie musisz wiedzieć.

– Nie ma sprawy. Widział pan kiedyś, żeby ktoś się kręcił przy tamtym domu?

– Mówisz, że jesteś policjantem? A skąd mam to wiedzieć? Jestem stary i nie ufam nikomu.

Decker podszedł do niego i okazał legitymację.

– FBI? – mruknął Ross. Jego małe oczka wyczernione z pomarszczonej skóry lustrowały dokument. Potem spojrzał w głąb ulicy. – Wszędzie federalni. Po co was tu tyłu? Dwa trupy w tamtym domu. Mówili w telewizji. Dlaczego wy maczacie palce w tej sprawie?

– Maczamy palce w wielu sprawach – odparł Decker.

– W zbyt wielu – stwierdził Ross i znowu soczyście splunął na podłogę werandy. – Rząd wsadza nos we wszystko, co robimy. Mam tego dosyć.

– Byłoby lepiej, gdyby się nie interesował obywatelami?

– Byłoby lepiej, gdyby przestał się wtrącać w nie swoje sprawy. I nie stał po stronie tych, którzy nie potrzebują pomocy. Spójrz na mnie. Nie mam nic, ale nie płaczę, że mi źle. Nie proszę o datki, bo mam problem albo czuję, że nie potraktowano mnie fair.

Do diabła, życie w ogóle nie jest fair. Jak ci się nie podoba, to zabieraj się tam, skąd przyszedłeś, tak ja to widzę. Tylko uważaj, jak będziesz wychodził, żeby cię amerykański sztandar nie walnął w dupę.

– Ciekawa filozofia – zauważył Decker.

– Do diabła, nie znam się na filozofii. Po prostu patrzę na świat własnymi oczami. I widzę go takim, jaki jest naprawdę.

– Czyli jaki?

– O wiele gorszy, niż był dla takich ludzi jak ja.

Decker postanowił zmienić temat rozmowy.

– Więc niewykluczone, że kogoś jednak pan tu widział?

– Nic takiego nie mówiłem.

– Panie Ross, jeśli pan coś wie, naprawdę powinien mi pan o tym powiedzieć.

– A to niby dlaczego? Bo jesteś federalnym? To ma być jakieś magiczne zaklęcie czy co?

– Nie. Dlatego, że jestem policjantem, który docieka prawdy.

Ross wyszczerzył się złośliwie.

– W telewizji też tak mówią. Nigdy w to nie wierzyłem.

– Sprawcy tamtych morderstw mogą dojść do tego samego wniosku, co ja. Że coś pan widział. Może panu grozić niebezpieczeństwo.

W odpowiedzi Ross odsunął koc okrywający jego zmarniałe nogi, ukazując strzelbę z przyciętą na krótko lufą, którą uniósł mniej więcej w kierunku Deckera.

– Mam to cacko od dawna. Remington załadowany grubym śrutem. Gotowy do strzału. Jeśli ktoś mnie tu znajdzie, to jemu będzie groziło niebezpieczeństwo, nie mnie. Federalnych też to dotyczy. Nie oddaję strzałów ostrzegawczych. Nigdy nie widziałem potrzeby.

Decker cofnął się o krok.

– Tak między nami, panie Ross, grożenie funkcjonariuszowi federalnemu jest przestępstwem. Pomijam, że przy wystrzale taką amunicją z pańskiego obrzyna odrzut zrobiłby tym wózkem dziurę w ścianie. A pan zbierałby z kolan ostatnie plomby. Szanse na przeładowanie miałyby pan żadne, bo pierwszy wystrzał

skończyłby się dla pana wstrząsem mózgu.

– Co mi tam jakiś wstrząs, skoro w cokolwiek trafię, będzie wyglądało jak ser szwajcarski?

– Obawiam się również, że strzelby z odpiłowaną lufą są w Pensylwanii nielegalne. Mógłbym pana aresztować za posiadanie takiej broni.

Starzec pochylił się do przodu.

– Może coś zrozumiesz, Amosie, skoro już tu jesteś.

– Co takiego, panie Ross?

– W Baronville nie ma rzeczy nielegalnych.

– Decker!

Decker właśnie minął Dom Mordu, kiedy usłyszał, że ktoś go woła.

To była Kate Kemper. Stała w drzwiach wejściowych.

Przystanął, obrócił się i spojrzał w jej kierunku.

– Co ty tu robisz? – zapytała, podchodząc do niego.

– Wyszedłem na spacer.

Kemper zerknęła na zegarek.

– I niby przypadkiem zjawiasz się tu o czwartej nad ranem?

Stanęła przed nim, podczas gdy on patrzył ponad jej ramieniem na dom, z którego wyszła.

– Korci cię, żeby tam znowu zajrzeć, co? – zapytała.

Decker przeniósł wzrok na nią.

– A ciebie by nie korciło, gdybyś była na moim miejscu?

– Kiedy cię zobaczyłam pierwszy raz, miałam cię zapytać o twoją fryzurę – powiedziała, spoglądając na jego posklejane, sterczące włosy – ale uznałam, że może taki masz styl.

– Rozbiłem sobie głowę.

– Jak to zrobiłeś?

– Eksplodująca przyczepa kempingowa.

Popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

– Że co? Jak to się stało?

– Przeszukiwaliśmy przyczepę, kiedy ktoś postanowił zmienić ją w piekarnik, ze mną i z moją partnerką w środku. Wydostaliśmy się, zanim nas usmażył, ale wybuchła butla z gazem i oberwałem w głowę.

– Wiesz, kto to zrobił?

– Nie, ale się dowiem. Próby zabicia mnie traktuję osobiście.

– Też bym tak postąpiła – powiedziała, przyglądając mu się uważnie. – Sprawdziłam cię, Decker. Twoi przełożeni wyrażają się o tobie w samych superlatywach.

– Yhymm. Znalazłaś coś interesującego w środku?



Przekrzywiła głowę na bok.

– Pochlebstwa cię nie ruszają, co?

– Strata czasu.

– Okej – rzuciła, wciąż mierząc go wzrokiem. – Odpowiedź na twoje pytanie zależy od tego, jak rozumiesz słowo „interesujący”.

– A jak ty je rozumiesz?

– Może na przykład naukowo? Koroner dostarczył nam nowych informacji. Ciekawy?

– Sądziłem, że nie chcesz, byśmy się w to mieszałi.

– Powiedziałam tylko, że o wszystkim muszę wiedzieć.

– Zamieniam się w słuch.

– Mężczyzna w piwnicy zmarł z przedawkowania karfentanylu. To środek znieczulający stosowany przy wielkich zwierzętach, na przykład słońiach. Bodaj najsilniejszy opioid dopuszczony do obrotu komercyjnego. Rosjanie używają go do skrytobójczych zamachów.

– To by tłumaczyło obecność piany na jego ustach.

Kemper uśmiechnęła się pod nosem.

– Facet, którego znalazłeś powieszono, udusił się.

– Ale nie dlatego, że go powieszono.

Kemper uniosła brwi.

– Już to wiedziałaś?

Decker skinął głową.

– Mam nadzieję, że nie polegacie na miejscowym koronerze, bo ten facet kompletnie spartaczył określenie czasu zgonu. O medycynie sądowej wiem więcej od niego.

– Jak do tego doszedłeś?

– Przeoczył ewidentne oznaki. Sądząc po twojej minie, wiesz o tym równie dobrze jak ja. Powiedz, co jeszcze ustaliłaś.

– Skąd wiesz, że coś ustaliłam?

– Ponieważ sprawiasz wrażenie kogoś, kto pracuje po swojemu i nie daje się karmić okruchami informacji dostarczonymi przez miejscowych.

Kemper się uśmiechnęła.

– Zaczynam dostrzegać twoją inną stronę, Decker.

– Mam ich wiele. A więc co ustaliłaś?

– Masz rację. Sprowadziłam własną specjalistkę medycyny sądowej. Po obejrzeniu ciał i wyników badań doszła do wniosków, które niezbyt się pokrywają z tym, co ustalił miejscowy koroner. Chciałabym jednak najpierw usłyszeć twoją analizę czasu zgonu.

– Stężenie pośmiertne zaczyna się około dwóch godzin od zgonu. Najpierw tężą drobne mięśnie, twarz, kark, dopiero po nich pozostałe partie, na przykład w kończynach. Potem proces się cofa. Pełne stężenie następuje od około dwunastu do osiemnastu godzin po śmierci. Ciało pozostaje sztywne przez podobny czas. Stężenie całkowicie ustępuje po okresie od trzydziestu sześciu do czterdziestu ośmiu godzin i ciało znów staje się wiotkie. – Zamilkł na moment, zbierając myśli. – Zastosujmy tę wiedzę do naszego przypadku. Ofiary martwe od dwudziestu godzin albo dłużej w opuszczonym domu, jedna z nich w wilgotnej piwnicy... Oba ciała byłyby pokryte insektami i jajeczkami, w dodatku miałyby pierwsze oznaki rozkładu. Poza tym kończyny denata w piwnicy nie były sztywne tak jak u ludzi ze stężeniem pośmiertnym. No i ciało było o wiele za zimne, biorąc pod uwagę temperaturę otoczenia. Koroner powinien to zauważyć, mierząc temperaturę głęboką, ale on po prostu uznał, że zepsuł się jego termometr.

Kemper przez cały ten czas, kiedy mówił, potakiwała w milczeniu głową.

– A teraz posłuchaj, co ustaliła moja specjalistka. Uważa, że obie ofiary faktycznie zostały zamordowane w czasie odpowiadającym w przybliżeniu ustaleniom koronera, ale w zupełnie innych okolicznościach. – Zamilkła i spojrzała na niego. – Ciekaw jesteś, jak to możliwe, biorąc pod uwagę to, co już wiemy?

Decker jeszcze raz spojrzał na dom.

– Jeśli rzeczywiście zostali zamordowani co najmniej dwadzieścia godzin przed tym, jak ich znalazłem, nasuwa mi się tylko jedno wytłumaczenie – powiedział powoli, jakby myśląc na głos. – Ciała musiały być przechowywane w bardzo niskiej

temperaturze i szczelnie zamknięte, na przykład w zamrażarce. Dlatego nie wystąpiło u nich stężenie pośmiertne ani nie dobrały się do nich insekty. Obie rzeczy nastąpiły dopiero po tym, gdy ciała wyciągnięto na zewnątrz. To również tłumaczy, dlaczego pomiary temperatury poczynione przez koronera wykazywały tak dziwne wartości. I jest odpowiedzią na nietypową sztywność kończyn. Były sztywne nie z powodu reakcji chemicznej, która zachodzi w martwych mięśniach, ale dlatego, że dopiero tajały po wyjęciu ciała z zamrażarki. Muchy odnajdują zwłoki po zapachu płynów i gazów, które wydziela martwe ciało. Jeśli tych dwóch delikwentów zamrożono, to zapach, który wabi insekty, mógł być znikomy. Stąd niewielka infestacja. – Decker się zamyślił. – Ale jeśli tak było, to skąd piana na ustach denata z piwnicy? – dodał. – Znikłaby dużo wcześniej.

– Chyba że ktoś ją sobie przygotował i umieścił na ustach denata, kiedy podrzucał ciała do tego domu. Musiał wiedzieć, że test toksykologiczny wykaże obecność opioidów w organizmie. Piana na ustach miała sugerować, że śmierć nastąpiła w miejscu, gdzie znaleziono ciało.

– Twoja specjalistka uważa, że ciała zostały przemieszczone po śmierci?

– W przypadku jednego wie to na pewno. Wykazały to plamy opadowe.

– U wisielca, prawda? Widziałem plamy na jego placach. Nie powstałyby w tym miejscu, gdyby go powieszono i tak zostawiono.

– To samo powiedziała moja specjalistka – zauważyła Kemper.

– W istocie były dwa zestawy plam opadowych. Miejscowy koroner albo tego nie zauważył, albo nie potrafił ich odróżnić. Ślady po sznurze były ewidentnie pośmiertne.

– A więc ktokolwiek to zrobił, zadał sobie wiele trudu, żeby zagmatwać sprawę. Zapewne w nadziei, że autopsję przeprowadzi nierozgarnięty lekarz. Prawie mu się udało. Jak twoja specjalistka doszła do tego, że ciała zamrożono?

– To był tak naprawdę jedyny scenariusz, który tłumaczył wszystkie sprzeczności. Poza tym na ramieniu jednej z ofiar

znalazła charakterystyczny ślad.

– Też go zauważyliśmy. Zastanawialiśmy się, czy to nie ślad po jakimś plastrze medycznym.

– Moja specjalistka sądzi, że to przemrożenie. Jest niemal pewna, że powstało po śmierci. Podkreśliła jednak, że ustalony przez nią czas zgonu jest tylko szacunkowy. Jeśli ciała umieszczono w zamrażarce zaraz po śmierci, a następnie podrzucono w tamtym domu, ustalenie dokładnego czasu zgonu nie jest możliwe.

– Ktoś się postarał, żebyśmy nie wiedzieli, kiedy tych dwóch zginęło.

– Odbierając nam kluczowe narzędzie w każdym śledztwie o morderstwo.

– Alibi lub jego brak staje się bez znaczenia – powiedział w zamyśleniu Decker.

– Właśnie.

– Ciała przewieziono tutaj na krótko przed tym, jak je znalazłem. W tym domu nie ma zamrażarki, więc musiały być trzymane w lodzie gdzie indziej, zanim je podrzucono.

– Mówiłeś, że słyszałeś samochód.

– Tak. I jeszcze coś.

– Co?

– To bardziej sekwencja dźwięków. Zgrzyty i stukotanie.

– Nic więcej?

– Przelatujący samolot. Poza tym nic. Jak wnieść do domu dwa trupy, żeby nikt niczego nie zauważył?

– No cóż, z tego, co mi wiadomo, okolica jest dość wyludniona.

– Ale zabójcy nie mogli być pewni, czy na przykład nie zaskoczy ich przejeżdżający ulicą samochód. Albo ktoś nie wyjrzy przez okno. Wystarczyłaby jedna para oczu. – Decker zamilkł na chwilę. – Możesz mi powiedzieć, co tu robili twoi ludzie? I dlaczego pracowali pod przykrywką? Jeśli zadawali się z przestępcami, to myślę, że możemy zawęzić grono podejrzanych. Zwłaszcza w takim miejscu jak to.

Kemper zacisnęła usta i spojrzała na niego przeciągle.

– To zostanie między nami.

- Tylko i wyłącznie – przytaknął Decker.
- Will Beatty i Doug Smith. Tak się nazywali ci dwaj, których znalazłeś. Beatty to ten z piwnicy. Wisiał Smith.
- Pracowali jako tajni agenci dla DEA?
- Tak i nie – brzmiała jej zaskakująca odpowiedź.
- Jak to możliwe?
- Pracowali dla nas. Do czasu. Zanim nie przeszli na drugą stronę.
- Skąd wiesz, że przeszli? Może ich zdemaskowano?
- Braliśmy pod uwagę taką możliwość, ale stało się coś, co nam otworzyło oczy.
- Co takiego?
- Pracowali z jakimś Randym Haasem.
- To ktoś z DEA?
- Nie. Randy Haas był przestępcą, którego trzymaliśmy na krótkiej smyczy. Dostarczał nam informacji. Pracował z Beattym i Smithem. Wiedział, że jeśli nas wydyma, pójdzie siedzieć do końca życia.
- Co się z nim stało?
- Wstrzyknięto mu śmiertelną dawkę morfiny. Zanim umarł, zdążył wskazać Beatty'ego i Smitha jako swoich zabójców.
- Powiedział, co się stało?
- Nie. Tylko tyle, że to oni.
- Dlaczego mieliby go zabijać?
- Tego nie wiemy.
- Wierzysz temu Haasowi?
- Wyznanie na łożu śmierci. Jaki miałby powód, żeby kłamać? Poza tym nie mogliśmy namierzyć ani Beatty'ego, ani Smitha.
- Ktokolwiek ich zabił, wiedział, że są policjantami. Jeden został przebrany w policyjny mundur, a wokół drugiego rozlano świńską krew.
- Co nie zmienia faktu, że przeszli na ciemną stronę mocy.
- No cóż, niektórzy ludzie nie przebaczą tak łatwo – przyznał Decker. – Zwłaszcza ci z ciemnej strony mocy.

Zaledwie po trzech godzinach snu Decker zszedł do kuchni, gdzie zastał Zoe kończącą śniadanie.

Nalał sobie filiżankę kawy i wziął opiekany bajgiel od Amber, która krzątała się wokół, pakując lunch dla Zoe i jednocześnie zajmując się praniem w małym pomieszczeniu obok. Frank wyjechał już do pracy.

Decker usiadł ciężko naprzeciw Zoe. Popijał kawę i przeżuwał obwarzanka, podczas gdy ona łyżką zagarniała do buzi płatki śniadaniowe.

Kiedy na nią zerknął, zauważył, że mu się przygląda.

– Wychodził pan wczoraj – zagadnęła. – Widziałam pana z okna mojego pokoju.

– Nie mogłem zasnąć. Ale dlaczego ty jeszcze nie spałaś? Myślałem, że poszłaś prosto do łóżka.

Dziewczynka wzruszyła ramionami i postukała łyżką o miskę.

– Zoe, pospiesz się! – zawołała jej matka znad prania. – Wychodzimy za pięć minut, a ty musisz jeszcze umyć zęby i się uczesać. A tornister masz spakowany, młoda damo? Flet zabrałaś?

Zoe przewróciła oczami i siorbnęła z łyżki, nie odrywając oczu od Deckera.

– Znalazł pan już tych złych ludzi? – zapytała.

– Jeszcze nie. Pracuję nad tym.

– Ma pan śmieszny fryzurę.

– Zwykle takie mam.

– Nie, chodzi mi o to, że włosy się skleiły pośrodku.

– Ach, no tak, wylało mi się tam przez przypadek trochę kleju.

Słyszając to, Zoe się ożywiła.

– Ja też sobie kiedyś nalałam kleju na włosy. Ale nie przez przypadek. Mama się wściekła. Musiała wziąć nożyczki i trochę mi obciąć. Chce pan, żebym panu obcięła? – zapytała. – Mama nie lubi, jak biorę nożyczki – dodała konfidencyjnym tonem,

obniżając głos – ale nie musimy jej o tym mówić.

– Dziękuję, ale myślę, że pozwolę im tak rosnąć.

Zoe wróciła do płatków, ewidentnie rozczarowana.

Amber wpadła do kuchni.

– Okej, jesteś gotowa? – zapytała córkę.

– Muszę jeszcze umyć zęby i się uczesać. I nie mogłam znaleźć fletu.

– Młoda damo, wiem, że dzisiaj są twoje urodziny, ale rusz się.

Zoe uniosła na wpół wypełnioną miskę.

– Ale mam... – zaprotestowała.

– O nie, znowu to samo. Możesz dokończyć w samochodzie. A teraz jazda mi stąd! I nie wracaj z góry bez fletu. Widziałam go wczoraj wieczorem na twojej komodzie.

Zoe powoli wstała od stołu i niemrawo pomachała Deckerowi na pożegnanie.

– Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, Zoe! – zawołał za nią.

Kiedy wyszła, Amber wzięła kilka głębszych oddechów.

– Dzieci...

– Ano – przyznał Decker.

– Może to i lepiej, że nie mam syna. Chłopcy potrafią być jeszcze trudniejsi od dziewczynek.

– Nigdy nie miałem syna – odparł Decker. – Tylko córkę.

Amber znieruchomiała, następnie powoli usiadła naprzeciw Deckera.

– Alex mi mówiła... – bąknęła zmieszana.

– Taaa... – mruknął Decker.

– Przykro mi.

Kiedy nie powiedział nic więcej, wstała od stołu.

– Muszę już lecieć odwiedzić Zoe – dodała przeproszającym tonem.

– Jasne – przytaknął Decker, nie odrywając wzroku od blatu.

Kilka minut później dołączyła do niego Jamison i naląła sobie kawy.

– Widziałem wczoraj agentkę Kemper. A właściwie dzisiaj nad

ranem – powiedział.

Jamison usiadła naprzeciwko, rozdziawiając usta ze zdziwienia.

– Kemper? Gdzie?

– Przed domem, w którym znalazłem dwa ciała.

– A co ty tam robiłeś?

– Nie mogłem zasnąć. Przechodziłem tamtędy. Poznałem Freda Rossa. Sąsiada, z którym Green i Lassiter jeszcze nie rozmawiali. Ten stary kutafon trzyma pod kocem strzelbę z krótką lufą. Myślałem, że mnie zastrzeli.

– Jezu, Decker, czy ty nie możesz po prostu chodzić spać jak normalny człowiek?

– Twierdzi, że tamtego wieczoru nie było go w domu. Ale powiedział coś jeszcze.

– Co?

– Że w Baronville nie ma rzeczy nielegalnych.

Jamison zmarszczyła czoło.

– I co to niby znaczy?

– Nie wiem. Potem, kiedy wracałem od Rossa, przechodziłem jeszcze raz koło Domu Mordu i akurat wyszła z niego Kemper.

– Potraktowała cię z góry?

– Nie, wręcz przeciwnie. Wydaje mi się, że spuściła z tonu. Powiedziała mi coś o tych dwóch denatach. Rzeczywiście byli agentami DEA. Nazywali się Will Beatty i Doug Smith. Beatty to ten w piwnicy. Działali pod przykrywką, tak jak myślałem. Tyle że, według Kemper, obaj zaczęli coś kręcić na własną rękę.

– W sensie?

– Rzekomo zabili przestępcę, z którym współpracowali. Niejakiego Randy’ego Haasa. Wygląda na to, że Beatty i Smith zostali zabici, a ich ciała wsadzone do zamrażarki, żeby nie można było ustalić czasu zgonu. Kemper przywiozła ze sobą specjalistę medycyny sądowej, bo do miejscowego koronera nie miała zaufania.

– Podobnie jak ty. Najwyraźniej słusznie.

– Beatty zmarł z przedawkowania bardzo silnego opioиду, którego ewidentnie sam sobie nie zaaplikował. Smith się udusił, ale nie sznurem, na którym wisiał.



- A więc przywieziono ich do tego domu już martwych?
- Na to wygląda.
- Po co tyle zachodu?
- Nie mam pojęcia.
- Przywożenie tu dwóch ciał było ryzykownym posunięciem.

Ktoś mógł coś zobaczyć.

- Wiem. Dla mnie też jest to niezrozumiałe.
- A więc Beatty i Smith zeszli na złą drogę?
- Tak sądzi Kemper.
- A ty? Co o tym myślisz?
- Za mało wiem, żeby mieć na ten temat własną opinię. Wciąż zbieram informacje.

– Co robimy?

– Drażymy dalej. Następnym na naszej liście jest Bradley Costa, bankier. Najpierw pojedziemy do jego miejsca pracy. Potem tam, gdzie mieszkał. Później sprawdzimy Michaela Swansona. A jeszcze później chcę porozmawiać z Johnem Baronem Czwartym.

– Baronem? Po co?

– Jak już wspomniałem, moim zdaniem kłamał, że nie zna żadnej z ofiar. Każdego, kto kłamie w takiej sprawie, chcę poznać lepiej.

– Z tego, co mówiłeś, wydaje się ciekawą osobą.

– Bo jest. Co nie znaczy, że nie może być w to wszystko zamieszany. – Decker się zamyślił. – Ciekawi mnie, dlaczego nadal mieszka w mieście, które tak go nienawidzi.

– Może to rodzaj pokuty?

– A może jest ku temu inny powód.

Decker sięgnął po kartkę z numerami i uniósł ją.

– Co to takiego? – zapytała Jamison.

Wyjaśnił, na czym polegał test, który mu zrobiła jej siostrzenica.

– Myślę, że Zoe jest tobą naprawdę zaintrygowana.

– Nie w tym rzecz. Po tym, jak doznałem wstrząśnienia mózgu, spojrzałem na tę kartkę jeszcze raz i nie mogłem zapamiętać ostatnich dwóch cyfr. Później spojrzałem znowu i przypomniałem je sobie, ale zapomniałem niektórych pośrodku.

- Myślisz, że to ma związek z urazem głowy?
- Nie wiem. To możliwe. Nawet prawdopodobne.

Wyglądał tak posępnie, że Jamison uznała za stosowne podnieść go na duchu.

– Decker, twoja fenomenalna pamięć to nie jedyna rzecz, która sprawia, że jesteś taki dobry w tym, co robisz. Pracujesz w tym fachu od ponad dwudziestu lat. Znasz się na tym. Potrafisz dedukować jak nikt inny. I nie odpuszczasz.

- Możliwe...
- Żadne tam możliwe, tylko tak jest.
- Dzięki, Alex. Doceniam to.
- Wow, może to wstrząśnienie miało jakieś pozytywne skutki.
- Co przez to rozumiesz?

Jamison westchnęła.

– Nieważne. – Spojrzała na niego, bezwiednie obracając w palcach swoją filiżankę. – Czy Kemper faktycznie przekonała się do współpracy z nami?

– Tak myślę. Ale nawet gdyby nie, i tak będziemy robić swoje. – Nigdy nie martwisz się ewentualnymi konsekwencjami, prawda?

– Na pewno nie wtedy, gdy w grę wchodzi morderstwo.

Decker rozejrzał się i zmarszczył brwi. Nie lubił banków. Szczególnie od czasu, kiedy jeden w Burlington zabrał mu dom i samochód, zostawiając go bez dachu nad głową i bez kół pod tyłkiem.

Biuro Bradleya Costy w Baronville National Bank było przestronne i pełne pamiątek z miejscowych imprez. Bank sponsorował wszystko – od uczelnianych debat po drużyny bejsbolowe Małej Ligi, a także miejscowy klub Kiwanis i weteranów z lokalnego oddziału VFW.

W pomieszczeniu nie było zdjęć rodzinnych. Costa był kawalerem i nie miał dzieci. Urodził się w Nowym Jorku, w Queens. Skończył college w Syracuse, tytuł magistra studiów menedżerskich zdobył na Uniwersytecie Nowojorskim, a zanim przeprowadził się do Baronville, pracował na Wall Street.

Jamison przyglądała się zdjęciom na ścianie.

– Sesja z gubernatorem, burmistrzem, radą miasta, komendantem policji. Tam z miejscowym towarzystwem historycznym, paniami z klubu ogrodnika i Córami Amerykańskiej Rewolucji. Facet potrafił się wszędzie wkręcić.

Decker omiół wzrokiem pomieszczenie.

Schludne, ergonomiczne, wydajnie zorganizowane stanowisko pracy. Należało do kogoś, kto został zastrzelony w warsztacie samochodowym w towarzystwie miejscowego dilera narkotykowego, z którym nie miał żadnych ewidentnych powiązań.

Rozmawiali już z ludźmi z banku, którzy pracowali z Costą. Wszyscy określali go mianem przyjaznego, pracowitego i w najwyższym stopniu uczciwego. Nie mieli pojęcia, dlaczego ktoś go zamordował, i żaden z nich nie sądził, by coś go łączyło z Michaelem Swansonem.

– Myślisz, że Costa prowadził drugie życie, o którym nikt nie wiedział? – zapytała Jamison.

Decker podniósł zdjęcie z biurka. Był na nim Costa z młodą kobietą.

– Znam ją – powiedział.

– Skąd?

– To kelnerka z baru Merkury. Ma na imię Cindi. Ona i Baron się przyjaźnią.

Jamison zerknęła na zdjęcie.

– Costa był przystojniakiem, a Cindi jest naprawdę piękna. Może coś ich łączyło?

– Dowiedzmy się – rzucił Decker.

Jamison zawołała Emily Hayes, sekretarkę Costy, którą zapytali o zdjęcie.

– O ile dobrze pamiętam, zostało zrobione na spotkaniu lokalnego biznesu. Brad często organizował takie imprezy. Baronville miało swoje enklawy sukcesu i bogactwa, a on był dobry w ich eksplorowaniu. Urządzał u siebie spotkania towarzyskie. Wcześniej nie mieliśmy tu nikogo, kto by coś takiego robił. Miał w sobie niespożytą energię, której tu potrzebowaliśmy. Będzie nam go bardzo brakowało.

Biorąc pod uwagę jej wyraz twarzy i ton głosu, Decker zaczął się zastanawiać, czy pięćdziesięcioletnia Hayes nie podkochiwała się w młodym, charyzmatycznym bankierze.

– A więc zna pani tę kobietę? – zapytał.

– Tak, oczywiście. To Cindi Riley, właścicielka baru Merkury.

– To jej bar? – zapytał Decker, nieco zdziwiony. – Wygląda dość młodo jak na właściciela takiego lokalu.

– Ten bar wcześniej należał do jej ojca. Ale ona też sobie daje radę.

– Costa i Riley byli parą?

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– To była jedyna fotografia na jego biurku. Domyślam się, że robił sobie zdjęcia z wieloma przedstawicielami miejscowego biznesu.

Hayes wyglądała na zakłopotaną.

– Nie wiem, co panu powie. Brad rozdzielał życie osobiste i zawodowe. Poza tym nie zwierzał mi się ze swoich spraw

sercowych.

– A John Baron? – zapytał Decker.

Kobieta nastroszyła brwi.

– Ale o co pan pyta?

– Był klientem waszego banku?

– Kiedyś miał tu konto, tak.

– Znał Costę?

– Jeśli nawet, to nic o tym nie wiem – odparła i się zadumała. – Teraz, kiedy o tym myślę, zaczynam kojarzyć, że nasz bank objął hipoteką posiadłość Baronów. Ale szczegółów nie znam.

– Czy tę umowę zawierał Costa?

– To oczywiście możliwe, ale nie mam pewności. Nie jestem uprawniona do przeglądania kont klientów ani tym bardziej do ujawniania komukolwiek informacji na ich temat.

– Rozumiem. Zna pani Barona osobiście? – zapytał Decker.

Hayes się skrzywiła.

– Nie.

– Mam wrażenie, że go pani nie lubi – zauważyła Jamison.

Sekretarka zmroziła ją wzrokiem.

– Mój dziadek zmarł w jednej z kopalni Baronów. A moja matka latami harowała przy krosnach. Pewnego dnia przyszła na swoją zmianę i zobaczyła na drzwiach informację, że zakład zamknięto. Zlikwidowano. Bez żadnego ostrzeżenia. Miał być plan emerytalny. Nie doczekała się. Zmarła wkrótce potem, pewnie ze stresu.

– Ale wtedy ten zakład, tak jak wszystkie inne, już nie należał do Baronów, którzy je wyprzedali dużo wcześniej, prawda? – zapytał Decker.

Hayes założyła ręce na piersi i spojrzała na niego gniewnie.

– Naprawdę myśli pan, że Baronowie, gdyby wtedy wciąż byli właścicielami, postąpiliby inaczej?

Decker gładko zmienił temat.

– Co jeszcze może nam pani powiedzieć o Coście? Czy tego dnia, kiedy zaginął, był w pracy?

– Tak. Cały dzień. Pan Beecher, nasz prezes, wezwał policję, kiedy Brad nie przyszedł do pracy następnego dnia i nie

mogliśmy się z nim skontaktować.

– Tamtego dnia nie wydarzyło się nic niecodziennego?

– Niczego takiego nie zauważyłam. Brad wyglądał i zachowywał się normalnie. Już mnie o to pytała policja. Powiedziałam im to samo.

– Czy miał jakieś plany na wieczór?

– Nic mi o tym nie wiadomo. Nie mówił mi takich rzeczy.

– A czy Costa miał jakieś problemy z kimś stąd? – zapytał Decker. – Może z którymś z klientów?

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– Często pani to powtarza – zauważył Decker. – A czy byłoby pani wiadomo, gdyby Costa miał z kimś zatarg?

Słyszac to, Hayes nieco się zjeżyła.

– Jestem jego sekretarką, więc pewnie tak – przyznała – ale on dobrze żył ze wszystkimi tutaj. Wszyscy go lubili. Był bardzo radosną osobą. Co do klientów... To prawda, że w niektórych wypadkach bank musiał egzekwować spłatę pożyczek albo przejmować nieruchomości, które były ich zabezpieczeniem. Ale ludzie tu płacą swoje należności, jeżeli tylko mogą. Jeśli nie dają rady i przez to tracą domy albo samochody, nie mają pretensji do banku. Umowa jest umową.

– Bardzo szlachetnie z ich strony – rzucił Decker tonem, który zdradzał, że nie wierzy w słowa sekretarki.

– Wybieracie się teraz do apartamentu pana Costy? – zapytała Hayes.

– Tak. Dlaczego pani pyta? – zainteresował się Decker.

– Może byście przy okazji podlali kwiaty. Tylko tyle.

– A więc bywała tam pani? – zapytał.

– Pomagałam w organizacji spotkań biznesowych – odpowiedziała spłoszona.

Kiedy wyszli z budynku, pierwsza odezwała się Jamison.

– No cóż, pani Hayes nie miała za wiele do powiedzenia, ale może po prostu nic więcej nie wie.

– Albo zwyczajnie kłamie – odparł Decker.

– Kwiatom rzeczywiście przydałoby się trochę wody – zauważyła Jamison.

Stali z Deckerem na środku loftu Costy w centrum Baronville.

Apartament miał ściany z cegły. Był przestronny i urządzony z polotem, który zdradzał połączenie zasobnego portfela i asysty profesjonalnego dekoratora wnętrz.

– Przytulne gniazdko – powiedziała Jamison, rozglądając się. – Sporo musiał wydać na to wszystko. Na dole jest tabliczka z informacją, że był tu kiedyś zakład włókienniczy. Ostatecznie Baronowie zostawili coś po sobie mieszkańcom miasta.

– No cóż, Costa już się nie nacieszy swoim gniazdkiem – mruknął Decker.

Spojrzał na półkę wbudowaną w ścianę. Stały tam rozmaite oprawione w ramki fotografie. Podszedł i przyjrzał się im kolejno.

– Popatrz na to.

Jamison stanęła obok.

Decker wskazał na zdjęcie drużyny bejsbolowej Małej Ligi.

– Co w tym takiego niezwykłego? Jego bank sponsorował takie zespoły.

– To prawda, ale spójrz na trenera.

Jamison zerknęła na uśmiechającego się ze zdjęcia wysokiego, szczupłego mężczyznę.

– Przystojny. Kto to?

– John Baron.

– Żartujesz.

Decker spojrział na datę wygrawerowaną na ramce.

– Sprzed roku. Baron trenował drużynę sponsorowaną przez bank, ale nie znał Costy, jednego z miejscowych ważniaków?

– To możliwe. Nie musisz znać osobiście trenera, żeby sponsorować drużynę. Trzeba tylko wypisać czek.

– Ale to jest jedyne zdjęcie związane z jego pracą – zauważył

Decker. – Na pozostałych są góry, rzeki i pejzaże okolic. Costa mógł być fotografem amatorem, ale dlaczego to jedno stoi tutaj? Reszta zdjęć zespołu Małej Ligi znajduje się w biurze.

– Nie wiem.

Decker podszedł do okna i wskazał ręką przed siebie.

– John Baron zapewne mieszka tam, na szczycie tego wzgórza.

Jamison popatrzyła we wskazanym kierunku.

– Nieźle, nawet stąd widać, jaki wielki ma dom.

– Ale wygląda, jakby się sypał.

– Wyobraź sobie, ile trzeba wydać na jego utrzymanie. Samo ogrzewanie musi kosztować fortunę.

– Nie sądzę, żeby Baron miał fortunę. Już nie.

– Może zajmuje tylko część domu.

– To miejsce też nie było tanie – stwierdził Decker, przenosząc uwagę z powrotem na apartament.

– Przypuszczam, że Costa dobrze zarabiał. Koszty życia są tutaj raczej niewielkie. Poza tym pewnie coś odłożył w Nowym Jorku.

– Zapewne, ale dlaczego tu?

– Dlaczego co?

– Pracował na Wall Street. Dlaczego przyjechał do banku w Baronville? O ile pamiętam, na Wall Street nie brakuje banków. Dla takiego gościa jak on to musiał być krok wstecz.

– Są tacy, którzy lubią zmiany – zasugerowała Jamison.

– Aż tak radykalne? Przeprowadzić się na prowincję, do upadającego miasta? Jakie miał tu perspektywy?

– Był w swoim żywiole, generował biznes. Miał tu pole do popisu. I miasto tylko dla siebie.

– I skończył zastrzelony, powieszony na łańcuchu w warsztacie samochodowym, z dziwnym znakiem na czole. Cóż za zwieńczenie kariery rekina z Wall Street.

– Przecież facet nie mógł tego przewidzieć – odparła Jamison.

Decker nic nie odpowiedział, tylko rozglądał się dalej.

– Green mówił nam, że Joyce Tanner straciła pracę w JC Penney – przypomniała Jamison. – Nie widzę w tym nic podejrzanego. Razem z nią zwolniono pięć innych osób. A potem sklep zamknięto. Żadnych związków z Costą, w każdym razie niczego



takiego nie ustaliliśmy. Ani z Babbotem. Michaela Swansona jeszcze nie sprawdziliśmy. Może był dilerem ich wszystkich.

– U Babbota nie znaleźliśmy żadnych przedmiotów, które by świadczyły o tym, że się narkotyzował. Podobnie jak tu czy w mieszkaniu Joyce Tanner. Poza tym nikt, z kim rozmawialiśmy, nie wspomniał, że widział jakiegokolwiek oznaki zażywania narkotyków przez Costę, Tanner czy Babbota.

– Myślę jednak, że wątku narkotyków nie możemy całkowicie wykluczyć. Babbot zażywał silne środki przeciwbólowe. Poza tym jest tu DEA.

Decker postukał palcem w szybę, za którą rozciągała się panorama miasta.

– Może nie mieli ze sobą związku – powiedziała.

– Czyli morderstwa były przypadkowe?

– Niekoniecznie.

– Decker, jeśli nie ma między nimi związku, to siłą rzeczy były przypadkowe. Tak czy nie?

– Może te cztery osoby się nie znały, ale wszystkie miały związek z kimś innym. Pająk w środku pajęczyny, piasta koła. Ta osoba może być wspólnym mianownikiem.

Jamison usiadła na krześle i się zamyśliła.

– Ale kto to mógłby być?

– Cóż, gdybym to wiedział, pewnie rozwiązałbym tę sprawę – stwierdził Decker. – Chodźmy.

– Dokąd? – zapytała Jamison, odruchowo zrywając się z krzesła.

– Zajrzeć do ostatniej mety Michaela Swansona.

Ostatnim znanym miejscem, w którym mieszkał Swanson, był motel na przedmieściach Baronville. Adres podał im Green. Okolica motelu okazała się najbardziej zapuszczona ze wszystkich, jakie Decker i Jamison widzieli do tej pory.

– Przypomina mi miejsce, w którym swego czasu mieszkałem – zauważył Decker, rozglądając się po małym pokoju.

Wspólna łazienka znajdowała się na końcu korytarza. Menedżer motelu powiedział im, że Swanson wyniósł się dwa miesiące

wcześniej. Nie zostawił adresu kontaktowego.

Po obejrzeniu pustego pokoju wrócili do biura menedżera.

– Miejskowa policja już u pana była? – zapytała Jamison.

Menedżer, szpakowaty mężczyzna około pięćdziesiątki, kiwnął głową.

– Powiedziałem im to samo co wam. Mike zwinął się stąd jakieś osiem tygodni temu. Od tego czasu go nie widziałem.

– I już go nie zobaczysz. Nie żyje – zauważył Decker.

– Cholera, wszyscy wiedzieli, że Mike sprzedaje prochy. Jakie życie, taka śmierć.

– Co jeszcze może nam pan o nim powiedzieć? – zapytała Jamison.

– To był, o dziwo, miły gość. Kiełbie we łbie, że się tak wyrażę, ale dał się lubić. Pomagał niektórym z tutejszych mieszkańców. Gdyby nie te narkotyki, nie byłoby się do czego przyczepić. Boleję nad tym, że nie żyje, naprawdę.

– Pozwolił mu pan tu mieszkać, chociaż wiedział pan o narkotykach? – zapytała Jamison.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Cholera, paniusiu, gdybym robił inaczej, połowa mieszkańców Baronville nie mogłaby tu mieszkać, łącznie z moją własną matką, a ona dobija osiemdziesiątki.

– Czy ktoś go tu odwiedzał? – zapytał Decker.

– Raczej nie. Nie sądzę, żeby miał wielu przyjaciół.

– Widział go pan na krótko przed tym, jak zaginął?

– Nie widziałem Mike'a od czasu, kiedy się stąd wyprowadził.

– Miał jakichś wrogów? – dociekała Jamison.

– Nie wiem. Ale sprzedawał prochy, więc mógł mieć.

– A samochód miał?

– Nie. Tylko rower. Zabrał go, kiedy się stąd wynosił.

– Wie pan, jak wyglądał? – zapytał Decker.

– Tak. Miał dwa koła.

Wyszli z motelu, nie wiedząc wiele więcej niż wcześniej.

– To dochodzenie posuwa się w tempie roweru bez dwóch kół – skwitowała Jamison, opierając się o samochód.

Decker spojrzał przez ramię.

– Widać go praktycznie z każdego miejsca w Baronville. Musi kłuć miejscowych w oczy.

Jamison podążyła wzrokiem za jego spojrzeniem.

– Rodzinna posiadłość Johna Barona?

– I nasz następny przystanek. – Decker spojrzał na zegarek. – O tej porze powinien już być na nogach.

Upadek.

To było słowo, które nasuwało się Deckerowi, kiedy kontemplował z zewnątrz rezydencję Baronów.

Załomotał już dwukrotnie do obdrapanych podwójnych drzwi wejściowych, ale bez żadnego efektu.

– Może go nie zastaliśmy – powiedziała Jamison.

– To duży dom. Baron pewnie ma daleko do drzwi. Powiedział mi, że zwykle jest tutaj.

Kilka chwil później rzeczywiście usłyszeli odgłos zbliżających się kroków.

Drzwi się rozwarły i John Baron Czwarty wyjrzał na zewnątrz.

Decker zwrócił uwagę, że ma na sobie ubranie z poprzedniego wieczoru. Był rozczochrany i ewidentnie zaspany.

– Obudziliśmy pana? – zapytał Decker, spoglądając na niego przeciągle. Było już późne popołudnie.

Baron skwitował jego uwagę uśmiechem i się przeciągnął.

– Gwoli ścisłości, tak. Oczywiście nie spałem od wczoraj. Zwlokłem się z łóżka w południe, jak zwykle. To była tylko drzemka przed pójściem do łóżka wieczorem. – Spojrzał na Jamison, która zrobiła wielkie oczy. – A kogo my tu mamy? – zapytał.

– Tu mamy Alex Jamison – odpowiedziała. – Jestem partnerką Deckera.

– Szczęściarz z ciebie, Decker – zauważył Baron. – Czemu zawdzięczam waszą wizytę?

– Prowadzimy dochodzenie w sprawie serii morderstw – powiedział Decker.

– A tak, wspominałeś.

– Chcielibyśmy zadać kilka pytań.

– Mnie? Dlaczego? – rzucił z niezmałym uśmiechem.

– Rutynowe działania.

– Oczywiście. Tak mówi policja, kiedy nie ma podstaw

do przesłuchania, ale i tak chce się wprosić. No cóż, będę zaszczycony, ale tylko pod warunkiem że obecna tu czarująca Alex też będzie zadawać pytania. – Cofnął się do wnętrza domu i skinął na nich.

Gdy przekroczyli próg, zamknął za nimi drzwi.

Jamison od razu zadrżała, reagując na podmuch chłodnego powietrza w holu. Baron to zauważył.

– Ogrzewanie włączam dopiero w styczniu, tak więc musi minąć jeszcze kilka miesięcy, zanim wróci ciepło. Piec jest opalany olejem. To paskudnie dużo kosztuje, a trzeba żyć z tego, co się ma.

Poprowadził ich w głąb budynku. Po obu stronach przestronnego holu mijali pomieszczenia olbrzymich rozmiarów, udekorowane i umeblowane w stylu sprzed wielu dekad. W każdym panowała atmosfera rozkładu.

– Robi wrażenie – zauważyła Jamison.

– W rzeczywistości robota była partacka, a użyte materiały najtańsze z możliwych.

– Dlaczego? – zaniepokoił się Decker.

– Baron Pierwszy miał węża w kieszeni. Myślę, że jego idolem był Ebenezer Scrooge<sup>6</sup>. Jednocześnie chciał, żeby symbol jego bogactwa był widoczny z każdego punktu w mieście. I oto rezultat.

– A robotnicy? Nie znali się na rzeczy?

– Wręcz przeciwnie. Słyszałem, że byli znakomici. Ale nienawidzili swojego zleceniodawcy, dlatego zrobili fuszerkę. Tak przynajmniej się mówiło w mojej rodzinie. – Przystanął i wskazał na jedno z pomieszczeń. – Zbrojownia.

Wprowadził ich do wnętrza o powierzchni około dwudziestu metrów kwadratowych. Na trzech ścianach zamontowano stelaże, ale tylko na jednym znajdowało się kilka sztuk długolufowej broni: jedna zabytkowa nadlufka<sup>7</sup>, trzy sztucery i jedna elegancko wyglądająca flinta. W przeszklonych gablotach

---

6 Ebenezer Scrooge – główny bohater Opowieści wigilijnej Charlesa Dickensa; skąpiec i odludek.

7 Nadlufka – broń myśliwska o pionowym układzie luf, tzn. jedna nad drugą.

pośrodku widniało kilka par pistoletów, garłacze, stare kule i przeróżne akcesoria myśliwskie.

– Baron Pierwszy uważał się za feudała i taki wizerunek siebie kreował.

– Polował? – zapytał Decker.

– Tylko na pieniądze. I nie używał broni palnej. Jedyne noża, którym dźgał innych w plecy.

Słyszając to, Jamison uniosła brwi.

– Kiedyś musiało tu być mnóstwo broni – zauważyła.

– Kiedyś było tu mnóstwo wszystkiego. Co do broni, wyprzedaję ją po trochu, żeby mieć z czego żyć. Jak widać, te zasoby już są na wyczerpaniu. A teraz zapraszam do mej małej prywatnej kwatery.

Baron zaprowadził ich korytarzem do przestronnego pomieszczenia. Przywodziło na myśl scenografię ze sztuki, której akcja rozgrywa się w pierwszych latach XX wieku.

Pod ścianą naprzeciw drzwi stało olbrzymie dwustronne biurko. Na blacie spoczywał komputer, który mimo leciwego wyglądu wydawał się nie na miejscu wśród zgromadzonych wokół antyków. Były tam regały, ławy zastawione książkami i papierami, staroświecki wolno stojący globus z metalu i skórzana kanapa, która ugięła się prawie do samej podłogi. Pod jedną ścianą znajdował się bogato rzeźbiony stolik, na którym spoczywały opróżnione do połowy butelki alkoholu i kieliszki z ciętego kryształu. Przy biurku stały dwa obite pluszem krzesła, które Baron wskazał swoim gościom. On sam zasiadł za biurkiem, po czym rozsunał na boki sterty książek i papierów przed sobą. Z tyłu wisiały mocno poplamione ciemnozielone kotary.

Krzesło Deckera niepokojąco zatrzeszczało, ale utrzymało jego ciężar. Detektyw zerknął na pudełkowaty komputer.

– To czym się zajmuje na co dzień spadkobierca tego wszystkiego? – zapytał.

– Skąd pewność, czy nie żyję z olbrzymiego majątku, który rzekomo odziedziczyłem? – odparł Baron, chociaż jego szeroki uśmiech zdradzał, że to nie było poważne pytanie. Potem

wskazał na komputer. – Robię kwerendy dla profesorów z Penn State i U Penn<sup>8</sup>. Płacą marnie, ale mogę to robić stąd. I zawsze to jakiś dochód.

– Czego dotyczą te kwerendy? – zapytała Jamison.

– Głównie historii. Lubię sięgać do przeszłości. Pozwala mi to oderwać się na trochę od niewesołej terażniejszości i nabrać dystansu.

– Badał pan historię własnej rodziny? – zaciekawiał się Decker.

– Nie różni się specjalnie od historii innych rodów okolicznych wyzyskiwaczy.

– Baron to wasze prawdziwe nazwisko rodowe czy może takie przybrał sobie wasz antenat, Baron Pierwszy? – zapytała Jamison.

– O ile mi wiadomo, to autentyczne nazwisko, chociaż mój antenat nie zdziwiłby mnie już niczym. – John Baron założył ręce za głowę, rozsiadł się w fotelu i położył swoje wielkie stopy na biurku. – Okej – oświadczył – jestem gotowy na wasze rutynowe pytania.

Jamison wyjęła dyktafon. Baron od razu zauważył, że Decker tego nie uczynił.

– Twoja partnerka nagrywa dla was obojga?

– Nie, mam całkiem dobrą pamięć.

– Użyteczna rzecz.

– Taka bywa.

– Zatem co chcecie wiedzieć?

– Pytałem wcześniej, czy znał pan którąś z ofiar.

– Mgliście to pamiętam.

– A pamięta pan chociaż mgliście, co wtedy odpowiedział? Że nie.

– Możliwe.

– Panie Baron, albo tak, albo nie – wtrąciła Jamison.

Spojrzał na nią z rozbijającym uśmiechem.

– Droga Alex, normalnie odpowiedziałbym na takie pytanie bez wahania, ale w czasie kiedy twój partner mi je zadawał, byłem

---

<sup>8</sup> Penn State i U Penn – Pennsylvania State University i University of Pennsylvania; pierwsza z tych uczelni jest państwowa, druga prywatna.

już po spożyciu znacznej ilości alkoholu. Mówiąc inaczej, byłem pijany. Powinienem być wrócić do domu na piechotę. Omal nie wjechałem samochodem do rzeki. Niech mi jednak wolno będzie zauważyć, że twoja uwaga była wyjątkowo celnie sformułowana i jak najbardziej na miejscu.

Jamison popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

– Aha, okej – mruknęła.

Baron przeniósł wzrok na Deckera.

– Teraz, kiedy jestem w miarę trzeźwy, możemy zacząć jeszcze raz?

Decker ponownie wymienił nazwiska ofiar, przemilczając te zidentyfikowanych agentów DEA.

– No cóż, mieszkałem w Baronville całe życie, nie licząc skróconego pobytu w college’u. Jeśli to byli miejscowi, mogłem gdzieś ich spotkać albo nawet znać, nie kojarząc szczegółów.

– Joyce Tanner mieszkała tu od ponad czterdziestu lat. Była mniej więcej w pana wieku. Swanson przeżył tu całe swoje życie i był około trzydziestki. Costa i Babbot przyjechali stosunkowo niedawno.

– Nie kojarzę żadnego z tych nazwisk.

– Znaleźliśmy fotografię, na której jest pan z drużyną Małej Ligi. Dzieciaki pozują z bannerem zwycięzcy. Zdjęcie jest z zeszłego roku.

Baron się uśmiechnął.

– To dlatego, że w zeszłym roku wygraliśmy mistrzostwa stanowe.

– Gratuluję. Drużynę sponsorował bank. Costa był tam starszym wiceprezesem. Zdjęcie stało u niego w domu.

– Naprawdę? Ciekawe dlaczego – powiedział Baron i przeniósł uwagę na Jamison. – Grałem w bejsbol w college’u, na stypendium. Już na pierwszym roku zwerbowali mnie do Braves’ów.

– Imponujące – mruknęła Jamison.

– Byłem miotaczem. Miałem silne ramię. Potrafiłem przywalić. No i byłem szybki w nogach.

– I co się stało?



Baron znowu uśmiechnął się rozbrajająco.

– Ogólnie nazywają to życiem. – Potem spojrzął na Deckera. – Trenowałem tu drużynę Małej Ligi około dziesięciu lat. Rok, w którym wygraliśmy, był moim ostatnim.

– Dlaczego? Nie lubi pan wygrywać?

– Ludzie mówili, że jestem zbyt kontrowersyjny. Za bardzo im śmierdziałem Baronem.

– To dlaczego pozwolili panu być trenerem przez dziesięć lat? – zapytał Decker. – Wtedy im pana nazwisko nie przeszkadzało?

– Nie jestem pewien. Musielibyście pogadać z szacownymi mieszkańcami Baronville. Może po prostu lubili szydzić i wydzierać się na mnie, kiedy szło nam gorzej. To, że doprowadziłem drużynę do mistrzostwa stanu, tylko ich wkurzyło. W każdym razie kiedy się zjawiłem na wiosnę tego roku, by wznowić treningi, powiedziano mi, że moje usługi już nie będą potrzebne.

– Kto panu to powiedział?

– Nie pamiętam jego nazwiska. Za to dobrze zapamiętałem triumfalny ton jego głosu.

– Dlaczego pan tu został? – zapytał Decker. – Po co tu siedzieć i znosić to wszystko dzień w dzień?

Baron zdjął nogi z biurka i wyprostował się w fotelu. Chociaż teraz wyglądał poważniej, w jego jasnoniebieskich oczach wciąż tliła się iskierka autoironii.

– Może to zabrzmiało masochistycznie, ale polubiłem ten pojedynek. Jeśli stąd wyjadę, będzie to oznaczało, że wygrali. Poza tym gdzie miałbym się podziąć?

– Do diabła, co za życie...

– Prawda? Ale jest moje.

– Więc nadal pan twierdzi, że nie zna Bradleya Costy?

– Nie sądzę. Tylko trenowałem dzieciaki. Bank płacił za stroje, piłki i kartony z sokiem. – Nagle wstał zza biurka. – Chętnie bym was oprowadził po domu, ale może powinniście się najpierw zaszczepić na tężec. W takim razie proponuję spacer po włościach. Już nie są takie rozległe, jak kiedyś, ale oderwiecie się na pół godziny od życia w Baronville. Co powiecie

na przechadzkę do rodzinnej krypty? Miejsce trochę upiorne, ale urokliwe.

Zanim zdążyli odpowiedzieć, po prostu wyszedł z pokoju.

Jamison spojrzała na Deckera.

– Nieźle, po prostu wziął i wyszedł. Kogo ci to przypomina?

Decker zerknął na nią.

– No kogo?

W odpowiedzi tylko teatralnie przewróciła oczami.

Kiedy tylko ruszyli w dół krętą brukowaną drogą w stronę rodzinnego cmentarza, Baron wziął Jamison pod rękę.

– Oczywiście jest to zwyczaj z dawnych czasów – zauważył – żeby chować bliskich na terenie własnej posiadłości. Wtedy tak się robiło. Dlatego jest tu brukowana droga – żeby kondukt żałobny mógł tędy przejechać. Mam nawet upatrzone miejsce dla siebie, bo kiedyś i na mnie przyjdzie czas. Ufam, że odłożę dość pieniędzy na własny pochówek.

– A chce pan być tu pochowany?

– W ogóle nie chcę umierać, ale to nie zależy ode mnie, prawda?

Cmentarz otoczony był ceglany murem wysokim na dwa metry i gęstymi drzewami, pogrążającymi wszystko w kojącym półmroku.

– Tak, pierwsze wrażenie jest przytłaczające – powiedział Baron, jakby reagując na niepewną minę Jamison.

Wyjął z kieszeni klucz i otworzył rdzewiejącą bramę z kutego żelaza, stanowiącą jedyne wejście na teren cmentarza.

Wskazał na inskrypcję wyrytą na mosiężnej tabliczce przyśrubowanej do muru obok bramy.

– To po łacinie? – upewniła się Jamison.

– Bardzo dobrze, Alex – pochwalił ją Baron.

– Co tu jest napisane? – zapytał Decker.

– Dymaj innych, zanim oni zrobią to samo tobie.

– Wcale nie – odpowiedziała Jamison ze śmiechem.

– No może tylko oddaje ducha. W wolnym tłumaczeniu brzmi to „Tutaj spoczywają na wieki wieków potężni Baronowie. Zważajcie na to, kmiotki”.

Jamison znowu się roześmiała.

Baron poprowadził ich w głąb przestronnej nekropolii. Większość grobów miała sztywno płyty z marmuru lub granitu, na których wyryto imiona pochowanych. Nagrobki stały w idealnym porządku, równo i prosto. Ktoś ewidentnie zadbał

o to, by się dobrze prezentowały. W samym środku cmentarza mieściło się wielkie marmurowe mauzoleum, mocno już nadgryzione zębem czasu.

Podeszli do budowli i kolejnej zardzewiałej bramy z kutego żelaza, która strzegła wejścia do wnętrza. Marmur wokół był pokryty jakimś nalotem, od zewnątrz ściany zaszły wiekowym brudem. Białawe smugi przeplatały się z plamami rdzy i pleśni.

– Tu spoczywa nasz założyciel i łaskawca, wspomniany wcześniej John Quarles Baron Pierwszy – oznajmił John. – A także jego żona Abigail i troje ich dzieci. Oraz inni członkowie rodziny, którzy zmarli po nich.

– W środku musi być sporo miejsca – zauważył Decker.

– To kolejna kość niezgody między Baronami a mieszkańcami Baronville. Przeszkadza im, że Baronowie nawet po śmierci mają lepiej niż oni.

Decker zwrócił uwagę, że z jednej strony mauzoleum zapadło się kilkanaście centymetrów w ziemię.

– Fuszerka? – zapytał.

– Myślę, że sam jest sobie winien. Chciał zaoszczędzić nawet na miejscu swego ostatecznego spoczynku.

– Strasznie... zapuszczone to miejsce – zauważyła Jamison.

– Przychodzę tu od czasu do czasu uporządkować cmentarz i pozostałe groby, ale mauzoleum nie ruszam. Nie można go oczyścić myjką ciśnieniową ani kwasem. Tylko uszkodziłbym konstrukcję, marmur zacząłby się rozpadać. A ręcznie nie zamierzam tego szorować. Nie zrobiłbym tego, nawet gdybym kochał Barona Pierwszego, a tak nie jest. – Wyjął z kieszeni kolejny klucz. – Chcecie zajrzeć do środka?

Jamison momentalnie się cofnęła.

– Pewnie – rzucił Decker.

Baron otworzył drzwi, pchnął je i wszedł pierwszy. Decker ruszył pewnym krokiem. Jamison, ociągając się, podążyła za nimi.

Po obu stronach od wejścia znajdowały się trumny umiejscowione na długich półkach w ścianach. Centralną część zajmował wielki granitowy grobowiec, przebarwiony pod wpływem wilgoci i upływu lat. Baron podprowadził ich do niego.

– Mój przodek. Oczywiście musiał zająć dla siebie najbardziej eksponowane miejsce.

Decker i Jamison spoglądali w milczeniu na ostatnie miejsce spoczynku Barona Pierwszego.

– Imponujące – stwierdził Decker.

Baron wzruszył ramionami.

– Nie zaglądałem tu od czasu, kiedy zmarła moja babcia. Byłem wtedy małym chłopcem. Spoczywa tam. – Wskazał ręką na trumnę po lewej stronie. – Pamiętam, że zdawało mi się to najbardziej upiornym miejscem, w jakim byłem, i nie mogłem się doczekać, aż stąd wyjdę.

Decker się rozglądał. Zapach pleśni drażnił nozdrza. Dwie ze ścian poczerniały od wżerającego się w nie grzyba. Kolejna miała rozległe białawe zacieki, zupełnie jak te na zewnątrz. Sufit pokrywały plamy, które zostawiła przesączająca się przez dach woda. Zrobił krok naprzód i zawadził nogą o wystającą ze ściany trumnę.

Rozcierając udo, spojrział w dół na wyryte w marmurze litery.

*Abigail Baron.*

Baron zauważył, na co patrzy Decker.

– Jak widać, mój wielki przodek nawet życie wieczne chciał mieć tylko dla siebie, więc żonę upchnął w kącie – powiedział. Omiótł wzrokiem rzędy trumien. – Tu jest już pełno. Wszystkie miejsca zajęte. Moje będzie na zewnątrz.

– Nie dziwię się, że jako dziecko nie mógł pan ścierpieć tego miejsca – powiedziała Jamison. – Tu jest aż gęsto od... śmierci.

Baron wyprowadził ich na zewnątrz i zamknął drzwi na klucz.

Jamison przystanęła z boku krypty i zatrzymała wzrok na dwóch grobach. Wyglądały na najnowsze, chociaż daty na nagrobkach wskazywały, że są tu od ponad trzydziestu lat.

– To pańscy rodzice? – zapytała.

Baron powoli odwrócił wzrok od mauzoleum i spojrział na bliźniacze nagrobki.

– Mój ojciec Benjamin i moja matka Dorothy. Odeszli, jak to się mówi, w kwiecie wieku.

Decker podszedł do nagrobków i odczytał wyryte na nich

inskrypcje.

– Mieli zaledwie po czterdzieści parę lat. Oboje zmarli w tym samym dniu. Co się stało?

– Nie jestem pewien – powiedział Baron, który przystanął obok. Decker i Jamison spojrzeli na niego.

– Jak to? – zapytał Decker.

– Niektórzy uważają, że to był wypadek. Inni twierdzą, że moi rodzice popełnili samobójstwo.

– A pan w którą z tych wersji wierzy? – zapytała Jamison.

– W żadną.

– Więc co się stało pana zdaniem? – drażyła.

Baron spojrzał jej prosto w oczy.

– Myślę, że zostali zamordowani.

– To trzy bardzo różne możliwości – powiedziała zupełnie zaskoczona Jamison.

– Tak, mam tego świadomość.

– Dlaczego uważa pan, że ich zamordowano? – zapytał Decker.

– Przejdźmy się. Tam dalej jest duży staw. Choć rododendrony już przekwitły, wciąż pięknie wyglądają – powiedział przygaszonym tonem.

Poprowadził oboje wydeptaną ścieżką wiodącą wzdłuż szpaleru drzew. W pewnej chwili skręcił w prawo.

– Kiedyś posesja sięgała aż hen, tam, na sam dół, gdzie biegnie droga prowadząca do miasta – objaśnił – ale przez lata znaczna część ziemi została wyprzedana. Tego, co zostało, jest niewiele, ale myślę, że zachowałem najładniejszy fragment.

Szli obok długiej rabaty rododendronów nad rozległy, na wpół zarośnięty staw. Teren wokół opadał ze wszystkich stron do niecki.

– Przychodziłem tu jako dziecko – powiedział Baron, spoglądając na tafelę wody. – Nie wolno nam było pływać w stawie. Widzicie te rośliny? Ich pnącza sięgają samego dna. Łatwo się w nie zaplątać. Jeden z moich przodków omal przez to nie utonął. Od tamtego czasu wybieraliśmy się tu jedynie po to, by nacieszyć oczy widokiem. Albo popływać łódką. Na środku jest dość głęboko. Niegdyś staw był zarybiany, ale to stare dzieje.

– A pańscy rodzice? – zagadnęła Jamison.  
– Moi rodzice zginęli tutaj.  
– Ale... mówił pan, że nikt tu nie pływał.  
– Nie pływali. Byli w samochodzie.  
– Jak samochód się tu znalazł? – wtrącił Decker.  
– Wtedy biegła tu droga z domu. Mój pradziadek polecił ją zbudować. To było w czasach, kiedy nie brakowało pieniędzy. Przyjeżdżali tu samochodami na piknik. Słyszałem, że potrafili biwakować cały dzień. Pamiętam z dzieciństwa, że ojciec przywoził nas w to miejsce, mnie i moją matkę, chociaż my już nie mogliśmy sobie pozwolić na cały dzień nicnierobienia. Ale wciąż było miło. Najszczęśliwsze chwile w moim życiu to te, które tu spędziłem z rodzicami.

Usiadł na trawie, krzyżując nogi. Decker i Jamison wciąż stali.

– Przychodzę tu czasem porozmyślać. Popatrzeć na wodę. I napić się – dodał Baron. – Byłem wtedy w college’u, właśnie zaczynałem drugi rok, kiedy zadzwonili do mnie z policji. Znaleźli moich rodziców w ich samochodzie na dnie stawu. Oczywiście martwych.

– Mój Boże – westchnęła Jamison.

Baron uniósł głowę i spojrział na nią.

– Wątpię, czy Bóg miał z tym cokolwiek wspólnego – powiedział i odwrócił wzrok w stronę wody.

– Co ustaliła wtedy policja? – zapytał Decker.

– Twierdzili, że to był wypadek albo, co uznali za bardziej prawdopodobne, coś w rodzaju paktu samobójczego. Już wtedy brakowało pieniędzy, chociaż nic o tym nie wiedziałem. Moi rodzice czuli na sobie presję podtrzymywania wizerunku Baronów, ale nie mieli na to środków finansowych. Widzieliście, w jakim stanie jest teraz dom. Wtedy było lepiej, bo wciąż potrafili go utrzymać, chociaż z trudem. Mój ojciec był dobrym człowiekiem. Przewidującym. Skończył studia prawnicze. Dobrze zarabiał jako prawnik, ale nie aż tyle, by utrzymać wszystko, co zgromadzili Baronowie. Moja matka wniosła trochę pieniędzy w posagu, ale to też nie wystarczyło.

– Dlaczego więc nie sprzedali domu razem z posesją i nie

wyprowadzili się stąd? – zapytała Jamison.

– Dom był obciążony hipoteką, a więc praktycznie nie do sprzedania. Poza tym podatki i inne należności... Wszystkie generowały odsetki. Wydawało się, że im ciężiej pracuje mój ojciec, tym szybciej rosną nasze długi. Robił, co mógł, ale w końcu wyglądało to tak, że zaciągał jeden kredyt, żeby spłacić drugi. Pamiętam, jak się cieszyli, kiedy w college’u przyznano mi stypendium sportowe.

– Mógł ogłosić bankructwo – zasugerował Decker.

– Dla niego to była kwestia honoru. Nie zamierzał kapitulować.

– Musiał czuć się zdesperowany – zauważyła Jamison.

Baron raptownie wstał.

– Nie na tyle, żeby się zabić. Nawet gdyby podjął taką decyzję, z pewnością nie zabrałby ze sobą w zaświaty mojej matki. Byłem ich jedynym dzieckiem. Nie zostawiliby mnie na pastwę losu.

– Więc może to jednak był wypadek? – zapytała Jamison.

– Nie wiem, jak by miało do niego dojść. Nie można wjechać do stawu przypadkiem. To musiało być celowe działanie.

– Ale skąd przypuszczenie, że to morderstwo? – zapytał Decker.

– Pańscy rodzice mieli wrogów?

– Wystarczyło, że byli Baronami.

– Co orzekła policja?

– Nie jestem nawet pewien, czy w ogóle coś formalnie orzekli. Mnie powiedzieli, że podejrzewają śmierć w wypadku albo w wyniku samobójstwa. Chociaż nie znaleziono listu pożegnalnego.

Decker skinął głową.

– Może ich obezwładniono, a potem umieszczono w samochodzie? Przy takim nachyleniu terenu wystarczyło wrzucić luz i samochód sam by się stoczył do wody.

– Pytałem o to policję.

– I co powiedzieli?

– Że nie mogą ujawniać szczegółów toczącego się śledztwa.

– A kiedy już śledztwo przestało się toczyć? – zapytała Jamison.

– Najwyraźniej nigdy nie zostało formalnie zamknięte. A oni nadal nie odpowiadają na moje pytania.



– Wciąż pan je zadaje? – zdziwiła się Jamison.

– Mniej więcej raz albo dwa razy w roku. Wcześniej pisałem listy albo dzwoniłem. Teraz wysyłam e-maile bezpośrednio do komendanta.

– Odpisuje?

– Językiem, którego nie przytoczę w obecności damy. A teraz, jeśli nie macie więcej pytań, chciałbym wrócić do przerwanej drzemki – powiedział i raptownie się oddalił.

Jamison obróciła się w stronę Deckera, który nadal wpatrywał się w staw.

– Dziwny facet – stwierdziła. – Rzuca bon motami na lewo i prawo, a potem nagle nam mówi, że jego rodziców zamordowano.

Decker spojrział w stronę Barona, który właśnie zniknął między drzewami.

– Decker? Słuchasz mnie?

Skinął głową.

– Myślisz, że jego rodziców ktoś zabił?

– Nie mam pojęcia. I nie po to tu jesteśmy. Prowadzimy śledztwo w sprawie sześciu morderstw, które popełniono w znacznie mniej odległej przeszłości – powiedział i znowu popatrzył na staw.

– Ale ta historia cię zaintrygowała, prawda? Przecież widzę.

Decker obrócił się i minął ją bez słowa.

– Ej, poczekaj. Dokąd idziesz?

– Podczas gdy Baron zażywa drzemki, ja się tu rozejrzę.

– Decker, nie możemy tak po prostu węszyć komuś po kątach. Nie mamy nakazu.

Jamison dogoniła partnera w chwili, gdy wyszli pomiędzy drzew. Ich oczom ponownie ukazała się rezydencja i przyległe do niej budynki gospodarcze.

– Chcę tylko rozejrzeć się po podwórku i może zerknąć do niektórych z tych przybudówek.

– Do tego też wymagany jest nakaz.

– Naprawdę?

– Do cholery, wiesz o tym równie dobrze jak ja.

Puszczając to mimo uszu, Decker maszerował dalej, aż doszedł do garażu oddzielonego od głównego budynku wyboistym dziedzińcem. Garaż miał sześć stanowisk i wszystkie były szeroko otwarte, co pozwalało dobrze obejrzeć ich wnętrze.

– Tylko jeden suburban – zauważył Decker. – Wygląda na leciwego.

Samochód stał, nieco przekrzywiony na bok, na stanowisku najbliższym domu.

– Nie widzę tu nic, co by nas mogło zainteresować – stwierdziła Jamison.

Decker wszedł do garażu i przyjrzał się jednej ze ścian.

– Spójrz na to, Alex.

Podeszła do niego i zobaczyła wykutą w ścianie dziurę.

– No i? Dziura jak dziura. Nie ma w niej nic specjalnego.

– Popatrz. Takie same są tam i tam. Podobne widziałem wewnątrz budynku, kiedy szliśmy korytarzem. W jego gabinecie też.

Jamison się skrzywiła.

– Dziwne. Myślisz, że ma tu szczury? Może rozkuli ściany, żeby się ich pozbyć? Albo pleśni?

– Całkiem możliwe. Wyobrażam sobie, że to miejsce to istna wylęgarnia wszelakiego rodzaju paskudztwa.

– Super, a my wdychamy to powietrze.

– On je wdycha całe życie. – Decker spojrział przez ramię. – Może w tamtym budynku znajdziemy coś ciekawego – powiedział i ruszył w stronę odległego o niecałe sto metrów baru.

Jamison pospieszyła za nim, zerkając na dom, by sprawdzić, czy Baron nie obserwuje ich z góry.

Budowla, do której podszedł Decker, miała ściany z kamienia, kryty blachą dach, masywne drzwi z drewna i dwa okna od frontu.

– Co tu może być? – zapytała Jamison.

– Jest tylko jeden sposób, żeby się tego dowiedzieć.

Decker otworzył drzwi i wszedł do środka.

Jamison wślizgnęła się za nim, czując się niekomfortowo z powodu tego bezprawnego najścia.

Wewnątrz znajdowały się półki zastawione glinianymi naczyniami, wiekowy miedziany zlew, stosy drewnianych skrzynek z wyblakłymi napisami i ścienne haki, na których wisały rozmaite narzędzia ogrodowe. Na blatach rozrzucono stare paczki nasion i długie, wąskie, drewniane skrzynki przykryte metalową siatką. Obok leżały oprawione w skórę woluminy.

Jamison otworzyła jeden i powiodła wzrokiem po gęstym ściegu pisma z zawijasami. Były tam notatki dotyczące roślin, pogody, warunków glebowych, a także listy zapasów i dostaw.

– To komórka ogrodowa – orzekła. – Nie widziałam takiej od... Chyba nigdy nie widziałam, tylko w telewizji na kanale Dom i Ogród. Niektóre wpisy w tej księdze są sprzed osiemdziesięciu lat.

– Przypuszczam, że w latach świetności mieli tu całą ekipę ogrodników i własny warzywnik.

Decker sięgnął do kranu. Gdy odkręcił kurek, pociekła woda.

– Strasznie tu śmierdzi – zauważyła Jamison. – Zobacz, tu też są dziury w ścianach. Pewnie gnieżdżą się tu całe kolonie rozmaitych stworzeń.

Decker zaczął otwierać szuflady.

– Ściółka ogrodnicza, pewnie też przegniłe rośliny, pleśń narosła przez dziesięciolecia. Niezbyt miła mieszanina zapachów, ale... – Raptem przerwał w pół zdania, patrząc do wnętrza szafy, którą właśnie otworzył. – Spójrz na to.

Wewnątrz były poduszka, cienki, zwinięty w rulon materac, koc i mały worek na ubrania.

Jamison zerknęła mu przez ramię.

– Myślisz, że ktoś tu pomieszkuje?

– Może. – Decker wyjął worek i położył go na blacie. W środku znalazł kilka zniszczonych koszul, brudny męski drelich roboczy, trampki i płócienną saszetkę. Otworzył ją.

– Cholera – powiedziała Jamison.

Oboje spoglądali na trzy strzykawki, trzy igły zabezpieczone korkowymi zatyczkami, kilka fiolek jakiegoś płynu, fajkę do palenia cracku, kawałek gumowego wężyka, parę foliowych woreczków z białym proszkiem, plastikową zapalniczkę, cztery skręty z marihuaną i scyzoryk.

– Typowy podręczny zestaw ćpuna – stwierdził Decker.

– Myślisz, że należy do Barona?

Decker przyłożył drelich do swoich spodni.

– Baron jest niewiele niższy ode mnie. Te portki nosił facet poniżej stu osiemdziesięciu centymetrów wzrostu, więc nie, nie sądzę.

– Dziki lokator?

– To bardziej prawdopodobne.

– Myślisz, że Baron o tym wie?

Decker spojrzał przez okno na główny budynek rezydencji.

– Trudno powiedzieć. Tę komórkę widać z domu jak na dłoni. Chyba że ten ktoś zakrada się tu po zmroku.

– Cóż, pewnie tak robi, jeśli tu nocuje bez zgody właściciela.

– Ale dlaczego tutaj, skoro, jak nam mówiono, w Baronville całe domy stoją puste? Po co się fatygować aż tu, do starej, śmierdzącej komórki ogrodowej? To nie jest miejsce, do którego można się łatwo zakraść i z którego da się łatwo wyjść. Przecież ten ktoś nie przyjeżdża tu samochodem. W kranie jest woda, ale nie widzę tu nic do jedzenia. Czym się żywi? No i nie ma łazienki.

– Więc może jednak Baron o tym wie – stwierdziła Jamison. – Karmi go i pozwala korzystać z łazienki w domu.

– Żywi ćpuna i pozwala mu nocować w zapuszczonym baraku na tyłach domu. Dlaczego?

– Baron sam przypomina kloszarda. Może kieruje nim współczucie.

Decker pokręcił głową.

– Zrozumiałbym to, gdyby Baron miał forsy jak lodu, a tak nie jest. A to miasto ewidentnie go nienawidzi.

– Może to jakiś przybłęda spoza Baronville?

– Jeśli tak, skąd by się tu wziął? Z daleka nie widać, że dom jest w ruinie. I skąd ten ktoś mógł wiedzieć, że mieszka tu tylko jedna osoba? Albo że są tu budynki gospodarcze, w których mógłby się ukryć?

– Może dowiedział się tego wszystkiego, rozmawiając z kimś z Baronville.

– Ciekawe, gdzie jest teraz. – Decker spojrział na porcje narkotyków i przybory służące do ich zażywania. – Dlaczego zostawił to tutaj? Większość ćpunów, z którymi miałem kontakt, kiedy byłem policjantem, zawsze nosiła takie rzeczy przy sobie. – Podniósł jedną z foliowych torebek. – Pięci dolarowa porcja koki. Około grama. Fiolki to prawdopodobnie heroina. Na mieście chodzi po trzy, cztery dolary za działkę. W takim miejscu jak to pewnie więcej. Gumowy wężyk służy do obwiązywania ramienia. Zapalniczką podgrzewasz łyżeczkę, na której robi się crack z heroiny. Woda i szczypta sody oczyszczonej. Mieszasz osad i palisz płynną kokę w fajce. – Przyjrzał się uważnie strzykawkom. – Nigdy nie widziałem u jednego ćpuna trzech igieł.

– Może próbuje uniknąć infekcji.

– Do zarażenia zwykle dochodzi, kiedy używa się tej samej igły z inną osobą.

Po gruntownym przeszukaniu pomieszczenia znaleźli jeszcze kilka przedmiotów: paczkę antyseptycznych gazików, dwa telefony komórkowe i listę numerów telefonicznych spisaną na papierze. A potem, sprytnie ukryty we wnęce pod zlewem,

w miejscu, gdzie rury wchodzą w ścianę, prawdziwy sezam skarbów.

A właściwie narkotyków.

Pięćdziesiąt torebek kokainy, dwadzieścia fiolek płynnej heroiny, dziesięć grudek cracku, pęk banknotów związanych gumką recepturką i naładowany sig sauer kalibru dziewięć milimetrów ze spiłowanym numerem seryjnym.

– Decker, ten facet nie jest zwykłym ćpunem. To diler.

Decker nie odpowiedział. Przyglądał się czemuś na podłodze.

Jamison spojrzała w to samo miejsce.

– Wąski ślad w pyle – odruchowo odnotowała na głos. – Jakby coś tędy wleczono. – Decker przyklęknął i przyjrzał się z bliska. Potem wstał i spojrzał na Jamison. – O co chcesz się założyć, że osoba, która tu nocowała, już nie wróci?

– Co masz na myśli?

– Tego śladu nie zostawił wleczony po podłodze przedmiot. To jest opona roweru. Myślę, że właśnie odkryliśmy ostatnie miejsce zamieszkania Michaela Swansona.

Decker i Jamison sfotografowali wszystkie znalezione przedmioty, następnie odłożyli je na miejsce. Jako że nie mieli nakazu, nic, co znaleźli, nie mogłoby zostać wykorzystane podczas procesu, gdyby do niego doszło.

Odjechali krętą drogą z powrotem do Baronville.

– Powiemy Greenowi i Lassiter o tym, co znaleźliśmy? – zapytała Jamison zza kierownicy, nie odrywając oczu od drogi.

Decker pokręcił głową.

– Nie. Wściekliby się na nas za to, co zrobiliśmy, a nie potrzebujemy teraz burdy z miejscową policją. Poza tym nie wiemy, czy ten towar naprawdę należał do Swansona. To tylko moje przeczucie. Facet z motelu wspominał jednak, że Swanson jeździł rowerem.

– Miałby tu kawał drogi.

– Może to nie był jego jedyny środek transportu.

– No więc co nam daje ta wiedza?

– Przypuszczam, że John Baron nas okłamał. Powiedział, że nie zna Costy. Jestem przekonany, że go znał.

– Daj spokój, wiele instytucji sponsoruje drużyny Małej Ligi. Nie spodziewaj się, że ważniak z banku będzie znał osobiście wszystkich trenerów.

– Jasne. Podobnie jak nie spodziewałbym się znaleźć w domu kogoś takiego fotografii drużyny. Poza tym Narodowy Bank Baronville to nie Goldman Sachs ani Citibank. Pewnie wszyscy się tu znają. A jeśli to, co dzisiaj znaleźliśmy, należało do Swansona, można domniemywać, że Baron znał aż dwie z czterech ofiar. Poza tym sekretarka Costy mówiła, że ich bank udzielił kredytu, którego zabezpieczeniem jest ten dom. Z tego, co wiemy, od kontaktów z Baronem był właśnie Costa.

– Moglibyśmy go zapytać o alibi.

Decker pokręcił głową.

– Nie chcę rozmawiać z nim w ten sposób. Jeszcze nie teraz. Jest

nieufny. W dodatku większość czasu spędza sam, więc jakie mógłby mieć alibi w przypadku obu tych podwójnych morderstw?

Jamison spojrzała na zegar na tablicy rozdzielczej.

– O nie, spóźnimy się.

Decker zerknął na nią z ukosa.

– Na co?

– Przyjęcie urodzinowe Zoe.

– Musimy tam iść?

Popatrzyła na niego osłupiała.

– Decker, to ja ich zaprosiłam na uroczystą kolację. Do najlepszej restauracji w mieście. Wiedziałeś o tym. To jeden z powodów, dla których w ogóle tu przyjechaliśmy. Żeby uczcić szóste urodziny Zoe. Na szczęście prezenty mam w bagażniku, więc nie musimy wracać do domu.

– Ale prowadzimy śledztwo.

– Pracowaliśmy cały dzień. Musimy coś zjeść. Dlatego jedziemy na kolację.

– Ale...

– Żadnych ale, Decker. Jedziemy!

– Alex, posłuchaj...

Jamison zbyła go stanowczym ruchem dłoni.

– Ani słowa więcej. To moja siostrzenica i kocham ją nad życie.

Decker westchnął i zapadł się w siedzenie.

Restauracja była wypełniona w połowie. Gdy Jamison stwierdziła, że to najlepszy lokal w mieście, Decker nie wiedział, czego się spodziewać. Na szczęście okazało się, że po prostu jest wygodnie urządzone i nieskazitelnie czyste. Obsługa miała na sobie białe koszule i czarne muszki, serwetki były lniane, a menu zawierało kusząco nazwane dania, o których Decker nigdy nie słyszał.

Amber i Zoe były w sukienkach. Nawet Decker zauważył, że Amber przyłożyła się do swojego makijażu oraz fryzur córki i swojej. To ewidentnie nie wyglądało mu na zwykłą kolację.



Przypomniał sobie imprezy urodzinowe własnej córki. Też były nie lada wydarzeniem.

Spojrzał na Jamison, która z zachwytem wpatrywała się w siostrzenicę.

– Miałaś dobry dzień w szkole, Zoe? – zapytała.

– Było okej.

– W nowej szkole zawsze na początku jest ciężko – zauważyła Amber. – Ale tam też znajdziesz sobie przyjaciół. Jak zawsze.

– Pewnie... – powiedziała smętnie Zoe, wpatrując się w blat stołu.

Decker przyglądał się jej. Po głowie kołatało mu się coś, co chciał powiedzieć, ale z jakiegoś powodu nie mógł tego z siebie wydusić. W końcu dotarło do niego, że znów widzi w Zoe swoją nieżyjącą córeczkę. Odwrócił wzrok i potarł skronie.

*Okej, Decker, to zdecydowanie nie jest zdrowe.*

– A gdzie Frank? – zapytała Jamison.

Jej siostra zrobiła kwaśną minę.

– W pracy. Coś mu wypadło. Ale niedługo powinien się zjawić.

– Nie oszczędzają go tam – zauważył Decker.

– No cóż, przynajmniej dobrze mu płacą – przyznała Amber. – I nie haruje fizycznie. Chociaż już trochę zainwestowaliśmy w obecny dom, zamierzamy go sprzedać i kupić większy, kiedy Frank otrzaska się z nową pracą. W okolicy jest sporo pięknych, starych domów, które stoją puste. Potrzebują tylko, żeby im okazać trochę troski.

Zoe spojrzała na swoją matkę jak ktoś, kogo właśnie zdradzono.

– Czy to znaczy, że znowu się będziemy przeprowadzać? – zapytała.

Amber wyglądała na podenerwowaną.

– Dopiero za jakiś czas, skarbie.

Mimo jej zapewnienia Zoe osunęła się głębiej w krzesło. Wyglądała na smutną.

Widząc to, Jamison próbowała ratować sytuację.

– Zoe, a nie chciałabyś teraz obejrzeć prezentów? – zapytała, wyciągając z torby dwa pudełka i kładąc je przed siostrzenicą.

– Alex, nie musiałaś tego robić – wtrąciła Amber. – Przecież

postawiłaś kolację.

– W urodziny dostaje się prezenty – powiedziała z przekonaniem Jamison, nie odrywając wzroku od Zoe.

Dziewczynka od razu się rozpromieniła.

– Który otworzyć pierwszy?

– Myślę, że ten po prawej. Ten mniejszy.

Zoe bardzo ostrożnie odwinęła papier, spod którego ukazało się małe drewniane pudełko. Złapała za pokrywkę i podniosła wzrok na Jamison, która skinęła zachęcająco głową.

Zoe otworzyła pudełko. W środku był naszyjnik zwieńczony krzyżykiem.

– Woow!... – pisnęła dziewczynka i powoli go wyjęła.

– Powiedzieć ci coś fajnego o tym naszyjniku? – zapytała Jamison.

Zoe pokiwała głową, podczas gdy matka pomagała jej zapiąć prezent na szyi.

– Dostałam go od mojej cioci, kiedy skończyłam sześć lat. Tyle samo, co ty.

– On był... twój, ciociu?

– Tak mi się wydawało, że skądś go znam – mruknęła Amber.

– Ale... ciociu, nie mogę go przyjąć.

– Oczywiście, że możesz. On tak naprawdę nie należy do mnie. Jest przekazywany w naszej rodzinie od siedmiu pokoleń. Teraz przyszła twoja kolej, żeby go nosić. A kiedy sama będziesz już duża, przekażesz go komuś, kogo kochasz.

Zoe patrzyła na Jamison z zachwytem.

– Niesamowita historia, ciociu.

– Naprawdę niesamowita – przyznał Decker, spoglądając na swoją partnerkę.

– Dziękuję za uznanie – powiedziała uradowana Jamison. – Okej, a teraz otwórz drugi prezent.

Zoe rozpakowała drugie pudełko. Wyjęła z niego książkę.

– *Pajęczyna Szarloty!* – zawołała. – Mama mi ją czytała.

– Zajrzyj do środka.

Zoe uniosła okładkę i oniemiała.

– Tu jest... dedykacja.

– Od autora. E.B. White’a. Zadedykował ją czterdzieści lat temu swojej młodej przyjaciółce. Widzisz, jak miała na imię?

Dziewczynka przebiegła wzrokiem po stronie.

– Zoe!

– Zgadza się.

– Jak ci się udało znaleźć coś takiego? – zapytała Amber.

– W Nowym Jorku mam przyjaciółkę, która handluje rzadkimi książkami. Wypatrywała czegoś takiego dla mnie od roku.

– Musiała dużo kosztować... – powiedziała powoli Zoe.

Jamison nachyliła się nad siostrzenicą, uściśnięła ją i pocałowała w czoło.

– Nieważne, ile kosztowała, Zoe. Masz wspaniałą książkę, którą możesz czytać i czytać przez całe życie.

– I za każdym razem, kiedy ją otworzę, będę sobie wyobrażała, że autor zadedykował ją mnie!

– Otóż to. Po to mamy wyobraźnię. Właśnie jej używał pan White, pisząc tę historię.

– To najlepsze prezenty, jakie kiedykolwiek dostałam – oświadczyła Zoe.

Amber uśmiechnęła się do siostry i dyskretnie pokazała jej uniesiony kciuk.

Raptem otworzyły się drzwi i do restauracji weszli detektywi Green i Lassiter.

Decker zauważył ich pierwszy. Jamison podążyła wzrokiem za jego spojrzeniem.

– O, nie – jęknęła. – A oni czego tu chcą?

Amber i Zoe też odwróciły się w stronę wejścia.

– Czy to znaczy, że musicie już iść? – zapytała smutno Zoe. – Przed kolacją?

Decker wstał od stołu.

– Dowiem się, o co chodzi – powiedział. – Cokolwiek to jest, na pewno może poczekać.

Podszedł do dwojga detektywów.

– Słuchajcie, jesteśmy w trakcie świętowania urodzin małej. Czy to, z czym przyszłście, może poczekać?

– Tak się składa, Decker – powiedział Green – że nie

przyszliśmy do ciebie.

Decker spojrzał na niego zaskoczony.

– Do Jamison?

– Nie, nie do twojej partnerki.

– To do kogo?

Green powiódł wzrokiem ponad jego ramieniem w stronę stołu.

– Do Amber Mitchell.

Decker zamarł na moment.

– Jej siostry? Dlaczego? To ma związek z tamtymi morderstwami?

– Nie dlatego tu jesteśmy.

– Kiedy przyszło zgłoszenie – wtrąciła Lassiter – skojarzyliśmy nazwisko. Pomyśleliśmy, że zajmiemy się tym, bo już poznaliśmy rodzinę.

– Skojarzyliście nazwisko? Czyje?

– Franka Mitchella. Męża Amber.

Decker zerknął na siostry, które obserwowały go uważnie, podczas gdy Zoe kartkowała swoją książkę. Obrócił się z powrotem do policjantów.

– Co z nim?

– Obawiam się – oświadczył Green – że nie żyje.

Dziesiąta wieczorem.

To nie była dobra pora na introspekcję.

Decker czuł się zmęczony. Niegotowy na głębokie przemyślenia o trudnych sprawach. W dodatku na zewnątrz rozpętała się burza.

Siedział na krześle w swojej sypialni, patrząc przez okno na lejącą się strugami wodę.

Mimo wszystko próbował zebrać myśli, ogarnąć mentalnie to, co się stało.

Odstawił na podłogę pustą puszkę po piwie i otarł usta. Nie smakowało jak piwo; raczej jak kwas.

Nie mógł sobie wyobrazić, by jeszcze kiedykolwiek coś mu zasmakowało.

Zygzaki błyskawic i towarzyszące im grzmoty dziwnie synchronizowały się z łomotaniem jego serca.

Chociaż z miejsca, w którym siedział, nie mógł ich usłyszeć, wiedział, że dwie kobiety w tym domu, jedna bardzo młoda i jedna zaledwie trzydziestoparoletnia, pierwsza osierocona przez ojca, druga owdowiała, prawdopodobnie wypłakują sobie oczy. Zapewne leżały teraz wtulone w siebie, jakby w ten sposób próbowały ochronić wszystko to, czego życie im jeszcze nie odebrało.

Bezwiednie zatoczył palcem koło na szybie w miejscu, gdzie pokryła się parą.

To był jeden z najdłuższych marszów w jego życiu – ten od drzwi restauracji z powrotem do stolika. Poprosił Greena i Lassiter, by poczekali, aż wyprowadzi Amber i Zoe na zewnątrz. Nie chciał, by to, czego miały się dowiedzieć, usłyszały w miejscu publicznym.

Nie wiedział, dlaczego o tym pomyślał. Jego dawne „ja” zrobiłoby to instynktownie. U starego Amosa Deckera wrażliwość na krzywdę i współczucie były odruchowe.

Potem jednak cios w głowę na boisku sprawił, że stał się kimś innym. Było coś zatrważającego w tym, że to samo ciało skrywało teraz w sobie kogoś zupełnie odmienionego.

A jednak zreflektował się i zabrał Amber z Zoe w ustronne miejsce, żeby tam się dowiedziały o śmierci Franka.

*Zawsze to coś.*

Wytłumaczył im, że policjanci chcą z nimi porozmawiać o czymś ważnym i że byłoby lepiej, gdyby ta rozmowa odbyła się na posterunku, kilka przecznic dalej. Trudniej przyszło mu powiedzieć, że to nie może czekać. Musieli pojechać od razu.

Zauważył spłoszone spojrzenie Amber. Wyczuła, że cokolwiek to jest, dotknie ją osobiście. Zachowała jednak pozory spokoju i opanowania. Nietrudno było się domyślić dlaczego.

Zoe nadal wertowała swoją książkę, uśmiechając się do siebie. Amber odruchowo chroniła córkę przed wiszącym nad nimi nieszczęściem.

Cassie, żona Deckera, zachowałyby się tak samo.

Podczas gdy zbierali swoje rzeczy, Decker niepostrzeżenie pochylił się w stronę Jamison.

– Chodzi o Franka – szepnął. – Jest źle. To najgorsze.

Jamison w pierwszej chwili nie dała nic po sobie poznać. Potem jednak wyraźnie pobladała, a gdy oparła się o stół, jej ręka lekko drżała.

Policjanci zawieźli Amber i Zoe na posterunek. Jamison zabrała się z siostrą i siostrzenicą samochodem Greena. Decker pojechał za nimi.

W komisariacie ponownie się zeszli.

Po drodze policjanci najwyraźniej niczego im nie powiedzieli, gdyż Zoe wciąż zachowywała się beztrzesko. Była ciekawa, co się dzieje, ale nic ponadto.

To jednak nie miało potrwać długo.

Detektywi zabrali Amber do osobnego pokoju. Jamison została z Zoe na zewnątrz.

Amber, ku zaskoczeniu Deckera, wyraziła życzenie, aby wszedł z nią. W środku poproszono ją, żeby usiadła. Lassiter i Green stanęli twarzą do niej. Decker zauważył, że w rogu siedzi jeszcze

jedna policjantka.

Green pierwszy zabrał głos.

– Pani Mitchell, jest mi bardzo przykro, że muszę pani przekazać tę wiadomość. Chodzi o pani męża.

Amber zaczęła drżeć i łzy napłynęły jej do oczu.

– Och nie, proszę, tylko nie to... – powiedziała łamiącym się głosem.

Lassiter zerknęła na policjantkę, która podeszła z paczką papierowych chusteczek i butelką wody.

Decker przyglądał się temu oparty o ścianę.

– W centrum dystrybucji doszło do tragicznego wypadku – oznajmił Green. – Powiedzieli nam, że pani mąż nie cierpiał. Wszystko stało się bardzo szybko.

Amber ewidentnie już nie słuchała. Skulona, prawie dotykając twarzą kolan, kołysała się w przód i w tył.

– O Boże, proszę. Frank...

Green spojrział bezradnie na Lassiter, która przystawiła drugie krzesło obok tego, na którym siedziała Amber. Objęła jej dygoczące ramiona.

– Tak mi przykro, pani Mitchell. Bardzo, bardzo przykro.

Frank Mitchell nie żyje. Tak po prostu.

Rodzina Amber i Zoe rozdarta na pół. W jednej chwili.

Decker wiedział, jakie to uczucie. To samo przydarzyło się przecież jemu, kiedy pewnego dnia po powrocie do domu zastał tam swoją żonę, szwagra i córkę martwych. Zamordowanych. Odebranych mu na zawsze. W jeden wieczór. W jednej chwili.

Jeśli istniało w życiu coś gorszego, nie miał pojęcia, co to mogłoby być.

Ludzki umysł, skądinąd cud natury, nie radził sobie z tak miażdżącym, niespodziewanym ciosem. W takich momentach z człowieka uchodziło całe powietrze, wiotczały mięśnie, w mózgu zanikały połączenia synaptyczne.

Po takim ciosie człowiek zapadał się do środka, obumierał, aż wreszcie stawał się pustą skorupą.

Od czasu kiedy odebrano mu Cassie i Molly, minęły już ponad dwa lata, a on nadal tak się czuł. Są rany, które nigdy się nie

zabliźniają.

Przed wyjściem z pokoju Amber się opanowała. Otarła twarz do sucha, ruszyła stabilnym krokiem, objęła córkę i odwiozła ją do domu, ani na chwilę nie zdejmując ręki z jej ramienia.

Poprosiła o możliwość zobaczenia ciała, ale powiedziano jej, że to nie jest dobry pomysł. Że zostało „poważnie zdeformowane”. Zanosiło się na pogrzeb przy zamkniętej trumnie, chyba że personel zakładu pogrzebowego dokona jakiegoś cudu.

Jamison pojechała z siostrą i siostrzenicą, natomiast Decker został, żeby dowiedzieć się czegoś więcej od Greena i Lassiter.

– To ich centrum jest olbrzymie – powiedział Green – i bardzo zautomatyzowane. Roboty jeżdżą po alejkach tam i z powrotem. Mają ciężkie metalowe ramiona, którymi układają na półkach palety. Każdy zastępuje około pięćdziesięciu pracowników. Jak tak dalej pójdzie, co zostanie ludziom do roboty?

Decker był mniej zainteresowany społecznymi wyzwaniem postępującej automatyzacji przemysłu, a bardziej szczegółami śmierci szwagra swojej partnerki.

– Ale co się stało Frankowi Mitchellowi? – zapytał.

Odpowiedziała mu Lassiter.

– Pracowali przy rozbudowie centrum. Mitchell pojechał tam coś sprawdzić. Jak już powiedział Marty, w zakładzie mają ruchome, zautomatyzowane ramie, które układa palety wysoko na półkach. W tym miejscu jest ciasno i robot nie powinien tam pracować. Coś jednak poszło nie tak. Kiedy znaleziono Mitchella, już nie żył, a to metalowe ramie wciąż go przygniatało do betonowej ściany.

– Ale skoro robot nie powinien tam pracować, jak to się mogło stać?

Green się skrzywił.

– To pytanie za milion dolarów. Podobno nawalił komputer. Coś w oprogramowaniu tego cholerstwa. Albo nagły skok napięcia. To miejsce nadal jest w budowie, dlatego przypuszczam, że zdarzają im się rozmaite awarie.

– Po tym zgłoszeniu poszperałam trochę – dodała Lassiter. – To



nie pierwsza śmierć z powodu robota, który sfiksował. Podobne wypadki były już notowane w Michigan, Ohio i innych miejscach. Tak się dzieje, kiedy ludzie pracują obok tych bezrozumnych metalowych bestii. Jeśli coś pójdzie nie tak, nie mamy z nimi żadnych szans. To ramię bez trudu podnosi prawie pół tony. Kiedy na jego drodze stanie człowiek... Widziałam ciało Franka Mitchella. Miazga – powiedziała drżącym głosem.

I to było wszystko, czego dowiedział się Decker.

Potem wrócił do domu Mitchellów. Do tego czasu Jamison obdzwoniła resztę rodziny, w tym rodziców Franka, powiadamiając wszystkich o tragedii. Bliscy Franka – rodzice i czwórka jego rodzeństwa – wybierali się do Baronville. Dwie pozostałe siostry Jamison także zamierzały przyjechać na pogrzeb.

Amber i Zoe spały razem, wtulone w siebie, w sypialni Mitchellów. Jamison podała siostrze coś na sen. Potem usiadła z Deckerem w kuchni, by omówić sytuację. On opowiedział jej, czego się dowiedział na posterunku.

– Decker, to jakiś koszmar. Dopiero co się tu wprowadzili.

Jej partner milczał.

– O czym myślisz? – zapytała ze łzami w oczach.

– Powinnaś zająć się teraz siostrą i Zoe. Zostaw śledztwo mnie. Przynajmniej na razie.

Powoli pokiwała głową.

– To nie jest coś, co chciałabym robić. Wiesz o tym, prawda?

– Wiem.

– Zoe jest w szoku. Martwię się o nią. Tak bardzo kochała swojego tatę. Coś takiego w jej urodziny. To po prostu niepojęte.

– Ano. Makabra.

– Musimy pomyśleć o pochówku. Wielu możliwości tutaj nie ma. Samo sprowadzenie rodziny to logistyczny koszmar. Zresztą czy Frank chciałby zostać tu pochowany? Nic go z tym miejscem nie łączyło. Więc co, kremacja? Boże, nie mogę uwierzyć, że muszę rozważać takie rzeczy. – Zaczęła cicho szlochać.

Decker niepewnie wstał, podszedł do niej i pogładził ją po ramieniu. Miał w głowie parę słów pocieszenia, ale nie

potrafił ich wyartykułować.

Jamison wydawała się rozumieć tę wewnętrzną walkę. Uścisnęła jego wielką dłoń.

– Dzięki, Amos.

Nic nie odpowiedział. Dalej gładził ją po ramieniu, przeklinając się w duchu za to, że nie potrafi wykrzesać z siebie nic więcej.

Teraz, stojąc przy oknie w swoim pokoju, patrzył nieobecny wzrokiem w miejsce, gdzie na zaporowanej szybie zakreślił palcem koło.

Nie żyło sześć osób.

Sześć morderstw, bezsprzecznie popełnionych z premedytacją i zamiarem bezpośrednim.

A teraz kolejna, siódma śmierć. Franka Mitchella. W zgodnej opinii wszystkich – w wyniku nieszczęśliwego wypadku.

Jamison w końcu się położyła. Decker jednak znów nie mógł zmrużyć oka. Postanowił, że mimo deszczu wybierze się na spacer.

Wziął z szafy w przedpokoju ten sam parasol, zaplątał szczelnie płaszcz i wyszedł z domu.

Mimowolnie skierował kroki w stronę Domu Mordu. Wewnątrz było ciemno, ale policyjna taśma wciąż wisiała. Nie zauważył radiowozu miejscowej policji, ale stał jeden z SUV-ów ekipy Kemper. Decker dostrzegł siedzącego w środku mężczyznę.

Omiótł wzrokiem ulicę.

Dan Bond, niewidomy.

Alice Martin, emerytowana nauczycielka ze szkółki niedzielnej.

No i Fred Ross, zgorzkniały starzec z obrzynem.

Tylko te trzy osoby mieszkały przy tej ulicy i mogły wnieść cokolwiek do śledztwa. Najmniej chyba Bond, chociaż mógł przecież coś usłyszeć.

Ross twierdził, że był w szpitalu, jednak Decker postanowił to sprawdzić.

Spojrzał na zegarek.

Wpół do jedenastej.

Martin mieszkała pod numerem 1640. W domu się świeciło.

Decker udał się w tamtym kierunku.



– Kto tam? – zapytał głos po drugiej stronie wizjera w drzwiach. Decker zbliżył służbową legitymację do małego szklanego kółka.

– Pani Martin? Jestem Amos Decker z FBI. Chciałbym zadać pani kilka pytań.

– Na jaki temat?

– Na temat tego, co się zdarzyło w pobliskim domu.

– Jest dość późno, a ja pana nie znam.

– Przepraszam za późną porę, ale zobaczyłem, że pali się światło. Pracuję z detektyw Lassiter. Mówiła mi, że uczyła ją pani w szkółce niedzielnej – dodał, mając nadzieję, że w ten sposób przełamie lody.

Trik się udał. Usłyszał zgrzyt zamka i drzwi się otworzyły. Zobaczył wysoką, starszą kobietę o krótkich siwych włosach i bladej cerze. Okulary w drucianej oprawce spoczywały niemal na końcu jej długiego, garbatego nosa. Miała na sobie rozpinany beżowy sweter narzucony na wykrochmaloną na sztywno białą bluzkę. Jej strój osobliwie dopełniały workowate i poplamione szare spodnie dresowe. Na nogach miała masywne białe buty ortopedyczne.

– Dziękuję, pani Martin. Doceniam pani gest.

– Napije się pan herbaty? Na zewnątrz jest tak wilgotno – powiedziała, drżąc. – Czuję to w kościach.

Decker nie lubił herbaty, ale uznał, że to mu pozwoli zyskać trochę więcej czasu.

– Z przyjemnością, jeśli to nie kłopot.

– Żaden kłopot. Nie mam nic innego do roboty. Właśnie miałam zrobić sobie jeszcze jedną. A to jest Missy – powiedziała na widok smukłej, pręgowanej kotki, która wychynęła miękkiem krokiem zza kanapy.

Missy podeszła ostrożnie do Deckera i otarła się o jego nogawkę.

– Ładny kotek – powiedział niezręcznie.

– Och, strasznie jest namolna, ale... Zostałyśmy już tylko we dwie.

Decker spojrzał na wypchaną głowę jelenia wiszącą na ścianie.

– Szóstak – skomentował fachowo.

– To trofeum mojego nieżyjącego męża. On je tu powiesił, prawie czterdzieści lat temu. W przeciwieństwie do niektórych myśliwych jadł to, co upolował. Mięsa z tego jelenia wystarczyło nam na długo.

Martin oparła się o ścianę.

Decker zauważył stojącą w kącie czteropunktową łaskę, nazywaną tak z powodu czterech punktów podparcia.

– Podać ją pani? – zapytał.

Pokręciła głową.

– Muszę coś z nią zrobić – odparła. – Nie mogę jej używać w domu. Jedna noga się ułamała i strasznie rysuje podłogę.

Poprowadziła Deckera do kuchni, po drodze podpierając się o ścianę wyciągniętą ręką.

Dom, oszacował Decker, został zbudowany w latach pięćdziesiątych, więc jego kuchnia była mała, ale funkcjonalna. Okno nad zlewem zdobiły falbaniaste zasłonki. Przy drewnianym stole stały dwa krzesła z drabinkowym oparciem. Na ścianie wisiał telefon stacjonarny z długim, spiralnym przewodem. Obok widniały zapisane ołówkiem numery telefoniczne, niektóre opatrzone nazwiskami.

Martin spojrzała w miejsce, gdzie patrzył Decker, i się uśmiechnęła.

– Nie mam jednego z tych smarttelefonów, czy jak im tam, ani głowy do numerów, dlatego te najważniejsze zapisuję tutaj. Nazywam to moją naścienną książką telefoniczną.

– Świetny sposób.

– A pan ma dobrą pamięć do numerów?

– Chyba już nie taką jak kiedyś.

Martin postawiła czajnik na kuchence i długą zapałką zapaliła gaz. Potem z sosnowego kredensu lśniącego warstwą bezbarwnego lakieru wyjęła filiżanki i spodki.

– Może skosztuje pan ciasteczek? – zapytała, sięgając do plastikowego pojemnika. – Owsiane z rodzynkami. Sama robiłam.

– Z przyjemnością.

– A więc jest pan z FBI. Jakie to ekscytujące. Czy agenci FBI nie noszą garniturów? W telewizji zawsze ich tak pokazują. – Jednym spojrzeniem oceniła zaniedbany wygląd Deckera i uniosła dłoń do ust. – A może pan jest tajnym agentem? Wygląda pan, jakby nim był.

Decker przyjął tę uwagę ze stoickim spokojem.

– Trochę się tym zajmowałem. Teraz pomagam miejscowej policji rozwikłać to, co wydarzyło się w pobliskim domu.

– Tak, to było straszne. – Martin zdrząła na samo wspomnienie. – Wiem, że to miasto przeżywa trudne chwile, ale nigdy wcześniej nie mieliśmy morderstwa na naszej ulicy. – Postawiła na stole talerz z ciastkami i papierowe serwetki. – Pije pan herbatę z mlekiem i cukrem, jak Brytyjczycy? Nie żebym sugerowała, że jest pan Brytyjczykiem. Jest pan? Nie ma pan brytyjskiego akcentu, ale zawsze na wszelki wypadek pytam.

– Jestem z Ohio. A herbatę poproszę samą, bez dodatków.

– Miętowa. Bardzo dobra na gardło i zatoki.

– Z pewnością.

– Miałam przyjaciółkę z Ohio. Z Toledo. Był pan tam kiedyś?

– Tak.

– Mnie się tam podobało. Ale to było w... och, tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym piątym. Zmieniło się bardzo od tamtej pory?

– Obawiam się, że tak.

– Większość miejsc zmienia się z czasem, prawda?

– Jak Baronville?

Popatrzyła na niego w sposób, który wcale nie przypominał spojrzenia roztargnionej starszej pani.

– Mieszkam tu całe życie – powiedziała. – W czasach prosperity działy się tu rzeczy, które wcale nie były takie... miłe.

– Doprawdy? Chętnie posłucham.

Martin zmierzyła go wzrokiem.

– Było, minęło. Jak mogę pomóc w waszej sprawie?

– Szukamy kogoś, kto mógł widzieć lub słyszeć coś dziwnego, nietypowego w tamtym domu.

– Rozmawiał pan już z którymś z sąsiadów?

– Tylko z Fredem Rossem.

Na dźwięk tego nazwiska twarz Martin wykrzywił grymas.

– Ten dziad – rzuciła pogardliwie.

– Nie przepadacie za sobą?

– Mój mąż go nie cierpiał aż do dnia, w którym umarł. Fred jest bardzo trudny w obyciu. Nienawistny, uprzedzony, manipulant.

– Pierwsze dwie kwestie rozumiem, bo go poznałem. Ale dlaczego manipulant?

Martin nie odpowiedziała do momentu, gdy zagotowała się woda i zalała herbatę. Podała Deckerowi jego filiżankę i usiadła naprzeciwko.

– Żona Freda zmarła... Będzie jakieś dwadzieścia lat temu albo więcej. Mniej więcej wtedy co Harry. Była miłą kobietą, a on nie dawał jej chwili wytchnienia. Jeśli obiad nie był gotowy na czas albo mu nie przypadł do gustu, albo uznał, że wydała za dużo w spożywczym, albo dom nie był wypucowany na błysk, wyżywał się na niej bez końca. To było okropne.

– Czy kiedykolwiek wezwała policję?

Martin upiła łyk herbaty i odstawiła filiżankę, zanim odpowiedziała.

– I tu dochodzimy do tego, dlaczego nazwałam go manipulantem. Nigdy nie podniósł na nią ręki. Nie krzyczał ani nie groził.

– To co robił?

– Czepiał się. Po trochu. Tego, jak wygląda, jak się ubiera. Dręczył ją. Zarzucał, że nie potrafi być dobrą żoną ani matką, jak inne kobiety z sąsiedztwa, i że powinna się tego wstydić. Prowadził z nią, biedną, te okropne słowne gierki. Wmawiał jej, że jest wszystkiemu winna. Był w tym dobry, chory zgred. I okrutny w stosunku do swojego syna. Myślę, że to dlatego nie utrzymują ze sobą kontaktu.

Decker siorbnął herbaty i skinął głową.

– Wyobrażam sobie, że Ross właśnie taki był. Zawsze ma

gotową ripostę. Cokolwiek do niego powiesz, obraca to przeciwko tobie. Tak samo postąpił ze mną.

Martin uniosła wskazujący palec.

– Właśnie tak. Obróci wszystko przeciwko tobie. Nawet twoje własne słowa.

Oboje zamilkli.

– Ale pan mnie chciał zapytać o tamten wieczór? – zagadnęła po chwili.

– Czy detektywi Lassiter i Green już u pani byli?

– Tak, wcześniej Green zajrzał do mnie pogadać. A dzisiaj wpadła Donna. Powiedziała, że prywatnie. Żeby zobaczyć, jak się trzymam. Nie widziałam jej od lat. Zdziwiłam się, że pracuje w policji. Myślałam, że mierzy wyżej. Że zostanie lekarzem albo kimś takim. Zawsze była bystrą dziewczyną i taką... wyrywną. Nie było dla niej rzeczy niemożliwych.

– No cóż, żeby pracować w wydziale zabójstw, trzeba być twardym. I bystrym – zauważył Decker.

– Ależ oczywiście, i jestem z niej bardzo dumna. Musiała przebyć długą drogę i pokonać wiele przeciwności.

– To znaczy?

– Pewnie już pan wie o jej ojcu?

– Nie. Nic a nic.

– Może nie powinnam mówić...

– Ależ proszę. To może pomóc.

– Właśnie dlatego zdziwiłam się, że Donna wstąpiła do policji.

– Ponieważ?

– Ponieważ jej ojca skazano za zbrodnię.

– Jaką?

– Kogoś zabił.

– Kogo, pani Martin?

– Bankiera z miasta.

Decker próbował zachować spokój.

– Kiedy to się stało?

– Och, wiele lat temu. Donna była wtedy małą dziewczynką.

– Dlaczego zabił tego bankiera?

– Ponieważ bank zabrał mu dom, który był obciążony hipoteką.



Ojciec Donny pracował w ostatnich zakładach włókienniczych w mieście. Kiedy je zamknięto, Rich Lassiter i stu jemu podobnych zostali na lodzie. Stracił dom, stracił wszystko. Pewnego wieczoru upił się, ruszył pod dom tego człowieka i podpalił budynek. Bankier, nie pamiętam jego nazwiska, mieszkał sam. Zginął w pożarze. Rich, jak sądzę, był wstrząśnięty tym, co zrobił. Przyznał się. Poszedł do więzienia i tam zmarł jakieś dwa lata później. Może z poczucia winy. Któż to wie.

– Lassiter wciąż jeszcze była małym dzieckiem, prawda?

– Tak. A od czasu tej historii z ojcem była bardzo smutnym małym dzieckiem. Wydaje mi się, że szukała pociechy w religii. Już po tym, jak tu wróciła po skończeniu college'u, jej matka popełniła samobójstwo, przedawkowując narkotyki.

– Dramat za dramatem – zauważył Decker. – A wracając do obecnych czasów... Co pani powiedziała detektywowi Greenowi o tamtym wieczorze, kiedy znaleziono ciała tych mężczyzn?

– Że nic nie widziałam. Bolała mnie głowa i wcześniej się położyłam.

– Która to mogła być godzina?

– Obejrzałam teleturniej *Va banque* i jeszcze chwilę się krzątałam, więc na pewno było po ósmej.

– Słyszała pani coś albo widziała przed położeniem się do łóżka? Nawet jeśli to nie miało związku z tamtym domem?

Martin się zamyśliła.

– Pamiętam, że nadchodziła burza.

– A pamięta pani jakieś dźwięki tuż po tym, jak zaczęło padać?

– Jakiego rodzaju dźwięki?

Decker zastanowił się nad tym, wracając do obrazów w głowie.

*Dobre pytanie: jakiego rodzaju dźwięki?*

– Nie jestem pewny. Dość nietypowe. Akurat przebywałem w domu sąsiadującym z tym, w którym doszło do zabójstwa. Widziałem też przelatujący samolot.

Martin pokręciła głową.

– Samolotu nie widziałam ani nie słyszałam. Obudziłam się dopiero o szóstej rano następnego dnia.

– Policyjne syreny pani nie obudziły?

– Nie. Wzięłam coś na sen.

– Czy widziała pani kiedykolwiek, żeby ktoś wchodził do tego domu albo z niego wychodził?

Martin łyknęła odrobinę herbaty i podsunęła swojemu gościowi talerz z ciastkami. Decker sięgnął po jedno i uszczknął kawałek.

– Było coś takiego – powiedziała nieoczekiwanie.

– Co to było, pani Martin?

– Nie chodzi o dom, w którym zabito tamtych dwóch, ale o ten obok.

– Widziała pani coś?

– Kilka tygodni temu. Nie wspomniałam o tym Greenowi, bo mnie pytał tylko o tamten wieczór. W każdym razie zobaczyłam mężczyznę wchodzącego do tego domu, około jedenastej wieczorem. Znałam Schafferów, którzy kiedyś tam mieszkali. Zmarli, a ich dzieciom nie udało się go sprzedać. Od tamtego czasu stoi pusty.

– Proszę mówić dalej – zachęcił Decker.

– Cóż, ten mężczyzna szedł ulicą. Nie zauważyłam samochodu. Zobaczyłam go tylko dlatego, że Missy chciała wyjść. Uchyliłam drzwi i go zobaczyłam. Akurat była pełnia Księżycy i na zewnątrz zrobiło się dość jasno. Widziałam go całkiem wyraźnie. Wszedł do domu Schafferów.

– Może go pani opisać?

– Wysoki, ponad metr osiemdziesiąt. Tak mi się zdaje.

– Biały, czarny?

– Zdecydowanie biały. I chudy.

– Widziała pani jego twarz?

Pokręciła głową.

– A potem, dwie noce później, znowu kogoś zobaczyłam.

– Tego samego mężczyznę?

– Nie, to był ktoś inny. Niższy i bardziej przy kości. Też biały. Wszedł do tamtego domu. Patrzyłam jeszcze przez jakiś czas, ale już nie wyszedł.

– Też nie miał samochodu?

– Nie. Tak jak tamten – szedł ulicą i skręcił do domu. To było

o tej samej porze. Jeszcze nie spałam, bo wcześniej ucięłam sobie drzemkę i obudziłam się około dziewiątej. Tak się zdarza w moim wieku.

– Zgłosiła to pani na policję?

Martin pokręciła głową.

– Nie, nie widziałam potrzeby. Przecież mogli wynająć ten dom i mieli prawo tam być. A nawet jeśli nie, cóż... Ludzie korzystają z opuszczonych domów. Dzicy lokatorzy. Mamy tu wielu bezdomnych. Jeśli ci dwaj nie mieli dachu nad głową...

Decker przyglądał się jej z zaciekawieniem, gdyż Martin nagle zrobiła się nerwowa.

– Czy był jeszcze jakiś powód, dla którego pani tego nie zgłosiła?

Martin opuściła wzrok.

– Kiedy przychodzą złe czasy, zjawiają się źli ludzie. Gdybym zadzwoniła na policję, a tamci dwaj dowiedzieliby się, kto to zrobił... Jestem stara i mieszkam sama. Nie chcę nikomu przysparzać kłopotów i sama też się o nie nie proszę.

– Rozumiem. A więc dwóch mężczyzn, jeden wysoki i chudy, drugi niższy i krępy?

– Zgadza się.

Kilka minut później Decker udał się do domu, o którym mówiła Martin.

Może się mylił, ale jej opis pasował do Beatty'ego i Smitha, dwóch zamordowanych agentów DEA.

Decker stał przed domem, w którym znalazł dwa ciała. Potem przeniósł wzrok na budynek obok, do którego około dwóch tygodni wcześniej wchodził dwaj mężczyźni, być może agenci DEA, Beatty i Smith.

Czarny SUV stał pusty. Dyżurujący agent DEA zapewne poszedł na patrol.

Na ulicy nie było żadnych innych samochodów. Ani ludzi.

Decker spojrzął na drugą stronę, gdzie mieszkał Dan Bond. W jego domu nie świeciło się światło, chociaż akurat w wypadku osoby niewidomej o niczym to nie świadczy.

Bondem zamierzał się zająć później. Na razie miał obiecujący trop.

Podszedł zważym krokiem do wskazanego domu i się rozejrzał. Wytężając wzrok, popatrzył w stronę willi Mitchellów. Ledwie ją było widać, gdyż w przeciwieństwie do Domu Mordu jej tył przesłaniały dorodne krzewy.

Spojrzał w prawo, ale ten dom też niemal ginął w bujnej roślinności, która rozrosła się samopas między posesjami. Nie było w tym nic dziwnego, biorąc pod uwagę, że obie od dłuższego czasu stały puste.

Decker zajrzał na tyły domu, przed którym przystanął. Był tam drewniany taras, pochylony nieco na prawo, jakby podpierające go słupki zaczęły się zapadać.

Na posesji obok mignęło światło latarki, jakby miniaturowa błyskawica na tle mrocznego nieba. Jeden z ludzi Kemper robił obchód.

Decker skrył się za pniem rosnącego dębu i poczekał, aż agent wróci do samochodu. W końcu usłyszał trzaśnięcie zamykanych drzwiczek SUV-a.

Podszedł do tylnego wejścia i przekręcił gałkę. Ku jego zaskoczeniu drzwi się otworzyły.

Pomyślał, że może nie powinien się dziwić, skoro ten dom

wcale nie był taki opustoszały, za jaki uchodził.

Wszedł do środka, oświetlając sobie drogę latarką w telefonie. Rozkład pomieszczeń był podobny do tego w domu obok. Pewnie całe to osiedle zbudowano według jednego projektu.

Minął kuchnię i wszedł do salonu. Omiótł jego wnętrze snopem światła. Pusto. Żadnych mebli ani dywanu na podłodze, nic na ścianach. W oknach wprawdzie wisały zasłony, ale były stare i brudne.

Usłyszał jakiś hałas i gwałtownie się obejrzał. Przesunął dłonią nad kratką podłogową. Właśnie włączyło się ogrzewanie, co oznaczało, że w domu działa zasilanie elektryczne. Nie mógł jednak włączyć światła, gdyż zwabiłoby dyżurującego na zewnątrz agenta DEA.

Wnętrze trąciło wilgocią i naftaliną. Decker sprawdził pomieszczenia na piętrze. Potem zszedł na sam dół. Mając na uwadze, co znalazł w piwnicy poprzednim razem, wyjął pistolet. Rozejrzał się.

Wilgoć, pleśń i martwe insekty.

Ale żadnych ludzkich zwłok.

Nawet jeśli tamci dwaj agenci DEA spędzili tu trochę czasu, to nie zostawili po sobie śladu. Żadnych opakowań po jedzeniu na wynos, żadnych ubrań. Początkowo Decker myślał, że założyli tu sobie punkt obserwacyjny, ale na pierwszy rzut oka nic na to nie wskazywało. Może wszystko, co tu mieli, zabrali ze sobą. Ale do czego miałyby im służyć taki punkt? Kogo lub co chcieli obserwować?

Jeśli faktycznie korzystali z tego domu, jak do tego doszło, że skończyli w tym obok?

Decker właśnie miał wrócić schodami na górę, kiedy zamarł w bezruchu, po czym wycofał się w najciemniejszy kąt piwnicy.

Na parterze otworzyły się drzwi. Nie był pewny, czy te główne, czy te na tyłach domu.

Potem bezpośrednio nad sobą usłyszał trzeszczenie podłogi.

Tyłne drzwi. Ktoś na parterze właśnie przemieszczał się w stronę części frontowej domu.

Decker zacisnął palce na rękojeści pistoletu.

Jego dylemat był oczywisty. Istniało duże prawdopodobieństwo, że ten ktoś na górze jest dyżurującym agentem DEA. Zobaczył Deckera wchodzącego do domu albo błysk jego latarki w telefonie i przyszedł zbadać sprawę.

Ostatnia rzecz, jakiej chciał Decker, to strzelanina z funkcjonariuszem agencji federalnej.

A co, jeśli to nie był on?

Kroki przeniosły się na piętro. Decker czekał. Po minucie wróciły na parter.

Nie mógł wyjrzeć na zewnątrz, nie słyszał jednak syren nadjeżdżających radiowozów. Czy facet wezwał wsparcie?

Wtedy stało się to, co musiało w końcu nastąpić.

Otworzyły się drzwi do piwnicy.

Nie wychodząc z odległego rogu pomieszczenia, przejął inicjatywę.

– Amos Decker, FBI! – krzyknął. – Przedstaw się.

– Stringer, agent DEA – odpowiedział natychmiast głos w ciemności.

Decker się nie poruszył.

– Chciałbym ci wierzyć, ale muszę zobaczyć jakiś dokument tożsamości.

– Właśnie myślałem o tym samym. Jak chcesz to zrobić, zanim wezwę wsparcie?

– Nie rozpoznajesz mojego głosu? – rzucił Decker. – Miałem sporo do powiedzenia, kiedy rozmawiałem w kostnicy z agentką Kemper.

– Przyjechałem do miasta dziś rano z nową zmianą agentów.

– Okej, rzuć mi swoją legitymację, a ja ci rzucę swoją.

– Człowieku, jestem na służbie, a ciebie nie powinno tu być. Nie wiem, z kim, do cholery, rozmawiam, więc dawaj tę legitymację. Natychmiast.

Decker powoli sięgnął do kieszeni. Pistolet wsunął za pasek i wolną ręką wybrał numer na klawiaturze telefonu.

– Chwila, zaraz ci ją rzucę! – zawołał w stronę schodów.

Kemper odebrała po dwóch dzwonekach.

– Mam tu taką sytuację... – wyszeptał Decker. – Czy agent

o nazwisku Stringer jest dzisiaj na służbie?

– Nie. Na nocnej zmianie jest Jenkins. Od ósmej do ósmej. Nigdy nie słyszałam o agencji Stringerze.

– Okej, przyślij swoich na miejsce zbrodni. Zastaną mnie w domu po lewej, patrząc od ulicy. Jestem w piwnicy z facetem, który podaje się za jednego z waszych.

Zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, rozłączył się i spojrzał na telefon.

– Masz dwie sekundy na rzucenie mi legitymacji albo to się źle skończy! – zawołał mężczyzna podający się za Stringera.

– Dobra, idę.

Decker podszedł bliżej schodów, trzymając się ściany.

Położył kciuk na ekranie. Przygotował się. Włączył latarkę i szybkim ruchem rzucił telefon przed schody tak, by światło padało do góry.

Momentalnie rozległ się huk wystrzałów.

Cztery przytłumione strzały z pistoletu. Kule uderzyły o podłogę i zrykoszetowały.

Chociaż żadna nie trafiła Deckera, wydał z siebie głośny jęk, żeby zmylić przeciwnika.

Chwilę później wystrzelił połowę magazynka, celując w górę schodów na tyle szerokim łukiem, by objąć całe wejście do piwnicy.

Usłyszał dwa odgłosy trafień, jedno po drugim, a potem chrapliwe rżenie.

Przywarł do ściany. W tej samej chwili coś stoczyło się po schodach na podłogę piwnicy i tam znieruchomiło.

Sięgnął po telefon i poświecił na to coś latarką.

Mężczyzna.

Zabity, z jego ręki.

Patrząc na trupa u swoich stóp, Decker usłyszał własne głośne westchnienie.

Kiedy stawał w obliczu śmierci, zawsze odzywała się jego przypadłość. Synestezja. Włosy na karku stawały dęba, jakby rażone prądem, odczuwał mdłości i zawroty głowy, ale przede wszystkim widział przeraźliwie jaskrawe niebieskie światło.

W takich momentach atakowało go ze wszystkich stron, dusiło.

Tymczasem teraz nie doświadczał żadnego z tych objawów.

Po prostu patrzył na martwe ciało.

Jakby oznaki synestezji zwyczajnie ustąpiły, znikły.

Potem na zewnątrz rozległy się policyjne syreny.

Usłyszał też odgłos ciężkich kroków na werandzie przed domem. Zapewne agent Jenkins spieszył z odsieczą.

Nadciągała kawaleria.

Decker osunął się na ostatni stopień schodów i czekał.



– Decker, musisz przestać się szwendać po nocach. Mówię poważnie!

Jamison stała przed nim w długim podkoszulku i dresowych spodniach. Była boso, a jej zmierzwione włosy świadczyły o tym, że zerwała się z łóżka.

Znajdowali się w salonie Mitchellów. Amber i Zoe spały na górze.

Decker zadzwonił do Jamison z piwnicy domu, w którym zastrzelił człowieka.

Wyjaśnił sytuację agentom, którzy pierwsi przybyli na miejsce, potem agentce Kemper, a na koniec Greenowi i Lassiter, kiedy wreszcie się zjawili. Musiał też wytłumaczyć, jak w ogóle się znalazł tam, gdzie doszło do strzelaniny.

Najbardziej zaskakujący był moment, kiedy Kemper spojrzała na martwego mężczyznę leżącego na podłodze z dwiema kulami Deckera w piersi.

– To Brian Collins – stwierdziła.

– Kto to jest?

– Diler narkotykowy.

– Myślisz, że znał Michaela Swansona? Pracował z nim?

– Wątpię. Collins to gruba ryba. Był ścigany w kilku stanach za rozprowadzanie narkotyków i morderstwo.

– Ale co robił tutaj? – wtrącił Green. – I dlaczego próbował cię zabić?

– Musiał zobaczyć, jak wchodzi do domu – odrzekł Decker. – Może go obserwował.

– Nawet jeśli, dużo ryzykował, atakując cię, skoro przed domem obok siedział agent DEA – stwierdził Green.

– Biorę to za dobry znak – odparł Decker. – Boją się, że jesteśmy coraz bliżej. Wcześniej próbowali usmażyć mnie i Jamison w przyczepie Toby'ego Babbota.

– A jesteście coraz bliżej? – zapytał Green.

Decker spojrzał na trupa.

– Może nawet za blisko.

A teraz Decker musiał stawić czoło bardzo wkurzonej Jamison.

– Alex, nie miałem pojęcia, że wydarzy się coś takiego. Nie mogłem zasnąć, dlatego wyszedłem coś sprawdzić. Porozmawiałem z Alice Martin, która mnie naprowadziła na ten trop.

Jego partnerka usiadła obok.

– Decker, może to do ciebie nie dociera, ale moja siostra i siostrzenica właśnie doświadczyły czegoś naprawdę strasznego. Frank nie żyje. To się odbije na całym ich życiu.

– Rozumiem, Alex.

– Wiem, że znasz fakty. Ale czasem mam wrażenie, że nie rozumiesz ich znaczenia.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Na razie wystarczy mi jedna tragedia. A gdybyś zginął? Żadna z nas nie jest na to gotowa. Na pewno nie ja. A teraz, jeśli nie zamierzasz już robić niczego niewiarygodnie niebezpiecznego i głupiego, położę się, zanim eksploduje mi głowa. Sugeruję, żebyś poszedł w moje ślady.

Wstała i wspięła się ciężkim krokiem na piętro. Decker powoli podążył za nią.

Umył się i rozebrał.

Spojrzał na rękę, która pociągnęła za spust i wysłała Briana Collinsa na tamten świat. Nie czuł się z tym źle. Collins próbował go zabić i dostał to, na co zasłużył.

Co nadal nie wyjaśniało, dlaczego ktoś, kogo nawet nie znał, usiłował go zastrzelić.

Gruba ryba w narkotykowej branży. Poszukiwany w kilku stanach.

DEA.

Agenci, którzy przeszli na drugą stronę.

Sześć morderstw, w tym cztery, których ofiary wydają się nie mieć ze sobą nic wspólnego. To wszystko przez narkotyki? Wielu ludzi straciło życie z ich powodu. Baronville ewidentnie padło ofiarą kryzysu opioidowego, który wyniszczał też resztę kraju.

On i Jamison wpadli w sam jego środek.

A ta historia z ojcem Lassiter, który spalił dom bankiera, poszedł za to do więzienia i tam zmarł? W dodatku jej matka popełniła samobójstwo. Teraz rozumiał, dlaczego Lassiter żywiła urazę do Johna Barona, nawet jeśli było to niedorzeczne.

No i co się działo w jego głowie? Dlaczego nie pojawił się niebieski kolor? Żadnych mdłości ani mrowienia, od którego jeżyły mu się włosy na karku... Nie żeby bardzo chciał doznawać tych wszystkich wrażeń, ale przynajmniej dawały się przewidzieć. To, że zanikły, w jego odczuciu było gorsze, niż gdyby nadal się pojawiały.

*Mój mózg znowu przechodzi jakąś metamorfozę. Kim obudzę się jutro?*

Westchnął. Takie rozważania nie prowadziły do niczego dobrego.

Wtedy przyszła mu do głowy pewna myśl. Na szczęście była powiązana ze śledztwem.

Sięgnął po telefon i zadzwonił do Kemper. Znowu odebrała po drugim dzwonku.

– Co wasi dwaj agenci mogli robić w tamtym domu? – zapytał.

– Nie mam pojęcia.

– Może się komuś albo czemuś przyglądali?

– Masz na myśli punkt obserwacyjny?

– Coś w tym rodzaju, chociaż w środku nie znalazłem nic, co by na to wskazywało.

– Decker, przy tej ulicy mieszkają tylko trzy osoby. Wszystkie są w podeszłym wieku. Jedna jest niewidoma, a druga to emerytowana nauczycielka szkółki niedzielnej.

– Trzecia jest dupkiem, który mnie straszył bronią.

– Wyjaśnij mi to z łaski swojej.

Decker opowiedział o konfrontacji z Fredem Rossem.

– Nadal nie rozumiem, jaki związek z tym wszystkim może mieć zgorzkniały osiemdziesięciolatek na wózku inwalidzkim.

– Ja też nie.

– Za to ja czegoś się dowiedziałam.

Decker nadstawił ucha.

- Co takiego?
- Ten zastrzelony przez ciebie, Brian Collins...
- Tak?
- Wiem o nim więcej, niż powiedziałam.
- I teraz chcesz się tym ze mną podzielić? Dlaczego?
- Zaczynam cię lubić.
- To miłe.
- Wiemy, z kim wcześniej Collins robił interesy.
- Któż to taki?
- Randy Haas. Facet, który nam wyznał, zanim wyzionął ducha, że moi dwaj agenci stali się przestępcami.

– Chce, żebyśmy zrobili co?

Decker wpatrywał się w partnerkę siedzącą naprzeciwko przy stole śniadaniowym.

Jamison odstawiała filiżankę.

– Amber chce, żebyśmy pojechali do centrum dystrybucji zabrać z biura Franka jego rzeczy osobiste. I przywieźli tu jego samochód – powiedziała cierpkim tonem.

– Ale ja mam śledztwo...

Jamison przerwała mu w pół zdania.

– Decker, moja siostra musi zorganizować pogrzeb męża. Przynajmniej w ten sposób możemy coś dla niej zrobić.

– Jestem gotowa, ciociu Alex.

Oboje się obrócili i zobaczyli Zoe stojącą w drzwiach. Miała na sobie płaszcz, a jej oczy były napuchnięte od płaczu.

– W porządku, kochanie, zaraz do ciebie przyjdę. Poczekaj na mnie, proszę, przy wejściu.

Zoe spojrzała żałośnie na Deckera i odeszła, powłócząc nogami.

Decker spojrzał na Jamison.

– Odwozisz ją do szkoły?

– Nie. Jedzie z nami.

– Z nami? A co ze szkołą?

– Decker, wczoraj zginął jej ukochany tato. Ma wolne. Kilka dni w domu nie zaważy na tym, czy dostanie się na Harvard.

– Myślisz, że to dobry pomysł? Zabierać ją, skoro jedziemy po rzeczy jej taty?

– Nie ma innego wyjścia. Amber nie zna tu nikogo na tyle, żeby powierzyć mu opiekę nad Zoe, zwłaszcza teraz. Będzie zajęta wybieraniem trumny, kwiatów i miejsca pochówku. Myślisz, że Zoe powinna przy tym być?

– Nie – przyznał Decker skruszonym tonem.

– W porządku, dopij kawę i jedziemy. Ja poprowadzę, a ty wrócisz samochodem Franka.

Kiedy podeszli do drzwi wejściowych, Zoe wyciągnęła rękę, ale nie do swojej ciotki, tylko do Deckera. Zaskoczony zerknął na Jamison, która skinęła głową. Ujął drobną dłoń dziewczynki w swoją wielką grabę i ruszyli w drogę.

– Dobry Boże, jaki moloch.

Właśnie zajechali na parking centrum dystrybucji firmy Maxus, kiedy Jamison wypowiedziała tę uwagę.

Budynek rzeczywiście górował nad okolicą, a sąsiadujący z nim parking był zastawiony samochodami. Na tyłach centrum dostrzegli flotę ciężarówek z naczepami, wyładowujących lub załadowujących towar, i ciągnący się w nieskończoność rząd ramp przeładunkowych.

– Wciąż dodają kolejne – zauważył Decker, wskazując na prace budowlane w zachodniej części budynku.

Jamison znalazła miejsce do zaparkowania dopiero w sporej odległości od wejścia, do którego musieli się udać pieszo, mijając po drodze morze samochodów.

– To tu pracował mój tato? – zapytała Zoe.

– Tak, kochanie – odpowiedziała Jamison. – Przyjechaliśmy zabrać jego rzeczy.

– Wiem. I jego samochód. Mama mi mówiła.

– Tak.

Zoe uniosła głowę i zerknęła na swoją ciocię.

– Czy mój tato naprawdę nie żyje?

Jamison zawahała się, nie wiedząc, co powiedzieć.

Zanim coś wymyśliła, Decker się schylił, wziął Zoe na rękę i wskazał budynek przed nimi.

– Widzisz, jakie wielkie jest to miejsce?

Zoe skinęła głową.

– Twój tato pomagał kierować wszystkim tutaj. Popatrz, ile tu samochodów, ilu ludzi. Opiekował się nimi i całym tym budynkiem. Wszyscy polegali na twoim tacie. A on nigdy ich nie zawiódł.

Zoe wsunęła kciuk do buzi, a jej oczy zrobiły się szkliste od łez.

– Musimy tam wejść i zabrać jego rzeczy – kontynuował Decker – bo one są częścią domu, w którym mieszkacie ty i twoja mama, prawda?

Zoe energicznie pokiwała głową, nie przestając ssać kciuka.

Decker pomaszerował dalej z dziewczynką na rękę. Oniemiała z wrażenia Jamison pospieszyła za nimi.

Po wejściu do środka zostali skierowani do biura menedżera. Plakietka z jego nazwiskiem widniała obok drzwi.

– Ted Ross – odczytał na głos Decker. – Interesujące.

Przez szczelinę w żaluzjach przesłaniających okno biura zobaczyli mężczyznę w średnim wieku. Miał na sobie koszulę garniturową i krawat. Jego siwe włosy wyraźnie rzedły. Siedział przy biurku i rozmawiał przez telefon. Trzy ściany biura tworzyły pomalowane na biało płyty regipsowe, ale tę z tyłu wyłożono drewnianymi panelami i ozdobiono sztukaterią. Pośrodku wisiały oprawiona koszulka i klubowy szalik drużyny Pittsburgh Steelers.

– Dlaczego interesujące? – zapytała Jamison. – Znasz go?

– Nie, ale możliwe, że poznałem jego ojca.

Zapukali do drzwi. Ross podniósł wzrok, zakończył rozmowę i podszedł otworzyć.

Gdy zobaczył Deckera i Zoe, spochmurniał.

– Jestem Ted Ross. Dziękuję, że przyszliście. Nie wiedzieliśmy, co zrobić z... – Zająknął się i spojrzał niepewnie na Zoe.

– Dziękuję, że znalazł pan dla nas czas – wtrąciła Jamison. – Amber to moja siostra. Jestem Alex Jamison, a to Amos Decker.

– Słyszałem, że oboje pracujecie dla FBI.

– Zgadza się – powiedziała Jamison. – A to Zoe, córka Franka.

Ross wyciągnął rękę w stronę dziewczynki.

– Cześć, Zoe, bardzo mi miło cię poznać.

Zoe skinęła głową i podała rękę, ale nie odezwała się ani słowem, a jej kciuk nadal niewzruszenie tkwił w buzi.

– Jest pan synem Freda Rossa? – zapytał Decker.

Ross spojrział na niego zaskoczony.

– Tak. Skąd to pytanie?

– Poznałem go poprzedniej nocy.

– Przykro mi – odpowiedział Ross z rezerwą w głosie. – To... ciężki przypadek.

– Można tak to ująć – przytaknął Decker.

– Pokażę wam, gdzie są rzeczy, po które przyjechaliście.

Ross poprowadził ich korytarzem w głąb budynku.

– Jak duże jest wasze centrum? – zapytał Decker.

– Ponad sto tysięcy metrów kwadratowych – odparł Ross. – Właśnie dobudowujemy kolejne pięćdziesiąt tysięcy. To jest przyszłość handlu detalicznego, czy to się komuś podoba, czy nie. Centra handlowe w całym kraju są zamykane, sieciówki bankrutują jedna po drugiej. Konsumenci robią zakupy przez Internet. Cokolwiek kupią, my im to dostarczymy.

– Rozumiem teraz, dlaczego te centra są takie wielkie – skomentował Decker.

– Właśnie. W tym układzie zyskują obie strony. Sprzedawcy mogą się skoncentrować na ofercie, a my realizujemy zamówienia, które dostają. Obsługujemy ponad piętnaście tysięcy podmiotów, a ta liczba stale rośnie. Centra dystrybucji nie są tanie w budowie ani w obsłudze. Przedsiębiorstwa, które chcą prowadzić handel online, a nie stać ich na zbudowanie własnego centrum dystrybucji, zlecają to zadanie firmom zewnętrznym, takim jak Maxus. Pobieramy od nich skrzętnie wyliczoną opłatę za składowanie towaru, no i mamy działkę od każdej transakcji. Mimo to sprzedawcom nadal się to opłaca – z powodów, które właśnie przedstawiłem. To już nasze dziesiąte centrum, a w planach na najbliższe pięć lat mamy budowę kolejnych dziesięciu. Interes się kręci. Dosłownie nie nadążamy za popytem na nasze usługi.

– No cóż, od przybytku głowa nie boli – zauważyła Jamison.

– No tak, ale można się zarobić na śmierć.

Ross, kiedy tylko wypowiedział te słowa, zbladł i zerknął na Zoe. Ona jednak wydawała się go nie słuchać. Usadowiona wysoko na ręce Deckera, była zajęta obserwowaniem wszystkiego wokół. Decker raz spróbował ją postawić na podłodze, ale trzymała się go tak kurczowo, że dał za wygraną.



– To tutaj – powiedział w pewnej chwili Ross, zatrzymując się przed drzwiami jakiegoś pokoju. Przekręcił klucz w zamku i otworzył je.

Oczom wszystkich ukazało się biuro wielkości jednej trzeciej gabinetu Rossa. Mieściło się w nim biurko i krzesło, trzy metalowe regały na segregatory na jednej ścianie oraz wielka biała tablica upstrzona listami i karteczkami, wisząca na ścianie obok – wszystko starannie rozmieszczone, by jak najlepiej zagospodarować dostępną przestrzeń.

Na środku biurka spoczywał smukły komputer.

– Frank był bardzo dobrze zorganizowanym i efektywnym pracownikiem – zauważył Ross. – Twój tato był naprawdę dobry w tym, co robił – dodał, patrząc na Zoe.

Dziewczynka skinęła głową, ale się nie odezwała.

Ross wskazał kartonowe pudełko na biurku.

– Zebraliśmy jego rzeczy osobiste. Są wszystkie tutaj – powiedział, po czym sięgnął do kieszeni. – A to kluczyki. Przetawiliśmy samochód bliżej wejścia. Czterodrzwiowa niebieska kia, ale to pewnie wiecie.

– Dzięki – powiedziała Jamison, sięgając po kluczyki i wręczając je Deckerowi.

– Alex, zabierz, proszę, Zoe i jedźcie już. Ja wezmę ten karton do swojego samochodu.

– Do samochodu mojego taty – wtrąciła Zoe, wyjmując kciuk z buzi.

– Właśnie, do samochodu twojego taty – zareagowała szybko Jamison. – Okej, do zobaczenia w domu.

Chwyciła Zoe i obie wyszły. Dziewczynka oglądała się smętnie za Deckerem, dopóki nie zniknęły za drzwiami.

Decker zwrócił się do Rossa.

– Mógłby pan coś dla mnie zrobić?

– Jasne, jeśli tylko...

– Mogę zobaczyć, gdzie to się stało?

Ross spojrział na niego nieco zaskoczony.

– Ma pan na myśli miejsce, gdzie Frank... zginął?

– Tak.

– To był wypadek. Tragiczny i głupi, który nigdy nie powinien się wydarzyć, ale jednak wypadek.

– Nie twierdzę, że było inaczej. Nie prowadzę tu dochodzenia. Chcę tylko opowiedzieć Amber... Może zadawać pytania. To wszystko. Ona nie mogła się zdobyć na to, żeby tu przyjechać. Poza tym musi zorganizować pogrzeb.

– Oczywiście, rozumiem. To koszmarna historia. Pokryjemy koszty pogrzebu i całej reszty – dodał szybko.

– To miło z waszej strony.

– Wiem, że będzie się sądzić z Maxusem. Do diabła, sam bym to zrobił na jej miejscu.

– To dość niezwykle oświadczenie, biorąc pod uwagę, że pracuje pan dla Maxusa.

– Pracuję dla nich dopiero od czasu, kiedy zaczęli budować to centrum. Zatrudnili mnie, bo byłem tu jedną z nielicznych osób, które miały doświadczenie w zarządzaniu czymś tak wielkim. Ponadto doradzałem im w trakcie budowy. Mam nadzieję, że Amber dostanie wszystko, co się jej prawnie należy.

– Gdzie pan pracował wcześniej?

– Jestem po sześćdziesiątce, a więc dość stary, żeby pamiętać czasy prosperity Baronville. Zaczynałem jako stolarz wykończeniowy. Potem założyłem własną firmę budowlaną. Później zarządzałem ostatnimi zakładami włókienniczymi w tym mieście. Nie były tak wielkie jak to miejsce, ale mieliśmy około dwustu pracowników. Ciężarówki przywoziły materiały i wywoziły gotowe produkty okrągłą dobę. To dlatego uznano, że nadają się na menedżera tutaj.

– Wróćmy do Franka Mitchella.

– Proszę za mną.

Ross poprowadził Deckera do drzwi na końcu korytarza. Wiodły na półpiętro, skąd rozciągał się widok na przestronną halę.

– W moim biurze jest okno, żebym miał oko na ludzi w dziale zarządzania – powiedział Ross – ale najwięcej uwagi poświęcam temu miejscu. To tu zarabiamy pieniądze.

Decker rozejrzał się po bezkresie metalowych regałów i kilometrach przenośników taśmowych. Wśród nich dostrzegł ludzi i roboty, stacjonarne i mobilne, pracujących w pozornie idealnej harmonii.

– Dużo ruchomych elementów – zauważył.

– To jeden wielki algorytm – przyznał Ross. – Ale generalna zasada jest prosta. Produkt wjeżdża i wyjeżdża tak szybko i precyzyjnie, jak to tylko możliwe. – Potem wskazał na tylną część hali, gdzie znajdowały się rampy przeładunkowe. – Dostawy przywożone ciężarówkami są rozpakowywane, a towary skanowane i umieszczane w tych niebieskich koszach. Potem przenośniki taśmowe, które tu widać, rozwożą poszczególne produkty do różnych części CD. – Spojrzał na Deckera, jakby sprawdzał, czy ten nadąży. – To skrót od „centrum dystrybucyjne”. Kiedy towar dojedzie na miejsce, dostaje kod kreskowy, który zawiera informację o jego LM.

– Czyli? – zapytał Decker.

– Lokalizacji magazynowej. Wszystkie te regały, które tu widać, są podzielone na segmenty z kodami kreskowymi i oznaczeniami alfanumerycznymi. To coś w rodzaju systemu kart katalogowych używanego kiedyś w bibliotekach. Z tym że ten system jest cyfrowy. Gdy spływają do nas zamówienia, a są ich setki na sekundę, zbieracze – to ci w żółtych kamizelkach – używają ręcznych skanerów, żeby znaleźć dany produkt. Skanują kod i kładą towar do kosza. Kiedy kosz się zapełni, trafia na taśmę.

– Jak?

– Robią to pracownicy, ręcznie lub za pomocą wózków, albo roboty – powiedział Ross i wskazał na sunące po podłodze urządzenie, które wyglądało jak wielki, postawiony na sztorc odkurzacz. – To jest ARM, czyli autonomiczny robot mobilny. Dzięki specjalnemu oprogramowaniu wykorzystującemu sztuczną inteligencję – swojemu mózgowi, że się tak wyrażę – przenosi pełny kosz na taśmę. – Następnie wskazał na inne urządzenie, które właśnie przestawiało duży segment regału. – To jest robot podnoszący. Wygląda podobnie jak tamte, ale może udźwignąć tysiące kilogramów. Porusza się po wyznaczonej trasie i trafia tam, gdzie akurat jest potrzebny. – Potem Ross zwrócił uwagę Deckera na inną część centrum. – Z taśm towar trafia tu, do sortowni. Produkty rozdziela się do slotów. Każdy mieści jedno zamówienie. Na tym etapie robi się naprawdę wąsko, bo wybieramy rzeczy dla poszczególnych odbiorców. Dostarczysz komuś nie to, co zamówił, i masz problem. Potem wszystko jedzie na stanowiska, gdzie przygotowuje się paczki do wysyłki.

– Robią to ludzie? – zapytał Decker.

– Roboty tak naprawdę nie potrafią pakować. Przynajmniej jeszcze nie teraz. Algorytm podpowiada pudełko o rozmiarze odpowiednim do danego zamówienia, torebki powietrzne zwane wypełniaczami oraz taśmę pakową. Potem towar jedzie na taśmie do maszyny etykietującej, która nakleja etykietę wysyłkową. Stamtąd trafia na rampę, gdzie przesyłki wkłada się do ciężarówek. Samo ładowanie przypomina układanie puzzli, ponieważ każda ciężarówka musi być maksymalnie wypełniona. Kiedy się rozsyła miliony paczek, liczy się każdy centymetr.

– Załadunkiem zajmują się ludzie?

– Tak. Tego roboty też nie potrafią. Jeszcze.

– Często używa pan słowa „jeszcze”.

Ross spojrzał na niego.

– Z robotami jest jeden zasadniczy problem. Nie mają ludzkich rąk. Widzi pan tamte mechaniczne ramiona?

Decker spojrzał we wskazane miejsce na tyłach hali. Zobaczył rząd wielkich metalowych wysięgników podnoszących olbrzymie

palety wysoko na półki.

– Do czegoś takiego roboty nadają się najlepiej. Dźwigają ciężary, których człowiek nigdy nie byłby w stanie unieść. Jeden kierunek, jedno miejsce składowania. To nie wymaga złożonych umiejętności motorycznych, tylko samej siły fizycznej. Ludzie wyczuwają przedmioty w palcach i mogą pracować na małej przestrzeni. Obecne roboty tego nie potrafią. Ludzie podejmują szybkie, logiczne decyzje, na przykład przesuną paczkę o parę centymetrów, żeby się mieściła. Z nowymi produktami, których nie widzieli nigdy w życiu, radzą sobie bez trudu. Aktualnie użytkowane roboty jeszcze nie opanowały tej sztuki. Ale przemysł nad tym pracuje. W istocie Świętym Graalem centrów dystrybucji jest coś zwanego niezawodnym mechanizmem chwytającym, czyli robot, który zachowuje się bardziej jak człowiek: biorący przedmioty w ręce i umieszczający je w konkretnych miejscach. Takie urządzenie powstanie prędzej czy później, ponieważ ludzie robią sobie przerwy na lunch, muszą wychodzić do toalety, męczą się, chorują, potrzebują urlopów i ubezpieczenia zdrowotnego. Kiedy zastąpią ich roboty, wszystkie te kwestie odpadną.

– Sugeruje pan, że pewnego dnia będą tu pracowały same roboty?

– W biznesie nikomu nie zależy na tworzeniu miejsc pracy. Tu chodzi o pieniądze. Kiedy nastanie epoka robotów, wystarczy garstka techników, którzy będą je konserwować i naprawiać.

– Ale jeśli ludzie nie będą mieli gdzie zarobić, to kto kupi cały ten towar, który tu leży na półkach? – zapytał Decker.

Ross uśmiechnął się szeroko.

– Nie sądzę, żeby bogacze dobrze to sobie przemyśleli. Pewnie mają nadzieję, że rząd coś wymyśli. Boże, miej nas w opiece, jeśli tak się mają sprawy.

Decker wskazał na drzwi w głębi hali.

– To są bramki detekcyjne?

– Tak. To wejście dla pracowników. Co prawda zatrudnionych tu ludzi nazywamy partnerami, ale jak w każdym innym miejscu pracy zdarzają się u nas kradzieże. Muszą przechodzić przez

bramki i pokazać zawartość toreb.

– Wszyscy muszą się poddać tej procedurze?

– Tak. Ja też.

– Wyobrażam sobie, że fizyczne wymogi stawiane waszym „partnerom” są dość wysokie.

– Mamy czterysta zamówień na sekundę. Jest co robić. Zbieracz otrzymuje sygnał na swoim ręcznym urządzeniu za każdym razem, kiedy pojawia się zamówienie do realizacji. System kieruje go do półki, gdzie znajduje się dany artykuł. I zaczyna się cały proces. Pracownicy muszą być w stanie unieść około dwudziestu dwóch kilogramów i wytrzymać na nogach po dwanaście godzin dziennie. W trakcie jednej zmiany pokonują dystans około dwudziestu pięciu kilometrów. Ale co tam, przecież chodzenie jest dobre dla zdrowia, prawda? Robię obchód codziennie o tych samych porach. Sprawdzam, czy wszystko gra. – Zerknął na zegarek. – Kolejny wypada za godzinę. Muszę się integrować z ludźmi. Powinni widzieć, że kierownictwo bywa razem z nimi w hali. Ale lekko nie jest. Mam tu kierowników, którzy pilnują, żebyśmy wyrobili normę. Ciśniemy innych, dlatego że ci nad nami cisną nas. Nie wyrabiasz się z robotą, szukaj sobie innej. To miejsce jest tak ogromne, że pomieściłoby ponad dwadzieścia boisk futbolowych. Trzeba się nachodzić. Czasem nawet jeździmy rowerami albo trójkołowcami, żeby było szybciej. A kiedy ukończymy budowę nowej części, zwiększymy powierzchnię o połowę. Mamy tu klimatyzację, ale i tak bywa, że pot się leje z czoła.

– Cóż, widać, że pracy nie brakuje.

– Zarabia się tu dobrze. Zbieracze zaczynają od dziesięciu dolarów za godzinę plus opieka medyczna i plan 401 (k)<sup>9</sup>. Po pięciu latach zarabiają szesnaście za godzinę. Oferujemy sporo nadgodzin, a w newralgicznych okresach, jak Boże Narodzenie, nadgodziny są obowiązkowe. Wtedy pracuje się tu od pięćdziesięciu pięciu do siedemdziesięciu godzin tygodniowo. Razem z nadgodzinami wielu ludzi wyciąga po czterdzieści tysięcy rocznie i więcej. W obecnych czasach takie zarobki

---

<sup>9</sup> Plan 401(k) – emerytalny plan oszczędnościowy.

plasują ich w klasie średniej, zwłaszcza jeśli pracują tu mąż i żona, a takich przypadków mamy sporo. Do diaska, w tym mieście z takimi pieniędzmi można się czuć bogaczem.

– Ale Frank Mitchell mówił mi, że macie problem ze znalezieniem rąk do pracy.

– Pewnie też powiedział panu dlaczego. Mamy około tysiąca pracowników, ale wciąż potrzebujemy nowych. Zwłaszcza że właśnie się rozbudowujemy. Problem polega na tym, że setki aplikujących nie przechodzą testów narkotykowych. Do diaska, tak jest w całym kraju. Dzieciaki, ich rodzice, dziadkowie, wszyscy biorą. – Zamilkł na chwilę. – Oto świat centrów dystrybucji – dodał.

– A teraz chodźmy do świata, w którym zginął Frank Mitchell – powiedział Decker.

Ross poprowadził go w dół metalowych schodów, a potem halą do miejsca, gdzie rozbudowywano centrum. Otworzył drzwi kluczem i weszli do kolejnej hali, przypominającej do złudzenia tę, którą właśnie minęli. Z jedną różnicą: tu nie było ludzi ani piętrzącego się na półkach towaru.

– Normalnie byłoby tu mnóstwo budowlańców, ale policja zamknęła halę do czasu zakończenia śledztwa. Mam nadzieję, że nie potrwa to długo. Szefostwo już mnie nęka telefonami. Nie podoba im się, że prace stanęły. Mamy napięty harmonogram.

– Gliniarze mają gdzieś harmonogramy budowlane.

– Wiem. Kiedy przyszliście, akurat rozmawiałem przez telefon z szefem. Z pewnością jest im przykro z powodu tego, co przydarzyło się Frankowi. Nikt nie zasługuje na taką śmierć. Ale biznes to biznes.

– Prawda – mruknął Decker, rozglądając się. – Gdzie to się stało?

– Tam.

Ross zaprowadził go do miejsca na skraju hali. Znajdował się tam szereg wysięgników. Wysokich regałów, na których miały układać towar, jeszcze nie było, stały tylko betonowe ściany.

W jednym miejscu Decker zauważył plamy po krwi i wnętrznościach. Stojące naprzeciw metalowe ramię było

otoczone policyjną żółtą taśmą.

– Nie wolno nam wchodzić za taśmę – powiedział Ross. – Ale to oczywiście pan wie – dodał szybko.

– Policyjni technicy już tu pracowali?

– Byli wczoraj i dzisiaj rano. Robili zdjęcia i pomiary, zebrali odciski.

– Dość rutynowo jak na coś takiego – zauważył Decker. – Czy ktoś sprawdził to automatyczne ramię, żeby zobaczyć, jak to się stało?

– Firma, która je zainstalowała, wysłała zespół. Ma to gruntownie zbadać. Musimy wiedzieć, jak do tego doszło. To nie może się powtórzyć. Nie ma mowy. Kiedy znaleziono Franka, to ramię wciąż go trzymało. Rąbnęło nim o ścianę. Może się poruszać powoli, ale potrafi wykonać gwałtowny ruch z taką siłą, że urwałoby głowę.

– Dlaczego Frank był tu wczoraj wieczorem?

– Do jego obowiązków należał również nadzór nad budową nowej części centrum. Normalnie robił obchód tuż przed końcem pracy. Robotnicy wchodzą tu o siódmej rano i kończą około piątej. Nie było mnie w budynku, kiedy do tego doszło. Dowiedziałem się przez telefon.

– Kto zadzwonił?

– Marjorie Linton. Pracowała z Frankiem. Wiedziała, że poszedł coś sprawdzić. Nie wrócił, więc zadzwoniła na jego komórkę, a gdy nie odebrał, poszła go szukać. I znalazła ciało.

– Wtedy do pana zadzwoniła?

– Tak. Była w szoku. To ja zawiadomiłem policję, kiedy już zdołałem ją uspokoić na tyle, żeby zrozumieć, co do mnie mówi.

Decker spojrział na mordercze automatyczne ramię.

– Co właściwie robił tu Frank? Przeprowadzał inspekcję tego urządzenia?

– To możliwe. Wiedział, jak działają różne roboty.

– Ten był gotowy do użycia?

– Był wpięty do zasilania, ale niewłączony. Przetestowaliśmy go jakiś tydzień temu. Wszystko działało, jak powinno.

– Więc jak to się stało, że zabił człowieka?



– Właśnie dlatego producent przysłała nam ekipę. Czekamy, aż postawią diagnozę.

– Będą w stanie ustalić przyczynę ponad wszelką wątpliwość czy tylko zaczną spekulować?

Ross wzruszył ramionami.

– Nie znam się na sprawach technicznych aż tak, żeby odpowiedzieć na to pytanie. Mogę jedynie mieć taką nadzieję. Jak już powiedziałem, nie możemy dopuścić, żeby coś takiego się powtórzyło.

Decker spojrzał na rozbryzg krwi na ścianie.

– Cóż, to i tak o jeden raz za dużo.

Idąc z powrotem przez halę, minęli wielki stół. Decker zwrócił uwagę na leżący na blacie zwój papierów.

– Co to takiego? – zapytał.

Ross podszedł do stołu.

– Plany architektoniczne nowej części. To w zasadzie kopia istniejącego centrum, tylko pomniejszona o połowę. Dlaczego pan pyta?

Decker wpatrywał się w rysunki, przewijając w pamięci obrazy, aż znalazł właściwy, następnie wywołał drugi. Kiedy nałożył je na siebie, w jego mózgu dosłownie rozległo się kliknięcie.

Przynajmniej jego pamięć wydawała się sprawnie działać tego dnia.

– Tak tylko pytam – rzucił.

– Co robisz? – Jamison właśnie weszła do kuchni i zastała Deckera studiującego rysunki, które chwilę wcześniej wyjął z szafy w przedpokoju i rozwinął na stole.

Na dźwięk jej głosu podniósł głowę.

– To są plany konstrukcyjne centrum dystrybucji Maxusa – oznajmił.

Usiadła naprzeciwko.

– I co z tego? Dlaczego nie pojechałeś od razu za nami?

– Chciałem zobaczyć miejsce, w którym zginął Frank.

Jamison spojrzała na niego, jakby się przestyszała.

– Po co? To był wypadek.

Decker spojrzał ponad jej ramieniem w stronę wejścia do kuchni.

– Gdzie są Amber i Zoe?

– Amber jeszcze nie wróciła, a Zoe poszła się zdrzemnąć. Obawiam się, że niewiele spała zeszłej nocy. Kiedy tu jechałyśmy, oczy same się jej zamykały.

Decker przeniósł uwagę z powrotem na rysunki. Wertował je, aż trafił na ten, którego szukał.

– Poczekaj sekundę.

Zerwał się od stołu i wybiegł z pomieszczenia.

– Decker...? – jęknęła Jamison i pokręciła głową. Spojrzała na rysunki przed sobą, nie pojmując, co tak frapującego dojrzał w nich jej partner.

Decker wrócił chwilę później, niosąc złożoną kartkę papieru. Rozłożył ją na stole i wygładził.

– Co to jest? – zapytała, podczas gdy Decker przeszukiwał kolejne szuflady, aż znalazł ołówek.

Nie odpowiedział, tylko usiadł przy stole i zaczął rysować linie na przyniesionej kartce.

– To jest ten kawałek papieru milimetrowego, który znaleźliśmy w przyczepie Toby’ego Babbota – zauważyła

Jamison.

– Zgadza się.

– A co robisz tym ołówkiem?

– Wypełniam zagłębienia w papierze. Ta kartka znajdowała się bezpośrednio pod tą, na której wykonano rysunek. Zagłębienia powstały w trakcie rysowania, pod naciskiem przyboru kreślarskiego.

– Okej, to rozumiem. Pewnie niejedno małżeństwo się rozpadło, bo niewierna żona nie wiedziała, że z kartki pod spodem można odczytać, co pisała do swojego kochanka. Ale do czego zmierzasz?

Decker znowu nie odpowiedział. Cierpliwie wypełniał zagłębienia, a kiedy skończył, wyprostował się.

Jamison spojrzała na kartkę.

– Porównaj to z tą stroną planów konstrukcyjnych centrum dystrybucji – powiedział.

Jamison zamarła.

– To samo, tylko różne skale. – Podniosła wzrok na Deckera. – Tylko po co Toby Babbot miałby kopiować plany konstrukcyjne centrum dystrybucji Maxusa?

– Nie wiem. Ale chcę się dowiedzieć. – Decker chwycił papier milimetrowy. – Kiedy zobaczyłem plany nowej części centrum, poszukałem w pamięci obrazu planów, które widziałem w szafie tutaj. – Uniósł kartkę na wysokość oczu. – Wtedy mnie uderzyło, że te linie bardzo przypominają rysunki z szafy.

– Cóż, myślę, że twoja pamięć działa bez zarzutu – skwitowała Jamison. – Nadal jednak nie rozumiem, dlaczego mielibyśmy zawracać sobie tym głowę.

– Dlatego, Alex, że kiedy byliśmy w przyczepie Babbota, ktoś nas próbował zabić. A może chciał się pozbyć dowodów. – Postukał palcem w kartkę. – Takich jak to.

– Ale dowodów na co?

Decker oparł się na krzesło.

– Tego nie wiem.

– Przecież ten ktoś mógł to po prostu stamtąd zabrać.

Po co palić całą przyczepę?

– Może tak zamierzał zrobić, ale mu przeszkadziliśmy. Mógł się obawiać, że znajdziemy to albo coś jeszcze, co Babbot miał u siebie. Dlatego postanowił spalić wszystko, razem z nami. Dwie pieczenie przy jednym ogniu, że się tak wyrażę.

Jamison założyła ręce na piersi.

– Czego się dowiedziałeś o wypadku Franka?

Decker opowiedział partnerce, co usłyszał od Rossa. Jamison złapała się za głowę i gniewnie westchnęła.

– Zbuntowany robot. Cudnie. Po takich wiadomościach człowiek ma ochotę pieprzyć tę całą technologię i wrócić do młotków i łopat. – Spojrzała na partnera, który patrzył nieobecny wzrokiem w ścianę przed sobą, ewidentnie pogrążony w myślach. – Decker?

Nie odpowiedział.

– Chyba nie myślisz, że śmierć Franka to coś innego niż nieszczęśliwy wypadek, prawda?

W końcu wyrwał się z rozmyślań i wrócił do rzeczywistości.

– Mam uwierzyć w wypadek tylko dlatego, że ktoś nam tak powiedział?

– Ale jeśli nie wypadek, to co? Frank nie miał tu wrogów. Dlaczego ktokolwiek miałby chcieć go zabić?

Decker spojrzał na nią.

– A skąd wiesz, że nie miał wrogów?

– Przecież... Mieszkają tu od niedawna. A on był takim miłym facetem.

– Narobienie sobie wrogów to nie jest coś, co wymaga dużo czasu. Poza tym nawet mili faceci mogą się narazić komuś, kto jest zdecydowanie mniej miły od nich. Wiem, że Toby Babbot miał plany tego centrum w swojej przyczepie. I że ktoś ją spalił. A teraz w tym samym centrum zginął Frank, bo robot, który rzekomo był wyłączony, nagle dostał szału i rozkwaślił go na ścianie.

– Jak te sprawy miałyby się ze sobą łączyć?

– Nie wiem, czy w ogóle mają ze sobą jakiś związek. Ale mogą mieć.

– Mamy już sześć morderstw, w sprawie których prowadzimy dochodzenie.

– Zdaję sobie z tego sprawę.

– A ty nie masz żadnego dowodu, że Franka zamordowano. – Kolejne słowa wypowiedziała, obniżając głos. – I nie możesz tego rozgłaszać, zwłaszcza przy mojej siostrze i Zoe. Decker, na Boga, one większej traumy już nie zniosą.

– Nie mam zamiaru komukolwiek o tym mówić.

– A jak chcesz poprowadzić dochodzenie w tej sprawie?

– Firma, która zbudowała tego robota, przysłała zespół techników. Mają sprawdzić, co zawiodło. Jestem pewien, że kopia ich raportu trafi do miejscowych stróżów prawa, a my go od nich wydobędziemy. Nawet jeśli nie, to będą musieli dać ten raport do wglądu Amber, więc i tak się dowiemy, co w nim jest.

– Jak szybko go sporządzą?

– Nie mam pojęcia. Dlatego nie chcę czekać. Rozpytam się trochę. Dyskretnie! – dodał szybko, widząc, że Jamison chce zaprotestować. – I wyłącznie o centrum dystrybucji.

– Przecież masz pomagać Greenowi i Lassiter, a teraz jeszcze agentce Kemper, jak się domyślam, w sprawie tych wszystkich morderstw.

– Tym też się zajmę. I to już dzisiaj.

– Nie rozumiem, dlaczego mieszasz w to śmierć Franka, która mogła być po prostu nieszczęśliwym wypadkiem. Awarie robotów, w efekcie których ucierpieli ludzie, zdarzały się już wcześniej.

– Tak, to prawda. Sprawdziłem. Prawdopodobieństwo takiej śmierci jest mniej więcej takie jak w katastrofie lotniczej. Nadal sądzisz, że to przypuszczalnie był wypadek – powiedział, akcentując słowo „przypuszczalnie” – czy może jednak warto się przyjrzeć tej sprawie?

Kiedy Jamison nie odpowiedziała, wstał i skierował się ku drzwiom.

– A ciebie gdzie znowu niesie? – zapytała.

– Z powrotem do szkoły średniej – rzucił przez ramię.



*Jeśli taki jest aktualny stan edukacji w Ameryce, to ten kraj ma poważny problem.*

Gmach szkoły średniej w Baronville wyglądał, jakby czekał na wyburzenie. W istocie wydawało się, że z taką ruiną poradziłby sobie jeden człowiek z młotem pneumatycznym i sześciopakiem red bulla.

W dachu widniały dziury, szyby w niektórych oknach były powybijane, a drzwi wejściowe opadły na zawiasach do tego stopnia, że Decker omal nie zwichnął sobie barku, próbując je otworzyć.

Wchodząc do budynku, od razu wyczuł przytłaczającą woń pleśni i wilgoci. Linoleum na podłodze wyglądało, jakby nikt go nie tknął szczotką od czasu, gdy je położono. Gablota na trofea przed wejściem do sekretariatu nie zawierała żadnych trofeów.

Wszedł do środka, przedstawił się i oznajmił, czego chce. Zastępczyni dyrektora – drobna, siwa kobieta o mysim wyglądzie, sztywnym kroku i melancholijnym wyrazie twarzy, odprowadziła go do biblioteki.

– Budynek wygląda, jakby pamiętał lepsze czasy – zauważył.

– Całe to miasto pamięta lepsze czasy – odrzekła. – Bez wpływów do budżetu nie będzie pieniędzy na to miejsce. A uczniów mamy połowę tego, co kiedyś. Exodus trwa od około trzydziestu lat.

– Może coś się zmieni na lepsze. Przecież jest tu centrum dystrybucji, które zatrudnia wielu ludzi.

– To, w którym właśnie ktoś zginął?

– Niestety, tak.

Na półkach w bibliotece stało parę książek, a na metalowych stolikach kilka przestarzałych, pudełkowatych komputerów. W całym pomieszczeniu nie było ani jednego ucznia.

– Kroniki szkolne są tam – powiedziała, wskazując róg w głębi sali.

– Gdybym miał jeszcze jakieś pytania, czy mogę się zwrócić do bibliotekarza?

Kobieta przystanęła przy drzwiach.

– Mógłby pan, gdybyśmy tu mieli kogoś takiego. Bibliotekarkę straciliśmy po ostatnich cięciach budżetowych. Wydają miliardy na stadiony, ale na dzieciaki szkoda im każdego centa.

Decker stał nieruchomo, patrząc na nią z zakłopotaniem.

– Agencie Decker – powiedziała cicho – jeśli jeszcze czegoś będzie pan potrzebował, może pan przyjść do mnie. Służę pomocą.

– Dziękuję.

Gdy wyszła, podszedł do kronik i przyjrzał się im. Wyjął cztery z okresu, który zamierzał sprawdzić, usiadł przy chybotliwym stoliku i otworzył pierwszy tom. Interesujących go uczniów znalazł wśród pierwszoklasistów.

John Baron Czwarty wyglądał tak młodo! Nic dziwnego, miał wówczas zaledwie czternaście lat. Dopiero stawał się rosnącym mężczyzną, którym ciągle był. Miał sterczącą grdykę i wyszczerzone w uśmiechu zęby. Mogłoby się wydawać dziwne, że młody Baron, dziedzic rodu potentatów, trafił do szkoły państwowej. Decker jednak wiedział, że w okresie, kiedy chłopak dorastał, jego rodzice byli już na krawędzi bankructwa. Darmowa edukacja mogła być ich jedyną opcją.

Decker przewracał strony, aż wypatrzył następną znajomą osobę.

Ze zdjęcia spoglądała na niego Joyce Ridge, po mężu Tanner. Była niezwykle ładna. Miała długie blond włosy i łagodne błękitne oczy.

Decker widział jej zdjęcie z autopsji – z tą samą twarzą zmasakrowaną strzałem ze strzelby. Panieńskie nazwisko kobiety poznał w trakcie śledztwa.

Przeglądając kolejne strony, odkrył, że Tanner i Baron należeli do stowarzyszenia najlepszych absolwentów szkoły. Z sekcji sportowej rocznika dowiedział się, że Baron już jako pierwszoklasista grał w dwóch szkolnych drużynach – futbolowej i bejsbolowej. Podane przy jego nazwisku wyniki jako



rozgrywającego i miotacza byłyby imponujące nawet w przypadku ucznia ostatniej klasy.

Tanner należała do drużyny tenisowej i była cheerleaderką.

Decker przejrzał roczniki z kolejnych dwóch lat. Na zdjęciach widać było, jak Tanner i Baron zmieniali się i dorastali. Ona w trzeciej klasie została najpopularniejszą uczennicą; jego szkolna kariera sportowa nabierała rozpędu. Jako trzecioklasista grał w reprezentacjach stanowych w futbolu i bejsbolu.

Na koniec Decker sięgnął po rocznik ostatniej klasy i powoli wertował strony.

Baron miał już wtedy niemal tyle wzrostu co teraz. Był przystojny; wyróżniały go mocne rysy twarzy, gęste ciemne włosy i czarujące oczy. Z artykułu w sekcji sportowej rocznika wynikało, że Baron jako rozgrywający miał na koncie prawie trzy tysiące jardów zdobytych celnymi podaniami i trzydzieści przyłożeń, a jako miotacz w drużynie bejsbolowej był niepokonany – jedyny w historii szkoły rozegrał *perfect game*<sup>10</sup>. Był jednym z zaledwie dwóch uczniów, którzy w tamtym roku reprezentowali swój stan aż w dwóch dyscyplinach sportowych. Ostatecznie nadano mu tytuł sportowca roku Pensylwanii. Przyznane mu stypendium świadczyło, że jego osiągnięcia sportowe i naukowe szły w parze.

Joyce Ridge wyrosła na piękną młodą kobietę. Była wysoka i kształtna, jak przystało na kapitaną drużyny tenisowej i zespołu cheerleaderek. Wydawało się, że ma przed sobą świetlaną przyszłość, chociaż Decker nie znalazł wzmianki o tym, że wybiera się do college'u albo że otrzymała stypendium. Kartkując dalej, zauważył, że wybrano ją na królową zjazdu absolwentów.

Baron nie został jednak królem tego zjazdu. Ubiegł go inny młodzieniec, niejaki Bruce Mercer, zapaśnik i przewodniczący klubu hiszpańskiego. To on prowadził Joyce pod rękę, choć ona, uznał Decker, przyglądając się ich zdjęciu, najwyraźniej nie była tym zachwycona. Na skraju fotografii dało się dostrzec Barona.

---

10 Perfect game (ang.) – mecz, w którym miotacz nie dopuścił do zdobycia bazy przez drużynę atakującą.

Stał z futbolowym kaskiem pod pachą i patrzył na tamtych dwoje z tak niepokieszoną miną, że nawet Decker, ze swoją stoicką naturą, był poruszony tym widokiem.

Wrócił do przeglądania zdjęć drużyn sportowych z wszystkich czterech lat.

Na każdym kolejnym Baron, ewidentna gwiazda drużyn futbolowej i bejsbolowej, był sukcesywnie spychany na bok. Decker wiedział z własnego doświadczenia, że na takich zdjęciach najlepsi gracze zawsze zajmują najbardziej eksponowane miejsce w środku kadru. Po prostu taki był zwyczaj.

Tymczasem Baron nawet w ostatniej klasie, kiedy ustanawiał przeróżne rekordy, stał w tylnym rzędzie, po prawej. Wyróżniał się tylko dlatego, że był wyższy o głowę od pozostałych. To samo dotyczyło zdjęcia drużyny bejsbolowej – miotacz, który rozegrał perfect game, został zepchnięty na sam skraj kadru.

Decker pomyślał, że ten chłopak powinien być zostać kapitanem obu drużyn. Tak się jednak nie stało i Decker doskonale wiedział dlaczego. Z tego samego powodu, dla którego John nie został wybrany na króla zjazdu absolwentów.

Był Baronem.

Przy zdjęciach absolwentów były krótkie biografie. Decker dowiedział się, że wujek Joyce był pastorem w miejscowym kościele baptystów, a także że dziewczyna nauczająca w wakacyjnej szkole biblijnej, była ratowniczką na tutejszym basenie i zgłosiła się na ochotnika do udzielania pierwszoklasistom korepetycji z matematyki. Ponadto startowała w konkursach tanecznych i wyraziła chęć pracy z osobami niepełnosprawnymi. W biografii Barona Decker wyczytał, że John założył klub mitologii greckiej, znał łacinę, chciał grać w zawodowej lidze bejsbola oraz pewnego dnia prowadzić własny biznes.

*Z pewnością oboje byli znakomicie zapowiadającymi się młodymi ludźmi*, pomyślał Decker. Niemal zbyt idealnymi. Kiedy on chodził do szkoły średniej, miał w głowie tylko futbol i dziewczyny.

Tyle że Joyce straciła rodziców w dzieciństwie i została wychowana przez wujka i ciotkę. Życie Barona też nie było idealne. Być może oboje dokładali wszelkich starań, żeby zrekompensować te niedostatki.

Decker przyjrzał się kilku innym zdjęciom w kronikach. Na każdym Tanner i Baron byli razem. Po tym, jak wyglądali, jak trzymali się za ręce, jak opierali się o siebie ramionami, widać było, że są po uszy w sobie zakochani.

Co więc poszło nie tak?

Baron wyjechał na studia, a jego dziewczyna została tu i życie przeciekło jej przez palce? Skończyła jako bezrobotna, zwolniona z JC Penney, w nędznym mieszkanku. Zamordowana razem z mężczyzną, z którym najwyraźniej nic jej nie łączyło.

Decker zamknął kroniki i odstawił je na półki. Oparł się na krzesło i zamyślił nad tym, co właśnie odkrył.

Przyszedł do szkolnej biblioteki z powodu przecucia popartego kilkoma faktami. Przede wszystkim dało mu do myślenia to, że Tanner i Baron byli rówieśnikami i prawdopodobnie chodzili do szkoły w tym samym okresie.

A więc Joyce Tanner i John Baron znali się jeszcze ze szkoły średniej. Baron skłamał, mówiąc, że nie kojarzy żadnej z ofiar. Na ścianie pokoju, gdzie znaleziono ciała Tanner i Babbota, był werset z Biblii. Czy to miało jakiś związek z religijną przeszłością Tanner? A symbol Tanatosa na czole Costy? Czyż nie nasuwał skojarzeń z założonym przez Barona klubem mitologii greckiej?

Były też inne potencjalne powiązania.

Michael Swanson mógł nocować w komórce na terenie posesji Johna Barona.

Bank Bradleya Costy sponsorował drużynę Małej Ligi, którą trenował Baron. Zamordowany trzymał w domu zdjęcie tej drużyny, a na nim był Baron. Ten z kolei miał w banku Costy kredyt hipoteczny pod zastaw posesji. Decker podpytywał w banku, czy to Costa udzielał tego kredytu, ale nie dowiedział się niczego konkretnego.

A co z Tobym Babbotem? Czy jego też coś łączyło z Baronem?

Nawet jeśli nie, trzy z czterech ofiar taki związek miały. To

za dużo jak na zwykły zbieg okoliczności, przynajmniej w przekonaniu Deckera.

*I co mam teraz zrobić?*

Wyszedł z budynku szkoły, zbiegł po schodach i ruszył w stronę samochodu.

Nagle się zatrzymał.

Przy krawężniku stał zaparkowany bladoniebieski suburban.

John Baron Czwarty opierał się o przedni zderzak, trzymając ręce złożone na piersi i obserwując, jak z jego dawnej szkoły wychodzi Decker.

– Zmęczony łapaniem złych ludzi? – zagadnął Baron. – Szukasz posady nauczyciela?

Decker podszedł do niego.

– Nie, ale to miejsce wygląda na zapomniane przez Boga.

– Jak całe to miasto. – Baron wyprostował się i wsunął ręce do kieszeni.

Decker zauważył, że ma na sobie te same stare dżinsy, ale inną koszulę, która wyglądała na świeżo wypraną. Chociaż było chłodno, na nogach miał sandały.

– Skąd pan wiedział, że tu jestem?

– Poznałem samochód. Byliście nim u mnie.

– Rzeczywiście.

– Jak tam śledztwo?

– Posuwa się.

– Czytałem, że w centrum dystrybucji ktoś zginął.

– To prawda. Tak się składa, że to był szwagier mojej partnerki.

Baron wyglądał na autentycznie zaskoczonego.

– Cholera, przekaz moje kondolencje. Polubiłem Alex.

– Przekażę – odparł Decker, jednocześnie myśląc, że Baron wcale jej nie zna.

– Jak to się stało? W tym, co przeczytałem, nie było to wyjaśnione.

– Wypadek. Robot kontra człowiek. Ten drugi przegrał.

Baron skinął głową.

– Brzmi jak kiepski film science fiction. – Zerknął na budynek szkoły. – Skąd u ciebie zainteresowanie ogólniakiem w Baronville?

– Tylko sprawdzałem parę rzeczy. Joyce Tanner uczęszczała do tej szkoły.

– Wtedy nazywała się Joyce Ridge.

– Jestem zdziwiony, że pan to wie, skoro nam pan mówił, że jej nie zna.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem.

– Niech zgadnę... – powiedział Baron. – Przyjechałeś sprawdzić, czy pracuje tu jeszcze ktoś, kto nas znał w tamtych czasach, czy może przeglądałeś roczniki?

– To drugie.

– Czy to, że ją znałem, jest przestępstwem?

– Okłamywanie agenta służb federalnych prowadzącego dochodzenie w sprawie morderstwa jest. Nazywa się to utrudnianie śledztwa.

– Chyba nie przyszło mi to do głowy.

– A powinno – zareagował ostro Decker.

Baron wykonał parodię ukłonu.

– Mea culpa, agencie Decker. Masz rację. Popełniłem błąd i przyznaję się do niego.

– Co się stało?

– Z Joyce?

– Z wami dwojgiem.

Baron ponownie oparł się o maskę samochodu.

– Poszedłem na studia, a ona nie. Nie wiem dlaczego. Była naprawdę bystra. Nalegałem, ale na nic. Wydaje mi się, że jej ciotka i wujek wpędzili ją w poczucie winy. Chcieli, aby została w Baronville, znalazła tu sobie pracę i pomagała im w zamian za to, że ją przygarnęli po śmierci rodziców. Jej wuj był pastorem i nie zarabiał wiele. Traktował ją bardzo surowo. Ale nadal byliśmy razem. Przyjeżdżałem do domu tak często, jak tylko mogłem. Mieliśmy plany na wspólne życie. Potem zginęli moi rodzice, a ja się dowiedziałem, że zostałem bez pieniędzy. Oczywiście zdawałem sobie sprawę, że nie jesteśmy bogaci. Nadal jednak mieszkaliśmy w rodzinnej posiadłości Baronów, a ojciec zawsze mi powtarzał, że znajdzie się trochę pieniędzy dla mnie. Niestety, okazało się inaczej. Później, grając jako miotacz, zerwałem mięsień i cofnęli mi stypendium. Wszystko mi się zawaliło. Zaniechałem ją. Sam ledwie się utrzymałem na powierzchni. – Spojrzał na swoje ubranie i wiekowy samochód. – Jak widać, niczego więcej nie dokonałem.

– Widziałem w kronice, że nauczała Biblii. A pan zajmował się

mitologią grecką.

– Ledwie cokolwiek z tego pamiętam. To było tak dawno temu.

– Ale mitologią nadal się pan interesuje?

– Bardziej pochłania mnie zmaganie się z codziennością.

– Co działo się z Joyce po tym, jak skończyła tę szkołę?

– Wypadłem z jej życia z powodu własnych problemów. Około czterech lat od skończenia szkoły wyszła za niejakiego Ricka Tannera. Kilka razy poroniła. Facet był gnojem. Pił za dużo i ją bił. W końcu się rozwiodła. Wtedy była już zupełnie innym człowiekiem. Straciła wiarę w siebie, ambicje. Zaczęła brać narkotyki. Łapała się coraz gorzej płatnych zajęć. Miała wypadek przy pracy. Uzależniła się od środków przeciwbólowych, jak wielu ludzi tutaj.

– Odnoszę wrażenie, że dużo pan o niej wie. Utrzymywaliście kontakt?

– Nadal byliśmy przyjaciółmi. Moje życie też nie potoczyło się tak, jak to sobie wyobrażałem. To nas zbliżyło do siebie, jak sądzę. Zwłaszcza po tym, jak wzięła rozwód.

– Myśleliście o tym, żeby do siebie wrócić?

Baron pokręcił głową.

– Gdybym się ożenił, chciałbym zapewnić utrzymanie swojej wybrance. A ja nie mam nic. Po co miałbym narażać Joyce na to wszystko, co muszę tu znosić? Dać jej moje nazwisko? Najgorsze, co mógłbym zrobić. Kiedy jeszcze myślałem, że mam trochę pieniędzy, planowałem wyjechać z nią gdzieś, gdzie nikogo nie będzie obchodzić, jak się nazywam. Zamierzałem być miotaczem w zawodowej lidze, rozkręcić biznes. Zarobić na życie własnymi rękami. Oczywiście z tego też nic nie wyszło. Ale tak, utrzymywaliśmy kontakt.

– Została zwolniona z JC Penney parę miesięcy przed śmiercią.

– Wiem. Kto by pomyślał, że taką przyszłość zgotuje to miasto królowej zjazdu absolwentów. Joyce należała do stowarzyszenia najlepszych absolwentów. Matematykę miała w jednym palcu. Nie była tępakiem. Mogła mieć inne życie. Boleję nad tym, że tak się nie stało.

– A jak to było z panem? Królem zjazdu pan nie został. Ani

kapitanem żadnej ze szkolnych drużyn, chociaż wybrano pana na najlepszego sportowca Pensylwanii.

– Mamy demokrację, agencie Decker. Jedna osoba, jeden głos. Tak to działa.

– Co nie znaczy, że to w porządku, jeśli ludzie głosują ze złych pobudek.

– W tym kraju zdarza się to regularnie co dwa, cztery i sześć lat. A bycie królem zjazdu czy kapitanem drużyny miałem gdzieś. Naprawdę mi na tym nie zależało.

– Ale na Joyce tak. To dlatego wspierał ją pan finansowo przez te wszystkie lata?

Baron spojrział na niego przenikliwie, ale nie odezwał się ani słowem.

– Była bez pracy – kontynuował Decker – ale opłacała czynsz. Miała samochód i coś w lodówce. Wspominał pan, że była uzależniona od środków przeciwbólowych, a one nie są tanie.

– Okej, dałem jej trochę pieniędzy.

– Myślałem, że jest pan bankrutem.

– Nie mam dużo, ale trochę tak. Naprawdę to nie przesypiam całego dnia. Pracuję. Mam dochód. No i zostało mi jeszcze coś z rodzinnej schedy, którą spieniężam po trochu. Na siebie nie wydaję prawie nic. Tak więc mogłem jej pomóc. Mogłem i chciałem.

– To szlachetne z pana strony.

– Zasługiwała na to. Gwoli ścisłości już nie była uzależniona. Zwalczyła nałóg. Z wielkim trudem, ale się uwolniła.

– Z pana pomocą?

– Dociekliwy jesteś, agencie Decker.

– W śledztwie chodzi o to, żeby mieć jak najpełniejszy obraz sytuacji. Diabeł tkwi w szczegółach. A każdy czyn ma swój motyw.

– Sugerujesz intencję popełnienia morderstwa? Nie zabiłem Joyce.

– Są różne rodzaje motywacji.

– Na przykład?

– Pomaganie innym uzależnionym, nawet dilerom. Na przykład



Michaelowi Swansonowi. Powiedział pan, że go nie zna, a ja jestem niemal pewny, że ten człowiek mieszkał w pana komórce ogrodowej.

Baron wyglądał na niewzruszonego tą informacją.

– Doprawdy? Nic o tym nie wiedziałem. To duża posiadłość. A ogrodem nikt się nie zajmuje od dziesięcioleci.

– Chce pan powiedzieć, że ten człowiek kursował niecałe sto metrów od pańskiego domu, a pan nie miał o tym pojęcia?

– Powiedziałeś, że jesteś niemal pewny, a to znaczy, że nie masz dowodów.

– Żadnych domysłów, że ktoś mieszka u pana na dziko? To chce mi pan powiedzieć?

– „Domysły”, „ktoś”... To bardzo pojemne określenia. Próbujesz mnie przyłapać na kolejnym kłamstwie?

– Jeśli pan kłamie, nie skończy się to dla pana dobrze.

Baron przekrzywił głowę.

– Twój głos przybrał urzędowy ton.

– Chcę panu jedynie uzmysłowić, że federalny zakład karny to paskudne miejsce.

Baron zamyślił się na kilka sekund, obserwując ptaka unoszonego przez prądy termiczne.

– Mike Swanson był... przegranym człowiekiem, na wielu płaszczyznach. Akurat z tym potrafię się identyfikować. Rozumiem to. W tym gronie zdarzają się źli ludzie. Naprawdę źli.

– Ale Swanson nie był jednym z nich?

– Był durniem, nawet jeśli bardzo miłym. Sprzedawał trochę trawki. Trochę tabletek. Ogólnie był nieszkodliwy.

– Więc zapewnił mu pan dach nad głową?

– Zastałem go kiedyś w tej komórce, spał jak zabity. Wyrzucano go już z tylu miejsc, że najwyraźniej przyjechał tym swoim rowerem aż na samą górę. Chciał sprawdzić, czy nie znajdzie u mnie mety na trochę. Został na dłużej. Nie protestowałem. Miejsca u mnie nie brakuje.

– Znaleźliśmy w komórce jego sklepik. Miał tam nie tylko trawkę i pigułki. Również twarde narkotyki. Oprócz tego broń i spory zwitek banknotów.

Baron rozłożył ręce w geście bezradności.

– Na to się nie godziłem. Gdybym jednak stronił od każdego w tym mieście, kto ma kontakt z narkotykami, to byłbym samotny jak... jak właściwie jestem, jeśli to, co mówię, ma jakiś sens.

– No dobrze, znał pan Swansona i Tanner, chociaż twierdził inaczej. A Costa? Bankier, który zdjęcie pana drużyny Małej Ligi trzymał w domu?

– Świadom odpowiedzialności karnej za składanie fałszywych zeznań, co grozi pobyt w więzieniu federalnym, którym raczyłeś mnie postraszyć, oświadczam, że go nie znałem. To, co posiadam, trzymam w gotówce i dokumentach zbywalnych, ukryte w domu.

– To roztropne?

– Niezbyt. Ale tak zdecydowałem. Banki nie potraktowały mnie ani mojej rodziny łaskawie, kiedy potrzebowaliśmy pomocy. Nie znajduję powodu, żeby powierzać im to, co mam. Nawet jeśli jest tego niewiele.

– Więc nie przychodzi panu do głowy żaden powód, dla którego Costa trzymał w domu zdjęcie pana drużyny?

– Oprócz tego, że był dumny z naszego mistrzostwa? Nie.

– A Toby Babbot?

Baron pokręcił głową.

– Nie znałem go.

– Był na rencie inwalidzkiej. Miał w głowie metalową płytkę z powodu wypadku w pracy. Mieszkał w nędznej przyczepie, ponieważ nie stać go było na nic innego.

– Nie on jeden w Baronville.

– Przyczepę podpalamo, kiedy Jamison i ja byliśmy wewnątrz.

Baron zrobił wielkie oczy.

– Ktoś próbował was zabić?

– Tak zwykle jest, kiedy podpala się coś z ludźmi w środku.

– Tylko po co ktoś miałby to robić?

– Może pan mi to powie.

Baron się zamyślił.

– Kiedy Babbot miał ten wypadek?

- Kilka lat temu.
- Tu, w Baronville?
- Tak.
- To dziwne.
- Dlaczego?
- W tym mieście od dawna nie istnieje żaden zakład przemysłowy, w którym mógłby się wydarzyć tego typu wypadek.

Tym razem to Decker zrobił wielkie oczy.

- Bardzo słusznie. Muszę coś sprawdzić.
- Co takiego?
- Jak szeroko ktoś rozumie pojęcie „przemysłowy”.

*A więc przeczucie mnie nie myliło.*

Decker siedział w kuchni domu Mitchellów, studiując raport z wypadku, po którym Toby'emu Babbotowi musiano wstawić do głowy metalową płytkę.

Ów „przemysłowy” wypadek wydarzył się przy budowie centrum dystrybucji Maxusa. Babbot prowadził wózek widłowy, który się zderzył z innym ciężkim sprzętem. Nie miał zapiętych pasów bezpieczeństwa i wypadł z kabiny wózka, w efekcie czego doznał urazu głowy.

Pęknięta czaszka.

Miał ubezpieczenie, które pokryło wszystkie wydatki medyczne. Jednak badanie krwi wykazało, że podczas wypadku był pod wpływem alkoholu. Z tego względu miał niewielkie szanse wygrać proces, gdyby takowy wytoczył swemu pracodawcy. Być może jednak firma wolała nie ryzykować, gdyż pozwolono mu pracować jeszcze przez kilka miesięcy na stanowisku biurowym, zanim go zwolniono.

Decker usłyszał, jak otwierają się drzwi wejściowe. Kilka chwil później na progu kuchni stanęła Amber.

Była tak blada i rozdygotana, że Decker nie był pewny, czy ustoi na nogach.

– Wiesz, gdzie jest Zoe? – zapytała.

– Alex zabrała ją do miasta, żeby załatwić parę spraw dla ciebie. Amber skinęła głową.

– A ty jak się masz?

Decker zawstydził się na samą myśl, że w takim momencie troszczy się o niego.

– W porządku. Mogę... coś dla ciebie zrobić?

– Nie... nic mi nie trzeba. Dziękuję, że przywieźliście samochód i rzeczy Franka.

– Drobiazg. Cieszę się, że mogliśmy ci pomóc.

Jej usta drżały.

– Sprawiałam Frankowi elegancką trumnę.

Decker poczuł na sobie przenikliwy, zimny dreszcz. Chciał wstać i ją pocieszyć serdecznym uściskiem, ale to coś w jego głowie jak zawsze go powstrzymało.

Po policzkach Amber spływały łzy.

– Pójdę się położyć – powiedziała miękkiem głosem.

Wszystko, na co Decker zdobył się w odpowiedzi, to skinienie głową.

Słuchał, jak idzie korytarzem do swojej sypialni na parterze.

Zamknęła za sobą drzwi.

Potem coś stuknęło o podłogę.

Buty.

Skrzypienie sprężyn materaca.

Oczami wyobraźni widział, jak pada na łóżko.

A później rozległo się szlochanie, bez trudu słyszalne aż w kuchni.

Nie mogąc znieść płaczu pogrążonej w żałobie kobiety, Decker raptownie wstał i wyszedł na taras na tyłach domu. Tam, gdzie wszystko się zaczęło.

Czuł, że cały się trzęsie. Sam doświadczył tego, przez co teraz przechodziła Amber. Widok kogoś, kto stracił bliską osobę w wyniku przemocy, wywołał u niego lawinę bolesnych wspomnień.

*Nie możesz tam pójść, Decker. Jeśli to zrobisz, nic dobrego z tego nie wyniknie.*

Zmusił się do skupienia uwagi na domu naprzeciwko.

Iskrzenie. Pożar. Odkrycie ciała. I wszystko to, co nastąpiło potem.

Usiadł na leżaku, dalej wpatrując się w budynek, ale jego myśli podryfowały w stronę innych aspektów dochodzenia. Jeden szczególnie nie dawał mu spokoju.

Jeżeli Babbot został zabity z powodu czegoś w Maxusie, to co z Frankiem Mitchellem?

A jeśli ten rzekomy wypadek wcale nie był wypadkiem?

Skoro takiego robota można zaprogramować, żeby wykonywał jakąś czynność, można mu też kazać zrobić inną rzecz.

Tylko dlaczego ktoś miałby zabijać Franka Mitchella? Jaki miałby w tym cel?

Wyjął telefon i zadzwonił do Todda Milligana, członka jego zespołu w FBI. Poprosił, żeby dowiedział się jak najwięcej o korporacji Maxus. Milligan znał Deckera na tyle dobrze, by nie zadawać zbędnych pytań.

– Zajmę się tym – odpowiedział.

Decker schował telefon i ponownie zawiesił wzrok na domu, w którym ktoś podrzucił ciała dwóch zamordowanych agentów DEA. Ewidentnie zabito ich gdzie indziej, ale Decker nie miał pojęcia dlaczego. Ani dlaczego porzucono ich właśnie tutaj.

Zamknął oczy i pozwolił pamięci wrócić do momentu, kiedy pierwszy raz zobaczył Franka.

Siedzieli w salonie. Frank właśnie wrócił z pracy. Był, co oczywiste, poruszony informacją o tym, co wydarzyło się tuż za płotem. Dwa morderstwa. Dopytywał, co tam się stało, ale to też normalne. Byłoby wręcz nienormalne, gdyby nie dopytywał.

Decker wywołał w pamięci kolejny obraz.

Zdjęcie drużyny Małej Ligi.

I być może coś więcej niż tylko to.

Wychodząc, spotkał Jamison. Szła w stronę drzwi wejściowych, trzymając za rękę Zoe. W drugiej ręce niosła torbę z zakupami spożywczymi.

– Dokąd się wybierasz? – zapytała.

– Sprawdzić parę rzeczy.

– Jak śledztwo?

– Posuwa się.

– Tylko nie rób niczego... – Zamilkła i spojrzała na Zoe. – No wiesz.

– Wiem.

Odszedł kilka kroków, kiedy usłyszał za sobą głos Zoe.

– Panie Amos, ale wróci pan, prawda?

Zatrzymał się i powoli obrócił.

– Wrócę, Zoe. Obiecuję.

Pojechał do apartamentu Bradleya Costy. Drzwi otworzył

kluczem, który miał od Lassiter.

Od razu podszedł do półki ze zdjęciem, z którego spoglądał na niego uśmiechnięty John Baron.

Chłopcy z drużyny też wyglądali na szczęśliwych. Przecież dopiero co wygrali mistrzostwa stanu.

Od czasu gdy Decker dowiedział się, kim był Bradley Costa, jedno pytanie nie dawało mu spokoju. Dlaczego bankier z Wall Street, kawaler, przeprowadził się do tego miasta? Było oczywiste, że młodemu człowiekowi, zwłaszcza takiemu z pieniędzmi, Nowy Jork ma do zaoferowania nieporównywalnie więcej niż Baronville.

Wpatrywał się w zdjęcie, aż jego wzrok spoczął na ramce, w którą je oprawiono.

*Dlaczego by nie sprawdzić tak oczywistej rzeczy?*

Powinien był to zrobić już wcześniej. Sięgnął po fotografię i odwrócił ją. Odgiął blaszki przytrzymujące tylną tekturową ściankę i wyjął zdjęcie z ramki.

– Cholera... – mruknął.

Na odwrocie widniało czyjeś nazwisko i adres.

– Stanley Nottingham – odczytał na głos.

Adres był nowojorski.

Decker wsunął zdjęcie do kieszeni.

Kim był Stanley Nottingham z Nowego Jorku i dlaczego Costa miał tę informację zapisaną na odwrocie zdjęcia drużyny Małej Ligi?

Napisał SMS-a do Todda Milligana, prosząc kolegę, by to także dla niego sprawdził. Był gotów osobiście pojechać do Nowego Jorku, by porozmawiać z tym Nottinghamem. Może od niego się dowie, dlaczego Bradley Costa sprowadził się do Baronville. A ta informacja mogła go doprowadzić do czegoś innego.

Może wówczas nastąpi przełom w śledztwie.

Dochodzenia w sprawach o morderstwo zwykle składały się z multum szczegółów i szczegółików, z których nic nie wynikało, dopóki któryś z nich nie zaczął pasować do innego, a ten z kolei do innego i tak dalej.

To, czego rozpaczliwie potrzebował Decker, to klucz do tej

sprawy.

Wyszedł z apartamentu, wrócił do samochodu i ruszył do kolejnego miejsca.

Betsy O'Connor. Ostatnia znana współlokatorka Toby'ego Babbota.



– To, co się z nim stało, nie mieści mi się w głowie.

Decker siedział przy stoliku w kawiarni naprzeciw Betsy O'Connor, która tam pracowała jako kelnerka. Miała około stu sześćdziesięciu pięciu centymetrów wzrostu i była krępej budowy. Siwiejące włosy nosiła krótko przystryżone i nie rozstawała się z okularami zawieszonymi na łańcuszku. Decker ocenił jej wiek na bliżej pięćdziesiątki niż czterdziestki.

– Mieszkała z nim pani przez kilka lat? – stwierdził bardziej, niż zapytał, wsypując sobie do kawy łyżeczkę cukru.

– Tak. Ale to była znajomość czysto platoniczna – dodała szybko. – Mój mąż był gnojkiem, który mnie bił, żeby odreagować własne problemy. Po rozwodzie miałam kilku facetów, ale wszyscy okazywali się tacy sami. Opuściłam więc sobie facetów, przynajmniej na jakiś czas.

– Ale Babbot był inny?

– Toby miał swoje problemy, ale generalnie był miłym gościem, któremu nie wyszło w życiu. Dlatego zamieszkaliśmy razem. Musieliśmy. Inaczej żadne z nas nie dałoby rady związać końca z końcem.

– Jak się poznaliście?

O'Connor jakby się zawstydziała.

– Na spotkaniu dla uzależnionych. Próbowaliśmy wtedy odstawić środki przeciwbólowe i wyjść na prostą. Oboje pracowaliśmy, ale pieniędzy nie wystarczało. Tylko razem mogliśmy sobie pozwolić na mieszkanie w małym domku.

– Z tego, co wiem, Toby miał wypadek. Uraz głowy, prawda?

– Zgadza się. Na placu budowy tego centrum dystrybucji. To był dla niego paskudny okres. Tamci z początku byli pomocni, ale potem zaczęli kombinować i się go pozbyli.

– Rozumiem, że wyszła sprawa alkoholu.

– To było wyssane z palca! Toby nie wypił ani kropli od lat. Wiedziałabym o tym. Mieszkałam z nim, kiedy to wszystko się

działo. Naprawdę ciężko pracował, żeby znowu zacząć normalnie żyć.

– Ale nie dał rady?

– Nie. Starał się, ale nie mógł znaleźć stałej pracy. Próbowалаm utrzymać dom sama, ale moja pensja była na to za mała. Musieliśmy się wyprowadzić. Z bólem serca. Naprawdę lubiłam tamto miejsce. To był mój pierwszy prawdziwy dom od czasu rozwodu.

– W jego przyczepie znaleźliśmy sporo fiolek z lekami na receptę. Same środki przeciwbólowe.

– Cóż, bardzo cierpiał z powodu tego urazu głowy.

– Teraz mieszka pani z innymi ludźmi we wspólnym mieszkaniu?

O'Connor opuściła wzrok i zaczęła obracać w palcach filiżankę z kawą.

– Tak. Zupełnie jak wtedy, gdy ma się dwadzieścia parę lat. Tylko że ja nie jestem już młodką. Nie tak sobie wyobrażałam swoje życie na tym etapie, ale... Jest, jak jest. W tej pracy mam płacę minimalną i żadnych świadczeń. Kiedy stąd wychodzę, idę do kolejnej, żeby sobie dorobić, ale nawet to nie wystarcza na przyzwoite życie.

– Próbowала pani zatrudnić się w Maxusie?

– Jak każdy w tym mieście. Zatrudniają dużo ludzi i tak naprawdę tylko im się kręci interes. Mnie się nie udało. Nie spełniam wymogów fizycznych. Nie potrafię tyle dźwigać ani tak dużo chodzić. Albo raczej biegać. Pewnie będę musiała stąd wyjechać. Tu jestem spalona. Muszę spróbować zacząć od nowa gdzie indziej.

– Po tym, jak się rozdzieliliście, Babbot mieszkał w przyczepie. Odwiedzała go tam pani?

O'Connor skinęła głową.

– Kilka razy. Przynosiłam mu domowe jedzenie. Poratowałam kilkoma dolarami. Nie mogłam ścierpieć, że tak mieszka. Nie miał tam prądu ani bieżącej wody.

– Ktoś spalił tę przyczepę.

Na twarzy O'Connor pojawił się strach.

- Co takiego?
- Kiedy ja i moja partnerka byliśmy w środku.
- Dobry Boże!

Decker wyjął z kieszeni kartkę papieru milimetrowego, na której wypełnił zagłębienia ołówkiem.

- Czy widziała to pani kiedykolwiek w przyczepie Babbota?

Kobieta przyjrzała się rysunkowi.

- Nie. Co to jest?
- Plany konstrukcyjne tamtego centrum dystrybucji.
- A po co to jemu?
- Miałem nadzieję, że pani mi to powie. Wspominał o pracy tam?

– Zanim wydarzył się ten wypadek, miałam wrażenie, że lubi tę robotę. Dobrze mu płacili i nie musiał niczego dźwigać. Jeździł wózkami widłowymi i innym ciężkim sprzętem. Może ten rysunek ma jakiś związek z pracą, którą tam wykonywał.

– Może, tylko nie wiem, po co operator wózka widłowego miałby kopiować plany architektoniczne. Mówił coś na temat centrum już po tym wypadku?

– Niewiele. To znaczy do czasu, aż się zwrócili przeciwko niemu. Wtedy zobaczyłam, że wzbiera w nim złość.

– Jak bardzo?

– Cóż, Toby nie żyje, więc to pewnie już bez znaczenia. Powiedział, że im odpłaci.

– Jak?

– Tego nie mówił. – Zamilkła na moment. – Nie sądzi pan chyba, że Toby planował... O Boże, sama nie wiem, podłożyć im bombę albo coś takiego? To dlatego kopiował te rysunki?

– Niewykluczone. Myśli pani, że był do tego zdolny?

– Nie przed wypadkiem. Ale potem się zmienił. Uraz głowy potrafi zmienić człowieka. Wiedział pan o tym?

– Tak. Coś tam słyszałem – skwitował Decker. – A więc sądzi pani, że mógł się stać agresywny?

– Nie chcę tak myśleć. Nigdy taki nie był wobec mnie. Ale chyba tak, to możliwe. Po tym, co mu zrobili...

– Ktoś w szczególności?

– Przede wszystkim prawnicy firmy. Toby nie miał pieniędzy, żeby wynająć prawnika, więc próbował poradzić sobie sam. To była mordęga, proszę mi wierzyć. Prawnicy potrafią być podli.

– Nikt nie chciał wziąć tej sprawy na zasadach prowizyjnych?

– Toby mówił, że na miejscu nie ma wielu prawników i żaden nie chce zadzierać z największym pracodawcą w mieście.

Decker skinął głową.

– Czy kiedykolwiek wspominał Joyce Tanner, Michaela Swansona albo Bradleya Costę?

– Nie, nigdy. Joyce Tanner to ta kobieta, z którą został znaleziony?

– Tak.

O'Connor wzruszyła ramionami.

– Mnie nigdy o niej nie mówił.

– A John Baron?

Kobieta zmarszczyła brwi.

– Mieszka w tym pałacu na wzgórzu.

– Tak, byłem tam. Pałacem bym tego nie nazwał.

– To i tak dużo więcej niż mam ja.

– Ale czy Babbot kiedykolwiek wspominał o Johnie Baronie? – zapytał Decker.

– Nie przypominam sobie. Nie jestem stąd, ale z tego, co się orientuję, ten Baron nie jest tu zbyt lubiany, prawda?

– Niespecjalnie.

– Niektórzy mówią, że jest bardzo bogaty. Że gdzieś ukrywa fortunę.

– I żyje jak biedak? Tylko po co?

– Nie wiem. Sama nie mogłam tego rozgryźć.

– Na ścianie pokoju, gdzie znaleziono ciało Babbota, był werset z Biblii.

O'Connor spojrzała na niego osobliwie.

– Tak, pisali o tym w gazecie.

– Czy to coś pani mówi? Babbot był religijny?

– Z tego, co wiem, Toby nigdy nie chodził do kościoła.

– Rozumiem. Czy przypomina pani sobie coś jeszcze?

Kobieta zastanowiła się przez chwilę.

– Nie, nic więcej. Toby był dobrym człowiekiem, któremu los rozdał złe karty. Zresztą to samo można powiedzieć o wielu z nas tutaj. Chociaż każdy jest kowalem swojego losu, prawda? Nie można winić innych za własne wybory.

– Raczej nie. – Decker wstał, zbierając się do wyjścia.

– Panie Decker, znajdzie pan tego, kto zabił Toby'ego i pozostałych?

– Właśnie to staram się zrobić.

– Nie zasłużył na taką śmierć.

– Nie przychodzi mi do głowy nikt, kto by zasługiwał na coś takiego.

Po powrocie do samochodu Decker wyjął kartkę papieru milimetrowego i przyjrzał się jej uważnie. Potem uniósł ją tak, że znalazła się o kilka centymetrów od jego twarzy.

Zauważył, że wcześniej coś przeoczył w prawym dolnym rogu.

Wyjął ze schowka ołówki i zaczął wypełniać zagłębienia w tym miejscu, aż pojawiły się jakieś liczby.

Przyglądając im się z bliska, doszedł do wniosku, że to oznaczenie skali rysunku. Jeden centymetr równał się iluś tam metrom.

Schował kartkę z powrotem do kieszeni i odjechał. Po drodze zadzwonił do detektywa Greena, by od niego wziąć adres doktora Freedmana – lekarza, który przepisał środki przeciwbólowe Toby’emu Babbotowi.

– Jest w więzieniu – oświadczył Green.

– Wystawiał za dużo recept na pigułki przeciwbólowe takim ludziom, jak Toby Babbot?

– Zgadłeś.

– Od jak dawna siedzi?

– Już prawie rok, więc nie sądzę, żeby miał cokolwiek wspólnego z tym, co się stało.

Decker niekoniecznie się z tym zgadzał, ale nie zamierzał się spierać.

– W którym więzieniu?

– To było przestępstwo federalne, więc jest poza stanem. Bodaj w Indianie. Nie ma żadnej reguły w tym, jak zarząd więziennictwa rozlokowuje osadzonych.

– Dzięki.

– Jak tam twoje śledztwo?

– Posuwa się.

Decker się rozłączył i zapatrzył na drogę. Skoro nie mógł porozmawiać z Freedmanem, postanowił się wybrać do następnej osoby z listy.

Zawrócił i pojechał w kierunku domu Mitchellów. Zanim wjechał na ulicę, przy której mieszkali, skręcił i zatrzymał się naprzeciwko Domu Mordu, po drugiej stronie.

Tu mieszkał Dan Bond, jedyna osoba z tej ulicy, z którą Decker jeszcze nie rozmawiał.

Zapukał do drzwi i od razu usłyszał odgłos kroków.

– Kto tam? – odezwał się głos.

– Panie Bond, nazywam się Amos Decker. Pracuję dla FBI. Chciałem zadać panu parę pytań w związku z tym, co wydarzyło się w domu naprzeciwko.

– Nie lubię otwierać drzwi obcym.

– Rozumiem. Chcę tylko zadać kilka pytań.

– Ma pan odznakę?

– Tak.

– Może pan ją podać przez drzwiczki dla kota?

Decker zerknął w dół i zobaczył klapkę na zawiasach. Wyjął odznakę i włożył ją w otwór.

Po około trzydziestu sekundach jego odznaka wróciła na zewnątrz tą samą drogą. Podniósł ją i obejrzał. Cała była w lepkich odciskach palców, ze śladami czegoś przypominającego mąkę. Wytarł ją o połą marynarki i schował do kieszeni. Kilka chwil później usłyszał chrzęst trzech kolejno otwieranych zamków.

Zza uchylonych drzwi wyjrzał drobny, pomarszczony, starszy człowiek stojący niepewnie na lekko ugiętych, wiotkich nogach.

– Panie Bond?

– Tak?

Mężczyzna skierował twarz w stronę głosu. Jego niewidzące oczy były skryte za przyciemnionymi okularami.

Spoglądając nad jego ramieniem, Decker dostrzegł wiszącą na ścianie białą laskę.

– Mogę wejść?

– Myślę, że tak. Obmacałem pańską odznakę. Wydała mi się autentyczna.

– Bo jest.

– Ostrożności nigdy nie za wiele.

– Zgadza się.

Mężczyzna cofnął się o krok, przepuszczając Deckera w drzwiach.

Bond zamknął za nim drzwi, powoli podszedł do krzesła w salonie i usiadł na nim.

Decker pomyślał, że gospodarz musi znać rozkład mieszkania na pamięć.

Usiadł naprzeciw mężczyzny. W domu unosiła się silna woń naftaliny i gotowanej kapusty, ale także świeżego chleba.

– Przepraszam, jeśli odrywam od pieczenia.

Bond machnął zbywająco ręką.

– Już po robocie. Właśnie wyjąłem bochenek z piekarnika. To jedna z niewielu przyjemności, jakie mi zostały. Piekę o różnych porach, w dzień i w nocy. Niewiele śpię. Zawsze tak miałem.

Bond całkowicie wyłysiał; różowawa skóra jego głowy się łuszczyła. Był schludnie ubrany – w spodnie koloru khaki i niebieską koszulę z krótkim rękawem, spod której wystawał biały podkoszulek. Nosił ortopedyczne czarne buty.

– Mieszka pan sam? – zagadnął Decker.

– Tak, od czasu, kiedy Dolly odeszła. Moja kotka. To dlatego mam kłapkę w drzwiach. Miałem też żonę. Betty. W zeszłym tygodniu minęło dwadzieścia jeden lat od czasu, jak umarła. Na raka. Ja mam na karku dziewięćdziesiąt jeden lat i na tyle wyglądam, nawet jeśli sam tego nie widzę. – Uśmiechnął się, ubawiony własnym żartem.

– Wygląda pan dziarsko. Ładny dom.

– Jest stary, jak ja. Nie sprawię sobie następnego kota. Nie przeżyję go, a kto by się o niego zatroszczył, kiedy mnie zabraknie?

– Nikt pana nie odwiedza? Nie pomagają?

– Tak było. Miałem wielu sąsiadów. Ci, których nie przeżyłem, w większości się stąd wynieśli. To przykre, ale tak już jest. Taką się płaci cenę za życie dłużej niż inni.

Decker się rozejrzył.

– To jak pan robi zakupy? Nie bywa pan u lekarzy?

– Chodzę do sklepu z moim małym wózkiem. Zajmuje mi to



większość dnia. Czasem przyjeżdża mój najmłodszy syn, ale on mieszka w Pittsburghu. U lekarzy już nie bywam. Nie widzę sensu. Tylko przepisują jeszcze więcej tabletek.

– Mieszka pan w Baronville od dawna?

– Całe życie.

– Czym pan się zajmował?

– Byłem księgowym. – Dotknął swoich ciemnych okularów. – Nie zawsze było tak jak teraz. Zwyródnienie plamki żółtej. Zaczęło się po sześćdziesiątce. Wzrok straciłem zupełnie jakieś dziesięć lat temu.

– Chciałem panu zadać kilka pytań o ten wieczór, kiedy w domu naprzeciwko znaleziono ciała dwóch mężczyzn. Był pan wtedy tutaj?

– Tak. O tej porze zawsze jestem w domu.

– Domyślałem się, że policja już z panem rozmawiała?

– Tak. Detektyw Lassiter. Zadawała wiele pytań. Obawiam się, że nie byłem za bardzo pomocny.

– Cóż, chcę zapytać o podobne rzeczy. Co pan pamięta z tamtego wieczoru?

– Syreny.

– Wcześniej.

– Pamiętam burzę. Taką fest.

– Coś jeszcze?

Bond rozsiadł się wygodniej i podrapał się po brodzie.

– Pamiętam samochód. Ktoś odpalił silnik i odjechał.

– Ja też to słyszałem – powiedział Decker. – I widziałem samolot. Kilka minut przed tym, jak rozpętała się burza.

Bond pokręcił głową.

– Nie, to nie był samolot – stwierdził zaskakująco.

– Ależ tak. Widziałem go na niebie. Migał światłami w chmurach i we mgle. Był cholernie nisko. Pewnie dopiero co wystartował albo raczej podchodził do lądowania.

– Nie, synu, to nie był samolot.

– Ale ja go widziałem, panie Bond.

– Rozumiem, co myślisz. Że wiesz lepiej, bo ja nic nie widzę. Rzecz w tym, że tu samoloty nigdy nie latają tak nisko. W okolicy

nie ma żadnych lotnisk. Pittsburgh jest kawał drogi stąd, na południe od nas, a Cleveland na zachód. Jeśli więc jakiś samolot akurat wtedy startował albo lądował, w tej okolicy byłby już wysoko. Może po prostu widziałeś migające światła i założyłeś, że to samolot. Było pochmurno, nawet mgliście, jak sam powiedziałeś. Nie widziałeś samego samolotu, prawda? Tylko światła?

Decker sięgnął pamięcią do tego momentu, utrwalonego w jego głowie jak na kliszy filmowej.

*Widziałem światła albo odbicie światła. Nic więcej. Chmury i mgła były zbyt gęste. Ale to musiał być samolot.*

– Skoro leciał tak nisko, słyszałeś jego silniki? – zapytał Bond, jakby czytając w myślach Deckera. – Na małej wysokości pracują bardzo głośno, nawet te śmigłowe. Tamtego wieczoru, zanim zaczęła się burza, byłem na tarasie z tyłu domu. Nie słyszałem niczego takiego.

Decker ocknął się z rozmyślań i pokręcił głową.

– Nie słyszałem silników – przyznał. – Tylko widziałem światła. Bond zareagował stłumionym śmiechem.

– Tylko ci się wydawało, że widziałeś samolot. W porządku. To całkowicie naturalne.

– Skoro to nie był samolot, to co?

– Przypomniał mi się mój wnuk, Jeremy.

– Pański wnuk? Dlaczego?

– Ktoregoś razu kiedy przyjechał mnie odwiedzić, przywiózł go ze sobą, żeby mi pokazać. To znaczy... w pewnym sensie pokazać. Słyszałem, jak startuje.

– Jak startuje co? – Decker mimowolnie podniósł głos, próbując nakierować staruszkę na istotę sprawy.

– Jego dron! Jeremy ma jeden z tych dużych. Używa go do fotografowania z góry nieruchomości, którymi handluje, ale nagrywa też amatorskie filmy. Wychodzi znacznie taniej niż wynajmowanie śmigłowca. Myślę, że właśnie to widziałeś tamtego dnia. Duży dron.

Decker czuł, że opadła mu szczeka. *Dron!*

– Zaraz, zaraz... Czy takim dronem można latać w nocy?

– Tak, oczywiście. Jeremy tak robi. Latał swoim tutaj, kiedy był u mnie. A to było po zmroku. Pewnie są jakieś przepisy, które to regulują. Wyobrażam sobie, że taki dron musi mieć światła pozycyjne. Poza tym na pewno trzeba mieć jakieś zezwolenie, żeby czymś takim latać w pobliżu lotniska. No i trzeba uważać, co się fotografuje. Prawo do prywatności i takie tam. Założę się, że podglądanie ludzi na ich podwórku albo przez okna podpada pod jakiś paragraf. Jeremy tłumaczył mi któregoś razu, kiedy go o to zapytałem.

– Okej, ale co by tu robił dron?

Bond wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Na pewno to nie był dron Jeremy’ego. Nie było go tu wtedy. Mieszka w Maryland. Alice Martin z całą pewnością nie ma drona. Wątpię, czy w ogóle widziała takie urządzenie na własne oczy. A Fred Ross? Założę się, że gdyby zobaczył drona, pewnie by go zestrzelił z tej swojej cholernej strzelby. Poza nimi nikt nie mieszka przy tej ulicy. Chyba że to był ktoś nie stąd. Jeremy mówił, że drony mają różny zasięg. Kiedy dotrą do granicy zasięgu, dalej nie polecą. Jeremy ma profesjonalny model, z dużym zasięgiem.

Decker błyskawicznie analizował podawane mu informacje.

– Czy to mógł być śmigłowiec, a nie dron?

Bond pokręcił głową.

– Śmigłowce są bardzo głośne. Na tak małej wysokości obaj byśmy go usłyszeli.

– No tak. Dron pewnie był wyposażony w kamerę albo aparat fotograficzny, prawda?

Bond skinął głową.

– Po to się ich używa. Żeby zrobić zdjęcia albo coś nagrać. Chociaż teraz mówi się o tym, żeby je wykorzystywać do dostarczania rzeczy. W każdym razie Jeremy ma w swoim taką wymyślną kamerę. Powiedział mi, że może podłączyć swój telefon do panelu sterowania i wtedy wszystko to, co widzi dron, wyświetla się na ekranie telefonu. Nie bardzo rozumiem, jak to działa, ale jestem już starym grzybem. Jak my wszyscy na tej ulicy. O, przepraszam, cofam to. Alice nigdy bym tak nie nazwał.

To bardzo dystyngowana dama. Uczyła w szkółce niedzielnej.

– A więc zna pan Alice Martin? – zapytał Decker.

– Tak, oczywiście. Przyjaźniła się z moją żoną. Była na jej pogrzebie.

– A Fred Ross? Wspomniał pan o nim i jego strzelbie. Zna go pan dobrze?

Bond się skrzywił.

– Mam tę nieprzyjemność znać go o wiele za długo.

– Alice Martin wypowiadała się o nim w tym samym tonie. Więc tamtego wieczoru był pan na zewnątrz. Słyszał pan drona?

– Nie. Słyszać je, kiedy są na ziemi, ale w powietrzu są całkiem ciche. W każdym razie taki jest ten, którego ma Jeremy.

– Czy słyszał pan jeszcze jakieś inne dźwięki? To bardzo ważne.

Bond znowu podrapał się po brodzie.

– No tak. Dziwny hałas, którego nie słyszałem nigdy wcześniej. Stuk i zgrzyt. Raz za razem.

*Stuk i zgrzyt... Bardzo trafny opis.*

– Ja też to słyszałem – przyznał Decker – ale do dzisiaj nie wiem, co to było. Nigdy wcześniej pan tego nie słyszał?

Bond pokręcił głową.

– Dosłyszał pan te dźwięki z tarasu na tyłach domu?

– Podwórka tutaj są małe, a domy jeszcze mniejsze. Z mojego tarasu do ulicy nie jest wcale tak daleko.

– A samochód, który odpalił i odjechał? Rozpoznałby pan, czy należał do Alice Martin?

– Alice nie ma samochodu ani prawa jazdy.

– Zakładam, że Ross nie jeździ już samochodem, skoro jest na wózku inwalidzkim.

– Jeździ. W każdym razie swego czasu jeździł. Ma dużą furgonetkę przystosowaną do jego potrzeb. Podnośnik i specjalne przyrządy, dzięki którym prowadzi samochód, mimo że nie może poruszać nogami. Jeszcze zanim całkiem straciłem wzrok, widywałem go za kierownicą.

– Jak to się stało, że został inwalidą?

– W zakładach włókienniczych, gdzie pracował, spadło na niego jakieś duże urządzenie. Sparaliżowało go od pasa w dół. Wiele lat

temu.

– Przykra sprawa.

– Na pewno życzliwości do ludzi od tego mu nie przybyło. Chociaż, mówiąc między nami, Fred był sukinsynem, nawet kiedy mógł chodzić.

Decker się uśmiechnął.

– Dało się zauważyć.

– Wtedy ja też mogłem to zauważyć. Przykro mi, że nie potrafię bardziej pomóc.

– Ależ nie, bardzo mi pan pomógł. Dziękuję.

Decker wyszedł na ulicę i wszedł do samochodu.

Dron.

Zatem kto tamtego wieczoru obserwował kogo albo co?

Miejsce dotknięte nieszczęściem; wyczuwał to nawet stąd.

Decker stał na tarasie na tyłach Domu Mordu, patrząc na widoczną za płotem posiadłość Mitchellów.

Nie było go cały dzień. Nachodził się i najeździł, a mimo to miał poczucie, że niewiele pchnął sprawę do przodu. Niestety, to był podręcznikowy przykład pracy śledczego z wydziału zabójstw.

W Domu Mordu nadal dyżurował agent DEA, ale kiedy Decker machnął legitymacją służbową, został wpuszczony – zgodnie z instrukcjami Kate Kemper.

Zobaczył, jak u Mitchellów otwierają się tylne drzwi i wychodzi z nich Jamison. Za nią pojawiła się inna wysoka młoda kobieta, trzymająca za rękę Zoe.

Usiadły przy stojącym na zewnątrz okrągłym stole.

Decker nie miał okazji poznać żadnej z sióstr Jamison oprócz Amber, ale założył, że to właśnie jedna z nich. Miała tę samą smukłą, zgrabną figurę i podobne rysy twarzy. Pewnie przyjechała na pogrzeb szwagra. Chwilę później drzwi otworzyły się ponownie i z domu wyszła Amber. Nawet z miejsca, w którym stał, Decker odniósł wrażenie, że postarzała się o dwadzieścia lat. Szła, powłócząc nogami.

Cofnął się w cień, żeby go nie rozpoznały. Nie bardzo wiedział, dlaczego to zrobił. A może jednak wiedział.

Wolał teraz trzymać się na uboczu, ponieważ nie miał pojęcia, co powiedzieć ani jak się zachować w ich obecności. Nie chciał palnąć czegoś, za co jego partnerka musiałaby się wstydzić.

Zauważył, że Zoe skuliła się na kolanach matki i wsunęła kciuk do buzi.

Decker wiedział, że za każdym razem, kiedy Zoe będzie świętować swoje urodziny, powróci do niej koszmar śmierci, która okrutnym zrzędzeniem losu tego samego dnia zabrała jej ojca. Każdy prezent, który rozpakuje, każdy kawałek tortu, którego skosztuje, każda świeczka, którą zdmuchnie, będą jej

przypominać o ostatnim dniu życia ukochanego taty. To nie było fair; tak nie powinno być, ale nikt nie mógł na to nic poradzić.

Ten nieuśmierzony ból będzie zdzierał uśmiech z jej twarzy i ścisnął za gardło.

Decker wiedział o tym, bo doświadczył niemal tego samego. Ta myśl budziła w nim gniew i jednocześnie motywowała go do działania. Musiał się dowiedzieć, z czyjej winy Zoe straciła ojca. I czy śmierć Franka Mitchella była upozorowanym wypadkiem. Inaczej mówiąc, morderstwem.

Na zewnątrz panował rześki chłód, dlatego siostry miały na sobie dżinsy i grube swetry, a Zoe długą bluzę dresową i fioletowe rajtuzy. Jamison wróciła do domu i po chwili wyszła z tacą. Nalała herbaty do kubków. Decker dostrzegł też tacę z jedzeniem i na ten widok zaburczało mu w brzuchu.

Było już dobrze po siódmej, a on nic nie jadł od śniadania. Mimo to, patrząc na pogrążone w żałobie kobiety, czuł się winny z powodu swojego głodu.

Spojrzał w niebo. Bogart dał mu namiary na ich kontakt w Federalnej Administracji Lotnictwa. Decker zadzwonił do tej osoby z prośbą, by sprawdziła wszystkie przyloty i odloty tamtego wieczoru w rejonie Baronville. Rzeczywiście, żaden samolot nie mógł wtedy przelatywać tak nisko nad miastem.

Dan Bond miał rację. Niewidomy „zobaczył” dużo więcej od niego. Takie doświadczenia uczyły pokory i Decker wiedział, że tej lekcji nigdy nie zapomni.

Chociaż nie miał stuprocentowej pewności, że to był dron, nie przychodziło mu do głowy żadne inne wyjaśnienie.

Wyszedł z domu, wrócił po samochód i odjechał.

Jego następnym celem to bar Merkury. Ostatnim razem, kiedy tam był, zwrócił uwagę, że oprócz drinków serwują pełne menu obiadowe.

Zanim dojechał na miejsce, zabrzączał jego telefon. Dzwonił Milligan.

– Jak się trzyma Alex? – zapytał kolega z FBI.

– Daje radę – odpowiedział wymijająco.

– Przekaż jej moje kondolencje. – Decker usłyszał po drugiej

stronie szelest papierów. – Okej, mam coś dla ciebie – kontynuował Milligan. – Maxus to spółka publiczna. W biznesie dystrybucyjnym od około dwudziestu lat. Nie znalazłem niczego podejrzanego. Są duzi. Obsługują mnóstwo firm. Mają z tego niezłą kasę. Całe ich szefostwo mieszka za granicą. Żadnych powiązań z ISIS ani nic takiego. Są dokładnie tacy, na jakich wyglądają.

– Okej, a co ze Stanleyem Nottinghamem?

– Jest po osiemdziesiątce. Faktycznie mieszkał pod adresem, który mi podałeś, ale od niedawna jest w domu opieki społecznej w New Jersey.

– Sprawdziłeś jego przeszłość? Jakies powiązania z Baronville?

– Niczego takiego nie znalazłem. Wychował się w Nowym Jorku i aż do emerytury pracował w przemyśle modowym.

– Jego rodzice?

– Też z Nowego Jorku. Ojciec miał delikatesy na Brooklynie. Matka była krawcową. Oboje już nie żyją.

– Nottingham miał dzieci?

– Nie. Nigdy się nie ożenił.

– Jak trafił do domu starości?

– Tego nie udało mi się ustalić.

– Jak długo mieszkał pod adresem, który ci podałem?

– Czterdzieści lat. Wiesz, kto był jego sąsiadem? Bradley Costa. Zanim wyprowadził się do Baronville, mieszkał w tym samym budynku.

– To ma sens.

– Pewnie myślałeś, że znajdę jakiś związek między Baronville a Nottinghamem?

– Myślałem, że Nottingham był powodem, dla którego Costa tu przyjechał.

– Cóż, nic takiego nie wypłynęło.

– Dzięki, Todd. Wyślij mi mailiem namiary na ten dom starości.

– Jasne. Daj znać, jak wam idzie. Zawsze mogę przyjechać z odsieczą, kiedy zrobi się gorąco. To znaczy jeszcze goręcej.

Decker się rozłączył. Gdy podjechał przed bar, wszystkie miejsca przy ulicy były zajęte, dlatego ostatecznie zaparkował



na pustym placu dwie przecznice dalej.

W środku było gwarno i tłoczno. Na małej scenie trzyosobowy zespół wykonywał piosenki country. Wokalista miał przyjemny dla ucha głos, a muzycy grali od serca.

Decker wypatrzył dwuosobowy stolik stojący możliwie najdalej od zespołu. Nie miał ochoty na muzykę. Chciał się najeść, napić piwa i spokojnie pomyśleć.

Przyszła kelnerka i przyjęła zamówienie na piwo. Kiedy się oddaliła, rozejrzał się po sali, szukając wzrokiem młodych głupeków, którzy zaatakowali Johna Barona, ale nigdzie ich nie dojrzał. Ani ich, ani samego Barona. Zerknął w stronę baru i dostrzegł Cindi Riley uwijającą się za kontuarem, obsługującą jednocześnie około tuzina klientów.

Obserwował, jak z wielką wprawą przyrządza, nalewa i podaje przeróżne drinki, przez cały czas zabawiając klientów rozmową i kasując pieniądze. Po tym, jak zamordowano jego rodzinę, Decker praktycznie mieszkał w barach. Potrafił rozpoznać profesjonalistę.

– Nie potrzebujesz kogoś do towarzystwa?

Decker podniósł wzrok i zobaczył Lassiter stojącą z piwem w ręce.

Bynajmniej nie potrzebował towarzystwa i właśnie miał to powiedzieć, kiedy Lassiter, najwyraźniej uznając jego niezręczne milczenie za zgodę, usiadła naprzeciwko.

Miała na sobie białą bluzkę, granatową spódnicę i kurtkę pod kolor, która skrywała kaburę ze służbowym pistoletem.

– Jak tam Jamison? Trzyma się?

– Tak. Pomaga Amber. Przyjechała jedna z ich siostr. O ile wiem, rodzina Franka dojedzie jutro.

– A ty dalej prowadzisz śledztwo?

– To moja praca.

– Zdradzisz, czego się dowiedziałeś? Obiecałeś, że będziesz nas informował.

Kelnerka przyniosła piwo i przyjęła zamówienie na posiłek. Decker upił kilka łyków, zanim odpowiedział.

– To głównie domysły.

– Chętnie posłucham. Ach, z tą przyczepą... Mieliście szczęście, ty i Jamison. Marty twierdzi, że depreczecie komuś po piętach.

– Być może. A jak tam u was? Jakież postępy?

– Pracujemy nad tym, ale na razie żadnych konkretów.

– To tak jak u mnie – odezwał się jakiś głos.

Oboje unieśli głowy i zobaczyli agentkę Kate Kemper. Stała ze szklanką dzinu z tonikiem i limonką.

– Czy to ulubiona knajpa wszystkich glin w okolicy? – zapytał Decker.

Kemper usiadła, nie czekając na zaproszenie.

– Wielkiego wyboru tu nie ma. Więc może podzielmy się wieściami?

– Obie właśnie oświadczyłyście, że nie macie się czym dzielić.

– Mam skłonność do przesady – powiedziała Kemper.

Decker spojrzał na Lassiter.

– Ty też masz skłonność do wciskania kitu?

– To zależy od sytuacji.

Decker rozparł się w krześle.

– Michael Swanson mieszkał w komórce ogrodowej na posesji Johna Barona, a on o tym wiedział. Baron był chłopakiem Joyce Tanner w czasach, kiedy chodzili do liceum. Potem pomagał jej finansowo aż do jej śmierci. Interesował się mitologią, co może mieć związek z symbolem Tanatosa na czole Costy. Z kolei Tanner nauczała Biblii, co może tłumaczyć biblijny werset na ścianie pokoju, w którym ją zabito.

Lassiter wyglądała na zdumioną.

– Skąd to wszystko wiesz?

Decker spojrzał na nią taksująco.

– Ustaliłem w toku śledztwa.

– Wiem, że lokalne morderstwa nie podlegają mojej jurysdykcji – wtrąciła Kemper – ale jeśli są one powiązane z moją sprawą, chcę o nich wiedzieć. A więc ten Baron znał dwie z czterech ofiar. Co z dwiema pozostałymi?

– Twierdzi, że ich nie zna.

– Tak twierdzi – zauważyła Lassiter.

– Dlaczego nie zgłosił się, kiedy zginęli Tanner i Swanson? –

zapytała Kemper.

– Jeśli to on ich zabił, to odpowiedź na twoje pytanie jest oczywista – odparł Decker.

– Czy kiedykolwiek wspomniał, że znał moich ludzi? – dociekała Kemper.

– Nie pytałem go o nich. Nie chciałem ujawnić tej informacji.

– Skoro Tanner została znaleziona z Babbotem, a Swanson z Costą, stał za tym Baron. Zabił wszystkich czworo – stwierdziła Lassiter.

– A jeśli ich nie zabił? – rzuciła Kemper. – Tylko dlaczego robi uniki?

– To miasto go nienawidzi – oświadczył Decker. – Wątpię, żeby chciał zostać kozłem ofiarnym.

– My tu pracujemy inaczej – warknęła Lassiter.

Zmierzył ją wzrokiem.

– Wiem o twoim ojcu.

Lassiter zrobiła wielkie oczy.

– Co takiego wiesz? – zacięła się Lassiter.

Decker spojrzał na Lassiter.

– Może sama opowiesz?

– Po co? Co to ma do rzeczy?

– Jej ojca skazano za spalenie domu z bankierem w środku – powiedział Decker. – Bankierem, który wcześniej odebrał im obciążony hipoteką dom, kiedy ojciec Lassiter stracił pracę w firmie założonej przez Baronów.

– To nie ma znaczenia – obruszyła się Lassiter.

– Owszem, ma. Ty i całe to miasto macie urazę do Baronów, dlatego nie próbuj nam mydlić oczu, że nikt się tu na niego nie uwziął.

Kemper właśnie miała coś powiedzieć, kiedy na stół wjechał talerz z kolacją Deckera: gruby, krwisty stek, frytki i mała sałatka.

– Ta sałatka to chyba tylko dla ozdoby – zauważyła ironicznie.

– Warzywa są zdrowe, a frytki, z formalnego punktu widzenia, to ziemniaki.

Ledwie zaczął jeść, gdy Kemper zadała kolejne pytanie.

– Ustaliłeś coś jeszcze?

– Toby Babbot został kaleką po wypadku na budowie centrum dystrybucji Maxusa. W przyczepie miał arkusz papieru milimetrowego, na którym znalazłem odcisk rysunku.

– Co przedstawiał rysunek?

– Plany konstrukcyjne centrum dystrybucji.

– Chwilę, gdzie to znalazłeś? – wtrąciła Lassiter.

– W przyczepie.

– Możesz mi wytłumaczyć, dlaczego nam o tym nie powiedziałeś?

– Nie było o czym. Dopiero niedawno odkryłem, co przedstawia ten rysunek.

– Dlaczego plany konstrukcyjne? – zastanawiała się na głos Kemper.

– Nie mam pojęcia. Może zamierzał pozwać Maxusa? Choćby gdyby tak było, zrobiłby to dawno temu. Rozmawiałem też z Betsy O'Connor, jego ostatnią współlokatorką. Powiedziała, że Babbot miał pretensje do Maxusa i przebąkiwał, że chce wyrównać z nimi rachunki.

Lassiter wypięła łyk piwa i postawiła szklankę na stole, głośno stukając denkiem o blat.

– Podeszłam do ciebie w nadziei, że usłyszę kilka odpowiedzi, a teraz mam o tonę pytań więcej.

– Coś jeszcze? – rzuciła Kemper.

– Samolot, który widziałem tego wieczoru, kiedy znalazłem ciało?

– Tylko mi nie mów, że w zachodniej Pensylwanii wylądował samolot przemytnika narkotyków.

– Nie, to nawet nie był samolot.

Obie kobiety spojrzały na niego pytająco.

– Nie rozumiem – stwierdziła Kemper. – Chcesz nam powiedzieć, że tego samolotu tam nie było?

– Myślę, że to był dron – powiedział Decker i streścił im rozmowę z Danem Bondem. Dodał też, że sprawdził rozkład lotów na pobliskich lotniskach, z którego wynikało, że tamtego wieczoru w pobliżu Baronville nie przelatywał żaden samolot.

Lassiter wyglądała na rozgoryczoną.

– Kiedy byłam u Bonda, nie zapytałam go o samolot, bo sam powiedziałeś, że to nic ważnego.

– Tak mi się wtedy wydawało. Wątek samolotu wypłynął w trakcie rozmowy. To tylko potwierdza oczywistą prawdę, że przypuszczenie to nie to samo, co fakt.

– Dron? – zapytała Kemper. – Co niby miałyby robić w okolicy tamtego domu?

Decker spojrzał na nią.

– Pamiętasz, jak się zastanawialiśmy, czy twoi dwaj agenci nie założyli punktu obserwacyjnego w domu obok?

– Tak.

– Może ten dron też obserwował.

– Ale co? – zapytała Lassiter.

Decker nie odpowiedział.

– A ty wiesz? – drążyła Kemper.

Decker właśnie skończył posiłek i patrzył ponad ramieniem Kemper na bar. Zrobiło się tam pustawo i barmanka obsługiwała tylko dwóch klientów.

Decker rzucił na stół dwudziestodolarowy banknot i wstał.

– Muszę lecieć.

Odszedł w stronę baru, zostawiając Lassiter i Kemper patrzące na siebie z rozdziawionymi ustami.

– Ten facet to ciężki przypadek – rzuciła Lassiter.

Kemper odprowadziła go wzrokiem.

– Tak, ale czuję, że nigdy, przenigdy nie należy go lekceważyć.

– Znowu tutaj?

Barmanka podsunęła Deckerowi podstawkę pod szklankę.

– Tak, wróciłem. Jak zły sen.

– Co podać? – zapytała.

– Najlepsze india pale ale, jakiego można się tu napić.

– Najlepsze? Co kto lubi – odpowiedziała asekuracyjnie.

– Zdam się na twój gust.

Schyliła się i z małej lodówki pod blatem baru wyjęła butelkę piwa.

Decker przyglądał się dziewczynie. Miała na sobie czarną bluzkę z rozpiętym ostatnim guzikiem. Gdy się pochylała, w dekolcie migał cielisty stanik. Jej rozpuszczone włosy opadały na silne ramiona.

Decker wiedział, że półprzezroczysta bluzka i obciste dzinsy służą do podbijania napiwków, ale nie winił jej za to. Faceci przesiadujący w barach byli w większości prostymi stworzeniami i z przyjemnością dawali się manipulować atrakcyjnej damie.

Barmanka nalała piwo i podsunęła mu szklankę.

– Spróbuj tego.

Decker upił łyk i z uznaniem pokiwał głową.

– Znasz się na rzeczy.

Uśmiechnęła się i wytarła szmatką blat przed nim.

– Dlaczego bar Merkury? – zapytał. – Interesujesz się grecką mitologią?

– Nie, mój ojciec był wielkim fanem Orsona Wellsa. Teatr Merkurego czy jakoś tak się to nazywało. A Merkury to postać z mitologii rzymskiej, nie greckiej. Greckim odpowiednikiem Merkurego jest Hermes.

– Rzeczywiście – przyznał Decker.

Kobieta przyjrzała mu się uważnie.

– Dlaczego mam wrażenie, że już to wiedziałeś? Sprawdzasz

mnie?

– Może. Widziałaś się ostatnio z Johnem?

– Którym Johnem? Znam wielu.

– Baronem.

– Nie. Skąd to pytanie?

– Tak tylko pytam. Kumplujecie się?

– Przychodzi tu się napić. Jeśli to oznacza, że się kumplujemy, to mam dużo kumpli w tym mieście.

– Kiedy tu byłem ostatnim razem, odniosłem wrażenie, że jest między wami coś więcej.

Cindi przestała polerować bar, wyjęła spod kontuaru butelkę wody i wypła łyk.

– Dlaczego cię to interesuje?

Decker wzruszył ramionami.

– Trochę poznałem Barona. Myślę, że jest w porządku. Bardzo bym nie chciał, żeby się wplątał w to wszystko.

Cindi odstawiła butelkę z wodą i znowu sięgnęła po ściereczkę. Klient przy barze nawiązał z nią kontakt wzrokowy i uniósł szklanę, dając znać, żeby mu dołała.

– Nie ruszaj się stąd – mruknęła do Deckera. – Zaraz wracam.

W odpowiedzi uniósł swoje piwo i upił kolejny łyk.

Wróciła po minucie.

– O dziesiątej przychodzi mój zmiennik. Chcesz wtedy pogadać?

– Z przyjemnością.

– Masz rację. John jest w porządku.

– Miło jest mieć rację.

– W co miałby się wplątać?

– O dziesiątej – odpowiedział.

Punktualnie o dziesiątej Cindi przekazała bar zmiennikowi i skinęła na Deckera.

– Zaparkowałam na tyłach.

– Ja kawałek stąd.

– Przywiozę cię tu z powrotem. To niedaleko.

– Dokąd jedziemy?

- Do mnie.
- Jesteś pewna, że to dobry pomysł?
- A ty? – rzuciła zaczepnie.

Wsiadli do metalicznej czarnej toyoty land cruiser.

- Ładna bryka – zauważył. – I nietania.
- Dostają wysokie napiwki i zniżki na samochody.

Zawiozła go do wielkiego ceglanego budynku na skraju centrum. Po drodze Decker zwrócił uwagę, że kilka mijanych domów było odnawianych.

- Baronville podnosi się z kolan? – zagadnął.
- Częściowo – odparła enigmatycznie.

Wjechali do podziemnego garażu i zaparkowali na numerowanym miejscu. Stamtąd winda zabrała ich na najwyższe piętro. Cindi otworzyła drzwi do swojego apartamentu i zamaszystym gestem zaprosił Deckera do środka.

– Kiedyś tu były zakłady włókiennicze. Przebudowano je na lofty.

- Tak, wiem. Już tu byłem.
- Kiedy?

Obrzucił ją szybkim spojrzeniem.

– Kiedy przyjechałem sprawdzić mieszkanie Bradleya Costy. Też tu mieszkał.

- A tak, rzeczywiście – odpowiedziała bez cienia emocji.

Decker rozejrzał się po eleganckich meblach, kosztownie wyglądających dywanikach i kuchennych sprzętach z nierdzewnej stali, kontrastujących z surowym wyglądem ceglanych ścian. W rogu apartamentu zauważył miejsce do ćwiczeń, bogato wyposażone w sztangielki, drążek do podciągania się, stojak na piłki do crossfitu, orbitrek, ergometr rowerowy i inne urządzenia, które wyglądały, jakby służyły raczej do tortur.

– Nic dziwnego, że masz taką wysportowaną sylwetkę – zauważył.

– Sama się nie robi – odparła. – Trzeba w to włożyć trochę wysiłku.

Decker ponownie omiotł wzrokiem luksusowe wyposażenie



apartamentu.

- Musisz dostawać naprawdę wysokie napiwki.
- Nie żyję tylko z napiwków. Merkury należy do mnie.
- Tak, słyszałem. Odziedziczyłaś po ojcu?
- Zgadza się.

Patrzył, jak zdejmuje z siebie dżinsową kurtkę i zostawia ją na metalowym wieszaku przy drzwiach.

- Ile ty masz lat, dwadzieścia dwa?
- Schlebiasz mi. Prawie trzydzieści.
- Jak moja partnerka. To i tak młody wiek jak na właścicielkę baru.

– Cóż, jak sam zauważyłeś, dostałam go w spadku.

– Co nie zmienia faktu, że świetnie sobie radzisz. Domyślam się, że jesteś niezłą bizneswoman.

- Mój tato był niezłym nauczycielem.
- Co się z nim stało?
- Zmarł.
- Tak, domyśliłem się. Pytałem jak.
- Zawał serca.
- Przykro mi.
- Chcesz drinka?

– Myślę, że wystarczy mi już alkoholu na dzisiaj. Masz coś gazowanego?

Otworzyła szufladę chłodzącą i rzuciła mu butelkę wody.

– To będzie dla ciebie lepsze.

Sobie nałała bombay sapphire na trzy palce i zaprawiła go tonikiem, dodała plaster cytryny, odrobinę limonki i trzy duże kostki lodu wyjęte z zamrażarki.

Trąciła szklanką jego butelkę.

– A to będzie lepsze dla ciebie? – zapytał, wskazując na drink.

– W pracy nie piję. Ale jednego drinka przed snem sobie nie odmawiam. Jestem wielbicielką dżinu z niebieskiej butelki.

Zdjęła buty i zwinęła się na sofie, zapraszając Deckera ruchem ręki, by zajął miejsce naprzeciwko.

Usiadł we wskazanym fotelu i napił się wody, nie odrywając wzroku od Cindi.

– Przypuszczam, że pochodzisz stąd?  
– Mylnie przypuszczasz. Urodziłam się w Filadelfii.  
– Twój ojciec osiedlił się tutaj i otworzył bar? Ale zanim ty się sprowadziłaś, Baronville najlepsze czasy miało już dawno za sobą. Po co zamieniać Miasto Braterskiej Miłości<sup>11</sup> na coś takiego?

Wzruszyła ramionami.

– Miałam zaledwie rok, kiedy przyjechałam. No dobrze, karty na stół... Moja matka była stąd. Poznali się w college'u. Tato zawsze chciał prowadzić bar. Okazja pojawiła się tutaj i proszę, wylądowałam w Baronville. Czasem jedyne, czego potrzebujesz, żeby dokonać przełomu w swoim życiu, to mieć marzenie.

– A gdzie jest twoja mama?

– Dobre pytanie.

– Chcesz powiedzieć, że nie wiesz?

– Dziś tu, jutro tam. Odeszła, kiedy byłam mała, i nigdy więcej jej nie widziałam.

– Wyobrażam sobie, jak wam było ciężko.

– Nie tak ciężko, jak by się mogło wydawać. Mój tato świetnie się spisał jako samotny rodzic.

– Pamiętasz swoją mamę?

– Niezbyt. Byłam za mała. Może to i dobrze. Jak można tęsknić za kimś, kogo prawie się nie znało?

– No tak..

– To o co chodzi z Johnem? – zapytała, odstawiając drinka. – Ma jakieś kłopoty?

– Bardzo się przejmujesz facetem, który jest dla ciebie tylko jednym z wielu klientów.

– To dobry klient. I dobry człowiek, któremu wylewa się na głowę pomyje za coś, czemu nie jest winien.

– Takie właśnie odniosłem wrażenie tamtego wieczoru w barze.

– Ci młodzi to tumany, które nic nie rozumieją. Ale są tu tacy, którzy doskonale wiedzą, jak było. Albo przynajmniej powinni wiedzieć.

---

<sup>11</sup> Nazwa Filadelfia wywodzi się od greckich słów philos („kochany”, „kochający”) i adelphos („brat”).

– Niektórych zdążyłem poznać. – Decker ułożył się wygodnie w fotelu. – Słyszałaś o morderstwach?

– A co to ma wspólnego z Johnem?

– Znał co najmniej dwie z czterech ofiar. Jedna mieszkała na jego posesji.

– No i co z tego? To mógł być przypadek.

– Jestem gliną.

– Jak mam to rozumieć?

– Nie wierzę w przypadki.

– A co, gdybym ci powiedziała, że znałam wszystkie cztery ofiary?

– Ponieważ bywały u ciebie w barze?

– Właśnie.

– Nawet Toby Babbot, który, o ile mi wiadomo, był trzeźwiejącym alkoholikiem?

– Serwuję też posiłki, jak dobrze wiesz, bo sam dzisiaj jadłeś.

– Oczywiście, prowadzisz jeden z nielicznych lokali tego typu w Baronville, więc nic dziwnego, że wszyscy oni bywali w twoim barze. Ale nie mieszkałaś z żadną z ofiar, prawda? Ani nie byłaś licealną miłością żadnego z zamordowanych mężczyzn?

– Zawsze uważałam Mike'a Swansona za fajnego faceta. A Brad faktycznie był moim sąsiadem.

– Rozmawiałaś z nim kiedykolwiek poza barem?

– Myślę, że się we mnie podkochał.

– Próbował cię poderwać?

– Dałam mu do zrozumienia, żeby odpuścił. Był okej, ale sztywni bankierzy to nie mój typ. Zbyt... korporacyjny jak na moją artystyczną duszę. Zrozumiał moje sygnały i dał sobie spokój.

– Miał w swoim biurze zdjęcie, na którym jesteście oboje.

– Naprawdę? – zdziwiła się. – Gdzie zrobione?

– Jakaś impreza biznesowa, według jego sekretarki.

– A tak, prawda. Przypominam sobie. Jakieś pół roku temu urządził spotkanie towarzyskie. Zaprosił grupę właścicieli miejscowych biznesów, między innymi mnie. Był tam fotograf.

– To wszystko wyjaśnia – mruknął Decker.

Kobieta wypięła łyk drinka.

– Tak więc, jak sam widzisz, znałam wszystkie cztery ofiary, a z jedną mieszkałam w tym samym budynku. Skoro nie wierzysz w przypadki, czy to oznacza, że jestem zamieszana w tę sprawę tak samo jak John?

– Byłaś kiedyś w jego rezydencji tam, na górze?

– Dlaczego pytasz?

– Z ciekawości.

– Może.

– Nie pamiętasz?

– Okej, byłam. Kilka razy – przyznała.

– Baron to dopiero jest artystyczna dusza – rzucił i czekał na jej reakcję.

– Nie przeczę, że mnie intryguje.

– Myślę, że jest bardzo intrygujący. Właśnie próbuję dociec, czy jest również mordercą.

– Nie skrzywdziłby muchy.

– Muchy może sobie krzywdzić do woli.

Uśmiechnęła się mimowolnie.

– John uważa, że ty jesteś intrygujący.

– Powiedział ci to?

– Tak. Rozmawialiśmy przez telefon po tym, jak ty i twoja partnerka złożyliście mu wizytę.

– A on był kiedykolwiek u ciebie?

– Raz czy dwa. Proszę, nie dopytuj o szczegóły.

– Jest sporo od ciebie starszy.

– Tak się składa, że jest jednym z najmłodszych ludzi, jakich znam.

– Duchem?

Skinęła głową.

– Poza tym świetnie się trzyma. Był sportowcem. Ty też wyglądasz, jakbyś trenował jakiś sport.

– Trenowałem. Jakieś pięćdziesiąt kilogramów temu.

– Nie sprawdzacie alibi podejrzanych?

– Sprawdzamy.

– No i? Ustaliliście, gdzie był John, kiedy zabito tamtych

czworo?

– W przypadku tej czwórki ramy czasowe są dość szerokie. Ale pracujemy nad tym. Zapewnisz mu alibi?

– To zależy, czy byłam z nim w czasie, kiedy to się stało. Zgadza się?

– Tak.

– Nie wierzysz, że on to zrobił, prawda?

– To bez znaczenia, w co ja wierzę. Liczą się fakty. – Przekrzywił głowę na bok i spojrzał na nią przeciągle. – Dlaczego stąd nie wyjechałaś? Mogłabyś prowadzić bar w wielu innych miejscach.

– To miasto zaczyna odżywać. Widziałeś przecież po drodze.

– Tak, ale sama powiedziałaś, że tylko częściowo.

– To lepsze niż nic. Uczyłam się na studiach o takich miejscach, jak Baronville. Kiedy dotyka je kryzys ekonomiczny, pojawiają się małe rodzinne biznesy, ponieważ ludzie tracą pracę, ale nie ducha. Restauracyjki, centra fitnessu, studia tatuażu, lombardy, salony kosmetyczne, małe kina, piekarnie, sklepy zoologiczne, tego typu rzeczy. Ludzie dają sobie radę, potrafią się przystosować. Spójrz na Pittsburgh. Kiedyś miasto przemysłu ciężkiego, a teraz centrum usług medycznych i finansowych.

– Baronville to nie Pittsburgh.

– Nie musimy być drugim Pittsburghiem. No i mamy centrum dystrybucji. Mnie pomogło, zaręczam ci. Przychody w moim barze wzrosły o trzydzieści procent.

– Ponieważ ludzie, którzy harują w Maxusie, muszą się potem napić czegoś mocniejszego?

– Otóż to. I coś zjeść, bo są zbyt zmęczeni, żeby sami sobie gotowali.

– Wszystkie te inwestycje, które widzieliśmy po drodze, to rodzinne biznesy? Wyglądało mi to na coś dużo poważniejszego.

Riley spochmurniała.

– Straciłam kilku przyjaciół, bo przedawkowali. Przynajmniej mieli ubezpieczenie na życie. Kiedy zmarli, ich rodziny dostały odszkodowania. Z tych pieniędzy rozkręciły biznes albo przeznaczyły część na rewitalizację miasta. Ten budynek został odrestaurowany dzięki kilku darczyńcom, którzy złożyli się

na projekt. Prawie wszystkie apartamenty są już wyprzedane.

– Wspaniałe, godne podziwu. Tylko te sześć niewyjaśnionych morderstw... Nie przysłużyły się miastu.

Uśmiech na jej twarzy zgasł.

– Sześć?

– Kolejne dwa ciała w pustym domu. Sam je znalazłem.

– Wydaje mi się, że coś o tym czytałam. Chociaż żadnych konkretów. Możesz powiedzieć coś więcej?

– Niestety, nie. Dla dobra śledztwa.

– Mają jakiś związek z tamtymi czterema?

– Nie mam pojęcia.

– Odnoszę wrażenie, że masz więcej pytań niż odpowiedzi – zauważyła.

– Tak zwykle bywa na początku śledztwa. Byłaś w mieszkaniu Costy?

– Raz. Urządził tam kolację dla klientów banku.

– Pytałaś go kiedyś, dlaczego zostawił Nowy Jork i przeprowadził się tutaj?

– Tak. To był przystojny facet i ewidentnie zaradny. Zostawił tam dobrze zapowiadającą się karierę i pieniądze.

– I co powiedział?

– Coś o realizowaniu swojego marzenia.

– Jakiego marzenia?

– Nie dopytywałam, a on nie rozwinął tematu.

– Znał Barona?

– Pewnie uważasz, że tak, ale nic o tym nie wiem. Nie sądzę, żeby John miał jakiś pożytek z banków.

– Ale hipoteka na jego rezydencji została ustanowiona na rzecz wierzyciela, którym jest bank Costy.

– Naprawdę? – zapytała niewinnie.

– Naprawdę. Chociaż on nie raczył o tym wspomnieć w rozmowie ze mną. – Decker wyjął z kieszeni zdjęcie Barona z drużyną Małej Ligi i pokazał je Riley. – Widziałaś je w mieszkaniu Costy?

Wzięła fotografię do ręki i spojrzała na nią.

– Tak, stało na półce razem z innymi.

– Trenerem tej drużyny był Baron.  
– Przecież widzę – odrzekła poirytowanym tonem. – Doprowadził tę drużynę do mistrzostwa stanu, a oni mu ją odebrali.  
– Wspominał. Wiesz dlaczego?  
– Myślę, że stawiało go to w lepszym świetle i nie mogli tego znieść. – Raptem zauważyła napis na odwrocie. – Stanley Nottingham. Kto to?  
– Nie wiem. Słyszałaś o nim?  
Pokręciła głową.  
– Chociaż... To ciekawe.  
– Co?  
Oddała mu zdjęcie.  
– Wiem o tym tylko dlatego, że opowiedział mi to John. Nawet pokazał mi zdjęcie.  
– Czego?  
– Raczej kogo.  
– Stanleya Nottinghama? – zapytał Decker, próbując nadążyć za Riley.  
– Nie, nie jego. – Kobieta przez chwilę szukała w pamięci. – Nie Stanleya. Miał na imię Nigel.  
– Pogubiłem się – przyznał Decker.  
– John pokazał mi zdjęcie Nigela Nottinghama. Dlatego je zapamiętałam. To rzadkość w tych stronach. Czy można mieć bardziej brytyjskie imię i nazwisko?  
– Dalej nie wiem, do czego zmierzasz.  
– Nigel Nottingham był kamerdynerem Barona.  
– Johna Barona?  
– Nie! Johna nie stać na kamerdynera. Mówię o Johnie Baronie Pierwszym. Najwyraźniej chciał mieć autentycznego brytyjskiego kamerdynera i Nigel Nottingham pasował do jego wizji.  
Decker zerwał się z fotela.  
– Muszę lecieć. Dzięki.  
Zanim Riley zdążyła opuścić stopy na podłogę, był już przy drzwiach wejściowych.  
– Ale Decker... Przecież muszę cię odwieźć! – zawołała, jednak

w odpowiedzi usłyszała tylko trzaśnięcie drzwi.



– Co ty na litość boską wyprawiasz? Dlaczego się pakujesz?

Jamison stała w drzwiach sypialni Deckera, przyglądając się, jak upycha ubrania i przybory toaletowe do swojego worka marynarskiego.

– Muszę gdzieś pojechać.

– Gdzie? Wracasz do Nowego Jorku?

– Jadę do New Jersey.

Jamison rozdziawiła usta.

– New Jersey? Ale po co?

– Mam trop. Ważny. Właśnie czegoś się dowiedziałem. Od Cindi Riley.

Spojrzała na niego z niedowierzaniem.

– Decker, pojutrze jest pogrzeb Franka, a ty wyjeżdżasz? Jest tyle do zrobienia.

– Zdam. Zaraz jadę. Na miejscu będę jutro rano, załatwię sprawę i wrócę jutro przed końcem dnia.

– Jutro rano zjawi się rodzina Franka. Myślałam, że odbierzesz jego rodziców z dworca autobusowego. I jedną z sióstr, która przyjeżdża pociągiem. Pozostali jadą samochodami.

Decker na moment przestał się pakować.

– Jestem pewny, że twoje siostry ci pomogą. Ach, i jeszcze jedno. Muszę zabrać samochód z wypożyczalni.

– Chwila, chcesz nim jechać do New Jersey?

– To jedyny sposób, żeby się tam dostać. Sprawdziłem samoloty. Pierwszy z Pittsburgha jest o dziesiątej rano i nawet nie leci bezpośrednio. Musiałbym się przesiąść w jakimś cholernym Charlotte, wyobraź sobie. Rozkład jazdy pociągów i autobusów też mi nie pasuje. Muszę wziąć samochód. Mogę tam dojechać w niecałe siedem godzin.

– Okej, ale zdajesz sobie sprawę, która jest godzina? Kiedy zamierzasz spać?

– Nie chce mi się spać. Adrenalina buzuje. Zdrzemnę się

na miejscu, kiedy dojadę.

– Decker, to nie jest mądre.

– Alex, muszę jechać. Odkryłem coś dzisiaj i muszę to sprawdzić.

Jamison usiadła na skraju łóżka.

– Mówisz, że masz ważny trop. Co takiego zdradziła ci ta barmanka?

Decker opowiedział jej pokrótce o Stanleyu i Nigelu Nottinghamach i o adresie znalezionym na odwrocie zdjęcia z apartamentu Costy.

Jamison obejrzała fotografię, którą jej podała.

– Czy ja dobrze rozumiem? Ten Nigel Nottingham był kamerdynerem Barona Pierwszego?

– Właśnie. Założę się, że Stanley jest, sam nie wiem, jego wnukiem albo kimś takim. To dlatego Todd nie znalazł związku z Baronville. Sprawdził tylko Stanleya Nottinghama i jego rodziców. W Nowym Jorku mieszkał w tym samym budynku co Bradley Costa. Byli sąsiadami.

Jamison oddała mu zdjęcie.

– Więc jaką właściwie masz teorię?

– Myślę, że Stanley Nottingham opowiedział naszemu bankierowi coś o Baronie i o tym mieście. Coś, co sprawiło, że Costa zwinął się z Manhattanu i przyjechał tutaj. Barmance powiedział, że osiedlił się w Baronville, żeby zrealizować swoje marzenie, co mnie uderzyło. Mam nadzieję dowiedzieć się od Nottinghama, co to za marzenie.

Jamison potarła czoło. Wyglądała na wyczerpaną.

– Okej, rozumiem, że to może być ważne dla śledztwa. Ale czy nie możesz z tym poczekać, aż będzie po pogrzebie?

– Stanley Nottingham ma swoje lata i właśnie przeprowadził się do domu opieki. Skąd mogę mieć pewność, czy jutro nie wykorkuje? Jeśli tak się stanie, stracę jedyny trop, jaki mam.

– Dla ciebie liczy się tylko śledztwo, prawda? – burknęła. – Zawsze jest ważniejsze niż wszystko inne. Żeby nie wiem co.

Decker znieruchomiał i spojrzał na nią.

– To nie tak, Alex.

– Zawsze tak jest, Decker. Zawsze!

– Ale to naprawdę ważne.

Wstała i powoli podeszła do drzwi.

– Jasne. Skoro tak mówisz. Zostanę tu i będę czekała na odsiecz.

– Alex, wróć. Obiecuję.

– Oczywiście – powiedziała bez przekonania. – Cóż, mam nadzieję, że znajdziesz to, czego szukasz.

Decker sięgnął po płaszcz wiszący na oparciu krzesła. Kiedy się obrócił, już jej nie było. Usłyszał, jak gdzieś w domu zamykają się drzwi.

Zasunął suwak worka i dźwignął go na ramię. Powoli, starając się stąpać jak najciszej, zszedł po schodach.

Na ostatnim stopniu siedziała Zoe, trzymając w objęciach pluszowego kota.

Podniosła na niego wzrok i zobaczyła worek.

– Wyjeżdża pan gdzieś, panie Amos?

Decker w pierwszym odruchu chciał minąć dziewczynkę bez słowa wyjaśnienia i pospieszyć do New Jersey. Kiedy jednak spojrzął na jej strapioną buzię, odłożył worek i usiadł obok.

– Tak, Zoe. Ale wróć. Widzisz, muszę pojechać do New Jersey coś sprawdzić. Byłaś kiedyś w New Jersey?

Dziewczynka pokręciła głową.

– Ładnie tam jest?

– Tak.

– Co będzie pan tam robił?

– Muszę z kim porozmawiać. Z takim jednym starszym panem.

– O czym?

– Znał kogoś z tego miasta. Chcę mu tylko zadać kilka pytań na temat tej osoby.

– Ten pan jest miły?

– Nie znam go, ale na pewno się dogadamy. – Zamilkł na moment i przyjrzał się jej. – Jak ty się masz?

Zoe ścisnęła mocniej pluszaka.

– Pojutrze jest pogrzeb mojego taty.

– Tak, wiem – westchnął.

– Pochowamy go w ziemi. Tak powiedziała mama.

– Zdążę wrócić, żeby być wtedy przy tobie.

– Obiecuje pan?

– Obiecuje.

Raptem Zoe sposepniała.

– Panie Amos, myśli pan, że będzie mu tam zimno? Mojemu tacie? Kiedy mama powiedziała, że go pochowamy, wzięłam z kuchni łyżkę, poszłam na podwórko i wykopałam dziurę w ziemi. A potem włożyłam tam rękę. W środku było zimno. Mój tata nie lubił, jak mu było zimno. Zawsze przytulał się do mnie pod kocem. Ja też nie lubię marznąć – dodała i zademonstrowała, jak się trzęsie z zimna.

Decker oparł się plecami o balustradę. Czuł ucisk w piersi i dławienie w gardle.

– Wiem, że twój kocyk nie ma imienia, ale twój kot chyba jakoś się nazywa?

– To jest Feliks. Ciocia Alex dała mi go, kiedy miałam pięć lat.

– Skąd takie imię?

– Kiedy mój tata był mały, miał psa, który się tak nazywał. Pomyślałam, że jeśli nazwę mojego kota Feliks, to nie będzie za nim tak bardzo tęsknił.

– To bardzo miłe z twojej strony.

Zoe zmarszczyła nosek, a jej oczy napełniły się łzami.

– Ja chcę, żeby mój tata tu był.

– Wiem. I wiem, że on też bardzo chciałby tu być. Nigdy by cię nie opuścił.

Zoe oparła się o jego nogę, a on delikatnie pogłaskał ją po głowie.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu.

– Pamiętasz, jak ci wspomniałem o mojej córce?

– Molly.

– Właśnie... Molly. To, co ci o niej powiedziałem, nie do końca było prawdą.

– To znaczy, że pan skłamał? – zapytała Zoe, siadając prosto. Jej duże oczy wpatrywały się w niego.

– Nie, to niezupełnie tak. Po prostu nie powiedziałem ci... wszystkiego. Chodzi o to, że moja córka... Moja córka... zmarła

zaraz po tym, jak skończyła dziesięć lat.

– Była chora?

– Nie... Miała wypadek.

– Jak mój tato?

– Właśnie. Też miała pogrzeb. Musieliśmy ją pochować, ale teraz ją odwiedzam. Przychodzę sprawdzić, co u niej. I kiedy tam jestem, to... Czuję, że nie jest jej zimno. Gdy się kogoś mocno kocha, to takie rzeczy się czuje. Dlatego myślę, że kiedy pójdziesz z mamą odwiedzić swojego tatę, też to wyczujesz. Od razu zrobi mu się cieplej, bo będzie wiedział, że z nim jesteś. Że osoby, które go kochają, są przy nim. Rozumiesz?

Zoe powoli pokiwała głową, nie odrywając od niego wzroku.

– Mogę z nim rozmawiać, kiedy go odwiedzę?

– Tak, oczywiście. Nie będzie mógł ci odpowiedzieć, jak kiedyś. Ale wierz mi, poczujesz coś tutaj. – Dotknął środka swojej szerokiej piersi. – To będzie oznaczało, że twój tato mówi do ciebie. A to, co mówi, trafi prosto do twojego serca. Bo... właśnie tam będziesz teraz nosiła swojego tatę. Na zawsze. Okej?

Zoe skinęła głową, pochyliła się i uściśnęła jego grubą łydkę.

– Do zobaczenia, panie Amos, kiedy pan już wróci.

– Możesz mi mówić po prostu Amos.

– Okej, Amos.

Decker dźwignął z podłogi swój worek i wyszedł.

Nie zauważył Jamison, która stała u szczytu schodów.

Słyszała całą rozmowę i teraz cicho szlochała, przytrzymując się poręczy.

Kiedy Zoe weszła po schodach i zobaczyła swoją ciocię, podbiegła do niej i objęła ją za nogi. Jamison wciąż drżała na całym ciele.

– Ciciu Alex, wszystko w porządku? – zapytała dziewczynka. – Jest ci smutno?

Jamison pogładziła ją po głowie.

– W porządku, Zoe – wydusiła, przełykając łzy. – Już mi lepiej, naprawdę.

O dziewiątej rano rozdzwonił się budzik w telefonie. Decker wyprostował się w fotelu kierowcy, ziewnął i się rozejrzył.

Przyjechał pod dom opieki około szóstej, zaparkował przy ulicy i osunął się w fotelu, by trochę odespać. Teraz, wyrwany z płytkiego snu, podjechał do pobliskiego McDonalda. W łazience umył się i przebrał w świeże ubranie. Zjadł kanapkę i wlał w siebie kubek kawy.

Potem pojechał z powrotem do Centrum Seniora i wszedł do środka.

Hol był przestronny i miły dla oka, jasno oświetlony słońcem wpadającym przez liczne okna. Całe to miejsce wyglądało na stosunkowo nowe. W holu znajdowała się wygodna poczekalnia z tapicerowanymi krzesłami i dużą recepcją z polerowanego drewna. Tapeta na ścianie miała kojący motyw kwiatów i winorośli.

Za ladą siedziała rzeczowo wyglądająca kobieta. Kiedy podszedł, zmierzyła go wzrokiem.

– W czym mogę pomóc?

Decker okazał odznakę i legitymację służbową.

– FBI. Muszę porozmawiać z jednym z waszych pacjentów.

– Nazywamy ich rezydentami – oświadczyła, przyglądając się odznace. – Mogę zapytać, o co chodzi?

– Prowadzę dochodzenie w sprawie serii morderstw w Pensylwanii. Wasz, jak to pani ujęła, rezydent, niejaki Stanley Nottingham, mógł znać jedną z ofiar w czasach, kiedy mieszkała w Nowym Jorku.

– Obawiam się, że muszę się skonsultować z przełożonym.

– Proszę robić, co pani musi, byle szybko. Mam mało czasu.

Kobieta oddaliła się zwawym krokiem. Niecałą minutę później wróciła w towarzystwie wysokiego, tęgiego mężczyzny z gęstymi ciemnymi włosami. Miał na sobie garnitur w prążki i robił wrażenie kogoś ważnego.

– Jestem Roger Crandall, dyrektor. Co pana do nas sprowadza? Decker wyjaśnił powód swojej wizyty.

– Nie potrzebuje pan nakazu albo czegoś takiego? – zapytał Crandall.

– Nie. Pan Nottingham nie jest o nic oskarżony ani nawet podejrzany. Może jednak okazać się ważnym świadkiem w śledztwie o morderstwo. A ja mam wszelkie prawo, by z nim porozmawiać.

– Wolałbym, żeby był przy tym prawnik firmy. Może pan przyjść innym razem?

W odpowiedzi Decker wyjął notes.

– Crandall przez dwa L? Widziałem też pisane przez jedno i chcę się upewnić.

– Przez dwa L. Ale dlaczego pan pyta?

– Mój szef w FBI się wścieka, kiedy przekreśli się nazwisko na nakazie aresztowania.

Crandall cofnął się o krok.

– Nakazie aresztowania? Mnie? – zapytał nieco piskliwym tonem. – Ale z jakiej racji?

– Cóż, utrudnia pan śledztwo, prawda?

– Wcale tak nie uważam.

– Przecież powiedziałem, że wasz rezydent nie jest podejrzany. Nie ciąży na nim żadna odpowiedzialność karna. Może być jednak kluczowym świadkiem. Dowie się pan w swoim czasie, że FBI ma prawo do rozmowy z taką osobą w dowolnym i dogodnym dla siebie momencie. Uniemożliwiając mi to, popełnia pan przestępstwo federalne zagrożone maksymalną karą pozbawienia wolności do lat pięciu. W więzieniu federalnym. – Spojrzał na szykowny ubiór dyrektora. – Chce się pan przekonać, czy w pomarańczowym drelichu wygląda pan lepiej niż w tych prążkach?

Crandall przez dłuższą chwilę gapił się na niego z głupawym wyrazem twarzy.

– Zaprowadzę pana osobiście do pana Nottinghama – powiedział w końcu.

Decker ostentacyjnie wyrwał z notesu kartkę z nazwiskiem

Crandalla, zmiął ją w dłoni i wrzucił do najbliższego kosza na śmieci.

– Dziękuję za współpracę i okazane zrozumienie.

Crandall poprowadził go korytarzem w głąb budynku.

– Co może mi pan powiedzieć o Nottinghamu? Z tego, co wiem, jest u was od niedawna.

Dyrektor skinął głową.

– Zgadza się. Zwykle to rodziny decydują o umieszczeniu u nas swoich bliskich. Wszyscy się starzejemy. Czasem trudno się przyznać przed samym sobą, że bez fachowej pomocy już się nie obejdzie. Z panem Nottinghamem było jednak inaczej. Nie ma żadnych krewnych i postanowił, że nie może dłużej żyć sam. Zgłosił się do nas z własnej inicjatywy.

– Jak się dowiedział o tym miejscu?

– Mieszka u nas wiele osób z Nowego Jorku. Jesteśmy tuż za granicą stanu, więc rodziny naszych rezydentów, jeśli chcą ich odwiedzić, mają tu blisko.

– Pan Nottingham, z tego, co mi wiadomo, pracował w branży modowej.

– Tak. Pracował dla kilku dużych domów mody. Jest bardzo miły. Wydaje się dobrze wykształcony.

– Jak jego zdrowie?

– Nie wolno nam udzielać takich informacji, ale mogę panu powiedzieć, że ma dolegliwości typowe dla osoby w jego wieku.

– Okej, ale chcę wiedzieć, czy jest komunikatywny.

– Ach, tak, oczywiście. Przynajmniej na razie.

Zatrzymali się przed jednym z pomieszczeń. Na kawałku papieru wsuniętym w mosiężną oprawkę przyśrubowaną do drzwi widniał napis STANLEY NOTTINGHAM.

– To tu.

Crandall zapukał.

– Panie Nottingham? Stanley, mogę wejść? To ja, Crandall.

Niski, chrapliwy głos odezwał się twierdząco i Crandall nacisnął kławkę. Decker wszedł za nim.

Stanley Nottingham siedział na krześle obok łóżka. Był wysoki i wymizerowany. Jego głowę otaczał wianek siwych włosów.



Nosił czarne okulary o grubych szklach. Na sobie miał coś, co wyglądało jak jedwabna piżama w groszki.

W rogu stał stojak z aparatem tlenowym.

Na ścianach widniały oprawione w ramy wielkie czarno-białe fotografie rozmaitych modelek na wybiegu.

– Stanley, to jest... – Crandall się zająknął. – Przepraszam, jak się pan nazywa? – zwrócił się do Deckera.

– Jestem Amos Decker, panie Nottingham. Pracuję dla FBI.

Nottingham, który do tej pory siedział zgarbiony na krześle i wyglądał na niemożliwie znudzonego, momentalnie się wyprostował. Klasnął w dłonie, jakby był autentycznie zachwycony tym nieoczekiwanym rozwojem sytuacji.

– FBI? – zapytał z szerokim uśmiechem. – Jakie to ekscytujące!

Decker zerknął na Crandalla.

– Dalej poradzę sobie sam, dziękuję.

Crandall wydawał się tym urażony, ale krótko skinął głową i wyszedł. Drzwi do pokoju zostawił jednak otwarte.

Decker podszedł do nich, zamknął je i wrócił do Nottinghama.

– Dziękuję, że znalazł pan dla mnie czas.

– My się znamy?

– Nie. – Decker rozejrzał się po zdobitych ścianach zdjęciach. – Pracował pan w świecie mody?

– Około pięćdziesięciu lat. Dla samych dużych domów mody. Dior, Versace, Valentino, Calvin, Tommy... Długo by wymieniać.

– Co pan dla nich robił?

W odpowiedzi Nottingham skinął ręką na zdjęcia.

– Nie widać? Byłem fotografem. Jednym z najlepszych, że tak powiem nieskromnie. Latałem z Valentino jego prywatnym odrzutowcem. Giorgio miał numer do mnie zawsze pod ręką. Hubert de Givenchy był moim serdecznym przyjacielem. Audrey Hepburn. Elizabeth Taylor. Jackie O. Wszystkie je fotografowałem. Najwspanialsze chwile mojego życia. – Mężczyzna cały promieniał, chociaż oczy miał zamknięte. Kiedy je otworzył i rozejrzał się po swoim pokoiku, wyraz szczęścia na jego twarzy zgaś. – Ale, oczywiście, pan przyszedł do mnie z czymś innym.

Decker przysunął sobie jedyne wolne krzesło w pokoju.

– Bradley Costa? – zapytał.

Nottingham zmarszczył czoło.

– Ach, Brad... Tak, tak, oczywiście. – Potem spojrzał zmieszany na Deckera. – Czymś podpadł FBI?

– Nie. Tylko zbieram informacje w sprawie pewnego śledztwa. Był pańskim sąsiadem w Nowym Jorku, prawda?

– Zgadza się. Kupił apartament w moim budynku w SoHo. Mieszkałem tam wiele lat. W pewnym sensie wziąłem go pod swoje skrzydła. Był przemiłym człowiekiem. Bardzo przystojny. Moim zdaniem mógłby zostać modelem. Do tego bystry. No i odnosił sukcesy. Pracował na Wall Street.

– A potem się wyprowadził?

– Tak. Zupełnie nieoczekiwanie. Szczerze mówiąc, poczułem się tym trochę dotknięty. Nawet się nie pożegnał. Po prostu znikł z dnia na dzień.

– Czy pana przodkiem był Nigel Nottingham?

Mężczyzna się uśmiechnął.

– Tak. Kamerdyner! To mój pradziadek. Pracował w koszmarnym miejscu. Nazywało się... Nie mogę sobie teraz przypomnieć, ale harował tam jak niewolnik u takiego jednego...

– Johna Barona. To miejsce nazywa się Baronville.

Nottingham pstryknął palcami.

– Tak, zgadza się. To jest gdzieś... w Ohio?

– W Pensylwanii.

Nottingham spojrzał smętnie na Deckera.

– Moja pamięć, która zawsze była ostra jak brzytwa, zaczyna mnie zawodzić. To jeden z powodów, dla których przeprowadziłem się tutaj... Zapominam o różnych rzeczach. Nie chciałem przez przypadek spalić własnego domu.

– Nie ma powodów do obaw. Z tego, co widzę, ma pan zupełnie sprawny umysł. Czy Costa interesował się Baronami?

Nottingham nastroszył brwi.

– Tak, rzeczywiście. To było na przyjęciu, które wydałem wiele lat temu. Pamiętam je dobrze, bo wtedy właśnie dostałem nagrodę branżową. Czasem człowieka docenia, jeśli wytrzyma

dostatecznie długo – dodał i uśmiechnął się z zakłopotaniem.

– Co wydarzyło się na tym przyjęciu?

– To już było po obiedzie, kiedy popijaliśmy porto w mojej pracowni. Brad podniósł zdjęcie ze stołu i zapytał mnie o nie. Na zdjęciu był Nigel. Opowiedziałem mu wszystko o nim, a właściwie to, co sam wiedziałem od ojca i dziadka. Nigel urodził się dawno, dawno temu w Anglii, w hrabstwie Surrey. Potem wyemigrował do Stanów. Nie wiem dokładnie, jak trafił do Baronville. W każdym razie został kamerdynerem Barona. Jego syn, Samuel, mój dziadek, wyjechał z Baronville i osiedlił się w północnym Nowym Jorku, gdzie urodził się mój ojciec. Moi rodzice przeprowadzili się na Brooklyn po ślubie i tam ja przyszedłem na świat.

– Nikt z pańskiej rodziny nie chciał zostać w Baronville?

– Och, na Boga, nie. Z tego, co słyszałem, to było piekło na ziemi. Same kopalnie, fabryki, brud i ludzie zaharowujący się na śmierć. Dziadek powiedział, że wyniósł się stamtąd, bo nienawidził tego miejsca. Wyrwał się przy pierwszej okazji. Dzięki Bogu. Wątpię, czy osiągnąłbym tyle w życiu, gdybym się tam urodził i wychował.

– A co z Nigelem?

Nottingham przez chwilę zbierał myśli, postukując długimi palcami w oparcie krzesła.

– Tak, teraz sobie przypominam. Został u Baronów aż do śmierci. – Zamilkł na moment. – Dziadek opowiadał mi, jak pojechał na jego pogrzeb. To było nawet całkiem zabawne.

– Co takiego? Przecież nie śmierć jego ojca?

– Och, nie. Zabawne było to, że Nigel zmarł tego samego dnia co Baron. Ten, który założył to miasto i nazwał je na swoją cześć.

– Zmarli tego samego dnia? Nie wiedziałem o tym.

– Tak. Byli bodaj w tym samym wieku. Pan i jego sługa aż do śmierci.

– Zdziwiłaby pana informacja, że Brad Costa przeprowadził się do Baronville?

Nottingham oparł się na krzesło.

– Dobry Boże, pan chyba żartuje.

– Nie, bynajmniej. W dodatku właśnie tam został zamordowany. Kiedy tylko Decker wypowiedział te słowa, zdał sobie sprawę, że to był błąd.

Nottingham zaczął oddychać z trudem. Ciężko dysząc i łapiąc się za pierś, wskazał na coś palcem.

Aparat tlenowy.

Decker szybko przysunął stojak i pomógł Nottinghamowi poprawnie założyć kaniulę. Mężczyzna zrobił kilka głębokich wdechów i powoli się uspokoił.

Decker z ulgą wyprostował się na krześle.

– Przepraszam, panie Nottingham. Nie powinienem był tak pana zaskakiwać.

Mężczyzna jeszcze kilka razy odetchnął głęboko, jednocześnie dając do zrozumienia skinieniem dłonią, że nie oczekuje przeprosin.

– Mam POChP<sup>12</sup>. Przeklęte papierosy. Kiedy się zdenerwuję, nie mogę złapać oddechu.

– Sądząc po pańskiej reakcji, rozumiem, że nie wiedział pan nic o zamieszkaniu Costy w Baronville? Ani o jego śmierci?

Nottingham pokręcił głową.

– Nie. Jak to się stało? Powiedział pan, że go zabito? To straszne!

– Szczegóły nie są istotne, a ja nie chcę znowu pana zdenerwować. Ale tak, został zamordowany. Próbuję odkryć dlaczego.

– Dobry Boże, biedny Brad...

– Nie domyśla się pan może, dlaczego porzucił apartament w SoHo i pracę na Wall Street dla Baronville?

Nottingham ostrożnie wyjął z nosa kaniulę i odłożył ją na bok.

– Jakiś tydzień po tym, jak opowiedziałem Bradowi o Nigelu i Baronach, wrócił do mnie i zaczął zadawać pytania.

– O co pytał?

– Musi pan najpierw zrozumieć co nieco z tych rodzinnych historii, które przekazywano z pokolenia na pokolenie.

– Jakich historii? O Nottinghamach czy Baronach?

---

12 POChP – przewlekła obturacyjna choroba płuc.

– Jednych i drugich. Dziadek opowiedział mi o tym, kiedy jeszcze byłem dzieciakiem. Otóż, widzi pan, stary Baron... Ten, od którego wszystko się zaczęło, był kanalią, szubrawcem. Mój dziadek dorastał w kwaterach dla służby. Nienawidził tego miejsca. I chociaż tylko kilka razy spotkał starego Barona osobiście, uważał go za okropnego człowieka.

– Jeśli było tak źle, to dlaczego Nigel tam został? – zapytał Decker.

– Dobre pytanie. Z tego, co słyszałem, odniosłem wrażenie, że Baron nie traktował Nigela źle. Wręcz przeciwnie, raczej jak kogoś równego sobie.

– Trochę to dziwne – traktować w ten sposób swojego kamerdynera.

– Byli w tym samym wieku. Baron go zatrudnił, jeszcze zanim zbudował sobie ten pałac na wzgórzu. Widziałem go tylko na zdjęciach. Co za monstrum.

– Tak się składa, że tam byłem. Teraz to ruina. Ale co z tymi historiami rodzinnymi?

– Kiedy zmarł stary Baron, w jego rodzinie chyba nie było nikogo, kto chciał zarabiać na życie własną pracą.

– Chcieli tylko czerpać z fortuny nestora?

– Tak jest. Baron kochał pieniądze, ale był sknerą. Najchętniej nie wydałby ani centa. Swoim pracownikom płacił głodowe pensje i nigdy nie dał nic na cele dobroczynne. Był tak bogaty, że to przechodziło ludzkie pojęcie, a wciąż chciał więcej. I nie miał dobrego zdania o swoich synach, którzy powinni przejąć po nim rodzinny biznes. Jak już wspomniałem, nie byli tym zainteresowani. Z tego, co słyszałem, bardziej lubili trwonić pieniądze, niż je zarabiać.

– Właśnie tak upadają wielkie rody – zauważył Decker.

– Doprawdy? No proszę... Teraz będzie najciekawsze. Chodziły słuchy, że stary Baron, zanim wyzionął ducha, gdzieś w swojej rezydencji ukrył fortunę. Taką naprawdę ogromną.

– Gdzie?

– Nie wiem. Bizuteria, rzadkie monety. Gotówka. Papiery wartościowe, akcje, obligacje. W każdym razie rzekomo była to

bardzo duża część jego majątku. Najwyraźniej nie chciał, żeby jego rodzina położyła na tym łapy.

– Powiedział pan o tym Coście?

Nottingham skinął głową.

– Zainteresował się tą historią. Nawet bardzo. Zasypał mnie pytaniami. Pokazałem mu parę starych listów, które mój dziadek i ojciec kiedyś do mnie napisali. Miałem też listy Nigela do mojego dziadka.

– Czy te listy zawierały wskazówki dotyczące miejsca ukrycia tej fortuny?

– Żadnych. W każdym razie nic takiego nie zauważyłem. Dziadek i ojciec spekulowali na ten temat, ale nic konkretnego nie wiedzieli. A nawet gdyby wiedzieli, to cóż tego? Nie byli właścicielami rezydencji Baronów. Nie mieli do niej żadnego dostępu.

– Ale dziedzice starego Barona mieli.

– Oczywiście. A skoro biednieli, pewnie próbowali tę fortunę znaleźć. Ja bym tak zrobił na ich miejscu. Skoro mój dziadek słyszał o ukrytym skarbie, to jestem pewny, że potomkowie Barona również znali tę historię.

– Myślę, że szukali, i to całkiem intensywnie. – Decker przypomniał sobie liczne dziury w ścianach rezydencji na wzgórzu.

– Skąd to przypuszczenie?

– Widziałem w tym domu coś, co teraz skojarzyłem.

Nottingham podsunął się wyżej na krześle.

– Pańskim zdaniem Brad pojechał do Baronville szukać skarbu?

– Nie przychodzi mi do głowy żaden inny powód, dla którego miałby porzucić życie w Nowym Jorku i wynieść się w takie miejsce. Myśli pan, że zanim stąd wyjechał, drążył ten temat na własną rękę?

– To możliwe, nawet prawdopodobne. Później jeszcze o tym rozmawialiśmy i za każdym razem Brad wydawał się wiedzieć o Baronach nowe rzeczy, których nie usłyszał ode mnie. Tak więc rzeczywiście mógł sam, jak to pan ujął, drążyć temat. – Nagle Nottingham zrobił minę, jakby dotarła do niego jakaś

przerazająca prawda. – To ja mu naopowiadałem o tym wszystkim. Przeze mnie wyjechał. To moja wina, że... że nie żyje.

– Nie, panie Nottingham – powiedział Decker z przekonaniem. – Nie jest pan niczemu winny. Ludzie dokonują wyborów i muszą ponosić ich konsekwencje.

– Pewnie ma pan rację – przytaknął Nottingham, chociaż bez przekonania.

– Czy ma pan jeszcze któryś z listów, które pokazał pan Coście?

– Tak. Nie tu w pokoju, ale w skrytce w przechowalni, gdzie trzymam co cenniejsze rzeczy. Listy są w teczce na dokumenty.

– Mogę zrobić kopie? Oryginały odłożę do skrytki.

– Proszę.

– Dziękuję za poświęcony mi czas. Bardzo mi pan pomógł. – Decker wręczył Nottinghamowi wizytówkę. – Gdyby coś się panu jeszcze przypomniało, proszę dzwonić.

– Oczywiście. Da mi pan znać, jak się to skończy?

– Tak. – Decker spojrział na zdjęcia na ścianach. – Był pan naprawdę znakomitym fotografem.

Nottingham podniósł wzrok znad wizytówki.

– Dziękuję. Co pan teraz robi?

– To, co do mnie należy.

Wróciwszy z New Jersey, jeszcze przed kolacją, Decker zupełnie nie przypominał dawnego siebie. Pomagał we wszystkich obowiązkach, nakrywał i podawał do stołu, a także zajmował rozmową nowo przybyłych: siostry swojej partnerki oraz pogrążonych w żałobie rodziców i rodzeństwo Franka; pocieszał i naprawdę słuchał.

Na koniec dnia, kiedy pozostali udali się na nocleg do pobliskiego motelu, Jamison przyszła do niego do kuchni, gdzie po sprząnięciu ze stołu układał naczynia w zmywarce.

– Dobrze się czujesz? – zapytała ze strapioną miną.

Decker włożył do środka ostatni talerz, wrzucił tabletkę detergentu, nacisnął start i zamknął drzwiczki, zanim obrócił się w jej stronę.

– Po prostu staram się pomóc.

– Widzę. Właśnie to miałam na myśli. Tylko że... No wiesz.

– Nie w moim stylu?

Zawstydziała się, ale nic nie odpowiedziała.

– Widocznie taki masz na mnie wpływ, Alex.

– To dobrze? – zapytała cicho.

– Niewątpliwie. Ludzie lubią mnie teraz bardziej niż wtedy, gdy mieszkałem w Ohio – powiedział i zamilkł na chwilę. – Wiem, że bywam niezdarny w sytuacjach towarzyskich. I że w mojej głowie tkwi coś, co w pewnych okolicznościach nie pozwala mi okazać tego, co chciałbym wyrazić. Na przykład kiedy ktoś potrzebuje pocieszenia. Ale to, że tego nie wyrażam, wcale nie oznacza, że nic nie czuję.

Alex potarła jego masywne ramię.

– Wiem, Amos. Naprawdę wiem.

– Ale staram się. Po prostu... To nie jest dla mnie takie proste jak kiedyś.

Jego partnerka się uśmiechnęła.

– Myślę, że i tak zrobisz wielki postęp. Poza tym to działa



w obie strony. Przy tobie stałam się lepszym człowiekiem. Z pewnością jestem znacznie lepszym śledczym. Kiedy się poznaliśmy, nie miałam o tym bladego pojęcia.

Decker pokiwał głową, oparł się o blat i opuścił wzrok na swoje stopy.

– Pamiętam, co się działo, kiedy zginęły Cassie i Molly. Przyjechała rodzina, mieliśmy mnóstwo spraw do załatwienia. Wszyscy byli zdruzgotani, a ja... Nie mogłem zrobić praktycznie nic. Tylko siedziałem jak ten kloc.

– Ależ to rozumiałeś. Jak inaczej miałeś zareagować na tak potworną stratę?

– Wielu ludzi poniosło taką czy inną potworną stratę. To zdarza się codziennie. A jednak potrafią żyć dalej.

– Cóż... To, co zrobiłeś dzisiaj, zostało zauważone i docenione. Naprawdę pomogłeś. Amber jest bardzo wdzięczna.

Decker nie odpowiedział, jedynie podrapał się po czubku głowy.

– Jak tam twoja głowa? Lepiej? – zapytała.

– Jest trochę... Dziwnie.

– Wciąż masz zaburzenia pamięci?

– Nie, już nie takie, jak wcześniej.

Jamison skinęła głową, ale wyraz troski nie schodził z jej twarzy.

– Czego się dowiedziałeś w New Jersey?

Decker opowiedział jej o rozmowie ze Stanleyem Nottinghamem.

– Skarb? – zapytała. – Wierzysz w to?

– Myślę, że Bradley Costa wierzył. Inaczej jaki by miał powód, żeby tu przyjeżdżać?

– Zamieniłby Nowy Jork na Baronville tylko z powodu zasłyszanych pogłosek? To nie ma sensu.

– Miałoby sens, gdyby Costa sam się czegoś dowiedział. Nottingham twierdzi, że podczas ich późniejszych rozmów Brad wydawał się bardzo dobrze poinformowany. To znaczy, że dążył temat na własną rękę. Facet pracował na Wall Street. Ci ludzie mają wprawę w grzebaniu w cudzych finansach. Jest coś jeszcze.

- Co takiego?
  - Costa utrzymywał kontakty ze wszystkimi lokalnymi organizacjami, pamiętasz?
  - Tak, widziałam zdjęcia. Co w tym dziwnego?
  - Wstąpił też do towarzystwa historycznego.
  - Myślisz, że zrobił to, by poszperać w starych dokumentach i dowiedzieć się czegoś więcej o skarbie? O to chodzi?
  - To z pewnością prawdopodobne.
  - A co z Johnem Baronem? Możliwe, że ominęły go pogłoski na temat ukrytego skarbu?
  - Nie wiem, ale sądzę, że jego przodkowie prowadzili poszukiwania. Pewnie stąd się wzięły te dziury w ścianach. Chociaż posesja jest teraz zarośnięta, widziałem też wiele kopców zbrylonej ziemi. Ktoś tam dużo rył, jak kret.
  - Ale chyba nie myślisz, że John Baron coś znalazł?
  - Gdy tak było, czy żyłby dalej jak nędzarz?
  - Słusznie. To co teraz robimy?
  - Muszę podążać śladem Costy i dowiedzieć się, co znalazł.
  - Tylko dlaczego ktoś by go chciał zamordować?
  - Jeśli znalazł miejsce ukrycia skarbu, masz motyw.
  - A pozostałe trzy ofiary?
  - Nie mam pojęcia.
  - Posłuchaj, zaraz po pogrzebie mogę zacząć ci pomagać.
  - Nie musisz tego robić. Twoja rodzina cię potrzebuje.
  - Jestem kobietą, Decker.
- Spojrzał na nią zmieszany.
- Tak, zauważyłem. Co w związku z tym?
  - To znaczy, że jestem wielozadaniowa – odparła z uśmiechem. Skinął głową.
  - Okej. Ale nie zapominajmy, z kim mamy do czynienia. Sprawdziłem w bazie FBI Briana Collinsa, tego dilera. To był bezwzględny morderca. Jeśli Baronville zwabiło więcej takich jak on, to może być gorąco.
  - Ale to nasza robota, prawda?
- Decker patrzył na nią intensywnie.
- Tak, wiem – dodała. – Nie chcesz, żeby mi się coś stało. Sama

się na to pisałam. I nie zmieniałam zdania. Ja osłaniam cię, ty mnie. Tak?

Skinął głową.

– Jest jeszcze coś, Decker.

– Tak?

– Podśledzałam twoją rozmowę z Zoe... – powiedziała niepewnie. – Na schodach, zanim pojechałeś do New Jersey.

Decker uciekł wzrokiem w bok i zmarszczył czoło.

– To, co powiedziałaś, było bardzo miłe. Wiem, że to jej pomogło. Dziękuję.

– To jeszcze dziecko – odpowiedział Decker, wciąż na nią nie patrząc. – Nie powinna doświadczać czegoś takiego.

– Ale skoro już się stało, to dobrze, że ma takiego przyjaciela jak ty.

– I taką ciotkę jak ty – odpowiedział.

Znowu potarł głowę dłonią, próbując przyglądać sterczące włosy.

– Martwisz się czymś. Widzę to – zauważyła. – Nie chodzi o śledztwo, prawda?

Pokręcił głową w milczeniu.

– Co cię gryzie?

– W instytucie w Chicago, gdzie trafiłem po urazie mózgu, powiedzieli mi wiele różnych rzeczy, ale jedna szczególnie utknęła mi w pamięci.

– Co takiego?

– Powiedzieli, że uszkodzony mózg może przechodzić samoistne zmiany. Pierwszą anomalią była pamięć absolutna i synestezja. Ale uprzedzono mnie, że kolejne mogą przyjść wraz z upływem lat.

– Przecież minęło już ponad dwadzieścia lat i nic takiego się nie wydarzyło, prawda?

– Nie. Do czasu, aż znowu oberwałem w łeb, tym razem kawałkiem przyczepy.

– Ale mówiłeś, że zaburzenia pamięci ustały. A co z synestezją?

Decker spojrzał na nią.

– Kiedy zastrzeliłem Briana Collinsa, nie zobaczyłem, jak

zwykle, jaskrawoniebieskiej poświaty.

– A jaki kolor się pojawił?

– Żaden. Nie było też mdłości ani nie miałem poczucia klaustrofobii. Nie żeby mi tego brakowało, jednak może to oznaczać, że coś się zmieniło w mojej głowie. A to mnie trochę niepokoi.

– Zauważyłam. Może synestezja jeszcze wróci.

– Z jednej strony wcale bym tego nie chciał, ale z drugiej...

– Boisz się, że mogą nastąpić Bóg wie jakie zmiany?

Teraz spojrzał jej prosto w oczy.

– Alex, już raz stałem się kimś innym. Nie chcę znowu przez to przechodzić, bo nie wiem, kim będę tym razem. I powiedzmy sobie szczerze – dodał ze wstydliwym uśmiechem – to kolejne wcielenie może już nie być takie sympatyczne jak moje obecne ja.

Prochem jesteś i w proch się obrócisz.

Kiedy Decker chował swoją żonę i dziecko, miał wrażenie, jakby doświadczał okrutnej halucynacji. Zdawał sobie sprawę, co się wokół dzieje, ale zupełnie nie miał poczucia, że to się dzieje naprawdę.

Pogrzeb Franka Mitchella musiał budzić podobne emocje u jego żony i małej córki. Decker wiedział to z własnego doświadczenia. Automatycznie wykonają dzisiaj wszystkie niezbędne czynności i wieczorem udadzą się do łóżek. Gdy się obudzą następnego ranka, od razu zaczną się zastanawiać, gdzie jest ich mąż i ojciec.

Rodzice Franka siedzieli otoczeni przez swoje dorosłe dzieci; wyglądali na osłabionych i oszołomionych.

Najbliżej trumny znajdowała się Amber, która trzymała na kolanach tulącą się do niej Zoe. Siostry Amber zajęły miejsca po jej obu stronach. Wszyscy siedzieli na składanych metalowych krzesłach ustawionych rzędami. Przyszło parę osób z centrum dystrybucji, wśród nich Ted Ross. Było też kilka młodych kobiet. Decker przypuszczał, że to matki dzieci, z którymi Zoe chodzi do szkoły. Poza tym nie było nikogo. Mitchellowie nie mieszkali w Baronville na tyle długo, by się tu z kimś zaprzyjaźnić.

Decker nie przywiózł ze sobą garnituru, w który mógłby się przebrać na pogrzeb, a kupienie szybko czegoś w jego rozmiarze nie wchodziło w rachubę. Spodnie koloru khaki, sweter i płaszcz musiały wystarczyć.

Stał na samym końcu, niemal na zewnątrz namiotu, który wzniesiono z powodu złej pogody. Pod stopami miał gruzłowy dywan zielonej darni. Zacinający deszcz dosięgał go z tyłu, ale nie zwracał na to uwagi i nie próbował się przesunąć. Nie był z rodziny i nie chciał naruszać przestrzeni należącej bliskim Franka.

Rozglądając się, napotkał wzrok Rossa. Ukłonili się sobie zdawkowo. Decker pomyślał, że ten człowiek wykazał się

empatią, przychodząc na pogrzeb. Po chwili Ross dyskretnie się do niego przysunął.

– Mam nadzieję, że nikt nie ma mi za złe, że tu jestem – mruknął.

– Przyszedł pan złożyć hołd. Nie widzę w tym nic niestosownego.

Ross sięgnął do kieszeni i wyjął wizytówkę, którą wręczył Deckerowi.

– Co to jest?

– Kontakt do jednego z najlepszych prawników w Pensylwanii. Wydusi z Maxusa, ile się da. – Ross wskazał na Amber i Zoe. – Zasługują na to. A potem powinny stąd wyjechać i znaleźć sobie miłsze miejsce do życia.

– Dzięki – powiedział Decker – ale skąd ta uprzejmość? Pracuje pan w firmie, którą ta sprawa będzie kosztowała duże pieniądze.

– Wspominał pan, że poznał mojego ojca, prawda?

– Tak.

– To kawał drania.

– Trudno się nie zgodzić.

– Był straszny dla mojej matki i dla mnie też. Zawsze obrywałem. Zawsze mnie traktował jak śmiecia. Tego się nie zapomina.

– Wyobrażam sobie.

– Myślę, że kiedy słabszy ma okazję oddać silniejszemu, powinien z niej skorzystać. – Wskazał na wizytówkę. – Proszę jej przekazać, żeby tam zadzwoniła.

– Przekażę.

Ross się oddalił.

Kilka minut później kapłan stojący nad trumną Franka opowiedział w samych superlatywach o człowieku, którego nawet nie znał. Potem zebrani odśpiewali parę hymnów i zmówili modlitwę. Duchowny podszedł do wdowy, skierował do niej kilka słów i pogłaskał po głowie Zoe. Dziewczynka skuliła się pod dotykiem obcego. Jamison uspokoiła ją, kładąc dłoń na ramieniu siostrzenicy.

I to był koniec.

Życie, które trwało blisko trzy i pół dekady, skompresowane do trzydziestu minut – tak wyglądało odejście Franka Mitchella z tego świata.

*Mniej więcej na tyle może liczyć większość z nas, pomyślał Decker. A potem żyjemy we wspomnieniach i na blaknących fotografiach wiszących nad kominkami albo stojących na stolikach.*

*Jeśli to cię nie przygnębia, to nic innego nie zdoła,* podsumował w myślach.

Kiedy tylko uczestnicy pogrzebu zaczęli się rozchodzić, podeszli krzepcy grabarze. Opuścili trumnę do wykopanego przez siebie dołu i zaczęli go zasypywać szuflami ziemi.

Baronville miało być wiekuistym miejscem spoczynku Franka Mitchella.

Ta myśl omal nie przyprawiła Deckera o mdłości.

Podszedł do wypożyczonego samochodu. Jamison dołączyła do swoich dwóch siostr, tworząc z nimi ochronny wianuszek wokół Amber i Zoe.

– Hej, Decker?

Obejrzał się i zobaczył Kate Kemper. Stała przy czarnym SUV-ie na końcu kawalkady samochodów tworzących kondukt pogrzebowy.

Podeszła do niego.

– Nie spodziewałem się zobaczyć cię tutaj – powiedział.

– Nie znałam go, ale tak młody mężczyzna, który ginie, zostawiając jeszcze młodszą wdowę i dziecko? Pomyślałam, że wezmę udział w ostatniej posłudze. Przynajmniej z boku. Nie chciałam przeszkadzać.

– Miło z twojej strony.

– W zeszłym roku straciłam ojca. Moja mama odeszła, kiedy byłam na studiach. Nie mam rodzeństwa. Tak więc jestem następna w kolejności.

– Myślę, że masz na to jeszcze wiele czasu – zauważył Decker.

– Nie znasz dnia ani godziny, zwłaszcza w naszym fachu.

– Bez wątpienia.

– Ostatnim razem, kiedy cię widziałam, wychodziłeś z baru

Merkury w towarzystwie barmanki.

– Tak, pamiętam – skwitował.

– I jak? Dowiedziałeś się czegoś nowego?

Decker oparł się o samochód.

– A może najpierw ty oświecisz mnie w pewnej kwestii?

– Jakiej?

– Nadal nie wiem, co twoi agenci, Beatty i Smith, robili w tej okolicy.

– Mówiłam ci. Zaczęli działać na własną rękę.

– Według Randy’ego Haasa, który wam to zdradził, zanim wyzionął ducha?

– Tak. To też ci mówiłam.

– A zanim przeszli na drugą stronę, jakie mieli zadanie?

– Dlaczego pytasz?

– Prowadzę dochodzenie. Potrzebuję informacji.

– No dobrze, mieli do wykonania pewne zadanie w tej okolicy. Nie w samym Baronville, ale w rejonie północno-zachodniej Pensylwanii.

– Jakie konkretnie zadanie? Nie krępuj się, chcę wiedzieć jak najwięcej.

Kemper się rozejrzała.

– W moim samochodzie.

Przeszli na drugą stronę ulicy i wsiedli do SUV-a.

– W tej części Pensylwanii biegnie kilka ważnych połączeń – powiedziała. – Międzystanowa osiemdziesiątka i parę dróg stanowych. To znane trasy przerzutu narkotyków, używane przez gangi rozprowadzające heroinę i fentanyl. Większość tych środków pochodzi z Nowego Jorku i tędy trafia do środkowych stanów. Jest jeszcze jeden kanał przerzutu, który prowadzi z Detroit do Columbus.

– Właśnie nad tym pracowali Beatty i Smith?

– Tak. Starali się ustalić dostawców i przewoźników.

– I jak im szło?

– Słabo. Mieliśmy nadzieję, że dowiemy się czegoś od Haasa. Należał do jednego z gangów używających tych kanałów.

– Dalej nie rozumiem, jakim sposobem Haas, zabity przez



Beatty'ego i Smitha, zdążył wam tyle powiedzieć.

– Został znaleziony w bocznej uliczce w Scranton. Wstrzyknięto mu śmiertelną dawkę morfiny. Wzywał pomocy i ktoś go zauważył. W jego ręce wciąż tkwiła strzykawka. Ludziom, którzy go znaleźli, powiedział, że zrobili mu to Beatty i Smith. Zaraz potem zmarł. Świadkowie przekazali jego ostatnie słowa policji.

– Żadnych odcisków na strzykawce?

– Żadnych. Na pewno używali rękawiczek. Nie byli nowicjuszami.

Decker spojrział przez okno na grób Franka Mitchella. Potem przeniósł wzrok na Zoe i jej matkę. Właśnie wsiadały do samochodu podstawionego przez zakład pogrzebowy. Zoe spoglądała za siebie.

– Haas miał jakąś rodzinę? – zapytał, nie odrywając wzroku od dziewczynki, dopóki nie zniknęła we wnętrzu samochodu.

– Rodzinę? Pewnie tak. Nie sprawdzaliśmy tego.

Decker odwrócił się do niej.

– Na waszym miejscu sprawdziłbym. Zrobiliście mu sekcję?

– Oczywiście. Morfina zatrzymała akcję serca. Taka była przyczyna zgonu.

– Czy autopsja wykazała coś jeszcze?

– Co masz na myśli?

– Na przykład to, że Haas i tak już umierał?

– Że co? Lekarz o niczym takim nie wspomniał.

– Może dlatego, że chciałaś się tylko dowiedzieć, jaka była przyczyna zgonu. Czytałaś cały raport?

Kemper zacisnęła usta.

– Nie, nie przeczytałam. Ale zaraz coś na to zaradzę. – Wyjęła telefon i szybko napisała SMS-a. – Dam ci znać, jak tylko mi odpiszą.

– Okej.

– Dlaczego w ogóle przyszło ci to do głowy?

– Dlatego, że nie sądzę, by twoi dwaj agenci zaprzędali się tamtym. – Decker spojrział na nią uważnie. – Jestem zdziwiony, że tak szybko dałaś się przekonać o ich winie.

– Decker, nie byłiby pierwsi. Taka jest specyfika tej roboty.

Ścigamy ludzi, którzy mają dosłownie miliardy dolarów i używają ich do korumpowania innych.

– Wiem. To samo można powiedzieć o każdym innym rodzaju sił porządkowych. Czy tych dwóch coś się wyróżniało?

– Nie zawsze się zgadzaliśmy. Byli niekonwencjonalni do bólu. Ja lubię pracować regulaminowo. Smith i Beatty wręcz przeciwnie.

– Cieszę się, że nie jesteś moim przełożonym.

Kemper się uśmiechnęła.

– Ja chyba też. – Jej uśmiech znikł równie szybko, jak się pojawił. – Dlaczego Haas miałby skłamać w kwestii tego, kto go zabił?

– Przychodzą mi do głowy dwa powody. Mam nadzieję, że odpowiedzi poznamy już wkrótce.

W czasie kiedy rozmawiali, obok przejechały dwa karawany, a za każdym ciągnął się kondukt żałobny.

– Sporo pogrzebów w tym mieście – zauważył Decker.

– Dam sobie obciąć rękę, że to ofiary przedawkowania – stwierdziła Kemper, wskazując na młodych ludzi wysiadających z samochodów i zmierzających w stronę jednego z miejsc pochówku. – Ponad osiemdziesiąt tysięcy Amerykanów tylko w tym roku – dodała. – To więcej niż zginęło w Wietnamie i w wojnach na Bliskim Wschodzie. I znacznie więcej niż ginie w wypadkach drogowych albo od broni palnej. Jest coraz gorzej. W przyszłym roku liczba zgonów z przedawkowania prawdopodobnie przekroczy sto tysięcy. Doszło do tego, że kryzys opioidowy obniżył średnią długość życia w tym kraju. Wyobrażasz sobie? Prawie pół miliona osób od dwutysięcznego roku. Śmierć z przedawkowania jest najczęstszą przyczyną zgonu Amerykanów poniżej pięćdziesiątego roku życia. Znam wyniki badań zleconych ostatnio przez DEA. Ubezpieczalnie wyceniają ludzkie życie mniej więcej na pięć milionów dolarów. Na podstawie tych danych i innych czynników wyliczono, że z powodu kryzysu opioidowego gospodarka tego kraju traci około stu miliardów dolarów rocznie. Jedna trzecia populacji regularnie zażywa środki przeciwbólowe. Nie uzależniają się

od tego, co kupią na ulicy. Dostają to w gabinetach lekarskich.

– Środki przeciwbólowe na receptę.

– Właśnie. W latach osiemdziesiątych mieliśmy kryzys kokainowy. Władze stały na stanowisku, że po prostu należy nie brać, bo inaczej pójdzie się do więzienia. W ten sposób wsadziliśmy do pudła miliony ludzi, w większości miejskiej biedoty. A potem przyszły lata dziewięćdziesiąte, kiedy przemysł farmaceutyczny uznał, że Amerykanie zażywają za mało środków przeciwbólowych. Uczynili z bólu piątą oznakę życia<sup>13</sup>. Wydali miliardy na reklamy i łapówki dla lekarzy, wykorzystali instytucje zaufania publicznego i ekspertów, żeby się uwiarygodnić. „Nie uzależnia, nie powoduje żadnych długotrwałych skutków ubocznych”... Powtarzali to jak mantrę. A potem okazało się, że wszystko to oparli na błędnych wynikach badań albo w ogóle niczego nie badali. Najśmieszniejsze jest to, że początkowo większość opioidów przepisywano na bóle w krzyżu.

– Co w tym śmiesznego? – zapytał Decker.

– Opioidy są nieskuteczne w zwalczaniu przewlekłego bólu w tej części pleców. W zeszłym roku lekarze wypisali prawie ćwierć miliarda recept na środki przeciwbólowe. To cud, że wszyscy nie jesteśmy uzależnieni. Te statystyki, które znamy, chociaż i tak dramatyczne, są tylko wierzchołkiem góry lodowej. Mamy kryzys na skalę ogólnokrajową i nikt nic z tym nie robi. Z powodu postawy władz wobec kokainy w latach osiemdziesiątych zbudowaliśmy mnóstwo więzień, ale niewiele ośrodków terapii. Dlatego teraz ofiary kryzysu opioidowego zapełniają szpitale, zakłady karne i – machnęła ręką przed siebie – cmentarze w całym kraju. Jakby tego było mało, w zeszłym roku około dwudziestu pięciu tysięcy dzieci urodziło się z czymś, co nazywa się zespołem odstawienia u noworodka, ponieważ ich matki w trakcie ciąży zażywały opioidy. Wyobrażasz sobie, jakie je czeka życie?

Decker przypatrywał się grupie młodych ludzi niosących

---

13 Pozostałe cztery to właściwe: temperatura ciała, tętno, częstość oddechów i ciśnienie krwi.

trumnę na miejsce pochówku. Wyglądali na licealistów. Potem spojrzął na sznur samochodów zaparkowanych na poboczu i ze zdumieniem zauważył, że kilka z nich to nowe, luksusowe limuzyny.

Nagle rozległ się przeciągły dźwięk klaksonu.

– Kto tak trąbi i po co? – zdziwiła się Kemper.

– Tam. – Decker wskazał pikapa stojącego w środku kolumny samochodów.

Oboje wyskoczyli z SUV-a i pobiegli w stronę źródła dźwięku. Przy samochodzie zdążyło się stłoczyć kilka osób.

Na miejscu kierowcy siedział młody mężczyzna z głową bezwładnie opartą o kierownicę. Ramieniem dociskał klakson.

Decker sięgnął przez otwarte okno i pchnął go na oparcie fotela. Jęk klaksonu ustał.

Chłopak miał płytki, chrapliwy oddech. Decker podniósł mu powieki. Źrenice oczu młodzieńca były zwężone do wielkości główki szpilki.

– Przedawkował – stwierdziła Kemper.

– Pewnie, że tak – powiedział chudy mężczyzna w wyświechtanym płaszczu. – Trzeci raz w tym tygodniu.

Decker zauważył na fotelu pasażera opróżnioną do połowy strzykawkę. W środku znajdował się przezroczysty żółtawy płyn.

– Wygląda mi to na czystą heroinę – orzekł Decker.

Kemper skinęła głową, wybrała na klawiaturze telefonu numer 911 i wezwała karetkę.

– Czy ma ktoś przy sobie nalokson? – zapytał głośno Decker.

– Ja mam trochę – odpowiedziała kobieta stojąca obok chudego mężczyzny.

– Proszę mi dać – powiedział Decker.

Młodzieniec w samochodzie znowu wydał z siebie dźwięk, jakby brakowało mu powietrza.

– Mógł przynajmniej poczekać z tym świństwem do końca pogrzebu – skomentował chudy.

– Szybciej – ponaglił Decker, słysząc, że chłopak zaczyna rzeźić.

Kobieta dalej szperała w torebce.

– Mógł poczekać. Dupek – wymamrotał towarzysz kobiety.

– Nalokson! – wrzasnął Decker.

Młodzieniec właśnie osunął się bez czucia, a jego usta zrobiły się sine.

Kobieta wręczyła Deckerowi aplikator. Włożył jego końcówkę do nosa chłopaka i nacisnął tłoczek.

Odczekał kilka sekund, ale nie było żadnej reakcji. Kemper spojrzała na strzykawkę.

– To, co sobie wstrzyknął, musiało być zmieszane z fentanylem – stwierdziła. – Działa na receptory mózgowe silniej niż morfina.

– To heroina, paniusiu, nie morfina – wtrącił się mężczyzna. – Nie wie pani takich rzeczy?

Kemper obróciła się na pięcie i błysnęła służbową odznaką.

– Wiem dużo więcej, niż się panu wydaje. Kiedy organizm rozkłada heroinę, natychmiastowym produktem ubocznym jest morfina! – Następnie zwróciła się do Deckera: – Podaj mu jeszcze raz nalokson. Musimy uwolnić jego receptory mózgowe od narkotyku.

Decker wstrzyknął kolejną dawkę.

Minęło kilka chwil, zanim w końcu młodzieniec głęboko odetchnął, usiadł prosto, zamrugnął i powiódł wokół mętym spojrzeniem.

– Wspaniale – skwitował sarkastycznie stojący obok mężczyzna. – Udało się. Do następnego razu.

Decker zmierzył go wzrokiem.

– Kim pan jest?

– Jego wujkiem. Ten gnojek nie miał w sobie nawet tyle przyzwoitości, żeby poczekać z tą szprycą, aż pochowają jego siostrę. Za nic szacunku.

– Jego siostrę? – zapytała Kemper. – Jak zmarła?

– Przedawkowała cholerną heroinę – odpowiedział mężczyzna. – Nie miał kto jej podać naloksonu. Ten gnojek – wskazał na młodzieńca – mógł ją uratować, ale akurat siedział w łazience i wciągał kokę.

W tej samej chwili chłopak wychylił się przez okno i zwymiotował. Wszyscy odruchowo się odsunęli.

Spojrzał spode łba na Deckera, ale wtedy dostrzegł w jego dłoni

aplikator.

– Tym razem, kolego, prawie wykorkowałeś – skwitował Decker.

– Dzięki, stary – odpowiedział bełkotliwie, ocierając dłonią usta.

Decker popatrzył na Kemper i ponownie na młodzieńca. Rzucił aplikator jego właścicielce, odszedł w stronę SUV-a i wsiadł do środka.

– Zaraz przyjedzie pogotowie – powiedziała Kemper do rodziny chłopaka. – Trzeba go zawieźć do szpitala.

– Jasne – odpowiedział mężczyzna i wzruszył ramionami.

Kiedy Kemper się odwróciła i ruszyła w stronę swojego samochodu, wujek dzielił młodzieńca otwartą dłonią w tył głowy.

– Gnojek! – warknął.

Kemper wsiadła do SUV-a i spojrzała na Deckera.

– Wszystko w porządku? – zapytała.

Decker milczał przez dłuższą chwilę.

– Zastanawiam się tylko, czy kiedykolwiek zdołamy się wygrzebać z tego bagna.

– Znam to wszystko ze służby w DEA. Każdą podłość, do jakiej może się zniżyć człowiek uzależniony od narkotyków. Widziałam gorsze rzeczy niż to dzisiaj. Pięcioletnie dzieci robiące RKO<sup>14</sup> swoim rodzicom. Babka w szale okładająca syna po głowie, bo nie chciał jej dać forsy. Matka zmuszająca do prostytucji dziesięcioletnią córkę, żeby zdobyć pieniądze na kolejną działkę heroiny. Ale wygrzebiemy się z tego, Decker.

Spojrzał na nią z ukosa.

– Naprawdę w to wierzysz?

– Muszę. Inaczej nie mogłabym wykonywać swojej pracy.

Znowu zapadła cisza, którą w końcu przerwał Decker.

– Wspomniałaś, że firmy ubezpieczeniowe wyceniają, ile jest warte ludzkie życie.

– Tak, to część ich biznesu.

– Cindi Riley powiedziała mi, że sporo jej znajomych zmarło z przedawkowania.

---

14 RKO – resuscytacja krążeniowo-oddechowa.

– Wcale mnie to nie dziwi. A takich miast są tysiące. Miejsc, w których ludzie stracili pracę i sens życia. Albo poczucie własnej wartości. To zbiera swoje żniwo. Na różne sposoby. To dlatego opioidy nazywają narkotykami desperatów.

– Riley powiedziała mi też, że niektórzy z nich mieli wykupione polisy na życie. I że część nowych inwestycji w tym mieście jest finansowana z pieniędzy, które rodzinom tych osób wypłaciły firmy ubezpieczeniowe. To były duże kwoty. Kogoś, kto zgarnął kilkumilionowe odszkodowanie, na pewno stać na taki samochód – dodał, wskazując stojące na poboczu limuzyny.

Kemper przez chwilę rozważała jego słowa, po czym pokręciła głową.

– Wiem, co myślisz, ale żadna firma ubezpieczeniowa nie pójdzie na coś takiego. Nie wystawi świadomie polisy na życie, zwłaszcza na kilka milionów, komuś w tak złym stanie. Albo komuś uzależnionemu od narkotyków.

– Może kiedy wykupywali te polisy, nie byli jeszcze uzależnieni.

– Co sugerujesz?

– Ciekawe, ile osób, które zmarły w Baronville z przedawkowania, miało takie polisy na życie. Mogłabyś się dowiedzieć?

Kemper lustrowała wzrokiem szereg zaparkowanych przy krawężniku samochodów.

– Mogę spróbować.

– Świetnie. Muszę wracać – dodał szybko. – Obiecałem Jamison, że pomogę. Po południu jest stypa u Mitchellów.

– Nie wiedziałam, że jesteś taki uczynny – rzuciła za nim Kemper, kiedy wysiadał z samochodu.

– Cóż, ostatnio zaskakuję nawet sam siebie.

Na zewnątrz ulewny deszcz łomotał o dach domu Mitchellów. Wewnątrz zbierały się obie rodziny i parę innych osób.

Decker przyjechał na czas, by pomóc Jamison i jej siostrom w przygotowaniu wszystkiego. Poczęstunek trafił na stoły, wokół których stały krzesła przyniesione z kuchni i pozostałych pokoi. Decker przekazał Amber wizytówkę prawnika, którą dostał od Teda Rossa. Powiedziała, że zadzwoni w tygodniu.

Zoe siedziała na krześle, tuląc do siebie kocyk i kota Feliksa. Amber rozmawiała półgłosem z teściami.

Alice Martin pojawiła się z ciastem własnej roboty. Teraz stała w rogu, zagadując Jamison i jedną z matek ze szkoły. Ted Ross i ludzie z Maxusa nie przyszli na stypę; kondolencje złożyli po pogrzebie.

Decker pomyślał, że to całkiem rozsądne. Widział na cmentarzu, jak ojciec Franka zacisnął zęby, kiedy Ross podszedł do Amber.

Gdy rozległo się pukanie do drzwi, Decker spojrzał na Jamison porozumiewawczo, by dać jej znać, że się tym zajmie. Przyjęła to z uśmiechem.

Otworzył i zmierzył wzrokiem stojącą za progiem parę.

John Baron i Cindi Riley, trzymając w dłoniach parasole, patrzyli na niego, jakby badali jego reakcję.

– Domyślam się, że nasza obecność tutaj to nie lada zaskoczenie – zagadnął Baron.

Decker zwrócił uwagę, że Baron przywdział zaprasowane na kant garniturowe spodnie, białą koszulę z przypinanymi rogami kołnierzyka i spłowiałą sztruksową marynarkę z łatami na łokciach.

Riley pod płaszczem miała luźną czarną sukienkę do kolan i czółenka pod kolor. Włosy uczesała w warkocz francuski. Pod pachą trzymała pudełko.

– Rzeczywiście – zauważył Decker.



– Przyniesiemy złożyć kondolencje – oświadczył Baron.  
Riley wręczyła Deckerowi pudełko.  
– I przynieść to. Szkocka single malt<sup>15</sup>.  
– Okej – skwitował Decker. Stał w progu, trzymając paczkę, aż obok zjawiła się Jamison.  
– Witam – powiedziała na ich widok.  
Baron wyciągnął do niej rękę.  
– My już się znamy. John Baron. A to Cindi Riley.  
Jamison uścisnęła im dłonie.  
– Właśnie mówiłem koledze, że przyszedliśmy złożyć kondolencje.  
– I przynieśli butelkę szkockiej – rzucił Decker, przekazując paczkę Jamison.  
– Jestem Irlandką – powiedziała Riley. – Tam, skąd pochodzę, na stypy przynosi się szkocką. Mam nadzieję, że nikt nie ma nic przeciwko temu.  
– Skądże, to bardzo miło z waszej strony – zareagowała Jamison. – Wejdźcie, nie stójcie na deszczu.  
Wprowadziła ich do środka, a Decker zamknął za nimi drzwi.  
Wszystkie oczy w salonie skierowały się na nowo przybyłych.  
Wydawało się, że nikt oprócz Alice Martin nie rozpoznał Barona. Na jego widok nieco wybałuszyła oczy, ale zaraz wróciła do rozmowy z jedną z młodych matek ze szkoły Zoe.  
Baron i Riley zamienili parę słów z Amber. Potem Jamison przedstawiła im Zoe.  
Baron przykucnął przed nią z błyskiem w oku.  
– Wydajesz mi się osobą, która nie wierzy w magię – oznajmił.  
Zoe nie odezwała się ani słowem, tylko go obserwowała, nie wyjmując kciuka z buzi.  
– Czyli miałem rację, że nie wierzysz w magię? – zapytał Baron.  
Zoe skinęła głową.  
– W porządku. Coś ci pokażę. Co ja z tym zrobiłem... – Poklepał się po kieszeniach marynarki, zajrzał pod krzesło, a potem sięgnął do kocyka i lekko dotknął jego skraju. – Nie, tam zdecydowanie tego nie ma.

---

<sup>15</sup> Szkocka single malt – whisky produkowana według ściśle określonej receptury.

Zoe wyjęła kciuk z buzi.

– Czego tam nie ma? – zapytała.

Baron udał, że jej nie usłyszał.

– Ach, oczywiście, już pamiętam. Zoe, mogłabyś sięgnąć do prawego ucha swojego kota? Myślę, że tam to znajdziesz.

Zoe spojrzała niepewnie na Deckera, następnie na Jamison, która zachęcająco skinęła głową.

Dziewczynka ostrożnie wsunęła palce do prawego ucha Feliksa i zrobiła wielkie oczy, wyjmując stamtąd małą srebrną monetę.

– Jak ona się dostała do ucha Feliksa? – zapytała.

Baron klasnął w dłonie i zerknął na Jamison.

– No cóż, wydaje mi się, że Feliks jest bardzo wyjątkowym kotem, prawda?

Zoe przytaknęła.

– Widzisz, wyjątkowe koty potrafią robić magiczne rzeczy, na przykład chować monety w swoich uszach. – Wziął od niej monetę i przyjrzał się jej. – No proszę... To bardzo rzadka moneta. Przyniesie szczęście każdemu. Okej?

– Okej – przytaknęła Zoe, wciąż spoglądając z niedowierzaniem to na niego, to na swojego kota.

Baron podniósł monetę na wysokość wzroku dziewczynki.

– Ta moneta ma sto czterdzieści siedem lat. Należała do mojego przodka. Miał bardzo dużo monet i nie lubił się z nimi rozstawać, ale ta trafiła do mnie. Czułbym się zaszczycony, gdybyś ją przyjęła na znak mojego uznania, że jesteś taką dzielną młodą damą i właścicielką takiego wyjątkowego kota. Zrobisz to dla mnie, Zoe? Przyjmiesz ją?

Dziewczynka skinęła głową, zaciskając palce na monecie.

Baron cofnął się o krok i spojrzał na Zoe uważnie.

– A teraz wierzysz w magię? Może chociaż odrobinę? Albo przynajmniej w bardzo wyjątkowe koty?

Zoe z przekonaniem pokiwała głową.

– Co się mówi, Zoe? – zapytała Jamison, wpatrując się z podziwem w Barona.

– Dziękuję.

– Nie, to ja dziękuję tobie, że uczyniłaś mi ten zaszczyt. – Baron

spojrzał na Amber, która przypatrywała im się z drugiego końca salonu. – Założę się, że twojej mamie dobrze by zrobiło, gdyby ją teraz uścisnęła jej córeczka. No i przy okazji możesz jej pokazać swoją nową... bardzo starą monetę.

Zoe się uśmiechnęła, zeskoczyła z krzesła i podbiegła do matki. Baron odprowadził ją wzrokiem.

– To było naprawdę miłe – przyznała Jamison.

– Rzeczywiście – przytaknęła Riley.

– Jest pan człowiekiem o wielu talentach – dodała Jamison.

– Gdzie tam. Znam się na wszystkim po trochu i na niczym konkretnie. Taki mój żywot. Co słysząc tutaj?

– Cóż, jak widać – odpowiedziała Jamison. – Dobrze, że jest już po pogrzebie.

Baron pokręcił głową.

– Nigdy nie rozumiałem sensu urządzania ceremonii pogrzebowej. Jakby sama śmierć nie była dość przygnębiająca.

– To sposób na oddanie hołdu zmarłemu, John – zaproponowała Riley.

Baron wskazał na trzymaną przez Jamison butelkę.

– Wolałbym oddać hołd tym. Jeśli ktoś mi wskaże drogę do kuchni, mogę przynieść szklanki.

Jamison poprowadziła go we wskazane miejsce, zostawiając Riley i Deckera samych.

– Dość raptownie opuściłeś ostatnio moje mieszkanie – zauważyła. – Powiedziałaś, że musisz gdzieś pojechać.

– Pojechałem.

– Dokąd?

Decker popatrzył na nią uważnie.

– Znalazłem Stanleya Nottinghama.

– Kogo?

– Tego faceta, którego nazwisko było na odwrocie zdjęcia.

– Ach tak, prawda.

– Był spokrewniony z kamerdynerem Barona, Nigelem.

– No proszę, co za zbieg okoliczności. – Rzuciła Deckerowi szybkie spojrzenie. – Ale ty ponoć nie wierzysz w przypadki.

– Nawet gdybym wierzył, to nie w takie.

- No i czego się dowiedziałeś?
- Słyszałaś kiedyś o skarbie ukrytym w rezydencji Baronów?
- Riley pokręciła głową.
- Nie, dlaczego? Ten Stanley tak ci powiedział?
- Słyszał pogłoski. W Nowym Jorku mieszkał w tym samym budynku co Bradley Costa. Przyjaźnili się.
- Chwilę. Chcesz przez to powiedzieć, że Brad Costa przyjechał do Baronville, bo usłyszał plotki o jakimś skarbie?
- Myślę, że to nie były tylko plotki. Sądzę, że podrażył ten temat i dopiero wtedy tu przyjechał.
- Musiałby mieć stuprocentową pewność, żeby rzucić robotę na Wall Street i sprowadzić się tutaj.
- Zgadza się.
- Naprawdę wierzysz, że tam, na górze, jest jakiś skarb?
- Myślę, że byli już tacy, którzy go szukali. Ale nie sądzę, żeby go znaleźli.
- Cholera...
- Baron nigdy ci o tym nie wspominał?
- Nie, nigdy. A gdyby sam coś znalazł, wątpię, czy żyłby tak, jak... widziałeś.
- Racja. Ale o pogłoskach musiał wiedzieć.
- Riley spojrzała na niego.
- Dlaczego mi to wszystko mówisz? Czy to nie jest część twojego śledztwa?
- Powiedzmy, że to wątek równoległy. Wierzę w swoje przeczucie, a ono podpowiada mi, że mogę ci zaufać. Poza tym potrzebuję lokalnego wsparcia.
- John wie więcej. Ostatecznie to dotyczy jego rodziny.
- Pytanie, czy można mu ufać.
- Ja mu ufam.
- W tej samej chwili wrócili Baron i Jamison, niosąc cztery szklanki. Baron nalał do każdej trochę szkockiej.
- Za Franka – powiedział, unosząc szkło.
- Pozostali powtórzyli toast i wypili po łyku whisky.
- Oj, nie jestem przyzwyczajona do tak mocnych trunków – powiedziała Jamison. – W każdym razie nie o tak wczesnej porze.

Baron zawiesił na niej wzrok.

– Jeśli tu trochę pomieszkasz, Alex, to zrozumiesz, skąd u nas ten zwyczaj. Ale nie polecam dłuższego pobytu w Baronville.

Decker zerknął na Riley, następnie zwrócił się do Barona.

– Nigel Nottingham? – zapytał.

Baron opuścił szklanekę i popatrzył na niego.

– Co z nim?

– Wierny kamerdyner Barona Pierwszego.

– Tak, wiem o tym.

– Rozmawiał z jego krewnym – wtrąciła Riley. – Facet mieszkał w tym samym budynku co Brad Costa. Decker uważa, że ten krewny powiedział Coście o skarbie ukrytym w twoim domu. Dlatego Costa przeprowadził się tutaj.

– I został zamordowany – dodał Decker, wciąż wpatrując się w Barona.

– Ach tak, skarb – powiedział Baron znużonym tonem. – Rzekomy skarb.

– Nigdy nam o nim nie wspomniałeś – zauważył Decker.

– Po co miałbym to robić? Nie ma żadnego skarbu.

– A więc szukałeś go? – zapytała Jamison.

– Nie, ale moi przodkowie to robili. Przez wiele, wiele lat. Niczego nie znaleźli, ponieważ nasz wielki antenat zadbał o to, by jego fortuna nie wpadła w ręce potomków. Taki już był.

– Costa najwyraźniej myślał inaczej – zauważył Decker. – Jaki mógłby mieć inny powód, żeby porzucić Nowy Jork dla Baronville. Czy kiedykolwiek pytał cię o to?

– Mówiłem już, że nie znałem tego człowieka. Nigdy nas sobie nie przedstawiono, dlatego odpowiedź brzmi: nie. Nie pytał mnie ani o to, ani o nic innego.

– Jesteś pewny?

Baron wygiął usta w uśmiechu.

– Pijesz do tego, że nie powiedziałem ci o Joyce ani o Michaelu Swansonie?

– Twoja wiarygodność nie ma u mnie wysokich notowań.

– Cóż, nie wiem, co mógłbym jeszcze powiedzieć, żeby cię przekonać, więc może już czas na mnie. – Potem zwrócił się

do Jamison: – Bardzo mi przykro z powodu tego, co się stało. Wątpię, czy jest coś, co mógłbym dla was zrobić, ale jeśli ty lub twoja siostra potrzebujecie czegokolwiek, dajcie znać. Zrobię, co tylko mogę.

– Ja też – dodała Riley.

– Dziękuję – odpowiedziała Jamison.

Wyszli razem na zewnątrz. Deszcz już prawie ustał. Baron i Riley właśnie zmierzali w stronę jego starego suburba, gdy w oddali rozległy się syreny.

– Zbliżają się – zauważył Decker.

Po chwili zobaczyli migające światła skręcające w ulicę, przy której stał Dom Mordu.

Pospieszyli tam we czwórkę. Zobaczyli policjantów wyskakujących z radiowozu i biegnących w stronę jednej z posesji. Drzwi wejściowe były otwarte, a na werandzie stała starsza kobieta. Wyglądała na bardzo czymś wstrząśniętą. Niebawem przed dom zajechał też ambulans.

– Kto tam mieszka? – zapytała Riley.

– Dan Bond – odpowiedział Decker. – Raczej mieszkał, sądząc po tym, co się tu dzieje.

– Dlaczego ktoś chciałby śmierci Dana?

Zapłakana Alice Martin powtórzyła to pytanie tyle razy, że Decker wiedział jedno: musiała być w szoku.

Po okazaniu odznak funkcjonariuszom, którzy przybyli na wezwanie, Decker i Jamison dowiedzieli się, że śmierć nie nastąpiła z przyczyn naturalnych ani nie była efektem wypadku.

– Ktoś zmiażdżył mu czaszkę – poinformował rzeczowo jeden z policjantów.

Kiedy zabrano ciało Dana Bonda, wszyscy udali się do domu Mitchellów. Pozostali goście już wyszli. Amber i Zoe odpoczywały na piętrze, a siostry Jamison pojechały odwiedzić do motelu rodziców i rodzeństwo Franka.

Baron i Riley w milczeniu patrzyli na podłogę salonu. On miał w ręce kolejną szklanekę whisky.

Jamison objęła ramieniem Alice Martin.

– Jestem pewna, że policja złapie tego, kto to zrobił.

– Jeszcze nie złapali tego, kto zabił tamtych wszystkich – załkała staruszka.

Jamison zerknęła na Deckera, który właśnie miał coś powiedzieć, gdy ktoś zapukał do drzwi.

Decker wiedział, kogo zobaczy, jeszcze zanim je otworzył.

Detektywi Green i Lassiter przywitali go ciężkimi spojrzeniami.

– Może powinniśmy ewakuować pozostałe osoby mieszkające przy tamtej ulicy – powiedział ponuro Green. – I mówię to całkiem poważnie.

– Jedna z nich jest tutaj – odparł Decker, wskazując na Martin. – Co z Fredem Rossem?

– Obudziliśmy go pukaniem do drzwi – odpowiedziała Lassiter.

– Nie był zachwycony naszym widokiem.

– Macie szczęście, że nie wygarnął do was ze swojego obrzyna.

– Tylko o nim wspomniał. Oświadczył, że jeśli jemu ktoś spróbuje rozbić głowę, oberwie w twarz z obu luf.

– Co ustaliliście? – zapytał Decker.

– Wyjdźmy na zewnątrz – mruknęła Lassiter.

Na werandzie Decker stanął zwrócony do nich twarzą.

– Zmarł około północy – oświadczył Green.

– Włamanie?

– Nic na to nie wskazuje. Stara przyjaciółka przyszła sprawdzić, co u niego, bo nie zjawił się na spotkaniu w kościele i nie odbierał telefonów. Znalazła go w kuchni.

– Jak się dostała do środka? – zapytał Decker.

– Miała klucz. Sprawdziliśmy ją. Żadnych podejrzeń.

– Mundurowy powiedział mi, że zginął od uderzenia w głowę.

– Zgadza się – wtrąciła Lassiter.

– Narzędzie zbrodni?

– Nie znaleźliśmy. Sprawca pewnie je zabrał ze sobą.

– I nikt nic nie widział?

– Cóż, przy tej ulicy mieszkają tylko dwie osoby. Martin i Ross. O północy pewnie oboje byli już w łózkach.

– A co z agentem DEA po drugiej stronie? – zapytał Decker.

– Kemper zakończyła wczoraj obserwację tego domu – powiedział Green. – Skończyli robotę na miejscu zbrodni i w domu obok, gdzie zastrzeliłeś Briana Collinsa. My nie mamy dość ludzi, żeby ktoś tam postawić na stałe.

– Morderca musiał obserwować to miejsce. Wiedział, że ma wolną drogę. Wszedł i zabił.

– Ale dlaczego niewidomego? – zastanawiał się Green. – Komu przeszkadzał ten człowiek? Przecież niczego nie mógł zobaczyć.

– Ale mógł usłyszeć – zauważył Decker. – Od niego wiem, że tamtego wieczoru nie przelatywał wtedy żaden samolot i że to mógł być dron.

Green wsunął sobie do ust listek gumy do żucia.

– Donna wspomniała mi o tej teorii. Myślisz, że mógł o tym opowiedzieć jeszcze komuś oprócz ciebie? I dlatego ta osoba go zabiła?

– Całkiem możliwe. Nie przychodzi mi do głowy żaden inny powód, dla którego ktoś chciałby go zabić. To nie był człowiek, który mógł mieć wielu wrogów. Czy z domu coś zginęło?



- Nie. Zresztą nie sądzę, żeby tam było co kraść.
- Kiedy poszedłem z nim porozmawiać, musiał otworzyć aż trzy zamki, żeby mnie wpuścić. Nie wydaje mi się, żeby zostawiał otwarte drzwi.
- Ktoś miał klucz – zasugerowała Lassiter.
- Albo znał zabójcę i sam go wpuścił – zauważył Decker. – Sądząc po tym, jak mnie potraktował, o tak późnej porze byłby bardzo nieufny wobec obcego.
- Widzisz w tym wszystkim jakiś sens? – zapytał Green zdesperowanym tonem.
- Jeszcze nie.
- Green wyjął z pasa odznakę i rzucił ją na podłogę werandy.
- Po cholere ja to noszę, skoro nie potrafię ochronić własnego miasta?
- Decker się schylił, podniósł odznakę, sprawdził, czy się nie uszkodziła, i oddał ją Greenowi.
- Dopadniemy ich, detektywie – powiedział.
- Skąd ta pewność? – zapytała Lassiter.
- W naszym fachu porażka nie wchodzi w rachubę – odparł Decker.

Decker siedział przy stole w kuchni Mitchellów. Od pogrzebu minęły już dwa dni.

Wygładził dłonią kopie listów, które znalazł w skrytce Stanleya Nottinghama w Centrum Seniora w New Jersey, i rozłożył je na blacie. Było ich kilka, ale wydawało się, że żaden nie zawiera wskazówek na temat miejsca ukrycia skarbu.

Spojrzał na jeden z nich po raz piąty.

*Drogi Samuelu,*

*wiem, że ostatnio odsunęliśmy się od siebie i że dawno się nie kontaktowaliśmy. Teraz jednak chwytam za pióro, gdyż brakuje mi Ciebie, synu. Niełatwo mi z tym, że wyjechałeś z Baronville, ale rozumiem, że chcesz żyć własnym życiem. Wiem, że nigdy nie darzyłeś sympatią pana Barona, ale mnie on traktuje dobrze. W zeszłym roku udaliśmy się w długą podróż, w trakcie której przez miesiąc wędrowaliśmy pieszo po Australii. Pan Baron specjalnie na tę okazję wyczarterował dla nas statek. Kraje, które wcześniej odwiedziliśmy, były niezwykle i fascynujące na wiele różnych sposobów, ale nigdy w życiu nie widziałem czegoś takiego jak Australia. Zwiedziliśmy nadmorskie miasta: Sydney, Perth, Adelajdę i Melbourne. Słyszałem, że zamierzają przenieść stolicę z Melbourne do Canberry. Na naszej drodze pojawiły się też: Geelong, Toowoomba, Kalgoorlie, Ballarat, Moliagul i tuzin innych miejsc o równie egzotycznych nazwach. Widzieliśmy Aborygenów, kangury i emu, a także wombaty, kukabury i inne dzikie stworzenia, o których nawet nie wiedziałem, że istnieją. Jeden z naszych przewodników zabił węża trzy razy dłuższego ode mnie. Są tu wielkie rafy koralowe, a woda jest tak przejrzysta, że widać dno. Widziałem olbrzymie łańcuchy górskie, gęste lasy tropikalne i bezkresne pustynie. Środek, zwany interiolem, jest nie do opisania. W porównaniu z tym Anglia wydaje się nudna, chociaż muszę z dumą zauważyć, że brytyjskość tego kraju nadal*

*czuje się na każdym kroku. Śmiem twierdzić, że nawet pan Baron, który zwykle myśli jedynie o interesach, zrelaksował się i dobrze się bawił. Niestety, kiedy tylko wróciliśmy do domu, mój pan źle się poczuł. Obawiam się, że ta podróż okazała się wyzwaniem ponad jego siły. Od naszego powrotu minął już prawie rok, a on wciąż nie wydobrzył. Próbuje nadrabiać minę, ale znam go lepiej niż ktokolwiek inny i widzę, jak marnieje w oczach. Nie wiem, co tu się stanie, kiedy pewnego dnia go zabraknie. Nie przepada za swoimi dziećmi. Żadne z nich nie ma jego talentu do interesów. Tyle zrobił dla tych niewdzięczników. Synu, mówiąc szczerze, twój ojciec też słabuje. Strzyka mi w kościach i ciężko mi na płucach. Mam nadzieję, że ty i dzieci macie się dobrze. Chciałbym was jeszcze zobaczyć, zanim odejdę. Jeśli nie, przyjeźdź chociaż na mój grób. Może wtedy będę mieszkał gdzieś wysoko nad tobą, jeśli sobie na to zasłużyłem. Obym tylko nie skończył tam głęboko na dole. Wszystko w rękach Boga. Jego łasce powierzam siebie.*

*Wam oddany  
Nigel*

Decker odłożył list. Jeśli była tu jakaś wskazówka, to on jej nie widział. Nigel wydawał się wielbić Barona tylko dlatego, że ten był zamożny, co Decker uznał za żalodne. Choć przecież wiele osób wciąż się tak zachowuje. Nigel miał rację co do marnego stanu zdrowia ich obu. Ten list napisał zaledwie sześć tygodni przed tym, jak zmarli.

Podniósł wzrok i zobaczył Jamison wchodzącą do pomieszczenia.

Usiadła naprzeciwko i zerknęła na korespondencję.

– Znalazłeś coś godnego uwagi? – zapytała.

Pokręcił głową i odchylił się na oparcie krzesła.

– Jak tam Zoe i twoja siostra?

– Sądzę, że to był dobry pomysł, żeby dzisiaj wysłać Zoe do szkoły. Musi czymś się zająć, żeby nie myślała o tym, co się stało. Później ją odbiorę. Amber jest w banku, załatwia jakieś sprawy finansowe. Zadzwońiła do tego prawnika, którego polecił

Ted Ross. Przyjedzie tu spotkać się z nią.

– Świetnie. Mam nadzieję, że wydednią od Maxusa wysokie odszkodowanie.

– To samo jej powiedziałam. I żeby nie podpisywała niczego w ciemno. Frank miał też ubezpieczenie na życie. Polisę na pół miliona. Z tego, co mi mówiła, niedługo ma otrzymać te pieniądze.

– To była polisa z jego miejsca pracy?

– Chyba tak.

Decker spojrział na listy przed sobą.

– Masz jakiś pomysł, dlaczego zginął Dan Bond? – zapytała.

– Dlatego, że mógł wiedzieć o czymś, co się wydarzyło tamtego wieczoru.

– Coś, czego nie mógł zobaczyć, ale usłyszeć?

Decker skinął głową.

– Potwierdziłem, że Fred Ross był wtedy w szpitalu. Tak więc cokolwiek usłyszał Bond, nie miało to nic wspólnego z Rossem.

– Myślisz, że Alice Martin może być następnym celem? Ten, kto zabił Bonda, może się obawiać, że ona też coś słyszała.

– Dlatego powiedziałem Greenowi, żeby ich radiowóz regularnie patrolował tamtą ulicę.

– Dobry plan.

Decker wstał.

– Dokąd się wybierasz? – zapytała.

– Do Towarzystwa Historycznego Baronville.

– Jestem wolna, jakby co. Dzisiaj rano wszyscy wyjechali.

– Dobrze mieć cię znowu przy sobie, partnerko.

– Tak, pamiętam pana Costę całkiem dobrze.

Decker i Jamison znajdowali się w siedzibie miejscowego towarzystwa historycznego. Rozmawiali z panią prezes Jane Satterwhite. Była zaniebana siwowłosa kobietą dobiegającą siedemdziesiątki. Siedziała opatulona w różowy szal, a na szyi dyndały jej na łańcuszku babcine okulary.

Pani Satterwhite wydawała się jedynym pracownikiem

w siedzibie towarzystwa. Rezydowała w obskurnym domu z cegły wciśniętym między dwa opuszczone budynki.

– Baronville ma bardzo bogatą historię – oświadczyła. – Tylko brakuje nam środków, żeby o niej opowiedzieć.

Niewątpliwie miała rację. Rozglądając się, Decker i Jamison zauważyli, że półki są w połowie puste, a eksponaty wyglądają na zaniedbane i zakurzone. Całe to miejsce sprawiało wrażenie zapomnianego i niepotrzebnego.

– Ma pani wielu odwiedzających? – zapytała Jamison.

– Niestety, nie. Ludzie chyba przestali się interesować historią.

– Dlatego są skazani na powtórzenie błędów z przeszłości – zauważył Decker.

– Otóż to! – powiedziała Satterwhite, nagle ożywiona. – Trafił pan w sedno sprawy. Wszyscy szukają odpowiedzi w przyszłości, zapominając, że ludzie, mimo upływu lat, zasadniczo się nie zmienili.

– Mówiliśmy o Bradleyu Coście – przypomniała jej Jamison.

– Ach tak, oczywiście. Bardzo miły młody człowiek. Interesował się naszym miastem.

– Czymś w szczególności?

– Johnem Baronem. Tym pierwszym, założycielem Baronville.

– Co konkretnie chciał wiedzieć o Baronie? – zapytał Decker.

Satterwhite zaprowadziła ich do innego pokoju.

– To jest Izba Barona, jak ją zwykłam nazywać. Tutaj trzymamy wszystko, co z nim związane, od jego narodzin aż do śmierci.

– O ile mi wiadomo, zmarł tego samego dnia co jego kamerdyner Nigel Nottingham, prawda?

– Tak, zgadza się. Jest pan też historykiem?

– Tylko amatorem – skłamał Decker. – Czy Costa interesował się tym faktem?

– Cóż, zagadnął mnie o to. Chciał wiedzieć, czy mamy jakieś listy Nigela. Był pierwszą osobą, która o to pytała.

– A macie takową korespondencję?

– Nie.

– Pytał o coś jeszcze?

– O korespondencję biznesową Barona z okresu przed jego

śmiercią.

– Coś pani dla niego znalazła? – zapytała Jamison.

– Tylko jeden list. – Podeszła do szafy na dokumenty, otworzyła ją i poszperała w środku. – Dziwne...

– Nie może pani znaleźć? – zapytała Jamison.

– Przecież tu był. Może odłożyłam w inne miejsce. – Satterwhite przeszukała pozostałe szuflady, ale bez powodzenia. – To naprawdę dziwne – powiedziała, bardziej do siebie niż do nich. – Znikł.

– Kiedy ostatni raz ktoś po niego sięgał? – zapytała Jamison.

– Właśnie wtedy. Gdy był tu pan Costa. Ale dobrze pamiętam, że odkładałam ten list na miejsce.

– Czy ktoś oprócz pani mógł mieć do niego dostęp?

– Jestem tu sama. W ciągu dnia nie zamykam drzwi na klucz, więc pewnie kiedy przesiaduję na tyłach, a ktoś wejdzie i mnie nie zawoła, mógłby coś wynieść. Ale kto i po co miałby to robić?

– Może nam pani opowiedzieć, co było w tym liście?

– Tak, ponieważ czytałam go dość uważnie po tym, jak go odszukałam dla pana Costy. Nie było tam nic specjalnego. Baron napisał do firmy w sprawie budowy kolejnego budynku w jego zakładach włókienniczych. Chodziło o zakup sprzętu, gliny, cementu, form do robienia cegieł, tego typu rzeczy. Nie zauważyłam tam niczego istotnego. Same sprawy biznesowe.

– Kiedy został napisany ten list? – zapytał Decker.

– Około roku przed śmiercią Barona.

– Ta firma, do której pisał, była stąd? – drążyła Jamison.

– Nie, z Pittsburgha.

– Pamięta pani nazwę?

– Niech pomyślę... Tak, wiem. O'Reilly & Synowie. Zapamiętałam, bo moja teściowa była z domu O'Reilly.

– Rozumiem, że Costa interesował się tym listem – zapytał Decker – skoro odszukała go pani dla niego?

– Tak, rzeczywiście. To była jedyna rzecz, która miała związek z interesami Barona. Większość pamiątek w tym pomieszczeniu dostaliśmy od członków jego rodziny, a oni albo nie mieli takiej korespondencji, albo nie chcieli się jej pozbywać.

- Tak czy inaczej, dziękujemy za pomoc – powiedziała Jamison. Pożegnali się i wyszli.
- Dziwne, że ten list zaginął, nie sądzisz? – rzuciła, kiedy szli do samochodu. – Myślisz, że to Costa go ukradł?
- Może. Ale równie dobrze mógł to zrobić ktoś inny.
- W sumie niewiele się tu dowiedzieliśmy.
- Mamy nowe pytanie, na które musimy znaleźć odpowiedź.
- Jakie?
- Do czego Baron Pierwszy użył tych wszystkich rzeczy, które zamówił? Bo na pewno nie do rozbudowy swojego zakładu włókienniczego.
- Skąd to wiesz?
- Detektyw Green już nam to powiedział.

– Jedziemy przeprowadzić rewizję w domu Johna Barona. Mamy nakaz. Chcecie się zabrać?

Decker mierzył półprzytomnym wzrokiem Lassiter stojącą na werandzie domu Mitchellów bardzo wcześnie rano następnego dnia.

– Gdzie twój partner? – zapytał.

– Sprawdzam inne poszlaki. Ja robię rewizję u Barona.

– Ale po co? – zapytał Decker zasnany głosem.

Lassiter zadzwoniła do niego, zanim przyjechała, dlatego zdążył coś na siebie włożyć i zejść na dół.

– Podejrzewamy, że jest zamieszany w morderstwa – odparła.

– Na jakiej podstawie? – zapytała Jamison, która właśnie wyrzała zza szerokich pleców Deckera. Wiedziała od niego o telefonie Lassiter. Stała teraz obok, obciągając sweter, który narzuciła na siebie, i odgarniając z oczu zmierzwione podczas snu włosy.

– Na podstawie tego, co nam powiedział twój przyjaciel – stwierdziła Lassiter, wskazując na Deckera.

– Wiemy, że Baron znał Joyce Tanner i że Swanson mieszkał na terenie jego posesji. Coś jeszcze? – zapytał Decker.

– Dom Barona jest obciążony hipoteką. Zgadnijcie, kogo bank wyznaczył do kontaktów z Baronem.

– Bradleya Costę – mruknęła beznamiętnie Jamison.

– Bingo!

– Okej, ma powiązania z niektórymi ofiarami – zauważył Decker. – Jestem pewny, że nie tylko on w tym mieście.

– Miał też powiązania z Tobym Babbotem. Czwartą z ofiar.

– Jakie powiązania? – zapytał ostro Decker.

– Odszukałam stary raport na temat aresztowania. Toby Babbot został oskarżony o wtargnięcie na teren posiadłości Barona.

– Co tam robił?

– Nie chciał powiedzieć.



- Baron o tym wiedział?
- On go złapał i wezwał policję. Tak więc, jak sami widzicie, znał wszystkie cztery ofiary.
- I jaką masz teorię? – zapytała Jamison.
- Jeśli chodzi o Costę, to dość oczywiste. Porachunki z bankiem. Poza tym Baron interesował się mitologią grecką. Tanatos to grecki bóg śmierci. Wiem to od Deckera.
- A Joyce Tanner?
- Wspierał ją finansowo. Kończyły mu się pieniądze. Może miała na niego jakieś haki i dlatego dawał jej forszę? Więc ją zabił, a na ścianie wypisał te biblijne bzdety o niewolnictwie. Może chodziło o niewolnika finansowego. Tanner nauczała Biblii, kiedy była w szkole średniej. Baron dobrze o tym wiedział.
- Nie sądzisz, że trochę za dużo tych poszlak? – zapytał Decker.
- Co chcesz przez to powiedzieć? – obruszyła się Lassiter.
- Greckie symbole, biblijne wersety... Wszystkie te rzeczy łatwo połączyć z Baronem. Ja to zrobiłem, zaglądając do szkolnego rocznika. Jego posiadłość jest obciążona hipoteką od wielu lat. Dlaczego miałyby zabijać Costę akurat teraz?
- Dowiedziałam się, że ostatnio Baron próbował obniżyć odsetki od długu, ale bank odmówił. To znaczy Costa odmówił. Cała posiadłość Barona może teraz przejść w ręce banku.
- Decker wyglądał na nieco zaskoczonego tymi informacjami.
- To jednak nie dowodzi, że go zabił. Nadal uważam, że ta historia jest przekombinowana.
- Zabójcy czasem za dużo kombinują, Decker. Komplikują proste sprawy i potykają się o własne nogi.
- Tak, to prawda, ale Baron nie wygląda mi na kogoś takiego. Mam raczej wrażenie, że ktoś go usiłuje zrobić i robi to dość topornie.
- Aresztowałam już ludzi na podstawie słabszych poszlak i potrafiłam dowieść winy.
- A Babbot?
- Może coś znalazł w posiadłości Barona i ten zrobił się nerwowy? Wydaje mi się, że wiem, co to mogło być. Ty też powinieneś wiedzieć, skoro odkryłeś to powiązanie przed nami.

– A mianowicie?

– Swanson był dilerem narkotykowym. A co, jeśli on i Baron tkwili w tym razem? Baron rozpaczliwie potrzebował pieniędzy i wątplię, czy przejmowałby się tym, skąd pochodzą. Może Swanson chciał większych udziałów w interesie albo zaczął panikować i postanowił wsypać współnika? Dlatego musiał umrzeć, tak samo jak Babbot, jeśli o tym wiedział. Być może Babbot nawet zaopatrywał się u nich w prochy.

– To wszystko spekulacje – zauważył Decker.

– Właśnie dlatego zamierzamy przeszukać jego posiadłość – oznajmiła Lassiter. – By zdobyć dowody potwierdzające spekulacje. Wchodzicie w to czy nie?

– Wchodzimy – odparł Decker.

Jamison nie odezwała się ani słowem, ale wyglądała na strapioną.

Decker i Jamison pojechali za dwoma radiowozami. Była dopiero siódma rano. Lassiter ewidentnie chciała zaskoczyć właściciela posiadłości na szczycie wzgórza.

– Baron mnie okłamał – stwierdził Decker. – Znowu. Zarzekał się, że nie zna Costy.

– Cóż, może nigdy nie poznał go osobiście. Przecież mogli się kontaktować tylko telefonicznie i mailowo.

– To bez znaczenia. Czeka go egzekucja komornicza. To jest motyw do popełnienia morderstwa i dobrze o tym wiesz.

– Myślisz, że sprzedawał narkotyki do spółki ze Swansonem?

– Nie wiem. Facet mataczy, a to komplikuje sprawę.

– Ale chyba nie sądzisz, że to on jest seryjnym mordercą?

– Nie mam dowodu na to, że nie jest.

– Wydaje się na to zbyt...

– Zbyt co? Miły? Ekscentryczny? Biegły w magicznych sztuczkach? To nie wystarczy, Alex. Nie muszę ci tego tłumaczyć.

Jamison westchnęła z rezygnacją.

– Lassiter wygląda na przeszczęśliwą.

– Nic dziwnego, biorąc pod uwagę, że jej ojciec zmarł w więzieniu z powodu czegoś, o co obwinia rodzinę Baronów.

- A więc to porachunki osobiste?
- Właśnie tego się obawiam – skwitował Decker.

– No proszę... Jestem pod wrażeniem – powiedział Baron, gdy otworzył drzwi wejściowe i zobaczył policjantów tłoczących się za plecami Lassiter. Miał na sobie stary szlafrok i był boso.

Zerknął na Deckera i Jamison, którzy stali z boku, ale nie odezwał się do nich.

Lassiter uniosła kartkę papieru.

– Nakaz rewizji domu, zabudowań gospodarczych i całej posesji. Proszę pozostać na zewnątrz i nie ruszać się z miejsca, dopóki nie skończymy.

– Czy mogę przynajmniej się napić? – zapytał Baron przyjaznym tonem.

Lassiter zignorowała go i odwróciła się do stojącego za nią funkcjonariusza.

– Dawes, zostań tu i pilnuj, żeby nigdzie się nie ruszał. Nie chcę, żeby coś przed nami ukrył albo próbował uciec.

Słyszając to, Baron się uśmiechnął.

– Już nie biegam tak szybko jak kiedyś. A siedząc tu i czekając, bez drinka na wzmocnienie, pewnie zasnę. Całkiem miła perspektywa.

Lassiter rzuciła mu lodowate spojrzenie i właśnie miała coś powiedzieć, kiedy Decker wystąpił naprzód.

– Zajmiemy się tym. To rozległy teren i przyda się każdy funkcjonariusz, żeby go przeszukać.

Lassiter zawiesiła wzrok na Deckerze ostentacyjnie długo, zanim w końcu skinęła głową.

– Okej. Ale kiedy mówię, że ma się nie ruszać z miejsca, to mam na myśli dokładnie to.

– Oczywiście – przytaknął Decker.

Lassiter wydała polecenia swoim podwładnym. Część z nich weszła do głównego budynku, a inni skierowali się w stronę pomieszczeń gospodarczych.

Baron usiadł na werandzie i się przeciągnął.

– Jeśli znajdą jakiś skarb, to będę rościł sobie do niego prawo. Przydałoby mi się trochę gotówki, jak pewnie wiecie.

Decker postawił stopę na stopniu schodków i spojrzał na niego z góry.

– Okłamał mnie pan w sprawie Costy. Ustanowił hipotekę na pana posiadłość. Doskonale pan o tym wiedział.

– Nie on, tylko bank. On tam tylko pracował.

– Proszę sobie darować te żalosne wykręty. Ile razy z nim pan rozmawiał? Wymieniał korespondencję? Chciał pan renegocjować spłatę długu, ale bank odmówił. Costa odmówił.

– Banki często odmawiają ludziom takim jak ja. Nie potraktowałem tego osobiście.

– Ale przyznaje pan, że znał Costę?

– To był tylko biznes.

– A więc jednak mnie pan okłamał.

– Ludzie kłamią cały czas.

– I są na tym przyłapywani. Właśnie tak jak pan teraz. A więc Costa pana spławił. Miał pan motyw, żeby go zabić.

– Tyle że ja tego nie zrobiłem. Gdybym zabijał każdego, kto jest dla mnie niemiły, byłbym nieustającym w zbrodni seryjnym mordercą, ponieważ musiałbym zabić prawie każdego w tym mieście.

– Lassiter wie, że Swanson tu nocował. Wie też o pana powiązaniach z Tanner. W dodatku wygrzebała stare zgłoszenie o wtargnięciu Toby'ego Babbota na pański teren. Rozumie pan, co to znaczy? Wie, że coś pana łączyło z każdą z czterech ofiar. Znalazł się pan w dość elitarnym gronie i awansował na sam szczyt listy podejrzanym.

– Mało tego – wtrąciła Jamison. – Lassiter ma już teorię, jaki mógł pan mieć motyw, żeby zabić każdą z ofiar. To nie wygląda dobrze.

Baron wysłuchał wszystkiego i wzruszył ramionami.

– Wygląda, jak wygląda. Nic na to nie poradzę.

– Ale po co kłamał pan w sprawie Costy? – zapytał Decker. – A potem na temat Babbota? Myślał pan, że policja do tego nie dojdzie?

– Może tak myślałem – przyznał Baron. – W tym mieście jest policja, ale raczej tylko z nazwy. Nie potrafili rozwiązać sprawy morderstwa moich rodziców, dlaczego więc miałbym sądzić, że poradzą sobie w innej sprawie?

– Lassiter zawzięła się na pana z powodu swojego ojca. Kiedy była dzieckiem, stracił pracę w zakładzie włókienniczym. Bank go eksmitował, a wtedy on podpalił dom bankiera, który zginął w tym pożarze. Trafił do więzienia i już z niego nie wyszedł. Można więc sobie wyobrazić, że nie darzy pana rodziny wielką sympatią.

– Jak wszyscy tutaj – odciął się Baron.

Jamison podeszła do niego.

– John, masz kłopoty. Lassiter próbuje dowieść, że zamordowałeś cztery osoby. Staramy się jedynie uświadomić ci powagę sytuacji.

– Miałem poważne kłopoty przez większość życia.

– Nie aż takie – wtrącił Decker. – Mogą cię skazać na śmierć.

– Taki wyrok wydano na mnie w chwili, gdy się tu urodziłem. To tylko kwestia czasu.

– Naprawdę powinieneś podejść do tego bardziej serio – burknęła Jamison.

Baron wstał.

– A niby jak miałbym to zrobić? – rzucił, a w jego oczach pojawił się złowrogi błysk, którego żadne z nich wcześniej nie widziało. – Jeśli miejscowi, jak powiedział twój przyjaciel, zawzięli się na mnie, to bez znaczenia, co zrobię albo czego nie zrobię. Efekt będzie taki sam. Może teraz zrozumiecie, dlaczego tyle piję.

– Zabiłeś tych ludzi? – zapytał Decker.

Baron jeszcze przez chwilę nie odrywał oczu od Jamison. Wreszcie spojrzął na Deckera.

– Myślisz, że gdybym to zrobił, wyznałbym to agentowi FBI? – Potem przeniósł wzrok ponownie na Jamison. – A ty myślisz, że zabiłem tych ludzi?

– To bez znaczenia, co myślę. Ważne jest, co można udowodnić.

– Co za banał. Szczerze mówiąc, Alex, spodziewałem się po tobie czegoś wyższych lotów.

– Zabrałeś rzeczy Swansona z komórki? – zapytał Decker.

Baron łypnął na niego.

– Znaleźliśmy dowody na to, że Swanson nocował w twojej komórce ogrodowej i że był dilerem. Sami ci o tym powiedzieliśmy. Pozbyłeś się tych rzeczy?

– Nie jestem pewny, czy powinienem odpowiadać na to pytanie.

– Prędzej czy później będziesz musiał.

– Na razie się powstrzymam.

– Przetrzęsą każdy zakamarek tutaj. Cokolwiek ukryłeś, znajdą to.

– Potrzebuję prawnika?

W tej samej chwili w progu stanęła Lassiter.

– Tak, panie Baron, zdecydowanie – powiedziała i uniosła foliową torbę na dowody, w której znajdował się pistolet.

– Badania balistyczne powiązały broń znaną u Barona z kulami, od których zginęli Costa i Swanson – powiedział Decker. Siedzieli z Jamison przy stole w kuchni Mitchellów. – Właśnie dzwoniła do mnie Lassiter. Jeszcze nigdy nie słyszałem jej takiej szczęśliwej – dodał. – Znaleźli też rzeczy Swansona w komórce. Badanie daktyloskopijne potwierdziło, że należały do niego. Baron ewidentnie je tam zostawił, chociaż wiedział od nas, gdzie są.

– A więc Lassiter w końcu dokonała zemsty na Baronach – skwitowała Jamison. – Naprawdę myślisz, że on to zrobił?

– Ten pistolet mógł podrzucić ktokolwiek – zauważył Decker. – Swoją drogą Lassiter dość szybko go przyniosła.

– Nie pamiętam, żeby mówiła, gdzie go znalazła – stwierdziła Jamison.

– Powiedziała mi później. W zbrojowni. W jednej z gablot, razem z innymi pistoletami.

– Myślał, że ukryje trefny pistolet wśród innej broni?

– Rzeczywiście, marna kryjówka.

– Wątpię, czy w tym mieście może liczyć na uczciwy proces.

– Mam nadzieję, że znajdzie sobie dobrego prawnika, który wystąpi o przeniesienie rozprawy w inne miejsce.

– A jaka jest jego wersja?

– Że nic nie wie o tym pistolecie i nie ma pojęcia, skąd się wziął.

– Odciski?

– Lassiter powiedziała, że żadnych. Ale broń można było przecież wytrzeć do czysta.

– Decker, w tej historii jest za dużo nieścisłości.

Zanim zdążył odpowiedzieć, zadzwonił jego telefon. Rozmowa trwała kilka minut. Decker głównie słuchał i zadawał krótkie pytania. W końcu rzucił „dzięki” i się rozłączył.

– Co tam? – zapytała Jamison.

– Dzwoniła Kemper. Poprosiłem ją, żeby dowiedziała się paru



rzeczy o polisach na życie.

– Dlaczego?

Decker wyjaśnił jej, o czym wcześniej rozmawiał z agentką DEA.

– I czego się dowiedziała?

– Przez ostatnie trzy lata w Baronville zmarło z przedawkowania prawie trzysta osób. Niemal połowa z nich miała polisy na co najmniej pół miliona dolarów. Całkiem sporo ubezpieczyło swoje życie na ponad milion.

– Mój Boże, to prawie jeden zgon na trzy dni.

– I mnóstwo pieniędzy. Kemper powiedziała, że firmy ubezpieczeniowe przeprowadziły wiele własnych dochodzeń, ale wygląda na to, że żaden ze sprawdzonych przez nich posiadaczy polisy nie był wcześniej notowany w związku z narkotykami. Tak więc nie mieli wyboru, musieli wypłacić odszkodowanie.

– Do diabła, to tak teraz wygląda w tym kraju droga od pucybuta do milionera? Wykupujesz komuś z rodziny polisę na życie i czekasz, aż przedawkuje?

– Mam nadzieję, że nie.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu.

– Jak długo będą trzymać Barona w areszcie? – zapytała Jamison.

– Najpierw odbędzie się rozprawa o zwolnienie za kaucją. Ze względu na wagę ciężących na nim zarzutów prawdopodobnie nie wyjdzie aż do procesu. A nawet jeśli sędzia zgodzi się na kaucję, nie sądzę, żeby Barona było na nią stać.

Ktoś zapukał do drzwi wejściowych. Jamison wstała, żeby otworzyć, i po chwili wróciła w towarzystwie Cindi Riley.

Kobieta była ubrana w spłowiełe dżinsy, flanelową koszulę i skórzaną kurtkę. Wyglądała na zmęczoną i miała zaczerwienione oczy.

– Chyba dobrze ci zrobi trochę kawy – powiedziała Jamison. – Właśnie zaparzyłam cały dzbanek.

Riley skinęła głową i osunęła się na krzesło naprzeciwko Deckera.

– Już wiecie, co się stało? – zapytała.

– Z Baronem? Tak.

- On tego nie zrobił. Nikogo nie zabił.
- To był jego pistolet?
- Nie wiem. Widzieliście jego dom. Wszędzie wała się mnóstwo rzeczy. O połowie z nich John pewnie w ogóle nie wie.
- A ma prawnika? – zapytała Jamison, stawiając przed Riley filiżankę kawy.
- Załatwiłam mu. Musiałam znaleźć kogoś spoza miasta. Tu najwyraźniej nikt nie chce go bronić. Szmacciarze. Sami powiedzcie, co on im wszystkim zrobił? Zabito mu rodziców. Czy ktoś choćby kiwnął palcem w tej sprawie?
- Rozmawiałaś z nim? – zapytał Decker.
- Tak, jest w areszcie. Naprawdę się o niego martwię.
- On powinien się martwić – stwierdził Decker. – Oskarżą go o wielokrotne morderstwo.
- Nie chodzi mi tylko o to. Mam wrażenie, że John w końcu się poddał. Zawsze był taki pozytywny... Chociaż wciąż go obrzucali błotem, otrząpywał się, obracał to w żart i robił swoje.
- Jamison usiadła obok niej.
- Ale teraz już nie?
- Nie. Myślę, że pogodził się z tym, co go czeka. Że umrze w więzieniu. Sąd zgodził się na kaucję, ponieważ uznał, że nie zachodzi ryzyko ucieczki podejrzanego. Po rozprawie chciałam wpłacić pieniądze, ale John mi nie pozwolił.
- Jeśli nie zrobił tego, o co jest oskarżony, nie posiedzi długo – zauważył Decker.
- Riley wlepiła w niego wzrok.
- Jesteś gliną. Powinieneś wiedzieć, że niewinnych ludzi też się wsadza do więzień.
- Nie, jeśli dowiedzimy, że zrobił to ktoś inny. Wtedy wyjdzie z tego cało.
- Jak mamy to zrobić?
- Pracujemy nad tym od czasu, kiedy tu przyjechaliśmy – stwierdziła Jamison. – I zrobiliśmy pewne postępy.
- Czy Baron ma jakieś alibi na czas któregoś z tych morderstw? – zapytał Decker.
- Rozmawiałam z nim o tym. Obawiam się, że nie. Jak sam

powiedziałeś, w przypadku niektórych z nich trudno określić dokładnie, kiedy to się stało. Poza tym John spędza większość czasu samotnie w swoim domu. Oprócz kilku godzin raz w tygodniu, kiedy przychodzi do baru.

Decker skinął głową.

– Okej, więc żeby go oczyścić, musimy się do tego zabrać z innej strony.

– Czyli nie uważasz, że on kogoś zabił? – odezwała się Riley.

Decker puścił to pytanie mimo uszu.

– Mówiłaś mi wcześniej o nowych biznesach, które tu ostatnio wyrastają jak grzyby po deszczu.

– Zgadza się.

– Powiedziałeś też, że ludzie wykorzystują pieniądze wypłacane im z polis na życie, żeby rozkręcić interes.

– Tak. Ale do czego zmierzasz?

– Czy ktoś z twoich znajomych, kto przedawkował, miał taką polisę?

– Decker – wtrąciła się Jamison – sam mówiłeś, że towarzystwa ubezpieczeniowe przeprowadziły własne dochodzenia w sprawie zgonów w Baronville i nie znalazły niczego podejrzanego.

– Odpowiedz na pytanie, Cindi – nalegał Decker.

– Nie wiem. Niech pomyślę... – Zastanawiała się przez chwilę. – Keith Drews. Jego matka otworzyła piekarnię w centrum. Powiedziała mi, że to jedyna dobra rzecz, jaka wynikła ze śmierci Keitha.

– Długo brał?

– Nie.

– Więc co się stało? Dlaczego przedawkował?

– Miał wypadek. Przepisano mu percocet, potem vicodin. Później uzależnił się od oksykodonu. Od tego momentu staczał się coraz bardziej. Zmarł z przedawkowania heroiny. Ktoś, od kogo ją miał, doprawił ją fentanylem. Keith pewnie nawet nie wiedział, co bierze. Zabiło go od razu. Tak słyszałam.

– Ile miał lat, kiedy zmarł?

– Był młodszy ode mnie.

- Beneficjentem polisy była jego matka. Ile dostała?
- Wystarczająco dużo, żeby otworzyć piekarnię. Wybebeszyła cały parter starego budynku i kupiła nowy sprzęt. Tak więc musiało to być sporo pieniędzy.
- A ona była uzależniona? – zapytał Decker.
- Tak, przez wiele lat, zanim odstawiła. Ale co ty, do cholery, kombinujesz? – dodała Riley poirytowanym tonem.
- Dużo ludzi zmarło w tym mieście z przedawkowania. Okazuje się, że wielu z nich miało wykupione polisy na życie. Żeby zostać beneficjentem, trzeba mieć interes ubezpieczeniowy w stosunku do osoby wskazanej w polisie. Poza tym we wniosku należy zaświadczyć własnym podpisem, że podane informacje są zgodne ze stanem faktycznym. Ubezpieczyciel może nawet zlecić sprawdzenie przeszłości kryminalnej i zajrzeć do akt medycznych danej osoby albo wysłać ją na badania lekarskie.
- Jak udaje im się obejść HIPAA? – zapytała Jamison, mając na myśli prawo chroniące historię medyczną pacjentów przed nieuprawnionym dostępem ze strony osób trzecich.
- Miałem polisę na życie, kiedy byłem gliną w Ohio – odpowiedział Decker. – We wniosku możesz zrezygnować z ochrony HIPAA. W istocie większość firm ubezpieczeniowych nie wystawi ci polisy, jeśli im nie umożliwisz wglądu do swoich akt medycznych. Każdy dowód na uzależnienie od nielegalnych substancji będzie dla nich sygnałem ostrzegawczym.
- Riley wyglądała na zmieszaną.
- Nie rozumiem. Chcesz przez to powiedzieć, że jeśli jest się uzależnionym, to nie można wykupić polisy na życie?
- Myślę, że tak. W każdym razie nie takiej, z której otrzyma się świadczenie w razie śmierci z przedawkowania.
- Więc...
- Więc skąd ktoś wiedział, że pewne ubezpieczone osoby uzależnią się, a potem przedawkują i umrą? – dokończył za nią Decker.

Do kolacji zasiedli w czwórkę. Powinno być ich pięcioro. Ten piąty znajdował się jednak kilkadziesiąt centymetrów pod ziemią.

Jamison usiadła obok Zoe.

Decker usiadł obok Amber.

Siedzieli w kuchni przy małym owalnym stole na środku pomieszczenia.

– Jak tam w szkole, Zoe? – zapytała Jamison.

– W porządku... – powiedziała dziewczynka, bezwiednie przebierając widelcem w jedzeniu, którego nawet nie skosztowała.

Amber schudła, chociaż już wcześniej była szczupła. Wydarzenia ostatnich dni odcisnęły piętno na jej twarzy. Miała boleśnie przekrwione oczy i zachowywała się, jakby była czymś odurzona.

– Mamo, mogę iść do swojego pokoju? Boli mnie brzuch.

– Oczywiście, kochanie – odpowiedziała Amber nieobecnym głosem. – Za chwilę do ciebie zajrzę.

Zoe wstała od stołu i pobiegła na górę. Usłyszeli pospieszny stukot jej małych stóp pnących się po schodach.

– Nic nie je – poskarżyła się Amber.

– Ty też nie, siostrzyczko – zauważyła Jamison. – Musisz coś jeść, żeby zachować siły.

Amber zbyła ją skinieniem ręki.

– Nic mi nie będzie. Po prostu nie jestem głodna.

Jamison zerknęła niepewnie na Deckera i odłożyła widelec.

– Co zamierzasz teraz zrobić?

Amber uniosła wzrok znad talerza.

– To znaczy?

– Chcesz tu zostać czy się wyprowadzić?

Amber spojrzała na siostrę z niedowierzaniem.

– Nie zastanawiałam się nad tym. Na litość boską, Alex,

od śmierci Franka nie minął jeszcze tydzień!

– Wiem. Wydaje mi się, że nic cię tu już nie trzyma. Mogłabyś się przeprowadzić bliżej rodziny. Byłoby ci lżej.

– Tak... Nawet kiedy dostanę pieniądze z polisy, będę musiała pójść do pracy. Teraz ja jestem żywicielem rodziny – przyznała Amber.

– Ale pozwiesz Maxusa do sądu, prawda? – upewniła się Jamison.

– Oczywiście. Tylko znowu wrywać Zoe z jej otoczenia? Ledwie się tu zadomowiła. Martwię się, jak to zniesie.

– Start w nowym miejscu może być dla niej najlepszy. I dla ciebie.

– Nie jestem tego taka pewna...

– Rozmawiałaś o tym z Zoe? – wtrącił Decker.

Obie spojrzały na niego.

– Decker, ona ma dopiero sześć lat – powiedziała Jamison.

– To nie znaczy, że nie ma swojego zdania.

– Obawiam się, że może nie zrozumieć wszystkich okoliczności – odcięła się Jamison.

– Mówię tylko, że matka powinna z nią o tym porozmawiać. Jeśli ma się to na niej odbić, to może warto?

Kobiety wymieniły spojrzenia.

– Właściwie to nie jest zły pomysł – stwierdziła Amber. Wstała od stołu. – Porozmawiam z Zoe i pójdę się położyć. Czuję się taka zmęczona...

Jamison też wstała i uścisnęła siostrę.

– Jestem tu dla ciebie, najdroższa. Zostanę z tobą, jak długo będziesz potrzebowała.

– Alex, masz własne życie. Musisz wrócić do pracy. Nie możesz nas niańczyć w nieskończoność. Nie żebym miała coś przeciwko temu. Pozbieram się, muszę. Dla Zoe. – Potem spojrzała na Deckera. – Dzięki, Amos, za radę.

Decker skinął głową.

Amber wyszła i Jamison z powrotem zajęła miejsce przy stole.

Decker wstał i dolał sobie kawy.

Usiadł i wypił łyk.

– Zmieniłeś się, Decker.

Spojrzał na nią.

– Co masz na myśli?

– Ostatnio wyraźnie się przejmujesz innymi.

– Od kiedy pracuję w wydziale zabójstw, zawsze mam się kim przejmować.

– Nie sądzisz, że powinny się wyprowadzić z Baronville?

– Trudno powiedzieć. To musi być ich decyzja.

– Przecież nic ich tu nie trzyma.

– Tu jest grób Franka Mitchella. I zawsze będzie.

Jamison zmieszała się i opuściła wzrok.

– Racja... O tym nie pomyślałam.

Decker łyknął kawy i spojrzał przez małe okno w mrok na zewnątrz.

– Ja nie chciałem wyjechać z Burlington. Mimo że jednocześnie pragnąłem wynieść się stamtąd jak najdalej. Moja rodzina została tam zamordowana. Obie są tam pochowane. Kiedy w końcu wyjechałem, czułem się, jakbym je porzucił. Dopóki tam mieszkałem, chodziłem na ich groby codziennie. Siedziałem i rozmawiałem z nimi. A teraz... Nie byłem u nich od miesiąca. – Odstawił filiżankę. – Nie chcę, żeby łączyły mnie z nimi jedynie wyblakłe zdjęcia na ścianie.

– Akurat ty nie powinieneś się obawiać, że o nich zapomnisz.

– To nie to samo. Pochowałem je tam. To mnie wiąże z tamtym miejscem. Zawsze będzie częścią mnie, czy mi się to podoba, czy nie.

– Więc uważasz, że moja siostra powinna tu zostać?

– Uważam, że... Każdy jest inny.

Powiedziawszy to, wstał, sprzątnął ze stołu i razem z Jamison włożyli naczynia do zmywarki. Potem wyszedł z kuchni i wrócił do swojego pokoju. Tam wyjął z szafy dwie rzeczy: plany konstrukcyjne, które znalazł w przedpokoju, i kawałek papieru milimetrowego z przyczepy Toby'ego Babbota.

Studiował rysunki przez pół godziny, zanim uznał, że potrzebuje czegoś jeszcze, by coś z nich zrozumieć.

Wyszedł z pokoju, poszedł w głąb korytarza i zapukał do drzwi.

Po dłuższej chwili otworzyła zaspana Zoe. Była w piżamie i trzymała pod pachą swojego kota.

– Zoe, pracuję nad bardzo ważnym projektem i myślę, że masz coś, czego potrzebuję.

Słyszając to, dziewczynka się ożywiła.

– Pewnie, Amos, czego potrzebujesz?

– Linijki. Masz?

Kiwnęła głową, pospieszyła do białego biurka pod ścianą i otworzyła szufladę. Wyjęła z niej zieloną linijkę i podała Deckerowi.

– Bardzo ci dziękuję.

– Nie ma za co.

Decker odwrócił się, żeby wyjść, ale zawahał się i przystanął.

– Zoe, mama z tobą rozmawiała?

Dziewczynka skinęła głową.

– Zapytała, czy chcę tu zostać, czy wolę wyprowadzić się gdzie indziej.

– I co powiedziałaś mamie?

Zoe wzruszyła ramionami.

– Tato tu jest. Nie chcę go zostawiać całkiem samego.

Decker przyklęknął tak, że jego wzrok znalazł się na wysokości jej twarzy.

– Rozumiem cię.

Zoe patrzyła na niego uważnie.

– Powiedziałeś mi, że kiedy przyjdę odwiedzić tatę, będzie wiedział, że tam jestem. Że poczuję to tutaj. – Dotknęła środka swojej małej piersi.

– To prawda.

– Skoro tak, to nie mogę go zostawić, bo będzie mu smutno. – Dotknęła Deckera w tym samym miejscu co siebie. – Mam rację?

Odwrócił wzrok, nie mogąc spojrzeć jej w oczy.

– Masz.

Dziewczynka ziewnęła.

– Lepiej zmykaj już do łóżka, okej?

– Okej, Amos. – Uścisnęła go.

Decker wrócił cicho do swojego pokoju, nie odrywając wzroku



od podłogi.

Życie bywa parszywe.

Usiadł na łóżku i popatrzył na rozłożone plany.

Potem spojrzął na linijkę. Widniał na niej wykonany markerem podpis „Zoe Mitchell”.

Wstał, podszedł do okna i spojrzął na to ciężko doświadczone przez los miasto, które próbowało się pozbiierać.

Ale za jaką cenę?

Ilu ludzi jeszcze umrze, zanim życie tutaj wróci do normalności?

Odwrócił głowę w stronę pokoju Zoe.

Czy naprawdę powinny tu zostać?

Rozsądek podpowiadał, że powinny uciec od panoszącej się tu przemocy. W bezpieczniejsze miejsce.

Tylko gdzie teraz było bezpieczniej?

*Jeśli moje życie ma jeszcze jakiś sens, to taki, żeby pomóc ocalić te azyle bezpieczeństwa.*

Z tą myślą usiadł i za pomocą linijki zaczął porównywać wymiary obiektów na planach konstrukcyjnych i na rysunku Toby’ego Babbota.

Używając długopisu i kawałka papieru, wykonał obliczenia. Gdy skończył, stwierdził tylko jedną rozbieżność między wersjami.

Ale jakaż to była rozbieżność!

– Czy mógłbym się zobaczyć z panem Rossem? – zapytał Decker, okazując swoją legitymację służbową recepcjonistce w centrum dystrybucji. – Zna mnie. Odwiedziłem go tu już wcześniej.

Był poranek następnego dnia i Decker przyjechał tu o bardzo konkretnej porze.

– Przykro mi, ale pan Ross jest w hali głównej, agencji Decker.

– Mógłbym poczekać w jego biurze? To naprawdę ważne – dodał.

Kobieta, z którą rozmawiał, pracowała w recepcji sama, a za nim stało w kolejce jeszcze kilka osób.

– Byłem już w tym biurze. Kiedy zginął Frank Mitchell.

– Ach tak, rzeczywiście. Straszny wypadek...

Widząc, że nadal się waha, Decker wskazał na siniak na jej przedramieniu.

– Uderzyła się pani o coś?

– Stojak do przysiadów.

– Ćwicz pani, to dobre dla zdrowia.

– Nie chodzi tylko o to. Chcę być zbieraczem na hali. Ćwiczę, żeby spełnić wymogi sprawności fizycznej.

– Nie podoba się pani praca biurowa?

– Zbieracze zarabiają znacznie więcej, mogą brać nadgodziny i mają lepsze świadczenia emerytalne. Na tym mi zależy.

– Cóż, życzę powodzenia. To co, mogę poczekać na Rossa u niego w biurze?

Recepcjonistka zerknęła na niecierpliwących się ludzi w kolejce.

– W porządku. Pan Ross jest na obchodzie. Obawiam się, że to potrwa jakieś trzy kwadransy.

– Nie spieszy mi się.

Decker znikł w korytarzu za recepcją, gdzie mieściły się biura kierownictwa centrum. Wiedział, że o tej porze nie zastanie

Rossa w pokoju. Kiedy tu był ostatnim razem, Ross sam mu powiedział, jaki ma rozkład dnia. Teraz Decker zamierzał to wykorzystać i zajrzeć do biura pod jego nieobecność.

Skierował się szybkim krokiem w stronę pokoju. Nacisnął klamkę, ale drzwi okazały się zamknięte na klucz. Żaluzje były podniesione i ukazywały puste pomieszczenie.

Decker się rozejrzał. W korytarzu nie było nikogo. Wyjął z kieszeni scyzoryk i odsunął zasuwkę. Zamknął za sobą drzwi i opuścił żaluzje.

Biuro wyglądało dokładnie tak jak wtedy, gdy tu był ostatnim razem. Płaszcz Rossa wisiał na kołku przymocowanym do drzwi. Na podłodze leżała mała torba na suwak. Decker rozpiął go i zajrzał do środka. Było tam kilka sztuk sportowej odzieży, para trampek i białe skarpetki.

Zamknął torbę i wyjął z kieszeni coś, co przyniósł ze sobą specjalnie na tę okazję.

Taśmę mierniczą.

Szybko sprawdził wymiary pomieszczenia.

Głębokość pokoju była ponad pół metra mniejsza niż na planach konstrukcyjnych. To oznaczało, że całą tylną ścianę przesunięto o tyle do przodu. Musiał być jakiś powód. Decker pamiętał z planów, że za tym pomieszczeniem biegł inny korytarz, równoległy do tego, którym tu przyszedł.

Podszedł do ściany za biurkiem Rossa i zaczął się jej przyglądać. Różniła się od pozostałych: wyłożono ją drewnem i ozdobiono wyszukaną sztukaterią, a na środku powieszono klubowy szalik i oprawioną koszulkę drużyny Pittsburgh Steelers. Wcześniej nie zwrócił na ten fakt uwagi, ale teraz wydało mu się to bardzo intrygujące.

Nagle w pomieszczeniu rozległ się dźwięk, od którego Decker aż się wzdrygnął.

Rozejrzał się i znalazł jego źródło.

Na półce za biurkiem brzęczał smartfon Rossa. Ktoś dzwonił. Decker zerknął na ekran, ale numer był mu nieznanym i nie wyświetlało się przy nim żadne nazwisko.

Wrócił do oglądania ściany. Opukał ją w różnych miejscach.

W końcu znalazł punkt, w którym głuchy odgłos zdradzał ukrytą pod spodem wnękę. Znajdowała się w miejscu, gdzie wisiała koszulka. Stukał dalej, aż zorientował się, że wnęka ma z grubsza kształt dużych drzwi.

Obmacał wszystkie krawędzie, ale bez skutku. Zakrywała je sztukateria.

Spojrzał na dywan przed ukrytą wnęką. Wyglądał na nieco wystrzępiony, jakby w tym miejscu coś regularnie o niego ocierało.

Jeszcze raz przyjrzał się ścianie i postanowił spróbować czegoś prostego. Przyłożył palec na skraju wnęki i nacisnął.

Nic się nie wydarzyło. Naciskał w innych miejscach. W końcu w pobliżu sufitu natrafił na to, czego szukał. Był tam stiukowy medalion, który wyglądał na luźno osadzony. Decker próbował nim obrócić w kierunku zgodnym z ruchem wskazówek zegara, ale nawet nie drgnął. Kiedy jednak przekręcił go w przeciwną stronę, zadziałał jak gałka drzwiowa.

Coś kliknęło i część ściany otworzyła się jak drzwi. Dolna krawędź zawadzała o dywan, co tłumaczyło przetarcia.

Decker z uznaniem ocenił, że to przemyślny mechanizm. Po wewnętrznej stronie znajdowały się trzy metalowe zamki zasuwkowe: na górze, pośrodku i przy podłodze. Obrót medalionem powodował, że zasuwki się cofały, otwierając drzwi.

Rozwarł je na oścież i zajrzał do wnęki. Miała około sześćdziesięciu centymetrów głębokości i była wypełniona półkami. To dlatego powierzchnia biura nie odpowiadała tej z planów. W podwójnej tylnej ścianie ktoś umieścił tę pokaźnych rozmiarów skrytkę.

Na półkach stały prostokątne kartonowe pudełka.

Decker sięgnął po jedno. Kiedyś było oznaczone etykietą, ale większość jej zdarto, czyniąc resztę nieczytelną. Obejrzał się przez ramię. Obok biurka stała niszczarka. Czy właśnie tam skończyły wszystkie pozdzierane etykiety?

*Prawdopodobnie.*

Policzył pudełka. Dwadzieścia.

Z jednego ostrożnie odkleił taśmę zabezpieczającą i zajrzał

do środka. Było wyłożone cienką warstwą folii bąbelkowej. Pod nią znajdowały się plastikowe fiolki wypełnione białym proszkiem.

Nie zastanawiając się długo, Decker schował jedną fiolkę do kieszeni, zamknął pudełko, starannie dokleił taśmę i odstawił karton na miejsce. Na koniec dosunął drzwi.

Spojrzał na fotel Rossa. Siedzenie było porysowane. Decker domyślał się dlaczego. On miał prawie dwa metry wzrostu, a Ross jakiś metr siedemdziesiąt, więc musiał podstawiać sobie fotel, żeby sięgnąć medalionu otwierającego drzwi do skrytki.

Decker wyrzwał przez żaluzje, by się upewnić, że na korytarzu nie ma nikogo. Podniósł je tak, jak były, kiedy się tam zjawił. Potem wyszedł. Mijając recepcję, przystanął, by zagadnąć siedzącą tam kobietę.

– Okazuje się, że nie mogę dłużej czekać. Nie musi pani mówić Rossowi, że tu byłem. Wpadnę innym razem.

– Okej, nie ma sprawy, dziękuję.

– Nie, to ja dziękuję pani. Ach, jeszcze jedno.

– Tak?

– Czy macie tu salę do ćwiczeń dla pracowników?

– Salę? Nie. Skąd to pytanie?

– Kiedy tu byłem ostatnim razem, wiedziałem w biurze Rossa sportową torbę.

– Rzeczywiście, chodzi do tego samego fitness klubu co ja. Zaraz po pracy. Zawsze o tej samej porze, jak w zegarku. Czasem ćwiczę razem z nim. Nie zaszkodzi być w dobrych relacjach z szefem.

– Słusznie. Przebiera się tutaj czy w klubie?

Spojrzała na niego skonsternowana.

– W klubie. Mają tam szafki i prysznic.

– Dobrze wiedzieć, że dba o formę – powiedział Decker.

*Nawet bardzo dobrze*, pomyślał, opuszczając budynek szybkim krokiem.

Decker wszedł do samochodu. Już miał wyjeżdżać z parkingu, kiedy pod wpływem impulsu skręcił w przeciwnym kierunku. Pojechał w stronę miejsca, gdzie trwała budowa nowej części centrum dystrybucji. Zaparkował samochód, wysiadł i podszedł możliwie jak najbliżej. Wszędzie uwijali się robotnicy, pracowały minikoparki, krążyły ciężarówki i wózki widłowe dowożące materiały budowlane. Najwyraźniej policja wydała zgodę na wznowienie prac. Decker obserwował przez chwilę tę gorączkową aktywność, następnie przyjrzał się uważniej miejscu, w którym stał. Zauważył coś. Pochylił się, podniósł to z ziemi, obejrzał z bliska i schował do kieszeni. Wrócił do samochodu i odjechał.

Po drodze zadzwonił do Kemper i poprosił ją, żeby spotkała się z nim przed barem Merkury.

Kiedy się tam zjawił, już na niego czekała. Wsiadł do jej SUV-a, wyjął fiolkę i pokrótce opowiedział, skąd ją ma.

– Możesz sprawdzić, co to jest? Chociaż wydaje mi się, że już wiem.

Kemper przyjrzała się zawartości.

– To niemal na pewno heroina albo fentanyl. Wyglądają tak samo, dlatego dilerzy doprawiają jedno drugim. Problem w tym, że zabójcza dawka heroiny to trzydzieści miligramów, a fentanylu tylko trzy. Mówisz, że masz to ze skrytki w biurze Teda Rossa?

– Zgadza się. I jest tam tego cała fura. Przypuszczam, że dostawy przychodzą na adres centrum dystrybucji.

– Ale dlaczego tam? Przecież mógłby zamawiać to sobie prosto do domu albo do skrytki pocztowej.

– Znacznie łatwiej przeszukać dom czy skrytkę pocztową. Centrum dystrybucji odbiera miliony paczek. Dla policji to byłoby jak szukanie igły w stogu siana.

– Przecież każda z tych paczek jest ściśle monitorowana

na trasie od nadawcy do odbiorcy. Musi potem jakoś je usuwać z systemu komputerowego.

– Jest tu menedżerem. Jeśli ktoś mógł znaleźć sposób, jak to zrobić, to właśnie on.

– Skąd ci w ogóle przyszło do głowy, że ma skrytkę w swoim biurze?

– Toby Babbot. Naszkicował plan centrum dystrybucji. Natknąłem się na oficjalny zestaw rysunków konstrukcyjnych i porównałem je z tym, co znalazłem u niego. Wersja Babbota różniła się tylko jednym szczegółem. Tylna ściana w biurze Rossa była wysunięta o ponad pół metra.

– Jak Babbot to odkrył?

– Pracował przy budowie centrum, a potem w biurze. Pewnie w ten sposób do tego doszedł. Ja użyłem taśmy mierniczej. Może on też.

– Myślisz, że wiedział, co Ross zamierza zrobić z tą wnęką?

– No cóż, Babbot zginął. Zapewne dlatego, że wiedział, a przynajmniej podejrzewał.

– Dziwię się, że Ross trzyma to we własnym biurze.

– W sumie to dość bezpieczna kryjówka. Nie można się tam dostać przypadkiem. On musi stanąć na fotelu i obrócić kawałek sztukaterii, żeby uruchomić mechanizm otwierający. Panel, który służy za drzwi, nie różni się niczym od pozostałych. Można by patrzeć na tę ścianę cały dzień i nie zauważyć, że jest tam jakieś wejście. Dodatkowo zamaskował je, wieszając oprawioną koszulkę Steelersów.

– Tylko jakim cudem zlecił budowę czegoś takiego, nie zwracając niczyjej uwagi?

– Mógł to zrobić sam. Powiedział mi, że zanim się zatrudnił w centrum dystrybucji, pracował w budowlance. Albo paru robotników bierze w tym udział i to ich dzieło. Jako menedżer mógł zagospodarować budynek wedle własnego uznania i nadzorował wszelkie prace konstrukcyjne.

– Ale jak taki facet jak Ted Ross uwikłał się w dystrybucję narkotyków?

– Ten facet od zawsze był czyimś pionkiem. Powiedział mi,

że kiedy słabszy ma okazję zrewanżować się silniejszemu, powinien z niej skorzystać. To dlatego dał mi wizytówkę prawnika, który ma pomóc Amber pozwać Maxusa. Ted Ross nienawidzi ludzi, przed którymi całe życie musiał giąć kark. Alice Martin twierdzi, że jego ojciec, Fred, pomiałał nim i jego matką. To samo usłyszałem od niego na pogrzebie. Może nosi w sobie jakiś uraz. Przekonałem się na własnej skórze, że Fred Ross to dość nieprzyjemny typ. To – wraz z perspektywą naprawdę dużych pieniędzy – znakomity motyw. A może to do niego zwrócił się ktoś, kto chciał wykorzystać centrum dystrybucji jako przykrywkę do szmuglowania narkotyków.

– Decker, naprawdę odwaliłeś kawał dobrej roboty. Pozwól, że czymś się zrewanżuję. Pamiętasz, chciałeś się czegoś dowiedzieć na temat Randy’ego Haasa.

– Faceta, który na łożu śmierci, że się tak wyrażę, obciążył dwóch twoich agentów?

– Pytałeś, czy miał rodzinę i czy był na coś chory. Miałeś nosa w obu tych kwestiach. Haas osierocił dwójkę małych dzieci. Miał żonę. I raka trzustki. W zaawansowanym stadium. Zostały mu nie więcej jak dwa miesiące życia.

– A jego rodzina? Jak sobie teraz dają radę?

– Znakomicie. Mieszkają w Bel Air w Kalifornii, w domu, który kosztował trzy miliony dolarów.

– I skąd te pieniądze?

– Polisa na życie. W wysokości dziesięciu milionów dolarów.

– Sporo...

– Sporo, ale składki zostały opłacone co do jednej.

– No dobrze, ale wątpię, żeby Haas, wypełniając wniosek, w rubryce „zawód” wpisał „diler narkotyków”. Nie wierzę, żeby legalna firma ubezpieczeniowa sprzedała mu polisę na taką kwotę. Ryzyko, że ten facet nie pożyje długo, było za wysokie.

– Polisy nie wystawił żaden amerykański ubezpieczyciel. To była jakaś zagraniczna firma, o której próbowaliśmy się czegoś dowiedzieć, ale bez powodzenia. Może to tylko sposób na zapłacenie rodzinie w zamian za fałszywe oskarżenie moich dwóch agentów.



– Znowu polisa na życie... – powiedział Decker, jakby myślał na głos.

– No właśnie. Skąd ci przyszło do głowy, że Haas był śmiertelnie chory?

– Stać, że w moim przekonaniu kłamał na temat twoich agentów. Wrobił ich. Wcale nie przeszli na stronę tamtych. Myślę, że odkryli, co się dzieje w Baronville, i musieli zostać zlikwidowani. A Haas – który i tak już umierał i chciał zapewnić byt rodzinie – jedynie w tym pomógł. Przekonał was swoim przedśmiertnym wyznaniem, że zeszli na złą drogę i zostali zabici przez tych, z którymi się skumali. Nagrodę odebrała jego rodzina. Śmiertelną dawkę morfiny wstrzyknął sobie sam.

– Okej, więc mamy w Baronville dużą szajkę handlującą fentanylem. Sprowadzają go tu za pośrednictwem centrum dystrybucji Maxusa. Co twoim zdaniem Ross robi dalej z dostawami?

– Wywozi je z centrum i przekazuje innym. W biurze trzyma sportową torbę. Myślę, że w niej wynosi towar. Dowiedziałem się, że chodzi do fitness klubu. Tylko po co przynosi do biura strój do ćwiczeń, skoro w klubie są szafki na klucz i prysznice? Dlaczego po prostu nie zostawia torby w samochodzie?

– Przecież w centrum mają ochronę, która sprawdza wychodzących pracowników.

– Mają bramki detekcyjne, które nie reagują na taki proszek. Nawet jeśli faktycznie przeszukują torby, założę się, że ta Rossa ma podwójne dno. Otworzyłem ją, kiedy byłem w jego biurze. Wydała mi się zbyt płytka, a takie fiolki nie zajmują dużo miejsca.

– Zgadza się.

Decker wskazał na buteleczkę, którą wyniósł z biura menedżera.

– Objaśnij mi, jak się robi na tym pieniądze.

– Wyprodukowanie kilograma heroiny i kilograma fentanylu kosztuje mniej więcej tyle samo, czyli około trzech, czterech tysięcy dolarów. Z kilograma heroiny na ulicy można wyciągnąć sześćdziesiąt tysięcy. Fentanyl ma znacznie silniejsze działanie, dlatego z jednego kilograma można zrobić dwadzieścia cztery

kilo gotowego produktu, co czyni go narkotykiem znacznie bardziej dochodowym od heroiny. Kilogram fentanylu wystarczy do wyprodukowania prawie siedmiuset tysięcy tabletek, które chodzą po dwadzieścia pięć dolców za sztukę. – Przyjrzała się uważnie fiołce. – Tu jest około pięciu gramów proszku.

– W biurze widziałem dwadzieścia pudełek. W tym, które otworzyłem, było pięć takich fiołek. Jeśli pozostałe zawierały ich tyle samo, ile można by za to zgarnąć na ulicy?

Kemper przez chwilę liczyła w myślach.

– Jeśli to fentanyl, facet trzyma w biurze prawie dziewięć milionów dolarów.

– Ciekawe, jak często przychodzą dostawy.

– Też się nad tym zastanawiam – powiedziała Kemper tonem zdradzającym niepokój.

– W każdym razie kwoty, o których mówimy, sugerują grubszą sprawę. Nie wygląda mi to na małomiasteczkową szajkę. Nie masz wrażenia, że to coś na skalę międzynarodową?

Kemper skinęła głową.

– Jakbyś czytał mi w myślach, Decker. Fentanyl to specjalność meksykańskich karteli. Sprowadzają go bezpośrednio z Chin, gdzie jest produkowany zarówno nielegalnie, jak i przez legalne koncerny farmaceutyczne, albo kupują u Chińczyków półprodukty i przetwarzają je we własnych laboratoriach. Potem go sprzedają w formie sproszkowanej, jak w tej fiołce, albo mieszają z heroiną. Oprócz tego wytłaczają miliony tabletek z fentanylem. Ludzie, którzy nie chcą niczego wciągać nosem ani palić, ponieważ się boją albo czują się wtedy narkomanami, wybierają tabletki. Myślą, że to bezpieczniejsze i wydaje im się to bardziej legalne. Coś jak lek na receptę. Takie tabletki nie różnią się wyglądem od tych z oksykodonom. Można je zażywać razem z alprazolamem albo innymi środkami przeciwbólowymi. Wytłacza się nawet na nich liczbę osiemdziesiąt, ponieważ taka jest typowa dawka oksykodonu. Szemrane osiemdziesiątki, tak się je nazywa na ulicy. Jak mówiłam, kosztują dwadzieścia pięć dolarów za sztukę, a typowa osoba uzależniona bierze około dwudziestu tabletek dziennie.

– Pięćset dolarów dzień w dzień? Kosztowny nałóg.  
– Zdarzało mi się aresztować dilerów, którzy regularnie sprzedawali minimum tysiąc tabletek dziennie. Na ulicy taka ilość jest nazywana łódką. Są dilerzy, którzy sprzedają tego znacznie więcej.

Decker spojrział na fiolkę.

– Myślisz, że z tego proszku miały powstać tabletki?

– Tak sądzę. To znaczy, że proszek trafia do punktu gdzieś w pobliżu. Inaczej w jakim celu mieliby przesyłać dostawy za pośrednictwem centrum dystrybucji?

– Ile miejsca potrzeba na taką produkcję?

– Można to robić we własnej sypialni albo na tyłach legalnie działającej firmy. Najpierw jednak trzeba przywieźć sprzęt. Przede wszystkim prasę do tłoczenia. Są takie ćwierćtonowe, półtonowe i większe, w zależności od zapotrzebowania. Ćwierćtonowa tabletkarka może wyprodukować od trzech do czterech tysięcy tabletek na godzinę. Potem ktoś musi to wszystko popakować. Trzeba przy tym bardzo uważać. Podczas nalotów DEA zdarzało się, że miejscowi policjanci, którzy nie używali rękawiczek, po dotknięciu fentanylu padali na podłogę i sinieli. Jest aż tak niebezpieczny.

– Cóż, w tej okolicy nie brakuje opuszczonych domów. Mam na myśli zwłaszcza ten, w którym znaleźliśmy dwóch twoich ludzi. Zmieściłoby się w nim nawet kilka tabletek. To by tłumaczyło, dlaczego w domu był prąd, chociaż nikt tam nie mieszkał.

Kemper zrobiła wielkie oczy.

– Myślisz...?

– Pamiętasz, mówiłem ci, że tamtego wieczoru w okolicy latał dron.

– Tak, ale nie powiedziałaś dlaczego.

– Przypuszczam, że wywozili sprzęt, a potem wnosili ciała. Nie chcieli, żeby ktoś ich zaskoczył. Najłatwiej to zrobić, monitorując okolicę z powietrza. Właśnie do tego najlepiej nadają się drony.

– Musimy przeszukać ten dom jeszcze raz, żeby sprawdzić, czy nie ma tam jakichś śladów po produkcji tabletek.

– Sprawdziłbym również dom obok. Ten, w którym zastrzeliłem Briana Collinsa. Też stoi pusty i ma podłączony prąd.

– A ten starzec, który mieszkał po drugiej stronie ulicy?

– Dan Bond mógł coś usłyszeć i postanowili się go pozbyć. Przypuszczalnie wybrali właśnie tę ulicę dlatego, że prawie nikt tam nie mieszka. Tylko trzy osoby łącznie z nim. A Fred Ross jest ojcem faceta, który trzyma całą masę prochów.

– Co proponujesz? Zwinąć Teda Rossa?

– Jeśli to zrobimy, spłoszymy całą resztę. Poza tym na podstawie informacji ode mnie nie dostaniesz nakazu przeszukania, bo do tego, co zrobiłem dzisiaj w biurze Rossa, nie miałem uzasadnionych podstaw.

– Myślisz, że kiedy zajrzy do swojej skrytki, nie zauważy braku jednej fiolki?

– Pewnie stwierdzi, że go po prostu orznęli. Trzeba go jednak obserwować. Jeśli zacznie zachowywać się tak, jakby się czegoś domyślał, będziemy go musieli zwinąć.

– Dobra, zlecę to swoim ludziom. A ty co zamierzasz?

– Wiemy już, co jest kluczem do tej historii. Narkotyki. Teraz trzeba dopasować pozostałe części układanki.

– Myślisz, że wszystkie morderstwa są z tym powiązane?

– Tak sądzę. Ale możliwe, że dzieje się tu coś jeszcze.

– Znaczy co?

– Jak tylko się dowiem, dam ci znać.

– Mam rozumieć, że nie stać cię na zapłacenie kaucji?

Był następny dzień. Decker i Jamison siedzieli naprzeciw Johna Barona w pokoju widzeń więzienia w Baronville.

Decker opowiedział Jamison, co znalazł w biurze Teda Rossa i o spotkaniu z agentką Kemper.

Baron miał na sobie więzienny biały drelich. Był nieogolony i miał zmierzwione włosy. Wyglądał, jakby niewiele spał.

– Zgadza się.

– Nie, wcale się nie zgadza. Cindi Riley próbowała zapłacić za ciebie kaucję, ale się nie zgodziłaś.

– To nie jest jej problem. Wynajęła mi prawnika. Nie powinna marnować na mnie więcej pieniędzy.

– To bardzo szlachetne z twojej strony – skwitował Decker – ale szlachetnością się z tego nie wygrzebiez. Prawda mogłaby pomóc.

– Znowu pijesz do tego, że cię okłamałem? – Baron zareagował opryskliwie. – Już się do tego przyznałem.

– Niekoniecznie mówię o tobie. Raczej w sensie ogólnym.

– Więc po co tu przyszliście?

– Dla mnie jest to dość oczywiste, że Bradley Costa sprowadził się do Baronville, ponieważ był przekonany, że wie, gdzie jest ukryty skarb twojego imiennika.

– A mnie się wydawało, że dość jasno wyraziłem swoją opinię na ten temat. Nie wierzę, że istnieje jakiś skarb. Gdyby tak było, już dawno zostałyby znalezione.

– Założmy, czysto teoretycznie, że jednak istnieje.

Baron westchnął i rozsiadł się wygodniej na plastikowym krzeselku.

– Chcesz pogdybać? Proszę bardzo. Nie mam aktualnie nic lepszego do roboty.

– Jeśli na twojej posesji znajduje się skarb, to komuś, kto go poszukuje, byłoby trudno tak po prostu go wydobyć i z nim

zniknąć. Mam rację?

– To zależy, co by to miało być.

– Nie przypuszczam, żeby to były papiery wartościowe. Raczej coś trwalszego. Sądzę, że twój przodek chciał, by jego dorobek ostał się na wieki.

– Dlaczego miałyby mu na tym zależeć? Umarłemu chyba wszystko jedno.

– Dlatego, że był sukinsynem – oświadczył Decker. – Nie chciał zostawić pieniędzy swojej rodzinie. Z listu, który Nigel Nottingham napisał do swojego syna, wyczytałem, że twój przodek uważał swoje dzieci za niegodne dziedziczenia jego fortuny.

Baron zamyślił się nad tym, co usłyszał, po czym wzruszył ramionami.

– O tym, jak tragiczna jest nasza sytuacja finansowa, dowiedziałem się dopiero po śmierci rodziców. Dom był obciążony hipoteką, a konto w banku świeciło pustkami. Założyłem więc, że poprzednie pokolenia zwyczajnie wszystko roztrwoniły. Trochę jednak poszperałem i dowiedziałem się, że Baron Pierwszy nie zostawił po sobie pieniędzy, bo po prostu ich nie miał.

– Skoro tak mu dobrze szło w interesach, to gdzie się podziały? – zapytała Jamison.

– Rozmawiałem kiedyś o tym z moim ojcem. On najwyraźniej też zgłębił ten temat. Jako prawnik wiedział, gdzie szukać, że się tak wyrażę. Zbadał sprawę i oświadczył mi, że stary Baron wszystkie nieruchomości zastawił w banku. Dla jego dziedziców to był podwójny cios. Nie dość, że interesy były objęte hipoteką, to brakowało gotówki na obsługę długu.

– Może właśnie to jest ten skarb. Brakujące pieniądze – zauważyła Jamison.

Baron spojrział na nią przeciągle.

– Alex, nie ma żadnego skarbu.

– Dlaczego nie?

– Wielu moich przodków próbowało go znaleźć. Widzieliście wszystkie te dziury w ścianach. Cały teren wokół został

przekopany. Ojciec powiedział mi, że wyglądało to, jakby ktoś urządził tam kopalnię odkrywkową. Gdyby skarb istniał, jestem pewien, że do tego czasu zostałyby znalezione.

– Skąd w ogóle przyszło im do głowy, że jest jakiś skarb? – zapytała Jamison.

– Zapewne nie mogli się pogodzić z tym, jak mało odziedziczyli, i zwyczajnie nie uwierzyli, że to już wszystko, co im zostawił – odparł John. – Może, jak zauważył Decker, uznali, że stary Baron próbował ich wydymać.

– Kiedy zmarł, jego kopalnie i fabryki nadal działały – zauważył Decker.

– Tak, ale wkrótce zaczęły podupadać z braku kapitału. Poza tym jego spadkobiercy już nie mieli takiej smykałki do interesów.

– I tak wróciliśmy do mojego pierwotnego pytania – stwierdził Decker. – Jeśli tam u ciebie, na wzgórzu, jest jakiś skarb, to gdyby ktoś go szukał, musiałyś to zauważyć, prawda?

– Cóż, jestem tam prawie cały czas. Jeśli znikam, to na parę godzin. Na teren posiadłości nie można się dostać, nie przechodząc pod samymi drzwiami wejściowymi.

– Nadal masz prawo własności do tego miejsca, tak?

– Oczywiście, że tak.

– A jeśli zostaniesz skazany za morderstwo, co wtedy?

– Dobrze wiesz co. Pójdę do więzienia.

– Nie o to chodzi – wtrąciła Jamison. – Decker pyta, co się stanie z posesją. Z twoim domem.

Baron nastroszył brwi.

– Ach, rozumiem. No cóż, ledwie wiązę koniec z końcem. W więzieniu nie mógłbym pracować, a to by oznaczało koniec moich dochodów, i tak przecież małych.

– Mógłbyś sprzedać jakieś rodzinne pamiątki. Na przykład te stare pistolety, które nam pokazywałaś.

– Jest coś jeszcze, o czym nie wiecie.

– Co takiego?

– Mimo że Brad Costa odrzucił moją prośbę, jakiś rok temu udało mi się zrefinansować kredyt. Bank zgodził się na nieco niższe odsetki, ale pojawił się haczyk.

– Jaki?

– Klauzula o naruszeniu zasad współżycia społecznego. Posiadłość mogłaby zdobyć status obiektu o wartości historycznej, co podniosłoby jej wartość. Gdybym jednak uwikłał się w jakiś skandal, automatycznie straciłaby na wartości. Bank wziął to pod uwagę, renegegując umowę.

– Chcesz przez to powiedzieć, że gdybyś został skazany... – zaczęła Jamison.

– Bank mógłby ogłosić, że nastąpiło niedotrzymanie warunków umowy – dokończył za nią Baron – następnie zająć posiadłość, wystawić ją na aukcji i sprzedać temu, kto da najwięcej. Nawet jeśli byłoby mnie stać na płacenie rat kredytu.

– Ale jaki miałby w tym interes? – zapytała Jamison.

– Zabezpieczeniem hipoteki jest posiadłość. Gdybym się dopuścił rażącego naruszenia prawa, w ocenie banku spowodowałbym obniżenie wartości rynkowej tego zabezpieczenia. Wówczas bank mógłby chcieć odzyskać swoje pieniądze, wystawiając dom na sprzedaż. – Baron zerknął na Deckera. – Nie wydajesz się tym zaskoczony.

– Bo nie jestem.

– Dlaczego?

– Jeśli założymy, że nie popełniłeś tych morderstw... Ktoś bardzo się postarał, żeby zrzucić winę na ciebie. Znałeś albo miałeś kontakt z wszystkimi czterema ofiarami, ale w przypadku niektórych z nich nie było to wcale takie oczywiste. Musieliśmy trochę poszperać, żeby się o tym dowiedzieć. Zwłaszcza że nas okłamałeś.

– Już to przerabialiśmy.

– Tak więc ktokolwiek ich zabił, nie chciał, żeby to wyglądało zbyt prosto.

– Dlaczego? – zapytała Jamison.

– Gdyż moglibyśmy pomyśleć, że ktoś go wrabia.

– A do takiego wniosku doszedłeś? – zapytał Baron.

– Nie wykluczam, że tak jest. Na jaką kwotę jest zadłużona twoja posiadłość?

– Olbrzymią.



– A więc ktokolwiek chciałby wykupić hipotekę, musiałyby mieć głębokie kieszenie?

– Tak. Sprzedając posiadłość, bank wzięłyby za nią mniej pieniędzy, niż wynosi dług, ale tylko trochę mniej.

– Costa wiedział o tym wszystkim?

– To on zawarł ze mną nową umowę, tę z klauzulą o naruszeniu zasad. Jak już mówiłem, kiedy zwróciłem się do niego, żeby przedłużyć umowę na lepszych warunkach i z niższym oprocentowaniem, odmówił.

– Myślicie, że Costa zamierzał przejąć posiadłość Johna? – zapytała Jamison. – Po to, żeby bez przeszkód szukać skarbu?

– Sądzę, że taki miał plan – stwierdził Decker – ale przypuszczam, że wiedział, gdzie znajduje się skarb.

Baron wyprostował się na krześle.

– Co takiego?

– Z siedziby towarzystwa historycznego wykradł list, w którym, jak się domyślam, znalazł odpowiedź.

– Ale Decker – zaprotestowała Jamison – przecież Costa nie mógł kupić tej posiadłości na siebie, prawda? To byłaby tak zwana autotransakcja. Na pewno są jakieś przepisy bankowe, które tego zabraniają.

– Z pewnością – skwitował Decker. – Dlatego potrzebował słupa.

– Figuranta, który będzie właścicielem posiadłości tylko z nazwiska?

– Właśnie. Costa pewnie zaoferował tej osobie procent od zysku.

– Zatem teraz musimy znaleźć tego kogoś – powiedziała Jamison.

– Tak, musimy. Tym bardziej że to właśnie ta osoba zamordowała Babbota, Tanner, Swansona i Bradleya Costę. – Zamilkł i spojrzał na Jamison. – Myślę, że również Franka.

– Podejrzewasz, że Frank też mógł zostać zamordowany? Dlaczego mi nie powiedziałaś? – burknęła Jamison.

Jechali samochodem z powrotem do domu Mitchellów.

– Mówiłem ci, że nie jestem pewien, czy jego śmierć była wypadkiem.

– Tak, ale teraz wydajesz się dużo bardziej przekonany, że go zabito.

– Bo jestem.

– Ale po co ktoś miałby go mordować?

– Może widział coś, czego nie powinien był zobaczyć.

– Przecież zabił go robot.

– Roboty kontrolują ludzi. Może ten zrobił tylko to, do czego został zaprogramowany?

Zanim Jamison odpowiedziała, zadzwonił telefon Deckera.

To była Kemper.

– Przejrzeliśmy na szybko oba domy. W jednym i drugim wykryliśmy ślady heroiny i fentanylu. Decker, nie wiem, jak długo mogę nic z tym nie robić.

– Potrzebujemy jeszcze trochę czasu. Obserwujecie Rossa?

– Tak. Wychodził wczoraj ze swoją torbą. Założę się, że oprócz stroju do ćwiczeń nosi w niej coś jeszcze. Był w kilku różnych miejscach, w tym w fitness klubie. Nie mogliśmy wchodzić za nim, żeby się nie zdemaskować. Za każdym razem po wyjściu torbę miał przy sobie, ale nie wiem, czy fiolki wciąż tam były. Może więc właśnie straciliśmy dowody.

– Dorwiemy ich, agentko Kemper.

– Oby. Bo jeśli nie, moja kariera w DEA jest skończona. Chcę tylko, byś miał świadomość, że kurczy się nam czas – powiedziała i się rozłączyła.

Decker spojrzął na Jamison, która ewidentnie słyszała napięty ton agentki.

– Mam wrażenie, że zaczyna panikować – zauważyła.

– Chyba tak – zgodził się, chociaż bez przekonania.  
– Ty nigdy nie panikujesz?  
– W niczym to nie pomaga.  
– Nie możemy powiedzieć Amber o twojej teorii na temat śmierci Franka. Dopóki nie będziemy absolutnie pewni.

– Wiem.

W tej samej chwili zaczął mżyć drobny deszcz.

– Boże, Baronville jest dość ponure nawet bez takiej pogody – zauważyła Jamison.

– Ponure, ale ma swoje jasne punkty – zauważył Decker. – Spójrz na tę piekarnię. Cindi Riley mi o niej powiedziała. Właścicielka sfinansowała ją z polisy na życie syna, który przedawkował.

– Naprawdę myślisz, że kryje się za tym jakiś przekręt?

– Nie zaszkodzi zajrzeć. Może mają kawę.

Jamison zjechała na parking. Po chwili weszli do piekarni Pod Pawiem. Nad wejściem widniał neon w kształcie tego barwnego ptaka.

Wewnątrz było schludnie i elegancko: bielone drewniane stoły, kolorowe obrusy, przeszklone gabloty wypełnione smakołykami. Na ścianie za ladą wisiała duża tablica z wypisanym kredą aktualnym menu.

Jamison głęboko wciągnęła powietrze.

– Boże, pachnie tak, że chciałoby się zjeść wszystko, co tu mają.

Zza kotary w głębi pomieszczenia wyszła kobieta i stanęła za kontuarem.

Miała gęsto pomarszczoną twarz, a włosy przyprószone siwizną. Jej mizerny wygląd kontrastował z miłym uśmiechem i błyskiem w oku, którymi ich powitała.

– Czym mogę służyć? – zapytała.

– Dwie duże kawy na wynos – powiedział Decker.

Jamison wskazała na jedną z półek w gablocie.

– Czy to są marchewkowe muffinki?

– Tak, proszę pani.

– Cudnie. Weźmiemy dwie.

– Dobry wybór. Świeżutkie, prosto z pieca. Jestem Linda Drews,

właścicielka.

– Witaj, Lindo. Jestem Alex, a to Amos. Skąd ta nazwa z pawiem?

– Kiedy byłam mała, marzyłam, żeby mieć pawia. Oczywiście to się nigdy nie ziściło, więc tak to sobie wynagrodziłam. Ludzie mi mówią, że neon robi wrażenie – odpowiedziała, przygotowując zamówienie.

– To miejsce wygląda na dopiero co otworzone – zauważył Decker.

– Otworzyłam je niecały rok temu. Zawsze uwielbiałam piec, więc dlaczego nie spróbować z tego żyć? Poza tym dobrze być samemu sobie szefem. Wychodzę na swoje. Po części dzięki centrum dystrybucji. Wielu moich klientów to tamtejsi pracownicy. Ludzie, którzy przez cały dzień dźwigają ciężary i muszą się tyle nachodzić, są potem głodni.

– Wyobrażam sobie – mruknął Decker.

– Jak się dowiedzieliście o mojej piekarni? – zapytała Drews, nalewając kawę do kubków.

– Od Cindi Riley.

– Ach, tak. Cindi jest bardzo miła. Reklamuje nasze małe inicjatywy. Próbujemy przywrócić to miasto do życia.

– Opowiedziała nam także o twoim synu. Przyjaźniła się z nim.

Drews właśnie się pochyliła, by sięgnąć szczypcami po dwie muffinki. Słyszając słowa Deckera, na moment znieruchomiła.

– Cindi powiedziała wam o Keicie?

– Tak. Przykra historia.

Drews powoli wsunęła muffinki do torby.

– Był moim jedynym dzieckiem. Tego nie da się przeboleć.

– Na pewno. Cindi wspomniała, że to było przedawkowanie – kontynuował Decker.

Drews skinęła głową.

– Baronville ma wiele problemów. Największym są narkotyki. Przyznaję, że sama brałam przez długi czas. Zaczęłam od percocetu, a potem zaczęłam mieszać.

– Z czym? – zapytała Jamison.

– Z oksykodonem, alprazolamem... Do diabła, z czym tylko się dało. Brałam po kilkaset tabletek tygodniowo. – Postawiła torbę

z muffinkami na ladzie. – Jak się wam wydaje, ile mam lat?

Decker wzruszył ramionami. Wyglądał na skrępowanego.

– Nie lubię zgadywać wieku innych.

– Dopiero co skończyłam pięćdziesiąt lat. – Uśmiechnęła się smutno, widząc ich zaskoczone miny. – Narkotyki to nie eliksir młodości. Wiem, że wyglądam na sześćdziesiąt pięć.

– Ale zwalczyłaś swój nałóg i to się liczy – powiedziała Jamison.

Drews nerwowo postukiwała palcami o ladę.

– To codzienna walka... Dzisiaj jestem czysta. Jutro? Kto wie.

– Jesteś niesamowicie szczerą – zauważyła Jamison. – Przecież nas nie znasz.

– Nagadałam się o tym do znudzenia w ośrodkach dla uzależnionych. Trzeba się nauczyć, jak sobie z tym radzić. Musisz się otworzyć, bo inaczej nigdy nie będzie lepiej. Próbowałam walczyć na wiele sposobów, bo coś, co pomaga jednym, nie pomoże innym. Ale w końcu to rzuciłam, dzięki Bogu. Najtrudniejsza rzecz, jaką zrobiłam w życiu.

– Ale Keith nie podołał?

Drews zaczęła nabijać na kasę ich zamówienie, ale przerwała.

– On nie. – Łzy nabiegły jej do oczu. – Rodzice nie powinni żyć dłużej od swoich dzieci. Keith zmarł szesnaście miesięcy temu. W przyszłym miesiącu skończyłby dwadzieścia osiem lat.

– Tak mi przykro – powiedziała Jamison.

– Ale przynajmniej masz teraz piekarnię – wtrącił Decker, próbując skierować rozmowę na interesujący go tor.

– Cóż, to tak naprawdę zasługa Keitha.

– Jak to? – zapytał Decker.

– Keith miał wykupioną polisę na życie, na miliony dolarów, a ja byłam beneficjentem. Inaczej nigdy nie byłoby mnie stać na takie miejsce jak to. Same piece kosztują fortunę. – Zamilkła na moment i wzięła kartę kredytową, którą podała jej Jamison, żeby zapłacić za kawę i muffinki. – Wolałabym dalej mieć syna niż to wszystko – dodała bolesnym tonem.

– Dobrze, że miał taką polisę – zauważył Decker. – Pewnie z pracy?

– Nie, nie z pracy. Miał robotę w centrum dystrybucji. Był tam

zbieraczem. Cały dzień biegał po hali, schylał się, dźwigał. Nadwyrężył sobie kręgosłup i go wylali. Poszedł do lekarza. Dostał tabletki przeciwbólowe. Uzależnił się. Stara śpiewka. Któregoś razu zażył coś, co miało być heroiną, ale okazało się, że to fentanyl. Zmarł, zanim zdążyło przyjechać pogotowie.

– To straszne – powiedziała Jamison.

– W Baronville to nic niezwykłego. Ani żaden wstyd.

– Szczęście w nieszczęściu, że twój syn wykupił polisę, jeszcze zanim się uzależnił – drażył temat Decker.

– Rzeczywiście. To samo mówił Willie.

– Willie?

– Willie Norris. To on sprzedał Keithowi polisę. Tak powiedział, kiedy mi wręczał czek. Ale Keith naprawdę był wtedy czysty. A teraz nie żyje.

– Wykupił polisę już po tym, jak doznał urazu kręgosłupa? Polisę wartą miliony dolarów?

– Tak. Słyszał, że to dobry pomysł. Chciał się znowu zatrudnić w centrum dystrybucji. A tam bywa niebezpiecznie. Wszystkie te roboty i tak dalej. Jedno takie cholerstwo dopiero co kogoś zabiło. Wiedzieliście o tym?

– Tak, słyszeliśmy – rzuciła Jamison.

– Kto zasugerował twojemu synowi polisę na życie? Ten Willie Norris?

– Tego dokładnie nie wiem. To jedyne, co dobrego wynikło ze śmierci Keitha. Z tego, co mi zapłacili, mogłam wyprawić synowi porządny pogrzeb i urządzić się tutaj. – Wierzchem dłoni otarła załzawione oczy. – Mam nadzieję, że muffinki będą wam smakowały – dodała. – Powiedzcie innym.

– Mogłabym cię prosić o kontakt do tego Norrisa? Moja siostra właśnie straciła męża. Ma małą córkę i zastanawiam się, czy nie powinna wykupić sobie takiej polisy.

– Oczywiście. O takich rzeczach trzeba pomyśleć zawczasu, bo na tym świecie nigdy nic nie wiadomo. – Linda Drews poszperała w szufladzie i wyjęła wizytówkę. – Tu masz do niego namiary, skarbie. To jakieś półtora kilometra stąd. Willie to porządny człowiek. Mieszka tu od zawsze, tak jak ja.

Jamison spojrzała na wizytówkę.

– Wielkie dzięki – powiedziała i wrzuciła piątaaka to stojącego na ladzie słoja z napiwkami.

– Dziękuję – zareagowała Drews.

Decker rozejrzał się jeszcze raz po piekarni.

– Mam nadzieję, że interes się rozkręci – rzucił.

– Ja też – odpowiedziała Drews. – To jedyne, co mi zostało.

Jamison wręczyła wizytówkę Deckerowi, kiedy wsiadali do samochodu.

– Tak się zastanawiam... – zaczął.

– Nad czym?

– Keith Drews traci pracę i wykupuje sobie polisę na życie. Linda powiedziała, że zrobił to dopiero po tym, jak doznał urazu kręgosłupa. To znaczy, że już wtedy zażywał środki przeciwbólowe.

– Może wtedy jeszcze nie był od nich uzależniony.

– Może nie... – przyznał Decker bez przekonania.

– Jedziemy teraz odwiedzić tego Norrisa?

– Nie, to może poczekać. Pokręćmy się trochę. Wypijmy kawę, zjedzmy muffinki i omówmy parę spraw.

– Okej, dawaj. – Jamison skosztowała swojej babeczki. – O Boże, teraz bym zapaliła.

– Powstrzymaj się jeszcze trochę. – Decker ugryzł kęs muffinki i łyknął kawy. – Costa, Tanner, Swanson i Babbot. Przyjrzyjmy się im kolejno i ustalmy, co wiemy o każdym z nich.

– Okej.

– Bradley Costa wykombinował, gdzie jest skarb, i przyjechał tu, żeby go zgarnąć. Zatrudnił się w banku, który ustanowił hipotekę na posiadłość Baronów.

– Myślisz, że tak to sobie zaplanował?

Decker skinął głową i otarł usta z bitej śmietany.

– Założę się, że dowiedział się o hipotece i właśnie dlatego wybrał sobie ten bank. To był rekin z Wall Street. Ilu takich jak on przyjeżdża w takie miejsca?

– Ani jeden.

– Tak więc renegecował umowę z Johnem Baronem i zawarł w niej klauzulę o naruszeniu zasad współżycia społecznego.

– A potem zaczął wrabiać Barona w morderstwa?

– Nie, to nie mogło być tak. Choćby z tego powodu, że Costa sam



został zamordowany. Myślę, że zamierzał w jakiś sposób złapać Barona na tę klauzulę. To nie musiało być od razu zabójstwo, ale na przykład narkotyki. Może wiedział, że Swanson urządził sobie metę na posesji Barona i że trzyma tam swój zapas narkotyków. Pewnie myślał, że kiedy Baron pójdzie do więzienia, bank wystawi posiadłość na sprzedaż, a wtedy podstawiony człowiek ją kupi. Tylko że figurant wyrolował Costę. Zabił go, żeby nie musieć się z nim dzielić skarbem. Potem doprowadził do końca plan wrobienia Barona, mordując cztery osoby. W ten sposób upiekł dwie pieczenie przy jednym ogniu.

– To wszystko są spekulacje.

– Rozważam możliwe scenariusze.

– Okej. Swanson zginął, ponieważ koczował na terenie posiadłości Barona. Poza tym był dilerem, a gdyby Barona powiązano z handlem narkotykami, to – jak powiedziałaś – bank zapewne skorzystałby z klauzuli.

Decker skinął głową.

– Poza tym ktoś, kto zamierzał wydobyć skarb, nie chciał, żeby w tym czasie kręcił się tam Swanson. Pozbył się więc niewygodnego świadka, a w zabicie go wrobił Barona. Znowu dwie pieczenie przy jednym ogniu.

– To ma sens.

– Pamiętasz gwóźdź, który znaleźliśmy w oponie samochodu Tanner?

– Tak.

– Kiedy byłem w centrum dystrybucji, podjechałem na budowę tej nowej części. Zgadnij, co tam znalazłem. – Wyjął z kieszeni marynarki i uniósł do góry przedmiot, który podniósł z ziemi na parking.

– Wygląda jak gwóźdź z opony.

– Jest dokładnie taki sam.

– Myślisz, że Tanner była w centrum dystrybucji?

– Myślę, że był tam jej samochód.

– Sądzisz, że została stamtąd porwana?

– Nie wiem. Tanner miała związek z Baronem. Była jego dawną dziewczyną. Pomagał jej finansowo. Dlatego została

zamordowana.

– A Babbot?

– Wtargnął na posesję Barona. Wiemy to od Lassiter.

– Po co? Może też szukał skarbu? Ale skąd by o nim wiedział?

– To małe miasto. Może coś gdzieś usłyszał. A taka fortuna działa na wyobraźnię.

– Myślisz, że Babbot wiedział też o narkotykowej szajce?

– To z pewnością możliwe – przyznał Decker. – A przynajmniej mógł podejrzewać, co kombinuje Ross. Musiał wiedzieć o schowku w jego biurze, bo to wynika z niezgodności między rysunkiem Babbota a oryginalnymi planami. Pytanie, czy wiedział, co Ross tam trzyma. W każdym razie śmierć Babbota była kolejną przypisaną Baronowi. Człowiek, który zabił Babbota, przy okazji uciszył go w kwestii skrytki w podwójnej ścianie biura.

Ledwie wypowiedział te słowa, odchylił się mocno na oparcie fotela i zaciął powieki.

– Decker, wszystko w porządku?

– Próbuję sobie coś przypomnieć, ale nie mogę przywołać właściwego obrazu.

– To z powodu urazu głowy? – zapytała z troską w głosie.

Decker niecierpliwie potarł czoło.

– Być może.

– Co próbujesz sobie przypomnieć?

– Liczby.

– Jaką liczbę?

– Liczby! – burknął.

Obrazy w głowie Deckera wirowały. Liczby miały różne kolory. To był objaw jego synestezji. Teraz jednak coś poszło inaczej. Niektóre z liczb zmieniły kolor.

*Siedem, cztery, trzy... To jest zero? Nie, może ósemka? Czerwień, pomarańcz, zieleń... Dwójka?*

Decker zmarszczył czoło.

*To dziewiątka czy szóstka obrócona do góry nogami? No dalej, cholera, dalej.*

W końcu cyfry ustawiły się we właściwym porządku. Dwa ciągi

liczb. Pasowały do siebie idealnie.

Decker otworzył oczy, wyjął telefon i nacisnął kilka guzików na klawiaturze.

– Do kogo dzwonisz?

– Do nikogo.

Wcisnął kolejne klawisze.

– To co robisz?

– Szukam w spisie numeru, który widziałem.

– Gdzie go widziałeś?

– W telefonie Teda Rossa.

– Dlaczego to takie ważne?

– Dlatego, że widziałem ten numer gdzieś jeszcze.

Unióś telefon wyżej i odwrócił go do niej wyświetlaczem.

– Fred Ross – odczytała. – Ojciec Teda?

– Tak.

– To takie dziwne, że ojciec dzwonił do syna?

– Nie, ale dziwne jest to, że syn nie ma numeru ojca na liście kontaktów, nawet jeśli nie żyją ze sobą dobrze. Gdyby miał go w telefonie, na wyświetlaczu nie pokazałyby się sam numer.

– To rzeczywiście dziwne. Poczekaj. Mówiłeś, że widziałeś ten numer gdzieś jeszcze.

– Tak.

– Gdzie?

– Na ścianie.

– Jakiej ścianie?

– Na ścianie z numerami w domu Alice Martin.

– Cóż, ostatecznie są sąsiadami.

– Martin powiedziała mi, że ma na ścianie tylko numery, pod które często dzwoni, żeby nie musiała ich pamiętać.

– Do sąsiadów się dzwoni, nawet często.

– Tylko że Martin, jak sama stwierdziła, nie cierpi Rossa, i to od wielu lat. Poznałem go osobiście, więc wcale się temu nie dziwię. Nawet jego własny syn nie może go ścierpieć.

– To dlaczego ma numer Rossa zapisany na ścianie? – zapytała Jamison.

– Cóż, przychodzi mi do głowy co najmniej jeden powód.



Willie Norris miał swoje biuro w byłym lokalu mieszkalnym, niecałe dwa kilometry od piekarni Lindy Drews.

Kiedy się pojawili, młoda kobieta w pokoju od frontu natychmiast wstała, by się z nimi przywitać. Była grzeczna i trochę nieśmiała, chociaż Decker wyczuł w jej zachowaniu pewien dystans, a nawet niepokój. Miała na sobie dzinsy i białą koszulę z mankietami. Komputer na jej metalowym biurku sprawiał wrażenie co najmniej dziesięcioletniego. Błat był zaślany teczkami na dokumenty.

Zanim tu weszli, na podjeździe przed budynkiem zauważyli dwa samochody: lśniący nowością czarny kabriolet lexus i stary, pordzewiały ford pikap. Decker pomyślał, że wie, który pojazd należy do Norrisa, a który do jego sekretarki.

Chwilę później do pokoju wkroczył Willie Norris. Był niski i krępy. Miał siwiejące, ulizane do tyłu włosy, wydatny podbródek i nos wąski niczym górską grań, a jego oczy przypominały dwa głęboko osadzone węgielki. Był ubrany w trzyczęściowy szary garnitur, który źle na nim leżał. W ręce trzymał tłącego się papierosa.

– Proszę, proszę, zapraszam do siebie – powiedział na ich widok, kiwając wiotką dłonią.

Wprowadził ich do swojego gabinetu i zamknął za nimi drzwi.

Decker rozejrzał się po pokoju, który ewidentnie niegdyś był czyjąś sypialnią. W miejscu, gdzie kiedyś musiała się znajdować szafa wnękowa, widniały wbudowane półki zastawione segregatorami. Wielkie, dwustronne biurko było bogato rzeźbionym antykiem, spod którego wystawał brudny, wydeptany dywan. Na ścianie obok wisały oprawione certyfikaty zaświadczające o członkostwie w rozmaitych towarzystwach ubezpieczeniowych.

Norris usiadł za biurkiem i skinął na nich, żeby zajęli miejsca naprzeciwko. Zaciągnął się jeszcze raz trzymanym w dłoni

papierosem, zdusił go w przepełnionej popielniczce i uśmiechnął się smętnie.

– Nie ubezpieczyłbym samego siebie. Otyły, palacz, marne płuca i nerki w jeszcze gorszym stanie.

– Nigdy nie jest za późno, żeby wziąć się za siebie – zagadnęła przyjaźnie Jamison.

– Dla mnie jednak jest już chyba trochę za późno. Interesują was ubezpieczenia?

– Tak, dla mojej siostry. Właśnie straciła męża.

– Przedawkowanie? – wyrwało się Norrisowi.

– Nie, skąd ten pomysł? – zapytała Jamison.

– Domyślam się, że nie pochodzi pani stąd. Jest pani młoda, więc zakładam, że pani siostra też. Podobnie jak jej mąż. Jeśli w tym mieście umiera młody człowiek, to najczęściej dlatego, że prowadził samochód pod wpływem alkoholu albo przedawkował.

– To był wypadek przemysłowy.

– Ach, rozumiem.

– Może nam pan wyjaśnić, jak wygląda procedura uzyskania ubezpieczenia?

– Oczywiście.

Norris otworzył szufladę, poszperał w niej chwilę i wyjął folder z luźnymi kartkami, który wręczył Jamison.

– To pomoże przy wypełnianiu wniosku, ale z przyjemnością odpowiem na wszelkie pytania. Pani siostra może się ze mną umówić na spotkanie.

– Rozumiem, że taki ubezpieczyciel, zanim wystawi polisę – wtrącił Decker – zleca badania lekarskie i przeprowadza coś w rodzaju wywiadu środowiskowego, tak?

– To zależy, na jaką kwotę ma opiewać ta polisa. Niektóre towarzystwa wystawiają małe polisy bez konieczności badań i praktycznie nie sprawdzają swoich klientów. Bazują na tabelach średniej długości życia, ale ja nie lubię prowadzić w ten sposób interesów. Zwłaszcza tutaj.

– Z powodu tych wszystkich zgonów z przedawkowania? – zapytał Decker.

– Otóż to. Młody czy stary, nie ma znaczenia. Jedna trefna tabletką i po człowieku.

– Na jaką kwotę można ubezpieczyć swoje życie? – kontynuował Decker.

– To zależy od osoby i od tego, na co się zgodzi agent ubezpieczeniowy. Jeśli ktoś chce polisę na mnóstwo pieniędzy, chociaż nijak się to ma do jego sytuacji życiowej, to może być problem. Dużo też zależy od wykonywanego zawodu. Praca opiekunki w żłobku a praca policjanta czy strażaka to zupełnie inna historia. Takie rzeczy bierze się pod uwagę. Ubezpieczyciel może odmówić podpisania polisy albo zażądać wyższych składek. Ewentualnie zawrzeć klauzulę, że polisa nie obejmuje śmierci wynikłej z ryzyka zawodowego. Na przykład jeśli polisa była na policjanta, który zginął zastrzelony na służbie, beneficjent nie dostanie świadczenia.

– Moja siostra ma trzydzieści trzy lata i cieszy się znakomitym zdrowiem. Do tej pory zajmowała się domem i wychowaniem córki. I nie pali – dodała, zerkając na przesypującą się popielniczkę.

– Okej, na tym etapie nie mogę oczywiście powiedzieć nic wiążącego, ale... Na jaką kwotę chciałyby się ubezpieczyć pani siostra?

– Milion, może więcej? Normalnie jaka to kwota?

– Nie ma reguły. To, co dla jednej osoby jest normalne, dla innej już nie – odparł Norris, dusząc w sobie śmiech. – Ale są pewne podstawowe parametry. Polisy na życie bywają różne. Może być ubezpieczenie na wypadek śmierci albo uniwersalne ubezpieczenie na życie. To drugie bardziej przypomina plan oszczędnościowy, w którym wpłacane pieniądze się kumulują, zgromadzone środki umożliwiają zaciągnięcie pożyczki i tak dalej. Ubezpieczenie uniwersalne jest bardziej elastyczne niż to na wypadek śmierci. Sądzę jednak, że pani ma na myśli stare, dobre ubezpieczenie na życie w tradycyjnym rozumieniu tego pojęcia. Wypłata odszkodowania następuje wyłącznie w przypadku śmierci ubezpieczonej osoby. Składki są stałe i płaci się je przez z góry określony okres. Typowy czas to dziesięć,

dwadzieścia albo trzydzieści lat. Jeśli się ma na utrzymaniu małe dziecko, które będzie potrzebowało wsparcia finansowego jeszcze przez długi czas, to z oczywistych względów chce się polisy na wyższą kwotę. Podobnie jest, kiedy ubezpieczony dużo zarabia i zależy mu na zapewnieniu swoim bliskim, gdyby go zabrakło, równie wysokiego standardu życia. Tego typu sytuacje. Tak zwane ubezpieczenie kluczowej osoby dotyczy ważnych dyrektorów czy prezesów. W przypadku śmierci takich osób beneficjentem jest ich firma. Ale to oczywiście nie dotyczy pani siostry.

– Jakiej wysokości składki musiałaby płacić siostra?

– Proszę się nie powoływać na to, co teraz powiem, ale w przypadku kogoś w jej wieku i w takim stanie zdrowia przy polisie na dwadzieścia lat i w wysokości miliona dolarów składki wyniosłyby czterysta dolarów rocznie. Jeśli na trzydzieści lat, to nieco ponad sześćset dolarów. To są wyliczenia wyłącznie na podstawie tabeli średniej długości życia. Pani siostra ma duże szanse przeżyć jeszcze jakieś pięćdziesiąt lat. Oczywiście po upływie, założmy, trzydziestoletniego okresu może przedłużyć polisę. Wtedy jednak będzie już po sześćdziesiątce, co przełoży się na znacznie wyższe składki, dlatego może uznać, że korzystniej będzie wygasić polisę. Z kolei dzięki temu towarzystwo ubezpieczeniowe, któremu przez dwadzieścia albo trzydzieści lat przesyłała pieniądze, nie będzie musiało wypłacić ani centa.

– Dobry interes – zauważyła Jamison.

– Sprzedaż ubezpieczeń nie jest działalnością non profit – odparł Norris i znowu zachichotał.

Jamison zerknęła na Deckera.

– Dzięki, przekażę te materiały siostrze – powiedziała. – Pewnie się do pana zgłosi.

– Znakomicie.

Norris wstał zza biurka. Decker pozostał jednak na swoim miejscu.

– Poleciała nam pana Linda Drews – oznajmił.

Norris powoli usiadł z powrotem.



– Ach, tak... – Ze smutkiem pokręcił głową. – Przykra sprawa. Śmierć syna, i to w taki sposób.

– Tak... Wspomniała, że doznał urazu kręgosłupa w trakcie pracy i był na środkach przeciwbólowych.

– Zgadza się.

– To nie odbiło się na jego zdolności do wykupienia polisy na życie? – zapytał Decker.

Norris przyjrzał mu się uważnie.

– Chętnie bym jeszcze pogawędził, ale mam umówione spotkanie i muszę się zbierać – powiedział i wstał. – Jenny państwa odprowadzi.

Wyszli na zewnątrz.

– Naprawdę go spłoszyłeś – zauważyła Jamison, kiedy zmierzali do samochodu.

Decker skinął głową.

– Chyba już wie, że jesteśmy z FBI.

– Myślisz, że tu się odbywa jakiś przekręt z ubezpieczeniami? – zapytała.

– Niewykluczone.

– Składki, które wymienił, są dość niskie. – Przez chwilę go obserwowała. – Widzę, że coś cię nurtuje – zauważyła.

– Myślę o tym, co mi powiedział Fred Ross.

– Co takiego?

– Że w Baronville nie ma rzeczy nielegalnych.

Decker otworzył oczy, usiadł na łóżku i wsłuchał się w szum deszczu za oknem.

*Czy tu kiedykolwiek przestaje padać?*

Spojrzał na mały stolik pod oknem. Położył tam swoje ubranie, a na nim służbową odznakę.

Wstał, podszedł do stolika i sięgnął po nią.

To nie była odznaka agenta specjalnego FBI, którym przecież nie był. Oznaczała jednak, że okazująca ją osoba ma za sobą potężną instytucję federalną. A Decker, jako członek zespołu zadaniowego FBI, miał prawo dokonywania aresztowań.

Oznakę nosił od ponad dwudziestu lat. Miał ją przy sobie, kiedy odkrył, że już nie ma rodziny.

Miał ją, kiedy w jego życiu pojawili się Alex Jamison, a potem Melvin Mars.

Teraz nosił ją w Baronville w Pensylwanii.

Dodawala mu otuchy, gdy tego potrzebował. Była środkiem do jedyne go celu, który miał dla niego znaczenie.

*Prawda. Tylko to się liczy.*

Nie dlatego jednak spoglądał teraz na tę odznakę.

Wyjrzał przez okno. Chociaż z miejsca, w którym stał, nie mógł go dojrzeć, wiedział dokładnie, gdzie znajduje się dom Dana Bonda.

Ten staruszek miał prawo dożyć pozostałych mu lat w spokoju domowego zacisza. Ktoś jednak mu to odebrał i Decker zamierzał sprawić, by ta osoba poniosła za to karę.

Przeniósł wzrok w kierunku miejsca, gdzie mieszkała Alice Martin. A kilka domów dalej rezydował Fred Ross ze swoim obrzynem.

Przewinął w pamięci obrazy do tamtego pierwszego wieczoru tutaj, kiedy znalazł dwa trupy. Na ulicy nikt nie parkował. Chociaż... Furgonetka Freda Rossa. Stała w przydomowej wiacie.

Ross powiedział, że był w szpitalu. Mówił prawdę, Decker to

sprawdził. Zawieziono go tam karetką, co oznaczało, że jego van stał pod domem całą noc.

Te rozważania przerwało pukanie do drzwi.

– Tak?

– To ja. – Usłyszał głos Jamison. – Masz chwilę?

– Moment. – Spojrzał na zegarek. Było po północy. Wciągnął na siebie spodnie. – Okej.

Do pokoju weszła Jamison ubrana w szlafrok.

– Co tam? – zagadnął.

– Nasze spotkanie z panem Norrisem dało mi do myślenia i postanowiłam trochę poszperać.

– W poszukiwaniu czego?

– Składek na ubezpieczenie.

– I...?

– Napisałam maila do przyjaciółki, która pracuje w ubezpieczeniach. Podałam jej parę informacji na temat Keitha Drewsa. Uraz kręgosłupa, zażywanie prochuów na receptę, miejsce, z którego pochodził. Właśnie odpisała.

Decker ponownie zerknął na zegarek.

– Twoja przyjaciółka pracuje do późna.

– Pracuje na Manhattanie dla jednego z największych towarzystw ubezpieczeniowych, więc praktycznie jest przykuta do biurka. W każdym razie dowiedziałam się od niej, że Baronville leży w samym środku czegoś, co branża ubezpieczeniowa nazwała Doliną Opioidową. Jakies pięćdziesiąt lat temu towarzystwa ubezpieczeniowe miały różne stawki dla różnych społeczności, ale tego zakazano. Tak więc w Baronville, choć nazywają je miastem z Doliny Opioidowej, nie mogą od ciebie żądać za polisę więcej tylko dlatego, że tu mieszkasz. Kryzys opioidowy urósł jednak do takich rozmiarów, że zaczął się odbijać na średniej długości życia, dlatego składki poszły w górę. Jak powiedział Norris, to jest biznes. Moja przyjaciółka zwróciła uwagę, że chociaż Keith Drews był młodym człowiekiem, to jednak mieszkał w takiej, a nie innej okolicy i miał uraz kręgosłupa, przez co zażywał środki przeciwbólowe. Dla nich byłby to sygnał ostrzegawczy. Tym bardziej

że większość uzależnionych od opioidów zaczyna od środków przeciwbólowych na receptę. Polisa na milion dolarów dla osoby bezrobotnej, bezdzietnej i niebędącej w związku małżeńskim też wzbudziłaby wątpliwości. Krótko mówiąc: w ocenie mojej przyjaciółki to bardzo wątpliwe, żeby w tych okolicznościach ubezpieczyciel zaakceptował polisę na tak dużą kwotę. A nawet gdyby, składki nie wynosiłyby kilkaset dolarów rocznie, jak twierdził Norris, omawiając przypadek mojej siostry.

– A ile?

– Mogła mi podać tylko wyliczenia szacunkowe. Mówi, że przy polisie na dziesięć lat składki wyniosłyby około dwóch tysięcy rocznie. Przy takiej na trzydzieści lat – około czterech tysięcy. Jakim więc cudem Keitha Drewsa było na to stać? Chyba że, jak sugerowałeś, ktoś płacił za niego.

– Twoja przyjaciółka powiedziała, że taka polisa w ogóle nie powinna być zostać wystawiona, tak?

– Zgadza się.

– Zastanawia mnie, dlaczego ubezpieczyciel podjął takie ryzyko. I to nie tylko w przypadku Drewsa. Wiem od Kemper, że w ostatnich kilku latach mieszkańcom tych okolic wypłacono pieniądze z niejednej polisy na życie.

– Albo firmy ubezpieczeniowe kompletnie pokpiły sprawę, albo ludzie kłamali we wnioskach.

– Na pewno przed wypłaceniem odszkodowania sprawdzali jego zasadność – zaoponował Decker. – Kemper twierdzi, że w iluś tam przypadkach rzeczywiście przeprowadzili własne dochodzenie, a mimo to nikomu nie odmówili świadczeń.

– No cóż, skoro wszystko odbyło się zgodnie z warunkami umowy, które sami ustalili, chyba nie mieli wyboru.

– Kemper przysłała mi listę towarzystw ubezpieczeniowych, które wypłaciły odszkodowania. To długa lista. Firmy z bardzo różnych okolic. Niektóre znane, ale wiele takich, o których nigdy nawet nie słyszałem.

– To znaczy, że Norris albo ktoś inny, kto kręci tym interesem, rozłożył wypłaty świadczeń na jak najwięcej towarzystw. Przyjaciółka powiedziała mi jeszcze, że takie firmy dają agentom

kontrakty na podstawie tego, ilu klientów ci im narają. Agent, który przez kilka lat ma słabe wyniki, traci kontrakt. Jeśli współpracowałyby z niewieloma towarzystwami, to przy takim przekręcie jak ten, który najwyraźniej robi tu Norris, sprawa szybko by się rypła. Ubezpieczyciele połapałoby się, że dzieje się coś dziwnego, i przestaliby honorować polisy wystawiane przez takiego agenta. Ale może Norris z jakiegoś powodu ma to gdzieś.

– A to nasuwa mi kolejne istotne pytanie.

– Jakie?

– Ciekaw jestem, ile z tych milionów dolarów Linda Drews dostała dla siebie. I kto zgarnął resztę.

Nieco po pierwszej w nocy Decker wreszcie zdołał zasnąć.

Spał niespokojnym, przerywanym snem. W końcu obudził się, kaszląc. Poprzedniego dnia zmókł, więc w pierwszej chwili pomyślał, że się przeziębził.

Wziął głęboki oddech i ponownie zakaszłał, tym razem gwałtowniej.

Usiadł w pościeli, czując, że się krztusi. Raptownie przesunął się na skraj łóżka i zwymiotował na podłogę.

Zamroczony wstał i momentalnie upadł. Podciągnął się do okna, otworzył je i wystawił głowę na deszcz. Kiedy tylko odetchnął chłodnym, wilgotnym powietrzem, odzyskał klarowność myślenia, a mdłości ustąpiły.

Cofnął głowę z powrotem do środka i od razu poczuł ten zapach.

Wytoczył się z pokoju, zasłaniając nos i usta koszulką.

Załomotał do drzwi sypialni Jamison.

– Alex! Alex!

Gdy nie odpowiedziała, otworzył drzwi i gorączkowo się rozejrzał.

Jedyne, co zobaczył, to jej wystająca poza łóżko stopa.

Zmroziło go na moment, gdyż właśnie taki widok zastał, kiedy odkrył ciało swojej żony w ich domu w Burlington.

Podbiegł z drugiej strony łóżka, pochylił się i sprawdził puls na szyi Jamison. Wyczuł go i zauważył, że kobieta oddycha, chociaż nierówno. Wziął ją na ręce i pospiesznie wyniósł do swojego pokoju. Ułożył ją obok okna i wystawił jej głowę na zewnątrz.

Jamison wzięła gwałtowny oddech, ocknęła się i podniosła na niego wzrok.

– Co się...

– Nie ruszaj się stąd, oddychaj. I nie włączaj światła, okej? Byle iskra może spowodować wybuch gazu.

Anemicznie skinęła głową. Decker wybiegł z pokoju.  
Wpadł jak burza do Zoe. Dziewczynka leżała w łóżku.

– Zoe? Zoe!

Decker wciągnął powietrze w nozdrza. Tu nie było tak źle.  
Jeszcze.

Zoe powoli usiadła na łóżku.

– Amos? – powiedziała zaspianym głosem. – Co się stało?

Decker podbiegł do okna i otworzył je.

– Podejdź tu i wychyl głowę na zewnątrz, okej? W domu ulatnia się gaz. Pójdę sprawdzić, czy wszyscy mają się dobrze.

– Mamo! – wykrzyknęła Zoe.

– Już do niej idę. Wystaw głowę za okno i głęboko oddychaj, dobrze? I nie włączaj światła.

Dziewczynka przytaknęła, zsunęła się z łóżka i stanęła przy oknie.

Decker z łoskotem zbiegł po schodach. Amber spała na parterze, w pokoju zaadaptowanym na sypialnię.

Otworzył drzwi.

– Amber?

Jej łóżko było puste.

Właśnie rozglądał się po podłodze, kiedy usłyszał jęk dobiegający spoza pokoju. Rzucił spojrzenie w głąb korytarza. Łazienka.

– Amber!

Jęk się powtórzył.

Decker pobiegł tam i jednym szarpnięciem otworzył drzwi.

Amber, ubrana w nocną koszulę, leżała na podłodze. W chwili gdy przy niej ukląkł, przestała oddychać i osunęła się bezwładnie.

Decker znowu zaczął się krztusić. Stężenie gazu w łazience było większe niż w pozostałych pomieszczeniach. Wziął Amber na rękę i wyniósł ją przed dom. Położył ją na werandzie i zaczął reanimować.

Kilka chwil później wyczuł czyjąś obecność. To była Jamison.

– Zadzwoiłam pod dziewięćset jedenaście – szepnęła, nie odrywając wzroku od siostry.

Uklęła i, synchronizując się z Deckerem, który uciskał klatkę piersiową Amber, zaczęła wdmuchiwać powietrze do jej ust.

W końcu, po trzydziestu niezdolnie długich sekundach, Amber raptownie uniosła pierś, prychnęła i zwymiotowała.

– Mamusiul!

Decker i Jamison obrócili się i zobaczyli Zoe wybiegającą z domu. Padła na kolana i przywarła całym ciałem do swojej matki.

– Maaamoo!

Amber powoli objęła ją wpół. Próbowwała usiąść, ale Decker delikatnie ją powstrzymał.

– Nie wstawaj. Karetka jest już w drodze.

Kilka minut później pod dom zajeżdżał ambulans. Sanitariusze założyli Amber maskę tlenową i umieścili kobietę na noszach. Jamison i Zoe usiadły z tyłu karetki. Zanim odjechały, zapłakana Jamison spojrzała na Deckera.

– Dziękuję, Amos.

– Dzięki, Amos – zawtórowała jej Zoe, wciąż niespokojnie zerkając na swoją mamę.

Decker skinął głową, zamknął drzwi karetki i się cofnął. W tej samej chwili podjechały samochód pogotowia gazowego i radiowóz.

Decker powiedział nowo przybyłym o ulatniającym się gazie i technicy pośpieszyli na tył domu zakręcić zawór.

Rozpoznał policjanta, który do niego podszedł. Nazywał się Curry i to on przyjechał na wezwanie, kiedy tamtego wieczoru Decker znalazł ciała w domu obok.

– W porządku? – zapytał Curry. – Zzieleniałeś.

– Nic mi nie jest.

– Gaz się ulatnia?

– Tak.

– Dość niezwykłe.

– Ano.

W tej samej chwili zza domu wyszedł jeden z pracowników gazowni. Podszedł do nich z ponurą miną.

– Co tam? – zagadnął Curry.



- Ktoś majstrował przy zaworze – powiedział mężczyzna i pokręcił głową. – Macie szczęście, że żyjecie.
- Ciekawe, czyja to sprawka – mruknął Curry.
- Obawiam się, że lista podejrzanych może być długa – zauważył Decker.

Później tego dnia Decker usłyszał pukanie do drzwi wejściowych i kiedy otworzył, zobaczył Alice Martin. Stała tam wsparta na swojej czteropunktowej lasce, trzymając w drugiej ręce ciasto.

Ponad jej ramieniem dostrzegł radiowóz zaparkowany przy krawężniku. Przysłała go Lassiter po tym, jak Decker zadzwonił do niej i opowiedział, co się stało.

– Słyszałam – oznajmiła krótko Martin. – Wszyscy cali?

Decker skinął głową.

– Amber jest jeszcze w szpitalu, ale powinna wrócić na noc do domu.

– A Zoe?

– W porządku. Gaz z jakiegoś powodu nie przeniknął w głąb jej pokoju. Technicy sprawdzili cały dom, zanim wpuścili nas z powrotem do środka. Jest teraz w szpitalu przy swojej mamie.

– Wiadomo już, jak do tego doszło?

– Jeszcze sprawdzają.

Martin obróciła się i zerknęła na radiowóz.

– Domyślam się, że skoro tu stoją, nie był to wypadek?

Decker, zamiast odpowiedzieć, spojrzał na ciasto.

– To dla Amber?

– Dla was wszystkich. Cytrynowe z bezą – odparła, wręczając mu je.

– Dziękuję. Przekażę Amber.

Martin się rozejrzała.

– To była kiedyś bardzo miła okolica. Nie to co teraz.

– Wyobrażam sobie...

– Może byłoby lepiej, gdybyście wszyscy po prostu wyjechali z Baronville.

Decker mierzył ją wzrokiem, nie odzywając się ani słowem.

– Dlaczego mielibyście tu zostać? – zapytała.

– Ja tu nie mieszkam, ale Amber i jej córka tak. Jej mąż

przyjechał do tego miasta za pracą. Nie mam pojęcia, czy teraz się wyprowadzą, czy zostaną tu na stałe. – Zamilkł na moment. – Pani Martin, a dlaczego pani się stąd nie wyniosła?

– Bo tu jest mój dom. Poza tym, do cholery, za stara jestem na przeprowadzki.

– Tak jak pani sąsiad, Fred Ross?

Martin spojrzała na niego przeciągle.

– Panie Decker, kiedy człowiek ma swoje lata, uczy się akceptować rzeczy, z którymi wcześniej nigdy by się nie pogodził.

– To dobrze czy źle?

– Dla jednych dobrze, dla innych nie.

– A dla pani?

– Mam nadzieję, że ciasto będzie smakowało. Te cytrynowe świetnie mi wychodzą. Przynajmniej w tym jestem dobra. – Odchodząc, jeszcze raz spojrzała w stronę Deckera. – Kiedyś to było miłe miasto.

– Za czasów tego drania Barona, który każdego tu wyzyskiwał?

Martin się uśmiechnęła.

– Cóż, wszyscy mamy skłonność do upiększania naszej przeszłości.

– Może i tak. Nostalgia to wielka pokusa. I bywa uzależniająca, prawie jak opioidy.

– Niezbyt pan jest miły dla kogoś, kto przyniósł w prezencie ciasto domowej roboty – powiedziała ostro.

Decker się zmieszał.

– Proszę wybaczyć... Prawie się tu dzisiaj zagazowałem. Nie jestem w najlepszym nastroju.

– No cóż, życzę smacznego – dodała łagodniejszym tonem.

Decker obserwował, jak oddala się w stronę swojego domu. W pierwszej chwili czuł się winny, że tak szorstko ją potraktował. Kiedy jednak zeszała ze zwirowej ścieżki i weszła na chodnik, zamarł z wrażenia.

*Stuk, szur, stuk.*

Sekwencja dźwięków, które słyszał tamtego wieczoru!

Za każdym razem gdy Martin stawiała laskę, rozlegał się

charakterystyczny stuk. A gdy ją przesuwiała do przodu, jedna z podpór, ta nadłamana, zgrzytała o chodnik.

Zamknął za sobą drzwi i oparł głowę o drewnianą framugę.

*Ja pier... Baronville. Raczej Murderville.*

Musiał zrobić kilka rzeczy i nie miał na to wiele czasu.

Poszedł do kuchni i wrzucił ciasto do kubła na śmieci.

– Co tam, Decker?

Decker siedział naprzeciw agentki Kemper przy stoliku w barze Merkury. Tego wieczoru Cindi Riley miała wolne. Decker pomyślał, że pewnie jest u Barona w areszcie.

Kemper spięła dziś włosy klamrą. Kaburę z bronią miała przy pasie, do którego była przyczepiona służbowa odznaka.

– Chciałem tylko zapytać o parę spraw.

– Wszyscy doszli do siebie po ataku gazowym?

– Wieści szybko się rozchodzą, jak widzę.

– Dzwoniła do mnie Lassiter.

– Wystawiła patrol przed domem.

– To dobrze. Ktoś chyba doszedł do wniosku, że jesteś coraz bliżej odkrycia prawdy. Jak wtedy, gdy próbował wysadzić ciebie i Jamison w tamtej przyczepie.

– Najwyraźniej.

– A jesteś bliżej? Pytam, bo mam wrażenie, że moje dochodzenie z każdą chwilą coraz bardziej wymyka mi się z rąk. Nie mogę dłużej czekać.

– Rozmawiałem ze szpitalem, do którego przywieziono Freda Rossa tamtego dnia, kiedy znalazłem ciała. Zadzwoił pod dziewięćset jedenaście, narzekał na bóle w klatce piersiowej.

– Okej...

– Przebadali go i niczego nie stwierdzili. Wypisali go następnego dnia.

– Skąd to zainteresowanie Fredem Rossem?

– Ciała twoich agentów były trzymane w niskiej temperaturze, zanim je podrzucono do tamtego pustego domu. Myślę, że zostały przewiezione furgonetką Freda Rossa, a wyjęte z zamrażarki krótko wcześniej. Fred Ross mieszka przy tej samej ulicy, dlatego mógł się obawiać naszych pytań, czy czegoś nie widział albo nie słyszał tamtego wieczoru. Na wszelki wypadek zgłosił się więc na pogotowie. W ten sposób zapewnił sobie alibi nie

do podważenia, a my nie mieliśmy o co go wypytywać.

– Skąd wiesz, że ciała moich agentów przewieziono furgonetką Rossa?

– Usłyszałem dźwięk odpalanego silnika samochodu dopiero po tym, jak zobaczyłem migające światło w domu obok. To znaczy, że do tego czasu sprawcy podrzucili tam ciała i rozlali na podłodze krew, która spowodowała zwarcie. Musieli wejść do domu, jeszcze zanim pojawiłem się na tarasie. A jedynym samochodem na ulicy tamtego wieczoru była furgonetka Rossa.

– Tego nie możesz wiedzieć na pewno.

– Mogę. To ślepa ulica. Mógłbym nie dostrzec samego samochodu, ale zobaczyłbym światło reflektorów, gdyby dojechał do znaku stopu. To oznacza, że auto nie opuściło ulicy. Podrzuciono nim ciała i wycofano je z powrotem do wiaty Rossa, a sprawcy przypuszczalnie oddalili się stamtąd na piechotę.

– Starzec na wózku inwalidzkim wplątał się w coś takiego?

– Myślę, że tak. Z powodu syna, który w tym siedzi po uszy.

– Okej, rozumiem, że są powiązani, ale wciąganie osiemdziesięcioletniego ojca do gangu handlarzy narkotykami? Trochę to nieprawdopodobne.

– To jeszcze nic. Nie uwierzysz, ale Alice Martin, była nauczycielka ze szkoły niedzielnej, też w tym siedzi.

– Że co? Jak do tego doszedłeś?

– Uszkodzona laska, którą się podpira. To ten dźwięk wtedy słyszałem. Była na ulicy, pewnie monitorowała transfer. Powiedziała mi, że nie znosi Freda Rossa, ale jego telefon ma zapisany na ścianie wśród numerów, pod które najczęściej dzwoni. No i coś jeszcze.

– Co?

– To ona powiedziała mi, że widziała dwóch mężczyzn, odpowiadających rysopisem twoim agentom, wchodzących do domu obok tego, w którym znaleziono ich ciała.

– I co z tego?

– Wiemy już, że oba te domy wykorzystywano do produkcji tabletek. Twoich agentów tam nie było, co znaczy, że Martin mnie okłamała.

– Może jednak byli, skoro pracowali pod przykrywką.  
– Martin powiedziała mi, że widziała ich wchodzących do tego domu kilka tygodni wcześniej. Gdyby tam byli jako tajniacy, poinformowaliby swój kontakt w agencji, że znaleźli miejsce tłoczenia tabletek.

– To prawda.

– Martin musiała pomyśleć, że prawdopodobnie pójde sprawdzic to miejsce zaraz po tym, jak mi o nim powie. Przeciez wlasnie tak zrobilem. Wykaz polaczen z jej telefonu zapewne dowiedzie, ze kiedy tylko od niej wyszedlem, zadzwonila do Freda Rossa albo kogos innego z tej szajki. Natychmiast zjawi sie tam Brian Collins, ktory – udajac agenta DEA – probowal mnie zastrzelic. Mysle, ze wcale nie obserwowal tego miejsca. Po co mialby to robic? Nic juz tam nie bylo, zwineli sie stamtad. Sdze, ze zjawi sie w tym domu tylko po to, zeby mnie zabic. Taki mieli plan. Gdybym przyszedl do Martin i zaczal ja wypytywac w sposob, ktory by sugerowal, ze wpadlem na ich trop, miala mnie oklamac i zwabic do tamtego domu.

Kemper sie zamyslila.

– Mamy szajke handlarzy prochow i menedzera centrum dystrybucji, ktory w tym uczestniczy. Czy jest cos jeszcze?

– Mysle, ze tak, i to niejedno, ale nie wszystko ma zwiazek z narkotykami, dlatego nie wiem, czy ci zainteresuje.

Usmiechnela sie.

– Zanim wstapilam do DEA, miala ambicje zostac agentem FBI. Zmienilam zdanie w ostatniej chwili.

– Dlaczego?

– Moja najlepsza na swiecie przyjaciolka z powodu glupiego zakladu zażyła koktajl z PCP, ktory usmazyl jej mozg. Pamietam, jak w szpitalu patrzyłam na piekna, mloda kobieta, ktora byla juz tylko warzywem. Od tej chwili cale zycie poswiecilam na sciganie zwyrodnialcow, ktorzy sprzedaja te trucizne.

– Teraz rozumiem, skad ten nagly zwrot w twojej karierze zawodowej.

– Ale pozostalym zlým ludziom tez nie odpuszczam – dodala.

– Miło mi to słyszeć.

– Powiem ci jeszcze – kontynuowała, obniżając głos o pół tonu – że według naszego rozeznania w zachodniej Pensylwanii ktoś tłoczy na potęgę tabletki z fentanylem. To dlatego wpadłeś na takiego jak Brian Collins. Skoro on maczał w tym palce, to masz jak w banku, że w Baronville grasują rekiny tego biznesu.

– A teraz wiemy jeszcze, że Ted Ross dostarcza im tyle fentanylem, ile tylko potrzebują.

Kemper wyprostowała się na krześle.

– Zgadza się. Ale to wszystko przecież już wiedziałeś. Dlaczego chciałeś się ze mną spotkać?

W odpowiedzi wyjął zza paska odznakę i położył ją na stole.

Kemper spojrzała na nią, a potem na Deckera, nie kryjąc zdziwienia.

– A co twoja odznaka ma do tego?

– Nie chodzi o moją odznakę – odpowiedział.

– A czyją?

– Zobaczysz. Tylko potrzebuję twojej pomocy.



– Nie pokazał się dziś rano. Dzwoniłam do niego do domu, ale nikt nie odbierał. Pojechałam tam, ale jego samochodu nie było. Zajrzałam przez okno, ale się nie świeciło. Sąsiad powiedział mi, że widział pana Norrisa wychodzącego w środku nocy z bagażami. Nic mi nie mówił, że gdzieś wyjeżdża. Nie bardzo wiem, co teraz robić. – To wszystko wyrzuciła z siebie jednym tchem Jenny, asystentka Williego Norrisa.

Decker i Jamison stali naprzeciwko, słuchając w milczeniu.

– Miał na dzisiaj rano poumawiane spotkania, ale na żadne nie przyszedł – dodała. – Myślę państwo, że wszystko u niego w porządku?

– Poważnie w to wątpię – powiedział Decker. Rozejrzał się. – A na pani miejscu zacząłbym sobie szukać nowej pracy.

Na twarzy asystentki odmalowały się szok i niedowierzanie.

– O, nie... Z takim trudem znalazłam tę.

– I może warto poszukać sobie dobrego prawnika.

– Jak to?! Ale dlaczego?

– Tak na wszelki wypadek – odparł Decker.

Gdy wyszli z Jamison na zewnątrz, zadzwonił do agentki Kemper.

– Mamy uciekiniera – oznajmił, wtajemniczając ją w szczegóły.

– Wiem, to nie twoja działka, ale wygląda na to, że Norris też się babrał w całym tym syfie. Może byś zleciła swoim, żeby przejrzeni zawodowy dorobek tego faceta?

– Zajmę się tym.

– A co z tą drugą sprawą?

– Prawie załatwiona – rzuciła i się rozłączyła.

Decker schował telefon.

– Co to za druga sprawa? – zapytała Jamison.

– Coś, co zleciłem Kemper. Opowiem ci później.

– Myślisz, że ten gnojek miał coś wspólnego z próbą zagazowania nas wszystkich u mojej siostry?

– Bardzo bym się zdziwił, gdyby nie miał. To stało się zaraz po tym, jak go spłoszyliśmy. A teraz przed nami ucieka.

– Co on miał z tego wszystkiego?

– Pieniądze. Jego normalna prowizja plus coś ekstra po ubiciu interesu. Nawet wiem, kto nam o tym opowie.

– Kto?

Zerknął na nią.

– Masz ochotę na kolejną marchewkową muffinkę?

Linda Drews rozpoznała ich, kiedy tylko weszli do piekarni.

– Nie mogliście się oprzeć, co? – zapytała z uśmiechem.

– Rzeczywiście – odpowiedział Decker. – Weźmiemy jeszcze dwie marchewkowe muffinki i po kawie.

– Na miejscu czy na wynos?

– Proszę przygotować na wynos. Zanim chwyci pani w ręce gorącą kawę, mogę zadać parę pytań?

Uśmiechnęła się, chociaż jej mina zdradzała, że jest zmieszana.

– Jasne, proszę pytać.

Jej uśmiech zgasł na widok służbowej legitymacji Deckera.

– FBI? Mam kłopoty?

– To zależy. Rozmawialiśmy z panem Norrisem. Niespecjalnie chciał z nami współpracować. Mam nadzieję, że nie pójdzie pani w jego ślady.

Drews oparła się ręką o ladę.

– Pani syn nigdy nie powinien był dostać tej polisy na życie. Wie to pani?

Usta kobiety zaczęły drżeć.

– Teraz już tak, proszę pana.

– Ale Norris tak to załatwił, że się udało? – zapytała Jamison.

– To był jego pomysł. Powinam wam była powiedzieć o tym wcześniej, ale nie wiedziałam, że jesteście z FBI. Przyszedł do mnie po tym, jak Keith uszkodził sobie kręgosłup. Znam Williego od dawna. Ubezpieczał mój samochód, a potem także dom. Powiedział, że w tych niepewnych czasach to dobry pomysł. Chciałam też wykupić polisę na siebie, a Keitha zrobić beneficjentem, ale Willie stwierdził, że z moją przeszłością

narkomanki to nie przejdzie.

– Ma pani szczęście, że tak się stało – zauważył Decker złowróżbnym tonem. – Więc Norris sam odwalił całą papierkową robotę?

– Tak. I załatwił u miejscowego ratownika medycznego badania lekarskie.

– U ratownika medycznego?

– Tak, Willie powiedział, że oni też to mogą robić. Że wynajmują ich towarzystwa ubezpieczeniowe – tak samo jak miejscowe laboratoria, żeby zrobiły badania krwi i takie tam.

– Sami miejscowi. Ciekawe. Czy Keith mówił temu ratownikowi, że ma uraz kręgosłupa i że bierze środki przeciwbólowe?

– Nie wiem. Nie było mnie tam.

– Czy Keith coś pani później opowiadał? – kontynuował Decker.

– Potrzebuję prawnika, proszę pana?

– To zależy od pani odpowiedzi.

– Proszę posłuchać, Keith wtedy już nie brał prochów. A kiedy załatwił sobie tę polisę, z jego kręgosłupem też było lepiej.

– Ale polisa na milion dolarów? To bardzo dużo. Przecież nawet nie miał pracy.

– Willie powiedział, że Keith jest taki młody... że pożyje jeszcze długo.

– Cóż, mylił się. Jak pani syn zamierzał płacić składki? Nawet jeśli nie były wysokie, przecież nie miał żadnego dochodu.

– Byłam gotowa mu pomóc, w miarę możliwości oczywiście. Willie też...

– Norris dawał Keithowi pieniądze na opłacenie składek za polisę, którą sam mu sprzedał?

Kobieta skinęła głową. Była blada jak serwetka, którą trzymała w dłoni.

– Wiedziała pani, że to nielegalne?

Pokręciła głową.

– Nie, proszę pana. Po prostu myślałam, że Willie wyświadcza nam przysługę. Jak dobry znajomy.

– A potem Keith uzależnił się od opiatów i zmarł?

– Tak.

– Przecież mówiła pani, że już nie brał prochów – zauważył Decker powątpiewającym tonem.

– To znaczy prawie nie brał.

– Mówiła pani, że przedawkował, ponieważ pomylił fentanyl z heroiną, tak? – zapytała Jamison.

– Zgadza się.

– Gdzie to się stało? – drążył Decker.

– W domu jego znajomego.

– I ten znajomy nie mógł mu podać naloksonu?

– Nie, Keith był wtedy sam. Dowiedziałam się o tym dopiero później. Wypłakałam sobie oczy.

– Czy towarzystwo ubezpieczeniowe przeprowadziło dochodzenie w sprawie śmierci?

– Tak. Ale tym też zajmował się Willie. Powiedział mi, że nie pozwoli, by mnie wykiwali. No i dotrzymał słowa. Kilka miesięcy później wypłacili odszkodowanie.

– Dostała pani milion dolarów? – zapytał Decker.

Kobieta nie odpowiedziała od razu.

– Tak, zgadza się.

– Nie, pani Drews, nie zgadza się.

– Proszę?

– Nie dostała pani pełnego miliona. Ile zgarnął Norris?

– Cóż, no... Wziął swoją prowizję.

– Czyli ile?

– Trzydzieści procent.

– Dostał ponad trzysta tysięcy dolarów?

– Tak, proszę pana. Willie powiedział, że taka jest standardowa stawka przy polisach na życie.

– W jaki sposób nastąpiła wypłata?

– Willie się tym zajął. Dopilnował, żebym dostała pieniądze.

– Nie wątpię, że wszystkiego dopilnował. – Decker zamilkł na moment. – Pani Drews, nigdy nie wydało się pani dziwne, że pani syn wykupił polisę na życie wartą milion dolarów, co było pomysłem Norrisa, a potem przedawkował i Norris zgarnął trzysta kawałków?

Usta kobiety zaczęły drżeć, a po policzkach spływały łzy.

– Proszę pana, czy pan chce mi powiedzieć...

– Tak, pani Drews – odparł Decker. – Pani syn padł ofiarą ludzi, którzy mu załatwili dużą polisę, a potem tak to urządzili, żeby przedawkował i zmarł.

Kobieta zakryła twarz trzęsącą się dłonią i zaczęła szlochać.

– Bóg mi świadkiem, nie chciałam jego śmierci.

– Co nie zmienia faktu, że nie żyje.

– Naprawdę sądzi pan, że Willie miał z tym coś wspólnego?

– Ja nie sądzę, pani Drews, ja to wiem.

– Mam kłopoty? – zapytała znowu.

– Na pani miejscu poszukałbym sobie prawnika. Za kawę i muffinki dziękujemy. Właśnie straciłem apetyt.

Decker i Jamison wyszli na zewnątrz.

– Boże, nie mogę w to uwierzyć – powiedziała Alex, kiedy wsiedli do samochodu. – Musiała wiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi.

– I tak, i nie. Jeśli praca w tym fachu nauczyła mnie czegoś, to tego, że nie ma takiej rzeczy, której ludzie nie potrafiliby usprawiedliwić.

– No to mamy przekręt z ubezpieczeniami, handlarzy narkotyków i wrabianie kogoś w morderstwa z powodu rzekomego skarbu. Kto by pomyślał, że w jednym miasteczku może niezależnie od siebie dziać się tyle zła.

– Tylko że te złe rzeczy nie dzieją się niezależnie, Alex – odpowiedział Decker, wrzucając bieg. – Wszystkie są powiązane ze sobą jednym paskudnym węzłem.

Niedługo później Decker odebrał telefon, po którym on i Jamison stawili się na posterunku policji w Baronville. Przed wejściem czekała na nich, z marsowym wyrazem twarzy, Kate Kemper w towarzystwie trzech swoich agentów.

Kiedy Decker i Jamison weszli do pomieszczenia, w którym urzędowali detektywi z wydziału zabójstw, Lassiter stała obok swojego biurka. Spojrzała na nich zdziwiona.

– A co wy tu robicie? Myślałam, że... – Zamilkła w pół zdania na widok Kemper i agentów DEA, którzy wkroczyli za nią jeden po drugim.

– Czy twój partner może do nas dołączyć? – zapytał Decker.

– Marty? Gdzieś się tu kręci. Napiszę do niego SMS-a.

Wysłała wiadomość i po minucie do pokoju wszedł detektyw Green.

– Cześć – powiedział na powitanie.

Decker skinął głową.

Green zerknął na Kemper, po czym przeniósł wzrok na Lassiter.

– Czegoś potrzebujesz ode mnie?

– Nie, ale on chciał cię zobaczyć – odpowiedziała, wskazując na Deckera. – Wszystko okej, Marty? Jakiś jesteś nie w sosie.

– Może coś zgubiłeś? – zagadnął Decker.

Green uśmiechnął się głupawo i usiadł za biurkiem.

– Cholerną odznakę. Zwykle zostawiam ją w szafce na sali. Nie mogę jej znaleźć. Gram obok w raquetball. Jestem strasznie wkurzony. Taka zgubiona odznaka to masa papierkowej roboty.

– Zaczął machinalnie przetrząsać zawartość jednej z szuflad biurka.

– Mam pytanie – oświadczył Decker. – Tej nocy, kiedy zginął Dan Bond, przed jego domem widziano radiowóz.

– Kto tak powiedział? – zapytał Green, gwałtownie podnosząc wzrok znad szuflady.

– To było anonimowe zgłoszenie – wtrąciła Kemper.

– Cóż, bywałeś na tej ulicy – kontynuował Decker. – Może to byłeś ty?

Green energicznie pokręcił głową.

– Wykluczone. Nie jeżdżę radiowozem.

Decker skinął głową.

– Ale znałeś Bonda, prawda?

– Nie. Nigdy u niego nie byłem. W każdym razie nie za jego życia. Poszedłem tam po tym, jak go znaleziono zabitego.

– Jesteś tego absolutnie pewny? – dociekał Decker.

Green spojrzał na niego zmieszany.

– Tak. Dlaczego pytasz?

– O co ci chodzi, Decker? – wtrąciła się Lassiter. – To ja rozmawiałam z Bondem, nie Marty.

Decker nie odrywał wzroku od Greena.

– Możesz już nie szukać. Twoją odznakę ma agentka Kemper.

Green rzucił jej zdumione spojrzenie.

– Ty? Dlaczego?

Kemper wyjęła z kieszeni płaszcz a foliową torbę na dowody. W środku była policyjna odznaka.

Green pobladł.

– Co moja odznaka robi w torbie na dowody?

– Jest dowodem – oznajmiła rzeczowo Kemper. – W śledztwie o morderstwo.

– O czym ty mówisz? Jakie morderstwo?

– Dana Bonda.

– Przecież mówiłem, że go nie znam.

– To w jaki sposób – zapytał Decker – odciski palców Bonda znalazły się na twojej odznace?

– Że co?!

– Dan Bond był ostrożnym człowiekiem. Kiedy do niego zapukałem po zmroku, nie chciał mnie wpuścić, dopóki nie sprawdził palcami, czy moja odznaka jest autentyczna. I zostawił na niej swoje odciski. Musiałem ją podać przez drzwiczki dla kota. Powiedział, że nie lubi wpuszczać do domu nieznajomych. Kogo, jeśli nie policjanta, wpuściłby o tak późnej porze? Ty podobno nigdy u niego nie byłeś, a mimo to jego odciski są

na twojej odznace. Jak to wytłumaczysz, detektywie Green? Chyba że to ty odwiedziłeś tamtej nocy Bonda i go zabiłeś.

– Bzdury! – Green zerknął na Lassiter, która wpatrywała się w niego z otwartymi ustami. – To nie mogą być jego odciski. Niemożliwe.

– Pamiętasz, jak rzuciłeś odznaką, a ja podniosłem ją z podłogi? – zapytał Decker. – Zobaczyłem wtedy, że jest lepka od palców i czymś ubrudzona. Dopiero potem zaskoczyłem, że to mąka. Bond powiedział mi, że lubi piec o różnych porach. Kiedy sprawdzał moją odznakę, też ją ubrudził. Agentka Kemper przekazała mi, że na twojej także były ślady mąki. Nie wiem, czy zdołamy potwierdzić, że to mąka z kuchni Bonda, ale tak naprawdę nie musimy tego robić, ponieważ mamy twoje odciski palców.

Green nie odezwał się ani słowem, tylko wpatrywał się w Deckera.

– Widzisz, detektywie, kiedy się decydujesz na morderstwo, naprawdę musisz dopracować szczegóły – dodał Decker.

Green przeniósł wzrok na Kemper.

– Ty suko! Zabrałaś moją odznakę bez nakazu. Dla sądu to niedopuszczalny dowód.

– Mam nakaz. Wystawiony, podpisany i dostarczony.

– Na jakiej podstawie?

– Sprawdziliśmy wykaz połączeń z telefonu Alice Martin. Dan Bond zadzwonił do niej tego dnia, kiedy został zamordowany. Ona natychmiast wybrała numer Freda Rossa. Krótco potem Ross zadzwonił do ciebie. Godzinę później zginął Dan Bond. Podejrzewamy, że Bond zadzwonił do Martin i powiedział jej coś, co ją zaalarmowało. Zadzwoniła więc do Freda Rossa. A on wykreślił do ciebie, żebyś się tym zajął.

– Ale co takiego mogło zaalarmować Alice? – wtrąciła Lassiter. – Przecież to tylko starsza pani, która uczyła w szkółce niedzielnej.

– Jedynie z pozoru – odparł Decker. – Myślę, że Bond zginął, ponieważ rozpoznał dźwięk, który usłyszał tamtego wieczoru, kiedy znalazłem ciała dwóch agentów DEA. To było zgrzytanie nadłamaney laski Alice Martin o chodnik. Może przechodziła



obok jego domu tego dnia, kiedy zginął. Przywitała się z nim, a on się zorientował, że zgrzyt i stuk, o które go wypytywałem, wydaje laska jego sąsiadki. Pewnie zadzwonił do niej potem i zapytał, co robiła na zewnątrz tamtego wieczoru. W ten sposób wydał na siebie wyrok. Martin spanikowała, że może tę informację przekazać komuś takiemu jak ja.

– Chcę prawnika – warknął Green.

– No pewnie. Może cię przekona, żebyś poszedł na współpracę, to dostaniesz dożywocie zamiast szprycy – skwitował Decker.

Kemper spojrzała na swoich ludzi.

– Skujcie tego śmiecia, odczytajcie mu jego prawa i zabierzcie go do celi na dole.

Agenci podeszli do Greena z obu stron i założyli mu kajdanki.

– Nie masz pojęcia, z kim zadarłeś, Decker! – wykrzyknął detektyw, szamocząc się nieporadnie.

– A to zabawne. Właśnie miałem to samo powiedzieć tobie.

– Nie ma pani powodu, żeby kogokolwiek chronić – oświadczył Decker.

Siedział w pokoju przesłuchań na posterunku, z Lassiter po jednej stronie, a Kemper i Jamison po drugiej.

Naprzeciwko siedziała sztywno na krześle Alice Martin. Na uwagę Deckera nie zareagowała ani słowem.

– Sprawdziliśmy zamrażarkę w pani piwnicy – kontynuował. – Tę, której pani mąż rzekomo używał do przechowywania dziczyzny. Pani jednak trzymała w niej nie tylko jeleninę. Ktokolwiek wsadził tam ciała agentów Beatty’ego i Smitha, nie był zbyt uważny. Ich DNA zostało znalezione przez DEA. – Zerknął znacząco w stronę Kemper. – Sama pani rozumie, że ta znamienita agencja federalna ma tu rachunki do wyrównania. Powtórzę więc jeszcze raz: nie ma pani powodu, żeby nadstawiać za kogokolwiek własną głowę.

Kobieta podniosła na niego wzrok.

– Skąd pan to może wiedzieć?

– Proszę mnie przekonać, że jest inaczej.

Martin bezwiednie wygładziła swoją długą spódnicę i położyła dłonie na kolanach.

– Mam dzieci i wnuki, a niedługo będę miała prawnuki. Muszę myśleć o nich.

– Jak w ogóle wmieszałaś się w coś takiego? – zapytała Lassiter.

– Żyję już tak długo, że pieniądze, które odłożyłam na spokojną starość, skończyły się dawno temu. Mam osiemdziesiąt osiem lat i cieszę się dość dobrym zdrowiem. Kiedy człowiek osiągnie taki wiek, ma spore szanse przeżyć kolejne dziesięć lat albo i więcej. Nie chciałam spędzić ich w nędzy. Miałam już dosyć tego, że nigdy nigdzie nie wychodzę. I że na nic mnie nie stać.

– Dzieci nie mogły pani pomóc?

– Same cienko przędą. Jedyne, co mam, to renta, która nie wystarcza na wiele.

– Wielu ludzi żyje tylko z renty, a nie przystępują do kartelu narkotykowego, żeby sobie dorobić – zauważyła Kemper.

– Nie przystąpiłam do żadnego kartelu! – zareagowała ostro Martin.

– To może opowiedz nam, na czym polegała twoja rola w tym wszystkim – powiedziała Lassiter.

– Ja tylko przymykałam oko na pewne sprawy – odparła, jakby na dowód tego uciekając wzrokiem w bok – które się działy na naszej ulicy.

– Na przykład? – zapytał Decker.

– Kiedy do tego domu, w którym potem znaleziono ciała, i do tego obok przyjechał jakiś sprzęt. I kiedy jakieś podejrzane typy zaczęły tam wchodzić i wychodzić o różnych porach.

– To były urządzenia do tłoczenia tabletek – wyjaśnił Decker. – Wybrali tę ulicę, ponieważ mieszkali tam tylko trzy osoby, w tym jedna niewidoma.

– A jedna brała w tym czynny udział – zauważyła Lassiter. – Fred Ross. To on nakłonił cię, żebyś... przymykała oko?

Martin skinęła głową.

– Właśnie dlatego wybrali naszą ulicę. Dan był niewidomy, Fred to straszny człowiek. A ja... – Jej głos zaczął się łamać. – Gdybym się nie zgodziła, po prostu by mnie zabili. Co miałam zrobić?

– Zadzwoić na policję? – zasugerowała Jamison.

– Policję? – parsknęła pogardliwie kobieta. – Fred powiedział mi, że połowa tutejszej policji bierze w tym udział.

– Bzdura! – wykrzyknęła Lassiter. – Mogłaś przyjść do mnie, Alice. Coś bym z tym zrobiła.

– Co pani zaoferowali? – kontynuował Decker.

– Rekompensatę.

– Ile?

– Dwa tysiące dolarów tygodniowo. W gotówce. Za nic. Miałam tylko... udawać, że nic nie widzę.

– Nieprawda – zauważyła Jamison. – Pozwoliła im pani przechować w swojej zamrażarce ciała zamordowanych agentów.

Martin wzdrygnęła się, ale nic nie powiedziała.

– To dużo pieniędzy – zauważył Decker. – Co pani z nimi zrobiła?

– Kupowałam sobie... to i owo. W końcu zaczęłam jeść coś innego niż tylko chińskie zupki i makaron z serem. Naprawiłam parę rzeczy w domu. Trochę wysłałam dzieciom. Kupiłam prezenty wnukom, pierwszy raz od lat. Resztę schowałam w domu na dnie kufra, żeby coś im po mnie zostało.

– Więc tamtego wieczoru, kiedy przynosili ciała, byłaś na zewnątrz? – zapytała Lassiter.

Martin przytaknęła.

– Zabrali ciała z mojej zamrażarki i wsadzili je do furgonetki Freda. Potem podjechali do tamtego domu i tam je zostawili. Wcześniej wywieźli stamtąd swój sprzęt. Wyszedłam z domu, bo... Nie chciałam być przy wyciąganiu ciał. No i chciałam się upewnić, czy nikt się nie kręci w pobliżu, chociaż oni sami to sprawdzili tym swoim dronem. Zwykle tak robili, kiedy coś przywozili albo wywozili. Fred mówił, że najpierw chcieli czekać do późna w nocy, ale potem uznali, że to załatwią pod osłoną burzy, a chcieli się z tym uwinąć jak najprędzej. No więc podjechali furgonetką i wnieśli ciała przez boczne drzwi. Potem odstawili samochód do Freda i odeszli na piechotę. Wróciłam do domu, jeszcze zanim zaczęło padać.

– To wtedy usłyszałam pani laskę stukającą i zgrzytającą o chodnik – stwierdził Decker. – Na szczęście kiedy rozmawialiśmy pierwszy raz, nie powiedziałem pani dokładnie, co to były za dźwięki. To by panią zaalarmowało. Dan Bond też zwrócił na nie uwagę. Zapytał panią o nie, prawda?

W oczach Martin po raz pierwszy zaszklily się łzy.

– Był na werandzie przed domem, kiedy przechodziłam. Zawołałam do niego, żeby się przywitać, ale on zachował się jakoś dziwnie. Poszłam do siebie. A potem on zadzwonił i zaczął wypytywać, co robiłam poza domem o takiej porze. Tak naprawdę to nie oskarżał mnie o nic. Powiedział, że pan go pytał o dźwięk, który uważał pan za ważny dla śledztwa. A on próbował sobie przypomnieć, gdzie go wcześniej słyszał. Nawet nie przyszło mi do głowy, że moja laska tak hałasuje. Używam jej,

kiedy jestem poza domem, żeby nie upaść. Powinnam była oddać ją do naprawy.

– Więc jak to się stało, że zginął? – zapytał Decker.

– Zaczęłam się zastanawiać, czy nie powie panu, że tamtego wieczoru byłam na zewnątrz. Zadzwoiłam więc do Freda, żeby mu o tym powiedzieć.

– Pod numer, który ma pani zapisany na ścianie – bardziej stwierdził, niż zapytał Decker.

Martin wpiła w niego wzrok.

– Tak.

– I co Fred powiedział? – rzuciła Lassiter.

– Że się tym zajmie. – Martin zaczęła dygotać. – Nie pomyślałam, że go zabiją! Nie chciałam, żeby Dan zginął. To był dobry człowiek. Dobry przyjaciel przez te wszystkie lata.

– A co, do cholery, myślała pani, że z nim zrobią? – Decker podniósł głos. – Ludzie, którzy przechowywali ciała dwóch federalnych agentów w pani zamrażarce?

Martin pokręciła głową.

– Ja... – zaczęła, ale zamilkła.

– Kolejny raz zadzwoniła pani do Rossa po rozmowie ze mną, zgadza się?

Kobieta zerknęła na niego, ale się nie odezwała.

– A on albo ktoś inny powiadomił Briana Collinsa i powiedział mu, żeby mnie zabił. Wiedziała pani, że tak się miało stać, kiedy mnie pani okłamywała w związku z Beattym i Smithem, którzy mieli wchodzić do tamtego domu?

– Kiedy pan do mnie przyszedł, zrobiłam tylko to, co mi kazano.

Zapadła cisza. Słysząc było jedynie przyspieszony oddech Martin.

– Powinna być nam pani wdzięczna, że siedzi tu z nami – zauważył Decker.

– Dlaczego? – zapytała, spoglądając na niego nieufnie.

– Zastanawiała się pani, jak długo jeszcze pozwoliliby pani żyć? Jestem zdziwiony, że jeszcze pani nie zabili.

– Może się zlitowali nade mną?

– Bardzo wątpię, czy ci ludzie mają litość dla kogokolwiek.

- Trzeba szukać dobra w ludziach – stwierdziła.
- Ja muszę w nich szukać zła. Nietrudno je znaleźć.

Martin zatrzepotała powiekami.

- Kiedyś tak nie było.

– Za starych, dobrych czasów?

- To były dobre czasy! – uniosła się.

– Dla niektórych może i tak. Dla innych były równie złe, jak dla pani teraz.

– Co ze mną będzie? – zapytała Martin, próbując zapanować nad emocjami.

– Cóż, nie musi się pani martwić o dach nad głową, i to do końca życia – stwierdził Decker. – Ani o wyżywienie. Władze zatroszczą się o jedno i drugie.

Martin uniosła podbródek i spojrzała na Deckera z wyższością.

– Pragnęłam jedynie żyć w spokoju i godności. Nie chciałam, żeby doszło do tego wszystkiego. Czy to ma znaczenie?

Decker odwzajemnił spojrzenie.

– Przez lata służby słyszałem to samo od wielu ludzi. Nawet od tych, którzy przyłożyli komuś broń do głowy i pociągnęli za spust. A więc nie, to nie ma żadnego znaczenia.

– Ale jeśli złożysz zeznania obciążające pozostałych i pomożesz nam zebrać na nich dowody, sąd może to potraktować jako okoliczność łagodzącą – wtrąciła Lassiter.

Martin spojrzała na nią.

– Rzucasz kość swojej starej nauczycielce ze szkółki niedzielnej, Donno?

Lassiter pokręciła głową.

– Pomogłaś szajce handlarzy narkotyków prawie wymordować to miasto – w zamian za korzyści materialne. Chcę tylko dopaść każdego z tych drani. Jeśli możesz nam w tym pomóc, wspaniale. Jeśli nie, to gnij w więzieniu. Nie będę cierpieła z tego powodu.

– Strasznie nawaliłam, prawda?

Decker zerknął na Jamison, zanim przeniósł wzrok na Martin.

– Cóż, może pani nauczać Biblii w więzieniu, żeby odpokutować za swoje grzechy.

– Teraz pan ze mnie szydzi – powiedziała gorzko.

- Bynajmniej. Mówię zupełnie poważnie. Może zdoła pani odmienić chociaż jeden żywot na lepszy?
- Myśli pan, że to w ogóle możliwe?
- Po tym, co w życiu widziałem, śmiem twierdzić, że nie ma rzeczy niemożliwych.

– Decker, mamy problem.

Akurat odjeżdżali z Jamison spod budynku komisariatu, kiedy zadzwoniła Kemper.

– Jaki?

– Właśnie się dowiedziałam. Zgubiliśmy Teda Rossa.

Decker zaklął pod nosem.

– Jak, do cholery, mogło się to stać?

– Szczerze mówiąc, nie wiem. Musiał się dowiedzieć, że aresztowaliśmy Greena i Martin. Schował się w mysią dziurę.

– A jego stary?

– To jest karta, którą możemy zagrać.

– W sensie?

– Fred Ross nadal siedzi w areszcie tu, w Baronville. Przymknęłam go na podstawie wykazów połączeń. Teraz mamy zeznanie Martin, które dowodzi jego udziału w morderstwie dwóch moich agentów i w handlu narkotykami. Załatwię mu przeniesienie do więzienia federalnego, ale do tego czasu pogrillujemy go, aż zacznie wrzeszczeć, że chce adwokata.

– Sugeruję zaopatrzyć się w zatyczki do uszu – rzucił Decker i się rozłączył.

– Złe wieści? – zapytała Jamison zza kierownicy.

Decker streścił jej rozmowę.

– To bardzo złe wieści. Jak myślisz, co młodszy Ross zamierza teraz zrobić?

– Przede wszystkim będzie próbował uniknąć kary śmierci.

– A co my robimy?

– Jedziemy do domu po Zoe i Amber. Trzeba je wywieźć z tego przeklętego Baronville.

– Słusznie. – Jamison wdepnęła pedał gazu tak energicznie, że głową Deckera rzuciło do tyłu.



Kiedy dotarli na miejsce, Decker zauważył, że przed domem nadal stoi radiowóz.

– Powiedz swojej siostrze, żeby się spakowała. Wywieziemy je w jakieś bezpieczne miejsce. Zadzwoń do Bogarta i załatwię im ochronę naszych agentów.

Jamison wysiadła i pobiegła do domu, a Decker wykręcił numer szefa i objaśnił mu sytuację. Uzgodnili, że w Pittsburghu będzie na nich czekał zespół agentów FBI. Zapadał już zmrok i przed sobą mieli podróż ciemną nocą.

Decker odłożył telefon i zapatrzył się na dom Mitchellów. Trudno było uwierzyć, że nie tak dawno przyjechali tu z Jamison odpocząć i oderwać się od pracy.

*Jeśli wyjdziemy z tego cało, nigdy więcej nie wezmę urlopu.*

Zerknął na zegarek. Powinni już jechać. Miał nadzieję, że Jamison powiedziała swojej siostrze i siostrzenicy, by zabrały tylko niezbędne rzeczy. Wszystko inne mogły dostać w Pittsburghu.

– Decker!

Spojrzał na werandę i zobaczył Jamison wymachującą do niego rękami.

Wyskoczył z samochodu i rzucił się sprintem w stronę domu.

– Co się dzieje?

– Znikły. Nikogo tu nie ma.

Decker popatrzył na dwa samochody zaparkowane na podjeździe.

– Mogły gdzieś pójść na piechotę?

Jamison spojrzała nad jego ramieniem.

– Dlaczego policjant nie wysiadł, kiedy do ciebie krzyknęłam?

Podbiegli do radiowozu.

Decker zapukał w szybę. Kiedy nie doczekał się reakcji, wyjął pistolet i powoli otworzył drzwi.

Martwy policjant, przytrzymywany w pionie pasami bezpieczeństwa, osunął się na bok.

– O Boże! – jęknęła Jamison.

Decker spojrzał w stronę domu.

– Jesteś pewna, że nikogo nie ma w środku?

– Wołałam je. Obeszłam tylko parter.  
– Zauważyłaś jakieś ślady walki?  
– Nie, nic takiego nie rzuciło mi się w oczy.  
– Musimy przeszukać resztę domu. Poczekaj.  
Zadzwoił do Lassiter po wsparcie, ale nie odebrała.  
Potem wybrał numer Kemper.

U niej włączyła się poczta głosowa.

– Zostaliśmy sami – stwierdził, chowając telefon. – Łap za broń i chodź ze mną.

Weszli do domu i dokładnie przeszukali pomieszczenia na parterze, w tym szafy.

Wszystko wyglądało normalnie. W zlewie stały pusta miska i szklanka. Żadnych poprzewracanych mebli.

Potem weszli na piętro i sprawdzali kolejno sypialnie, aż doszli do pokoju zajmowanego przez Deckera.

Otworzył drzwi i się rozejrzył. Jego wzrok padł na złożoną kartkę na środku łóżka. Obok leżał telefon komórkowy.

Podniósł papier i powoli go rozłożył.

*Czekaj, aż zadzwonimy. Jeden fałszywy ruch i obie zginą.*

Jamison wyciągnęła rękę. Decker podał jej kartkę. Odczytała wiadomość, osunęła się na łóżko i ukryła twarz w dłoniach.

Decker podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz, na tyły domu.

Tędy musieli je zabrać. Przez podwórko i płot na następną ulicę.

Tam, gdzie wszystko się zaczęło.

– Zadzwoń, Alex – powiedział. – Po prostu musimy być na to gotowi.

Jamison nie odezwała się ani słowem.

Usiadł obok niej, podniósł telefon, który zostawili porywacze, i zaczął się w niego wpatrywać.

Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Decker i Jamison odkryli martwego policjanta przed domem Mitchellów, Donna Lassiter, trzech umundurowanych funkcjonariuszy i dwóch agentów DEA wyprowadzało Alice Martin i detektywa Greena z posterunku. Wcześniej oboje spisano, zrobiono im zdjęcia i pobrano odciski palców. Następnym przystankiem było

więzienie, gdzie do czasu postawienia ich w stan oskarżenia mieli przebywać w pojedynczych celach.

Lassiter poleciła swoim ludziom obstawić ulicę i wypatrywać potencjalnych zagrożeń. Następnie, wychodząc z budynku, wypowiedziała parę słów do telefonu i przed komisariat natychmiast podjechał samochód.

Zanim wsiedli, Martin obróciła się i spojrzała na nią.

– Przykro mi, że narobiłam kłopotów.

– Dla mnie to bez znaczenia. Złóż zeznania, to pomożesz nam i sobie.

– Rozumiem. Ale tak się zastanawiam...

– Nad czym?

– Czy nie mogliby mnie umieścić w więzieniu gdzieś blisko dzieci?

– Wydaje ci się, że możesz stawiać warunki?

– Skądże. Nie spodziewam się, że tak się stanie. Proszę tylko o pomoc. Dla twojej starej nauczycielki.

Lassiter westchnęła.

– Alice, nie mam żadnego wpływu na to, dokąd cię wyślą, ale mogę porozmawiać. Chociaż nie ręczę, że to coś da. Raczej wątpię. Zadzwoń i się dowiem.

– Dziękuję.

– Pamiętaj, że moja pomoc zależy od tego, czy zeznasz zgodnie z prawdą wszystko, co wiesz.

– Rozumiem. Właściwie to nie mogę się już doczekać. Będę miała okazję odpokutować. Powiedzieli, że nikomu nie stanie się krzywda. Okłamali mnie.

– A myślałaś, że jak to się skończy?

– Chyba... W ogóle się nad tym nie zastanawiałam.

– Cóż, lepiej późno niż wcale.

– A dla mnie jest już za późno, Donna?

Lassiter odwróciła się w stronę byłego partnera.

– Dla ciebie nie mogę nic zrobić.

– Chciałem tylko tego, co mi się należało.

– Nic ci się nie należało, Marty.

– Całe życie zdzierałem buty za marne grosze. Chroniłem

obywateli. Do diabła z nimi, nie są warci tego, żeby nadstawiać dla nich karku.

– Już nie będziesz musiał.

W następnej chwili wystrzelona z dużej odległości kula uderzyła Martin prosto w klatkę piersiową, przeszywając ją na wylot. Krew i odłamki pokruszonej kości mlasnęły o szybę w oknie samochodu.

Green wrzasnął, ale krzyk uwiązał mu w gardle, gdyż następny pocisk trafił go w głowę, wyrywając spory fragment mózgu.

– Snajper! – krzyknęła Lassiter, mierząc z pistoletu w kierunku, z którego nadlatywały kule.

Następne obaliły na ziemię ją i jeszcze dwóch funkcjonariuszy.

Zadzwoił telefon.

To był jednak telefon Deckera, a nie ten zostawiony przez porywaczy.

Spojrzał na numer na wyświetlaczu i zaklął.

Przełączył na tryb głośnomówiący.

– Próbowałem się do ciebie dodzwonić – warknął.

– Wybacz, Decker – odpowiedziała Kemper. – Miałam pełne ręce roboty. To zaczyna przypominać prawdziwą katastrofę.

– Nie mogę teraz rozmawiać. Właśnie...

– Decker, nie słyszałeś?

– O czym? – Pomyślał, że Kemper już wie o porwaniu Amber i Zoe, chociaż wydawało się to niemożliwe.

– Mamy dwa trupy więcej. Jak na razie.

Decker zamarł. Amber i Zoe? Tylko nie to.

– O kim mówisz? – wycodził przez zęby.

– Martin i Green. Zasadzka podczas transportu do więzienia.

– Oboje nie żyją?

– Tak. A Lassiter i jeszcze dwóch leżą ranni w szpitalu.

– Ktoś ich wystawił?

– Na to wygląda. Ten, kto to zrobił, doskonale wiedział, kiedy i którędy wyjdą z budynku.

– Mamy też inne problemy.

– To znaczy?

Decker objaśnił, co się stało z rodziną Jamison i policjantem przed domem Mitchellów.

– Do diabła! – zawołała Kemper. – Nie mogę się doczekać, żeby dorwać tych drani.

– Jedyne, co się dla mnie teraz liczy, to odzyskać Amber i Zoe. Całe i zdrowe.

– Masz jakieś podejrzenia, kto je uprowadził? Albo gdzie?

– Nie. Czekałem na telefon porywaczy, kiedy zadzwoniłaś.

– Myślisz, że chcą ich użyć jako karty przetargowej?

– Tak. Inaczej po prostu by je zabili – jak mundurowego przed domem.

– Czego mogą chcieć?

– Z pewnością mi powiedzą – odparł cierpko.

– Uruchomię BOLO<sup>16</sup>.

– Okej – mruknął Decker bez przekonania.

– Myślisz, że to nic nie da?

– Myślę, że są za cwani, żeby wpaść w ten sposób.

– Dużo ryzykowali, zabijając policjanta i porywając dwie osoby.

– Przypuszczam, że chcą tu coś dokończyć i potrzebowali karty przetargowej, którą teraz mają.

– Przecież nie złapaliśmy ich na gorącym uczynku, a oni zabili jedynych świadków. Nic na nich nie mamy.

– To może być bez znaczenia.

– A co innego może mieć dla nich znaczenie? – odparowała Kemper.

– Jak już powiedziałem, jakiś niedokończony interes.

– Na przykład?

– Gdybym to wiedział, nie siedziałbym tu teraz i nie czekał, aż do mnie zadzwonią – burknął.

– Okej, okej, ale musimy opracować jakiś plan działania.

– To może być trudne, bo nie wiemy, w co z nami grają.

– Ale kiedy się skontaktują, informuj mnie o wszystkim. Tylko tak możemy skoordynować działania.

– Musisz mi dać wolną rękę.

– Co dokładnie masz na myśli? – zapytała Kemper nieufnym tonem.

– Zrobimy to po mojemu, bo jeśli coś pójdzie nie tak, zginą dwie niewinne osoby.

Siedząca obok niego Jamison wzdrygnęła się i wbiła wzrok w podłogę.

– Decker, nie wiem, czy możemy sobie na to pozwolić – stwierdziła Kemper. – Mam ludzi, przed którymi odpowiadam.

– Ja też. Nazywają się Amber i Zoe. Jeśli nie chcesz tego zrobić

---

<sup>16</sup> BOLO – alarm dla wszystkich organów ścigania; skrót od ang. be on (the) look-out.

po mojemu, będę musiał działać sam.

– Stawiasz mnie w paskudnej sytuacji – zaprotestowała Kemper.

– To jest paskudna sytuacja!

– Okej, chyba nie mam wyboru – powiedziała spokojniejszym tonem. – Mam tylko nadzieję, że wiesz, co robisz.

Decker się rozłączył i zawiesił wzrok na trzymanym w dłoni telefonie.

– Wiesz? – zapytała Jamison.

– Co? – odpowiedział cichym głosem.

– Wiesz, co robisz?

– Odpowiem ci, jak do mnie zadzwonią.

– Nie możemy stracić Amber i Zoe.

– Nie stracimy.

– Nie masz na to gwarancji! – zareagowała podniesionym tonem.

– Fakt – przyznał.

– Więc co mi próbujesz powiedzieć?

– Obiecałem Zoe, że nie pozwolę złym ludziom cię skrzywdzić.

A teraz obiecuję tobie, że nie pozwolę nikomu skrzywdzić Zoe ani twojej siostry.

Jamison wyjęła broń z kabury.

– Odbijemy je, Decker – powiedziała z przekonaniem, spoglądając na swój pistolet. – A potem dorwiemy tych sukinsynów. Co do jednego.

Zadzwonili o północy.

Zanim Decker zdążył odebrać, Jamison złapała telefon.

– Chcę usłyszeć Amber i Zoe, natychmiast – wyrzuciła z siebie jednym tchem.

– Kto mówi?

– Alex Jamison z FBI, bardzo wkurzona siostra i ciotka porwanych. Daj je do telefonu. Ale już!

– Stawiasz warunki? – zapytał głos po drugiej stronie.

– Stawiam jeden warunek. Chcę je usłyszeć.

Na moment zapadła cisza.

– Alex?

To była Amber. Jej głos brzmiał dokładnie tak, jak powinien. Była przerażona.

– Am, jesteś cała? Nic ci nie zrobili?

– Nie.

– A Zoe?

– Jest tu obok mnie. Wystraszona, ale cała i zdrowa.

Jamison zerknęła na Deckera.

– Nic im nie jest – mruknęła.

– Tylko nie w... – kontynuowała Amber, ale ktoś jej przerwał w pół słowa.

– Okej, słyszałaś je – oświadczył. – Teraz posłuchaj mnie. Chcesz je odzyskać, rób to, co ci powiem.

Jamison oddała telefon Deckerowi.

– Słucham – powiedział Decker. – Co chcesz w zamian za nie?

– Freda Rossa.

– Nie wiem, czy to w moim zasięgu.

– Postaraj się. Albo następnym razem, kiedy zobaczysz kobietę i dzieciaka, będą trupami.

– Gdzie i kiedy?

Mężczyzna podał Deckerowi miejsce i termin spotkania.

– Przywleciecie ze sobą kogoś jeszcze, obie zginą.



- A wy tak po prostu pozwolicie nam odejść z nimi, tak?
- Przywieź Rossa. Do was nic nie mamy. Chcemy tylko starego.
- Nie sądziłem, że Tedowi aż tak zależy na ojcu.
- Macie go przywieźć! Spóznisz się minutę i już po nich.

Decker się rozłączył.

– Czego chcą? – zapytała Jamison.

– Zrobić wymianę.

– To znaczy?

– Fred Ross za Amber i Zoe.

– Dlaczego on?

– Pewnie dlatego, że może ich obciążyć.

– Ale on jest w więzieniu!

– Musimy go stamtąd wydostać.

– Jak?

Decker już wybierał numer.

Kemper zgłosiła się po pierwszym sygnale.

– Chcą Freda Rossa w zamian za Amber i Zoe.

– Okej.

– Załatw, żeby Rossa przekazano nam.

– Da się to zrobić. Gdzie i kiedy chcą dokonać wymiany?

Decker przekazał jej te informacje.

– Facet powiedział, że jeśli przyprowadzimy kogoś ze sobą, obie zginą – dodał.

– Decker, przecież nie jesteście takimi naiwnymi. Jeśli tam pójdziecie bez wsparcia, nie wrócicie żywi.

– Masz śmigłowiec do dyspozycji?

– Tak.

– Proponuję, żebyś go załadowała do pełna agentami. Niech będą gotowi w każdej chwili wejść do akcji. Może być gorąco.

– Decker, na tym polega nasza praca. Do zobaczenia po wszystkim.

Decker się rozłączył i spojrzał na Jamison.

– Powiedzieli, że mamy być sami – zauważyła.

– Wiem, co powiedzieli. Ale nie pozwolą mi tak po prostu odejść z Amber i Zoe.

Jamison popatrzyła na niego ze złością.

– Tobie?! Naprawdę myślisz, że zgodziłabym się, abyś poszedł tam sam? Jak ty, to i ja.

Zanim zdążył odpowiedzieć, zadzwonił jego telefon. Rozpoznał numer i odebrał połączenie.

– Co się, do cholery, dzieje? – powiedziała Cindi Riley pełnym pretensji tonem.

– A konkretniej? – rzucił. – I dlaczego dzwonisz tak późno?

– Ponieważ jesteś moją ostatnią nadzieją w sprawie Johna.

– W czym problem?

– W końcu pozwolił mi wpłacić kaucję, a oni i tak go nie chcą wypuścić.

– Z powodu?

– Mówią, że bez podpisu detektyw Lassiter nie wyjdzie.

– To bez sensu. Lassiter jest w szpitalu. Została postrzelona.

– Nie ma jej w szpitalu.

Decker momentalnie poczuł, jak rośnie w nim napięcie.

– Jak to nie ma?

– Na posterunku twierdzili, że jest w szpitalu, więc zadzwoniłam tam, żeby z nią porozmawiać. Chciałam do niej pojechać z papierami.

– I co ci powiedzieli?

– Że się wypisała na własne żądanie.

– Wypisała się? – zapytał Decker, nie wierząc własnym uszom. – Została postrzelona. Jak mogła się wypisać?

– Nie wiem. Tak mi powiedzieli.

– Próbowłaś się do niej dodzwonić?

– Kilkanaście razy. Nie odbiera. Decker, o co tu chodzi?

Nie odpowiedział od razu.

– Bądź za dziesięć minut przed aresztem. Tam się spotkamy.

Fred Ross podniósł wzrok i uśmiechnął się wrednie.

– Tak czułem, że cię jeszcze zobaczę, tłuściochu – powiedział, spoglądając na Deckera i towarzyszące mu kobiety. Siedział w swoim wózku inwalidzkim, który chwilę wcześniej przytoczył korytarzem jeden ze strażników.

Decker puścił mimo uszu jego uwagę.

– Zabieramy też Johna Barona – oświadczył oficerowi dyżurnemu. – Wpłacono za niego kaucję.

– Nie możemy go wypuścić, dopóki detektyw Lassiter nie podpisze papierów.

– Detektyw Lassiter samowolnie się oddaliła w nieznanym kierunku i jest nieosiągalna.

– To bez znaczenia... – zaczął oficer.

Decker walnął pięścią w stół.

– Posłuchaj mnie uważnie. Ona – powiedział, wskazując na Riley – opłaciła kaucję wyznaczoną przez sędziego. Papiery masz w ręce. Lassiter nie musi niczego podpisywać. Przyrowadź Johna Barona albo to miasto czeka proces, który je wydoi z ostatnich pieniędzy. A jeśli nie – dodał, wyjmując telefon – to za dziesięć minut będzie tu zespół agentów FBI, który aresztuje ciebie i całą obsługę tego burdelu.

Oficer dyżurny zdębiał. Wyglądał, jakby właśnie dostał w twarz.

– Cześć, agencie – odezwał się głos za nimi.

Decker obrócił się i zobaczył Curry'ego, jednego z miejscowych funkcjonariuszy.

– Jakiś problem? – zapytał policjant.

– Tak. Ten facet nie chce wypuścić więźnia, chociaż kaucja jest wpłacona, a on ma wszystkie wymagane papiery. Domaga się podpisu detektywa Lassiter, która podobno została dzisiaj postrzelona, ale wypisała się ze szpitala i dziwnym zbiegiem okoliczności zapadła się pod ziemię.

Curry zerknął na dyżurnego i z powrotem na Deckera.

– Zaraz przyprowadzę Barona.

– Ale detektyw Lassiter... – próbował zaprotestować oficer.

– Zamknij się, Bobby – powiedział Curry, obrócił się i wyszedł.

Po chwili wrócił z Baronem.

– Dziękuję, doceniam – rzucił Decker.

– Nie ma za co. Mam już dosyć tego syfu wokół. – Curry oparł rękę o kolbę pistoletu i wymownie popatrzył na oficera dyżurnego, następnie przeniósł wzrok z powrotem na Deckera. – Może zostanę tu i dopilnuję, żeby nikt się za wcześniej nie dowiedział, jakie macie plany?

– Byłbym wdzięczny – odparł Decker. Spojrzał na stojak z policyjnymi strzelbami na ścianie dyżurki. – Skoro już wyświadczasz przysługi, czy mógłbym pożyczyć jedną z tych armat? Może się przydać.

– Nie ma problemu. – Curry spojrzał na Bobby'ego. – Daj mu.

– Nie mogę...

Curry wyszarpnął pistolet z kabury.

– Natychmiast!

Bobby przekręcił klucz w blokadzie stojaka. Wyjął strzelbę i pudełko naboji, a potem podał je Deckerowi.

– Powodzenia, agencie – rzucił Curry.

– Dzięki.

Decker wręczył broń i amunicję Jamison, a sam potoczył wózek z Rossem do SUV-a. Tam razem z Baronem podnieśli starca i usadowili go na tylnym siedzeniu, a jego składany wózek wstawili do bagażnika. Potem wszyscy wsiedli, Decker za kierownicę.

– Co tu się, do cholery, dzieje? – zapytał Baron.

– Dzieje się, i to dużo – odpowiedział Decker, sięgając po telefon.

– Do kogo dzwonicz? – dopytywała się Jamison.

– Do nikogo. Muszę się szybko czegoś dowiedzieć.

– A konkretnie co cię interesuje?

– Australia.

Decker przez kilka minut przeglądał wyświetlające się na ekranie strony.

– Spóźnimy się na wymianę! – burknęła Jamison.

– Nie, nic podobnego.

Decker przez kolejnych kilka minut czytał z wyświetlacza, po czym wysłał długą wiadomość tekstową. Dopiero wtedy schował telefon i odpalił silnik samochodu.

– Znalazłeś, czego szukałeś? – zapytała Jamison.

Skinął głową.

– Tak, wiem już właściwie wszystko.

Jechali szybko i wkrótce znaleźli się poza centrum miasta.

– Ej, chwila – odezwał się Fred Ross z tylnego siedzenia. – To nie jest... – Nagle jakby ugryzł się w język i zamilkł.

– To nie jest droga do miejsca wymiany? – zapytał Decker. – Tak myślałem, że o wszystkim wiesz, Ross, skoro miejscowy wydział policji też jest w to umoczony. Masz rację, to nie ta droga. Pojedziemy tam, gdzie naprawdę coś się dzieje.

– O czym ty mówisz? – zapytała Jamison zbolalym głosem.

– Zaufaj mi, Alex, wiem, co robię.

– Ja tak łatwo nie ufam nikomu – wtrącił Baron.

– Na twoim miejscu – odparł Decker – też bym nikomu nie ufał. Nikomu w całym tym cholernym mieście.

Wjechali na krętą drogę prowadzącą na szczyt wzgórza.

Baron rozejrzył się zmieszany.

– Dlaczego jedziemy do mojego domu?

– Chcę, żebyś poznał ludzi, którzy próbowali ci załatwić karę śmierci.

Decker zatrzymał samochód, zanim wjechali na dziedziniec przed rezydencją. Zgasił silnik i się rozejrzył.

– Co robimy? – zapytała Jamison.

W tej samej chwili zadzwieczał telefon Deckera. Zerknął na ekran i odczytał wiadomość. To była odpowiedź na SMS-a, którego wysłał wcześniej.

– Zakończymy to, mam nadzieję – powiedział do Jamison.

– Ale co z Amber i Zoe?! – wykrzyknęła. – Musimy je ratować.

– Zrobimy to, Alex, ponieważ one są tu.

– Tutaj? Przecież wymiana miała się odbyć ponad cztery godziny jazdy stąd!

– Otóż to. Chcieli, żebyśmy byli daleko. – Decker obejrzał się na Freda Rossa. – Prawda?

Starzec spojrział na niego nienawistnym wzrokiem.

– Nie masz pojęcia, z kim zadzieras, grubasie.

– Jasne, ciągle to słyszę.

Gdy wysiedli, Decker poszedł na tył samochodu, wyjął wózek inwalidzki i go rozłożył.

– Tego świra możemy zostawić tu – stwierdził Baron. – Daleko nie ucieknie.

– Nie, potrzebujemy go. Ale musimy przedsięwziąć oczywiste środki ostrożności.

Decker wyjął ze skrzynki z narzędziami rolkę taśmy izolacyjnej, podszedł do Rossa i mimo jego protestów zakleił mu usta. Następnie posadził szamoczącego się starca w jego wózku i pasmami taśmy owinął mu przedramiona wokół poręczy.

Potem sięgnął po strzelbę i naboje z przedniego siedzenia i wręczył je Baronowi.

– Zakładam, że wiesz, jak się z tym obchodzić.

Baron wprawnym ruchem załadował pięć naboji i podniósł na niego wzrok.

– Jak każdy pan na włościach.

Decker ruszył przodem, pchając przed sobą wózek z Rossem. Gdy weszli na dziedziniec przed domem, gwałtownie przyspieszył, ale po chwili przystanął.

Dotarli przed komórkę ogrodową. Drzwi były otwarte na oścież, a obok budynku widniała świeżo usypiana hałda ziemi.

– Co tu się, do cholery, dzieje? – Baron zareagował podniesionym głosem. – Kto to wykopał? I dlaczego drzwi są otwarte?

– Ewidentnie szukali skarbu – skwitował Decker. – Poczekajcie tu.

Podszedł do komórki, włączył latarkę w telefonie i zszedł do wykopanego dołu. Stojący na zewnątrz widzieli tylko błyskające światło. Po minucie wynurzył się na powierzchnię i wszedł do budynku. Tam nie zabawił długo. Wrócił do oczekującej go grupy.

– Coś znalazłeś? – zapytała Jamison.

– To, co myślałem, że znajdę. Czyli nic.

– A w środku?

– Przebili się przez betonową podłogę, ale pod spodem była tylko ziemia.

– I co to wszystko ma znaczyć? – odezwała się Riley.

– To znaczy, że musimy iść tam, gdzie faktycznie znajduje się skarb.

Podążyli brukowaną drogą, która odbijała w prawo. Gdy zbliżyli się do jej końca, Decker przystanął i zepchnął wózek z Rossem na bok, następnie wyjął pistolet. Jamison zrobiła to samo, a Baron chwycił strzelbę oburącz. Wyszli zza zakrętu i spojrzeli przed siebie.

Kawałek dalej zobaczyli oznaki gorączkowej aktywności. Przed bramą rodzinnego cmentarza Baronów stała wielka wywrotka, a za nią pusta laweta.

W pewnej chwili obok wywrotki przemknęła minikoparka, która wjechała na cmentarz. Nieopodal stały zaparkowane dwa SUV-y. W głębi przez otwartą bramę widać było kręcących się ludzi.

Decker podkradł się bliżej. Pozostali ruszyli za nim. Hałas

koparki zagłuszył ich kroki. Decker otworzył tylne drzwi pierwszego SUV-a i zajrzał do jednej ze sportowych toreb, których leżała tam cała sterta. Była wypełniona takimi samymi fiolkami jak te znalezione w schowku u Rossa.

Cicho zamknął drzwi, zbliżył się ukradkiem do bramy i zajrzał w głąb cmentarza. Zobaczył grupkę ludzi przy mauzoleum. Wokół stały przenośne lampy oświetlające kryptę.

– Widzę Teda Rossa – syknęła Jamison zza jego pleców.

– Jest też Lassiter – wyszeptła Riley. – Przecież została postrzelona...

– Została, ale nie tak poważnie, jak wszyscy myśleli – skwitował Decker.

Lassiter miała lewą rękę na temblaku i poruszała się z trudem.

Przy ścianie mauzoleum zobaczyli wielką dziurę w ziemi. Słychać było dźwięk pracującego młota pneumatycznego. Po dłuższej chwili Ted Ross sięgnął po latarkę i wszedł do dołu. Lassiter podążyła tuż za nim.

Decker naliczył dziesięciu mężczyzn z bronią stojących dookoła.

Po kilku minutach Ross i Lassiter wyszli na powierzchnię. Nie wyglądali na zadowolonych.

– Decker... – mruknęła Jamison, wskazując ręką w lewo.

Z boku siedziały na ziemi, oparte plecami o duży nagrobek, Amber i Zoe. Obie były związane i zakneblowane.

Decker wycofał się spod bramy. Po chwili wrócił, prowadząc przed sobą wózek ze starym Rossem. Wręczył Baronowi swój pistolet i wziął od niego strzelbę. Lufę przystawił do karku Rossa i ostrożnie przepchnął wózek na środek wejścia na cmentarz.

Spojrzał na pozostałych i skinął głową. Baron i Jamison zajęli pozycje po obu stronach ceglanego muru, celując w Lassiter i stojących obok niej ludzi. Cindi Riley zerkała nerwowo ponad ramieniem Barona.

– Okej, przyjechaliśmy na wymianę! – zawołał Decker.

Wszyscy przy mauzoleum znieruchomieli. Lassiter i Ted Ross powoli się odwrócili. Zobaczyli Deckera ze strzelbą przy głowie starego Rossa.

Ted Ross oparł ręce na biodrach i pokręcił głową. Uśmiechnął



się i spojrzał na Lassiter.

– Donna, do cholery, ile razy ci mówiłem, że musimy się pozbyć tego faceta!

– Nie postąpiłeś mądrze, przychodząc tu! – zawołała Lassiter do Deckera.

– To jedyne miejsce, w które mogłem przyjść – odpowiedział, wskazując wolną ręką na Amber i Zoe. – Wymiana, pamiętacie? To był wasz pomysł, nie mój.

– To się nie skończy dla ciebie dobrze – stwierdziła Lassiter.

– Trzeba było postawić kogoś na straży, Ross.

– Cóż, chyba cię nie doceniłem, Decker.

– Cieszę się, kiedy ludziom się to zdarza. Zakładam, że masz jakiś plan ewakuacji. Daj nam Amber i Zoe. Dostaniesz w zamian tego śmiecia i możesz uciekać.

– To nie takie proste – oświadczył Ross.

Decker spojrzał na mauzoleum.

– Bo niczego tu nie znalazłeś?

Ross przestał się uśmiechać.

– Niby czego?

– Skarbu, który zostawił po sobie Baron Pierwszy.

– A skąd ty możesz wiedzieć cokolwiek o skarbie? – warknęła Lassiter.

– Wiem o nim wszystko. Ale po co on wam? Nie dość się nachapaliście na fentanyl?

Ross spojrzał na Barona.

– Nie o to tu chodzi. Chcę go odebrać jemu!

Fred Ross zaczął się wiercić w swoim wózku.

– Chciałbyś dorzucić coś od siebie? – zapytał Decker. Sięgnął do twarzy starca i zerwał taśmę z jego ust.

– Zastrzel sukinsyna, Teddy! – wrzasnął Fred Ross. – Zabij gnoja!

– Zamknij się, papciu – odpowiedział pogardliwym tonem jego syn i spojrzał na Deckera. – No i co dalej?

– Jak już powiedziałem, możemy się dogadać.

Ted Ross popatrzył na mauzoleum.

– Okej, jak nam powiesz, gdzie jest skarb, możesz sobie zabrać

mamuškę i dzieciaka. – Potem wymierzył z broni w swojego ojca.  
– Jego też możesz sobie wziąć. Mam dosyć tej gnidy.

– Ty mały, żałosny gnojku! – wydarł się Fred Ross. – To ja ci powiedziałem o tym wszystkim. Ty niewdzięczny bękarcie! – Potem dołożył jeszcze stek wyzwisk, wszystkie pod adresem swojego syna.

– Sam widzisz – powiedział Ted Ross, unosząc wyżej pistolet. – Zamknij gębę, papciu, albo przysięgam na Boga, że sam cię rozwalę.

– Fred, nie jesteś aż tak bystry, co? – zagadnął Decker.

– Co to miało znaczyć, tłuściochu?

– Wiedziałeś o wymianie. Ale gdybyśmy pojechali w umówione miejsce, nikt by tam na ciebie nie czekał. Twój syn wystawił cię do wiatru. Ty miałeś trafić do więzienia, a on zaczęłby nowe, dostatnie życie.

Stary Ross nie odezwał się ani słowem, tylko wpatrywał się nienawistnym wzrokiem w syna.

– To był drugi powód, by myśleć, że ta cała wymiana to lipa, a was zastanę tutaj szukających skarbu – powiedział Decker do młodego Rossa. Potem wskazał na jego skwaszonego, skulonego na wózku ojca. – Dlaczego miałyby ci zależeć na tym, by go uwolnić? Faceta, który był taki okrutny dla ciebie i twojej matki? Tylko dlatego, żeby nie mógł zeznawać przeciwko tobie? Do diabła, gdybym był na twoim miejscu, wolałbym zaryzykować niż słuchać tego zgreda. Założę się, że ty też.

Fred Ross zaczął miotać nowe obelgi, ale Decker uciszył go, z powrotem przyklejając taśmę. Potem spojrział na dziurę w ziemi obok mauzoleum.

– Myślałeś, że znajdziesz skarb pod komórką ogrodową albo pod kryptą? Tak wydedukowałeś z listu do firmy O'Reillych?

– Za mało cementu na budowę fabryki – odpowiedział Ross. – Poza tym wtedy Baron już by niczego nie budował, bo jego biznes upadał. Cement zużył na fundament pod kryptą. Teraz już to wiemy.

Decker skinął głową.

– Słyszałem od Greena o tym, jak upadał tutejszy przemysł.

Uraczył nas smętną opowieścią o historii Baronville. Nie mógł wiedzieć, że później, za sprawą pewnego listu, jego informacje okażą się bardzo przydatne. Jak myślisz, Ross, co takiego ukrył stary Baron?

– Kamienie szlachetne, ewentualnie monety. Gotówka by zgniła. Decker pokiwał głową.

– Znaleźliście coś tam na dole?

– Dużą wnękę wewnątrz fundamentów, na którą zużyli cały ten cement.

– Z czymś innym niż skarb? – dopytywał Decker. – Może jakieś szkielety?

– Rzeczywiście walają się tam jakieś kości – przyznał Ross. – Jak na to wpadłeś?

– Baron był starym człowiekiem. Nie ukrył skarbu własnymi rękami. Jak więc mógł zostawić przy życiu tych, którzy to za niego zrobili? Przecież po jego śmierci po prostu przyszliby tu i wszystko rozkradli. Ta wnęka, do której się dokopaliście, to tylko schowek na ciała niewygodnych świadków.

– Gdzie jest skarb? – warknął niecierpliwie Ross.

– Wszystko miałeś w zamówieniu u O'Reillych, ale skupiłeś się na niewłaściwej części listu.

– Zatem oświeć mnie z łaski swojej – wysapał Ross.

– Czytałem list od kamerdynera Barona, Nigela, do jego syna. Costa też go czytał. Tam była ukryta wskazówka na temat skarbu.

– Costa nic mi nie mówił o żadnym takim liście.

– Ale ewidentnie był przekonany, że szukać trzeba pod mauzoleum.

– Costa zbadał ten temat bardzo dokładnie. Naczytał się o historii posiadłości i zawęził obszar poszukiwań, ale chciał mieć pewność. Potrzebowaliśmy kogoś, kto się tu pofatyguje. Padło na Toby'ego Babbota.

– Dlaczego akurat on?

– Babbot uszkodził się, pracując w centrum dystrybucji. Dałem mu fuchę. W każdym razie poszperał tu trochę. Costa ustalił, że po tym, jak Baron złożył u O'Reillych zamówienie na materiały budowlane, powstały tylko dwie nowe budowle – komórka

ogrodowa i to miejsce. Toby przyszedł tu i obie dokładnie pomierzył. Wyszło mu, że betonowy fundament pokrywa się z ilością cementu, który Baron kupił u O'Reillych.

– A John Baron nakrył go przy tym i złożył doniesienie na policję?

– Tak się składa, że Mike Swanson też tu był. Razem z Baronem go stąd przegonili. Swanson znał Babbota i to pewnie on powiedział Baronowi, kto wtargnął na jego posesję. Ale to bez znaczenia – dodał Ross i machnął lekceważąco ręką.

– Dla Babbota i Swansona to miało wielkie znaczenie. Podpisali tym na siebie wyrok śmierci – zauważył Decker. – John Baron miał teraz potencjalny motyw, żeby załatwić Babbota. Dopisałeś więc Babbota do listy tych, których zamierzałeś zabić, żeby wrobić Barona. Przy okazji dowiedziałeś się, że Swanson też tu bywa, przypuszczalnie ze swoim zapasem prochów. To dodatkowo obciążało Barona, a ty i tak musiałeś się pozbyć Swansona. – Decker zamilkł na chwilę. – Myślę, że miałaś jeszcze jeden powód, żeby zlikwidować Babbota.

Ross spoglądał złowrogo na Deckera, ale nie odezwał się ani słowem.

– Odkrył w twoim biurze skrytkę na fentanyl z dostaw. Znał się na pomiarach.

– Tak mi się wydawało, że z jednego pudełka zginęła fiołka. To twoja robota?

– Moja.

– Donna wspomniała, że znalazłeś u Tobby'ego plany konstrukcyjne centrum, ale nigdy nie sądziłem, że skojarzysz fakty. Opowiadałeś jej o tym, jakbyś myślał, że Toby miał pretensje do Maxusa o to, jak go tam potraktowali.

– Poszczęściło mi się, bo wtedy jeszcze nie wiedziałem, że Lassiter jest skundlonym gliną.

– Nic o mnie nie wiesz – warknęła Lassiter.

– Wiem wystarczająco dużo – skwitował Decker.

– Ale do rzeczy – wtrącił Ross. – Co było w liście od tego Nigela?

– Opis podróży do Australii. Nigel był tam ze starym Baronem.

– Australii?

– Tak. Odwiedzili typowe miejsca, ale wspomniał też kilka takich, o których nigdy wcześniej nie słyszałem. Wygooglowałem je, zanim tu przyjechaliśmy. Tylko jedno mnie zainteresowało. Kalgoorlie.

– Cóż takiego niezwykłego jest w Kalgoorlie? – zapytał Ross, siląc się na cierpliwość.

– Pokażę ci. Macie tu młot pneumatyczny?

Ross zerknął na mauzoleum.

– Po co ci? Skarbu tu nie ma.

– Myślę, że jest. Właśnie to miałem na myśli, kiedy powiedziałem, że skupiłeś się na niewłaściwej części listu do O'Reillych. Niech jeden z twoich ludzi rozbije młotem ścianę mauzoleum. Tę ścianę. – Decker wskazał na miejsce tuż za Rossem.

Ross gwałtownie się obrócił.

– Po co?

– Po prostu zrób to. Nie masz nic do stracenia.

Ross skinął na jednego z towarzyszących mu ludzi. Mężczyzna dźwignął młot pneumatyczny i przystawił go do ściany. Marmurowa płyta pod wpływem uderzeń zaczęła pękać i się rozpadać. Po chwili wyłonił się fragment muru ze spojonych zaprawą cegieł.

Ross spojrział na Deckera.

– Przecież to tylko cholerne cegły!

– Obluzuj jedną i wyjmij.

Mężczyzna za pomocą łomu wydłubał ze ściany cegłę. Kiedy wziął ją do rąk, zatoczył się pod ciężarem i omal jej nie upuścił.

– Cholernie ciężka – zauważył, kładąc ją na ziemię.

– Jak to złoto – stwierdził Decker.

– Złoto! – wykrzyknął Ross. – Chcesz powiedzieć, że całe to mauzoleum jest ze złota?

– Nie. Sądzę, że tylko ta ściana. – Decker wskazał ręką na ziemię. – To dlatego mauzoleum zapada się tylko z jednej strony. Betonowy fundament miał utrzymać dodatkowy ciężar złota, ale po latach zaczął kruszeć. Złoto jest pod ceglana licówką.

– Sprawdź! – rozkazał Ross jednemu ze swoich ludzi.

Mężczyzna młotkiem i dłutem odłupał wierzchnią warstwę cegły. Jęknął z wrażenia i podniósł wzrok. Ross skierował światło lampy na cegłę, która rozbłysła złocistym kolorem.

– Już rozumiesz, po co Baron był w Australii? – rzucił Decker.

Ross popatrzył na niego z niedowierzaniem.

– Ale co to za miejsce to Kalgoorlie?

– Złota Mila. Najbogatsze złoża tego kruszcu na ziemi.

– Skąd ty to wszystko wiesz? – zapytała Lassiter.

– Nie widziałem żadnego innego powodu, dla którego Baron wybrał się w tę podróż. Z tego, co mi o nim wiadomo, interesowało go robienie pieniędzy, a nie zwiedzanie świata. Wynajął statek i przywiózł górę złota, prawdopodobnie w postaci bryłek albo pyłu. A potem przetopił je w sztabki pokryte ceglana licówką, używając do tego form zamówionych u O'Reillych.

Ross zapatrzył się na wielką ścianę cegieł, próbując je policzyć.

– Tutaj muszą być setki sztab złota – mruknął.

– Bez wątpienia – przyznał Decker.

– Ale jak doszedłeś do tego, że złoto jest ukryte w ścianie mauzoleum? – zapytała Lassiter. – To, że się zapadła, o niczym nie świadczy.

– Wiedziałem coś, o czym ani wy, ani Costa nie mieliście pojęcia.

– Decker wskazał na Barona. – Przyprowadził mnie tu, kiedy u niego byłem za pierwszym razem. W mauzoleum zobaczyłem na ścianach plamy typowe dla starych krypt. Ale tylko na tej ścianie, od wewnątrz i na zewnątrz, widać białe zacieki. To wysolenie; z czasem skrytalizowane sole wapnia, magnezu lub żelaza wypłukują się z cegieł i z zapraw. Pewnie widzieliście coś takiego na kominach i murach z cegły. Ja dowiedziałem się, co to jest, od faceta, który kiedyś remontował mój dom w Ohio. W liście do O'Reillych wyczytałem, że Baron kupił u nich glinę i formy do robienia cegieł. Kiedy zobaczyłem te zacieki, domyśliłem się, że pod marmurem są cegły. Marmur jest porowaty, więc wszystko przepuszcza. A potem skojarzyłem te cegły z wyprawą do Kalgoorlie i domyśliłem się, że Baron ukrył w nich sztaby złota. W mauzoleum zauważyłem, że od tej strony

wnętrze jest prawie pół metra węższe. – Potarł nogę. – Trumna, o którą zawadziłem, wystaje dalej niż te po przeciwnej stronie. – Spojrzał na Rossa. – Coś jak w twoim biurze. Dodatkowa przestrzeń wypełniona cegłami. Pozostałe ściany mauzoleum są z litego marmuru.

– Ale po co maskować złoto licówką, skoro sztabki były ukryte wewnątrz ściany? – dociekał Ross.

– Cóż, nawet jeśli te cegły były przyciężkawe, robotnicy budujący mauzoleum mogli jedynie się domyślać dlaczego. A gdyby kiedyś marmur się uszkodził, spod spodu wyzierałyby tylko cegły. Ty też myślałeś, że nie ma tu nic więcej, kiedy twój człowiek rozbił marmurową płytę.

– Ale kto zabił tych dwóch nieszczęśników i ukrył ich ciała w krypcie? – zapytał Baron.

Decker wzruszył ramionami.

– Domyślam się, że Baron Pierwszy i jego kamerdyner. Schowali ciała we wnęce, a potem zlecili komuś, żeby ją zamurował. Nigel w liście do syna wspomniał, że być może trafi do piekła, i w pewnym sensie prosił Boga o przebaczenie. Być może dręczyły go wyrzuty sumienia.

– Ile ta ściana złota może być warta? Jak ci się zdaje? – zapytał Ross.

Decker szybko oszacował liczbę cegieł w murze.

– Złoto jest obecnie po tysiąc trzysta dolarów za uncję. Taka sztaba złota, jak ta tutaj, waży ponad dwanaście kilogramów. Tak więc jedna cegła jest warta... prawie sześćset tysięcy dolarów.

– O mój Boże! – zawołała Lassiter. – Każda?

– Zgadza się. – Decker omiótł wzrokiem ścianę krypty. – Na moje oko jest tu jakieś dziewięćset cegieł. Może więcej.

– Czyli... – bąknął Ross, próbując samemu wykonać obliczenia.

– Ponad pół miliarda dolarów w złocie – uprzedził go John Baron.

– Baron Pierwszy najwyraźniej nie mógł się rozstać ze swoją fortuną, dlatego postanowił ją zabrać do grobu – zauważył sarkastycznie Decker. – Byłem pewny, że nie znajdziecie złota w komórce.

– Boże, wiedziałam, że stary Baron był bogaty, ale żeby aż tak...  
– bąknęła Lassiter.

– Cóż, w tamtych czasach złoto było znacznie tańsze – zauważył Decker. – Wybrał dobrą inwestycję.

Ross oderwał wzrok od sztabki i spojrzął na Deckera.

– Więc jak, umowa stoi?

– Widzisz, Ross, problem polega na tym – powiedział Decker – że zabiłeś co najmniej dziesięć osób, o których wiem, łącznie ze szwagrem mojej partnerki. Nie wspominając o tysiącach zmarłych z przedawkowania tego syfu, który sprzedajesz. Prawdę mówiąc, przyszedłem tu, żeby cię aresztować.

Ross spojrzął na Deckera jak na wariata.

– Ty chcesz mi dyktować warunki? Rozejrzyj się, ilu tu ludzi z bronią. Nie zapominaj o zakładnikach, których chcesz odzyskać. A ty co masz? Tylko tego zgreda, który mnie nie obchodzi.

– Nic nie rozumiesz. Popełniłeś wielki błąd.

– Niby jaki? – zapytał Ross niespokojnie.

W odpowiedzi Decker sięgnął wolną ręką po telefon. Był włączony na tryb głośnomówiący.

– Założyłeś, że będę na tyle głupi, aby tu przyjść bez wsparcia.



Jaskrawe światło rozbłysło ze wszystkich stron.

Zza okalającego cmentarz muru wysunęły się długie lufy karabinów. Mężczyźni stojący na drabinach szturmowych zastygli z bronią gotową do strzału.

– Agenci federalni! – rozległ się głos z megafonu. – Rzucić broń! Na ziemię, ręce za głowę! Natychmiast!

Spoza linii drzew z hukiem wyskoczył helikopter oznaczony wielkimi literami DEA na burcie. Zawisł nad cmentarzem i skierował snop reflektora na stojących obok mauzoleum. Także z jego pokładu celowano z karabinów.

Część ludzi Rossa otworzyła ogień do śmigłowca i uzbrojonych mężczyzn, którzy pojawili się na szczycie muru.

Rozpętała się gwałtowna strzelanina. Łoskot wystrzałów zagłuszył krzyki. Cmentarz szybko zasnuł się siwym dymem. W gęstej zawieszynie widać było jedynie rozbłyski eksplodujących granatów hukowych.

Decker bezceremonialnie zepchnął na bok wózek z Rossem.

– Trzymaj głowę nisko – rzucił do niego i dołączył do pozostałych.

– Idę po Amber i Zoe! – krzyknęła Jamison do Deckera i ruszyła biegiem.

John Baron podążył za nią.

Młody Ross i jeden z jego ludzi próbowali ich ubiec.

Obie grupy wpadły na siebie tuż przed skulonymi przy nagrobku zakładniczkami.

Ross usiłował wycelować broń w Jamison.

– Ty śmieciu! – wrzasnęła do niego.

Kopniakiem wytrąciła mu pistolet z ręki i uderzyła go pięścią w nos. Gdy zamroczony zatoczył się do tyłu, dopadła do niego i znokautowała ciosem kolanem w krocze. Ross osunął się na ziemię i już nie wstał. Jamison na wszelki wypadek sięgnęła po kajdanki i skuliła mu ręce za plecami.

W tym samym czasie Baron wyrwał broń drugiemu napastnikowi, wykręcił mu ramię do tyłu i cisnął nim w nagrobek. Mężczyzna huknął głową o kamienną płytę i padł nieprzytomny.

Jamison wzięła Zoe na ręce, a Baron pomógł Amber dźwignąć się z ziemi. Schowali się za płytę nagrobną, gdyż strzelanina wciąż trwała.

Gdy Jamison odkneblowała Zoe, dziewczynka popatrzyła na nią z zachwytem.

– Ciociu Alex, to, co zrobiłaś... Było super.

Przy wejściu na cmentarz coś wychynęło z ciemności i dymu. Decker poczuł uderzenie. Zatonął w bok, wpadł na bramę z kutego żelaza, stracił równowagę i runął.

Cindi Riley, kuląc się z przerażenia, pomogła mu wstać. Wokół wciąż świstały kule, a pośród nagrobków rozbrzmiewały krzyki i huk wystrzałów.

Decker usłyszał nikiący w ciemnościach tupot. Ktoś oddalał się biegiem. To musiała być osoba, która go uderzyła.

Spojrzał w głąb cmentarza. W rzadniejącym dymie zobaczył kilku ludzi Rossa leżących na ziemi. Inni klęczeli z rękami za głową.

Agenci DEA w kamizelkach kuloodpornych, uzbrojeni w karabinki szturmowe, zabezpieczali teren. Krótka bitwa dobiegła końca.

Śmigłowiec wylądował obok cmentarza. Kemper wysiadła i podbiegła do Deckera.

– Muszę ci powiedzieć – wydyszała – że twój ostatni SMS, żebyś się tu pofatygowała, rozłożył mnie na łopatki. Ale zaufałam ci. Jak widać, opłaciło się.

Decker skinął głową, a potem spojrzał na Barona i Jamison, którzy właśnie odprowadzali Amber i Zoe do grupy agentów DEA.

– Użyliście gumowych kul? – zapytał.

Kemper skinęła głową.

– Zgodnie z sugestią. Teraz przyciśniemy tę ferajnę, żeby nam opowiedziała, dla kogo pracuje.

Tymczasem dym przerzedził się jeszcze bardziej.

– Widzę Teda Rossa, ale nie ma Lassiter – zauważyła Riley.

Spojrzeli wszyscy na Rossa. Twarz miał zakrwawioną po ciosie Jamison. Dwóch agentów właśnie stawiało go na nogi.

– Ktoś pobiegł w stronę domu. To pewnie Lassiter – stwierdził Decker.

– Dopadniemy ją – powiedziała pewnym głosem Kemper. – Teren jest obstawiony. Moi agenci zablokowali drogę dojazdową. Nie wymknie się.

Decker spojrzał w stronę zaparkowanych przy bramie SUV-ów. Starego Rossa i jego wózka też nie było. Na ziemi leżały tylko kawałki taśmy, którą go skrępował. Starzec musiał się jakoś oswobodzić.

– O co chodzi? – zapytała Kemper.

– Fred Ross też się urwał. Na wózku inwalidzkim.

Kemper się uśmiechnęła.

– Myślę, że damy radę go dogonić. Dzięki za pomoc – powiedziała i odeszła w stronę agentów trzymających Teda Rossa.

Decker odprowadził ją wzrokiem, po czym spojrzał na Riley.

– Idź, pomóż innym. Wróć.

Zanim Riley powiedziała cokolwiek, pospieszył w kierunku rezydencji.

Kilka minut później dotarł pod dom i przystanął. Rozejrzał się, jednocześnie nasłuchując odgłosu biegu albo skrzypienia wózka. Wokół jednak panowała cisza.

*Gdzież mógł się podziać ten starzec?*

Decker przyspieszył kroku. Lassiter miała większe szanse na ucieczkę, ale nie pieszo. Dysponując samochodem, mogła spróbować sforsować blokadę na drodze. Decker miał kluczyki do auta, którym tutaj przyjechali. Wiedział jednak, że w pobliżu jest jeszcze jeden pojazd.

Pospieszył do garażu.

Gdy przed nim stanął, usłyszał hurgot uruchamianego silnika. Rozległ się zgrzyt przekładni biegów i stary suburban wystrzelił tyłem z budynku.

Decker rzucił się w bok, w ostatnim momencie unikając potrącenia. Przetoczył się po ziemi i usiadł. W tej samej chwili Lassiter gwałtownie obróciła kierownicą. Suburban zakręcił o sto osiemdziesiąt stopni i zatrzymał się przodem w stronę wylotu drogi.

Decker przyklęknął, oparł kolbę strzelby o ramię i wycelował.

– Wsiadaj, Lassiter! Wsiądź albo zacznę strzelać.

W odpowiedzi wysunęła przez otwarte okno pistolet i pięciokrotnie pociągnęła za spust. Na szczęście chybiła.

Decker strzelił kilka razy w bok samochodu.

Grad śrucin załomotał o starego suburbana, przebijając obie opony, tłukąc przednią szybę i dziurawiąc karoserię.

Lassiter wrzasnęła i w następnej chwili drzwi od strony pasażera otworzyły się szeroko. Usłyszał, jak zeskakuje na ziemię i oddala się biegiem. Dostrzegł ją w momencie, gdy dopadła drzwi wejściowych i znikła w środku.

Powoli podszedł do suburbana i zajrzał do środka.

Na siedzeniu była krew. Wiedział już, że ją trafił.

Podążył śladem krwi do wejścia i ostrożnie zajrzał za drzwi.

Usłyszał Lassiter, zanim jeszcze ją zobaczył.

Jęczała z bólu.

Ostrożnie podążył wielkim holem, zaglądając do każdego mijanego pomieszczenia. Jęki były coraz lepiej słyszalne, ale echo w przepastnym wnętrzu rezydencji sprawiało, że wydawały się dobiegać zewsząd.

Przystanął i wytężył słuch.

– Decker?

Zrobił jeszcze kilka kroków i zajrzał do zbrojowni.

Lassiter siedziała na podłodze, oparta plecami o ścianę. Ramię, które nosiła na temblaku, było zakrwawione i zwisało bezwładnie wzdłuż ciała.

Decker skupił uwagę na pistolecie, który trzymała w prawej ręce.

– Tak? – odezwał się.

– Idź do diabła!

– To koniec, Donna. Odłóż broń, a ja wezwę kogoś, kto cię

opatrzy.

Lassiter parsknęła śmiechem, skrzywiła się, obróciła głowę na bok i zwymiotowała. Otarła usta wierzchem dłoni, w której trzymała pistolet, i podniosła wzrok na stojącego w drzwiach Deckera.

– Załatwiłeś mnie na amen. – Dotknęła lufą ubrudzonego krwią policzka. – Już nie jestem taka ładna, co? – Zaśmiała się i momentalnie zgięła w pół z bólu.

– Dlaczego, Donna? Przecież jesteś policjantką.

– Za dużo kasy, Decker – odpowiedziała, prostując się. – Za wielką pokusę. – Jęknęła i osunęła się z powrotem na ścianę.

– Przy okazji chciałaś się zrewanżować Baronowi za swojego ojca. No i za matkę.

Lassiter wskazała na zakrwawiony temblak na podłodze.

– Plan był taki, żeby załatwić Marty’ego i Alice, kiedy będziemy ich przewozić. Potem mieli strzelić do mnie i paru innych, żeby wszystko wyglądało wiarygodnie. Tylko że cholerna kula zrykoszetowała o kamizelkę kuloodporną i oberwałam w lewe ramię. Musiałam łyknąć sporo środków przeciwbólowych, żeby funkcjonować. A teraz ty przyłożyłeś mi w to ramię. Mam wrażenie, jakby zaraz miało odpaść. I chyba nabieram krwi w płuca.

– Popełniłaś błąd, wypisując się ze szpitala. Sama mnie tu doprowadziłaś.

Lassiter pokręciła głową.

– Musiałam. Nie mogłam ufać, że Ted mnie nie wydyma.

– Oczywiście, złodziejski honor. Tylko po co tyle zachodu z Beattym i Smithem? Po co to zamrażanie ciał i podrzucanie ich do tamtego domu?

– Wiedziałam, że nasz koroner jest niekompetentny. Spodziewaliśmy się, że kiedy zostaną zidentyfikowani, zwali się tu DEA, dlatego Ross wymyślił to mrożenie ciał. Miało pomóc zatrzeć ślady. – Odkasznęła krwią. – Ale wierz mi, gdybym wiedziała, że jesteś jeden dom dalej, wywiozłabym je wiele kilometrów stąd.

– Odłóż broń, Donna. Pozwól sobie pomóc. Inaczej tu umrzesz.

– A kogo to obchodzi! – Lassiter wzięła głęboki, przerywany oddech, bez wątpienia zaciągając jeszcze więcej krwi do pokaleczonych płuc. – Baronville! To miejsce wysysa z człowieka całe życie. Za każdym razem, kiedy widziałam to nazwisko na cholernym rogu ulicy albo budynku, dostawałam szału. Mój tato był dobrym człowiekiem. To miasto go zniszczyło. Wszystkich zniszczyło!

– Studiowałaś w Filadelfii. Mogłaś tam zostać.

Lassiter pokręciła głową.

– Musiałam wrócić, żeby zaopiekować się matką. A ona i tak się zabiła. A ja tu utknęłam.

– Nie ty jedna masz spieprzone życie. Ale jest twoje i nikt go za ciebie nie naprawi.

– Pewnie, że nie. – Znowu zakołysała głową. – Tyle złota... Pół miliarda, mówiłeś?

– Coś koło tego. Ale to tylko pieniądze, Donna.

Zaśmiała się gorzko.

– Łatwo powiedzieć, kiedy ci ich nie brakuje. – Jęknęła i złapała się kurczowo za bok. – Cholera, ale boli.

– Odłóż broń, Donna. Jeszcze nie jest za późno. Sprowadzę pomoc, ale najpierw musisz oddać pistolet.

Lassiter podsunęła się wyżej, a na jej twarzy odmalował się dziwny spokój.

– Dostanę karę śmierci, Decker – powiedziała cicho. – Za to wszystko, co zrobiłam.

– Nawet jeśli, to takich wyroków nigdy nie wykonuje się od razu.

Decker zauważył, że upływ krwi, który pozbawiał ją sił, osiągnął krytyczny moment. Zaczęła się jąkać.

– N-nie pójdę do w-więzienia. Eksglina... Nie p-pójdę. N-nie ma mowy.

– Nie musisz tego robić – powiedział, domyślając się, do czego zmierza.

– Byłam d-dobrym gliną. N-naprawdę. A potem w-wszystko wzięło w łeb.

Jej twarz bladła, w miarę jak z każdym uderzeniem serca

spadało ciśnienie krwi. Teraz mogło się to skończyć już tylko w jeden sposób.

– Jak się skumałaś z Rossem? – zapytał, usiłując odwrócić jej uwagę.

Lassiter na dźwięk jego głosu jakby się ocknęła i uniosła głowę.

– Znałam go od zawsze – zaczęła. Mówiła powoli, ale wyraźnie.

– Potrzebował wtyki w policji. Wiedział o moich rodzicach. I że byłam zdesperowana. Złożył mi propozycję nie do odrzucenia.

– Alice Martin się niczego nie domyślała, prawda?

Lassiter pokręciła głową.

– D-dla niej byłam miłą, d-dobrą policjantką.

– A Green?

Znowu pokręciła głową.

– Nikt o mnie nie w-wiedział oprócz Rossa. Marty i kilku innych b-brali od niego p-pieniądze, ale mój układ z Rossem był t-tajemnicą. Inaczej Marty mógłby mnie wydać po tym, jak go powiązałeś z m-morderstwem Bonda.

– Odłóż broń, Donna.

– Nie zrobię tego. – Podniosła na niego błagalne spojrzenie. – Zastrzel mnie, Decker. – Wskazała lufą pistoletu na swoje czoło. – Strzel tutaj. Proszę. Zrób przysługę drugiemu glinie. Po prostu zrób to.

– Przykro mi, nie mogę.

– Okej, pomyślałam, że chociaż spróbuję – odparła gorzko.

Włożyła lufę pistoletu do ust, zamknęła oczy i pociągnęła za spust.

Decker jej nie powstrzymywał. To musiało się tak skończyć i być może lepiej, że właśnie tak się stało. Podszedł do ciała, które osunęło się bokiem na podłogę. Ściana, o którą się opierała, była zbryzgana krwią i mózgiem.

Spojrzał na nią i zamknął oczy, a wtedy w jego umyśle rozbłysnął jaskrawoniebieski kolor – ten, który zawsze się pojawiał, gdy Decker obcował ze śmiercią. Włosy na jego karku zjeżyły się i poczuł mdłości, którym towarzyszył nagły atak klaustrofobii.

Gdyby nie to, że stał nad zwłokami, pewnie by się uśmiechnął. Lassiter się zaprzedała, co do tego nie miał wątpliwości. Nadal jednak była gliną. Nie zamierzał fetować jej śmierci.

Mimo to odczuł pewną ulgę. Pomyślał, że może jutro znowu będzie tym samym starym Deckerem; w każdym razie tym, którego stworzył cios w głowę na boisku. W tym nieprzewidywalnym świecie zawsze była to jakaś pociecha.



– Co to było?

Baron, Jamison i Riley właśnie odprowadzali Amber i Zoe drogą wiodącą do rezydencji, kiedy John przystanął i wyteńczył słuch.

– Coś usłyszałeś? – zapytała Jamison.

– Tam – odparł, wskazując w głąb odbijającej w bok ścieżki.

– Może to Decker?

– To nie ja – odpowiedział Decker, który właśnie się ukazał zza zakrętu naprzeciwko.

– Gdzie byłeś? – zapytała Jamison.

– W domu, z Lassiter.

– Co się stało?

Decker zerknął na Zoe. Dziewczynka wyglądała na wyczerpaną i przestraszoną.

– Powiem ci później. Właśnie dostałem wiadomość od Kemper. Wezwała karetkę dla Amber i Zoe. Przyjedzie pod dom. Alex, pójdz tam, proszę, z Cindi i poczekajcie z nimi.

– A ty dokąd znowu idziesz?

– Myślę, że John i ja musimy sprawdzić pewne miejsce.

Baron wciąż wpatrywał się w głąb ścieżki.

Jamison spojrzała na Barona i z powrotem na Deckera.

– Chyba jednak pójde z wami.

– Nie, Alex, idź z siostrą i z Zoe. Nie wiemy, kto jeszcze w tym mieście życzy nam śmierci, a ty masz broń. Kemper przyśle ci agentów. Dopóki się nie zjawią, musisz chronić rodzinę.

Jamison wyglądała na rozdartą.

– Okej, ale mogę przynajmniej wiedzieć, dokąd się wybieracie?

Decker spojrzał na Barona.

– Może w przeszłość.

Kiedy ruszyli we dwóch ścieżką, Baron spojrzał na Deckera.

– Wiesz, dokąd prowadzi, prawda?

– Tak.

– I słyszysz to co ja?

– Owszem.

– Ale on nie wie, co tam jest. Przecież nigdy tam nie był.

– Jeśli wie, to tylko z jednego powodu – odparł Decker.

Gdy wyszli spomiędzy drzew, ich oczom ukazał się rozległy staw. Mimowolnie przystanęli. Na skraju wody zobaczyli Freda Rossa w wózku inwalidzkim.

– Ej, Ross! – zawołał Decker. – Gdzieś się wybierasz?

Starzec obrócił się gwałtownie i wbił w nich wzrok. Nie mając już ust zaklejonych taśmą, z wielką pasją zaczął ich obrzucać wyzwiskami. Zanim do niego podeszli, szarpnął się w bok, przewracając wózek. Następnie czołgał się w stronę wody, wlokąc za sobą bezużyteczne nogi.

Gdy Baron zastąpił mu drogę, Ross zadarł głowę, by na niego spojrzeć.

– Gdybym tu miał swoją dwururkę... – wyrzucił z siebie jadownicę.

– Ale nie masz – skwitował Decker. – Jak się uwolniłeś?

– Nie skrępowałś mnie dobrze. Pewnie myślałeś, że jestem słaby, bo stary. A ja jestem silniejszy, niż ci się wydaje, tłuściochu. Całe życie ciężko pracowałem, a teraz sam popycham to żelastwo, na którym siedzę.

– Skąd wiedziałeś, że tu jest staw? – zapytał Baron.

Starzec zarechotał.

– A jak myślisz?

Decker przyklęknął obok Rossa, który wciąż leżał w błocie przy brzegu.

– Dlaczego zabiłeś jego rodziców?

Baron rzucił Deckerowi zdumione spojrzenie i momentalnie przeniósł wzrok na Rossa.

– Byli Baronami. To nie wystarczy?

– Utopiłeś ich w stawie? Dlaczego?

– Bo nie chciałem dać się złapać, ty głupi sukinsynu.

– Ale po co w ogóle tu przyszedłeś? – zapytał Decker.

– Szukałem tego, co wszyscy.

– Skarbu?

Ross rzucił mu chytre spojrzenie i skinął głową.

– Skąd wiedziałeś, że jest jakiś skarb? – zdziwił się Baron.

– Moja babka za młodu pracowała jako służąca w waszej cholernej rezydencji. Ten cały kamerdyner był już wtedy stary i kiedy się upijał, przyłaził do kuchni i gadał jak najęty. Krótco przed tym, jak wykorkował, chwalił się mojej babce, że zostanie pochowany razem z Baronem. Strasznie był z tego dumny. Jakby to miało sprawić, że się stanie nie wiadomo kim! Wtedy powiedział też, że Baron nie zostawi wiele swoim dzieciom. Zamierzał ukryć pieniądze przed tą bandą pijawek, które nic dla niego nie znaczyły, gdzieś na terenie posiadłości. Babka opowiedziała to mojej matce, a matka mnie. Któregoś wieczoru wiele lat później przyszedłem tu poszukać, ale nic nie znalazłem. Pomyślałem, że jak przycisnę Baronów, to mi sami wyśpiewają.

– Oni też nie wiedzieli, ty durniu! – ryknął John. – Myślisz, że gdyby wiedzieli, toby go nie wydobyli?

Ross zignorował go i nadal wpatrywał się w Deckera.

– Nic mi nie powiedzieli. Wkurzyłem się i dałem im po łbie. Potem wsadziłem oboje do tego ich eleganckiego auta, podjechałem tu i zepchnąłem samochód do wody.

– Skąd wiedziałeś, że jest tu droga nad staw? – zapytał Decker.

– Moja babka powiedziała matce. – Zerknął na stojącego nad nim Barona. – Mówiła, że jaśnie państwo zrobili sobie drogę, żeby nią jeździć nad staw na pikniki. Pomyślałem, że urządzę im piknik jak się patrzy. Na samym dnie. – Ross umilkł i spojrzał na wodę. – A potem wróciłem do pracy w tej cholernej fabryce i mnie sparaliżowało. – Odwrócił się i zerknął na wózek. – Od tego czasu jestem przykuty do tego cholerstwa.

– Cóż, niezbadane są wyroki boskie – skwitował Decker. – Tylko po co przywlokłeś się tu teraz?

– Nie wybieram się do więzienia. Prędzej się utopię.

Baron sięgnął po pistolet i wymierzył go w Rossa.

– Pomóc ci się rozstać z tym światem? Cała przyjemność po mojej stronie.

Starzec wyszczerzył zęby we wrednym uśmiechu.

– No dalej, zrób to, złamasie. Pociągnij za spust.

Baron odciągnął kurek.

– Zrób to, chłopaczku z bogatego domu. Masz tyle odwagi? – wydusił z siebie Ross piskliwym tonem.

– Nie daj się sprowokować, John – rzekł Decker. – Ta kanalia wie, że musiałbym cię aresztować. Odebrał życie twoim rodzicom, a teraz chce je zniszczyć tobie. Pozwolisz mu na to?

Baron przystawił lufę do czoła Rossa i trzymał ją tak, aż starzec zaczął dygotać ze strachu, a z oczu popłynęły mu łzy. Dopiero wtedy opuścił kurek na swoje miejsce i z uśmiechem oddał pistolet Deckerowi.

– Chyba żartujesz – powiedział, stawiając przewrócony wózek Rossa na koła. – Jaśnie pan Baron nie zniżyłby się do czegoś takiego.

Ross zaklął i splunął mu pod nogi. Baron z niezmałym spokojem uniósł starca z ziemi i posadził go na wózku.

– W drogę, Ross. Osobiście wepchnę cię do radiowozu. Pojedziesz do więzienia razem ze swoim niewydarzonym synalkiem. Niedaleko padło jabłko od jabłoni.

Decker pochylił się nad starcem.

– Myliłeś się.

– W czym? – warknął.

– Nawet w Baronville niektóre rzeczy są nielegalne.

Kiedy szli z powrotem przez las, Baron spojrzął na Deckera.

– Jedynym przyjacielem, jakiego mam, jest Cindi Riley.

– Wiem.

– To znaczy tak było do teraz. – Zamilkł na moment i przystanął. – Ciebie i Alex też zaliczam do przyjaciół. Wiem, gdzie bym się teraz znajdował, gdybyście oboje nie włożyli tyle wysiłku w ustalenie prawdy.

Decker przez chwilę patrzył na niego w milczeniu.

– Wierzysz w drugą szansę, John? Ja dostałem swoją właśnie wtedy, kiedy jej potrzebowałem. A ty? Wierzysz w swoją?

Baron rozejrzał się po okolicy, która kiedyś stanowiła część rozległej posiadłości jego rodziny.

– Tak, chociaż dopiero od kilku minut.

– I tego się trzymaj.



– Wyszło sporo ponad sześćset milionów dolarów w złocie. Nawet po zapłaceniu rozmaitych podatków to olbrzymi majątek.

Baron siedział w swoim gabinecie z Riley, Jamison i Deckerem.

Agenci wrócili już do Waszyngtonu, ale kilka tygodni później wpadli do Baronville z wizytą.

– No to można powiedzieć, że w kwestii perspektyw życiowych zaliczyłeś zwrot o sto osiemdziesiąt stopni – stwierdził Decker.

– Co zamierzasz zrobić z tą fortuną? – zapytała Jamison.

– Na początek zburzę ten dom i postawię tu coś minimalistycznego, bardziej gustownego. Myślałem też nad tym, żeby pomóc temu miastu.

– Jak to? – zdumiała się Jamison.

– Zainwestować pieniądze w miejscową edukację, centra rekwalifikacji zawodowej, nowy ośrodek leczenia uzależnień od opioidów. Zachęcić firmy do otworzenia tu swoich oddziałów i zatrudnienia mieszkańców. Stworzyć warunki dla start-upów. Wszystko, co pomoże Baronville dźwignąć się z kolan.

– Miło z twojej strony, że chcesz pomóc miastu, które całe życie pluło ci w twarz – zauważyła Riley.

Baron spochmurniał.

– Zawsze starałem się pokazać tym ludziom, że ich jad mnie nie zatruł, dlatego odwzajemniałem im się żartem i kpina. – Zamilkł na moment, a wszyscy obecni wpatrywali się w niego, czekając na dalsze słowa. – Ale za tą fasadą był człowiek, który miał w sobie tylko złość. – Westchnął przeciągle. – Tak się nie da żyć. Zwłaszcza teraz, gdy los sprawił, że spadła mi z nieba taka fortuna. Najzabawniejsze jest to, że nigdy dotąd nie byłem bogaty, chociaż wszyscy tak o mnie myśleli. Teraz, kiedy naprawdę stałem się bogaczem, chcę wesprzeć innych. Do diabła, przecież nie zapracowałem na te pieniądze. Po prostu miałem to szczęście, że urodziłem się w takiej, a nie innej rodzinie. Nie da się zaprzeczyć, że John Baron Pierwszy był złym człowiekiem.

To miasto i ja sam wiele przez to wycierpieliśmy, chociaż nie z naszej winy. Teraz mogę wykorzystać jego pieniądze, żeby naprawić obie te niegodziwości. – Spojrzał na Jamison. – Zaczynając od twojej rodziny. Wiem, że twoja siostra zamierza podać Maxusa do sądu, ale jej sprawę komplikuje fakt, że za wszystkim stał Ross. Maxus może to wykorzystać na swoją obronę. Uruchamiam więc fundusz dla twojej siostry i siostrzenicy. Już nigdy nie będą się musiały martwić o pieniądze.

– Mówiła mi o tym, John. To bardzo wspaniałomyślne z twojej strony.

Baron wymownie spojrział na Deckera.

– Nie mogę zmarnować drugiej szansy.

– Dokąd zamierzają się przeprowadzić? – zapytała Riley.

– Cóż, na razie zostaną w Baronville – odpowiedziała Jamison.

– Muszę powiedzieć, że jestem zaskoczony – podsumował Baron.

– Ja też – zawtórowała mu Riley.

– A ja nie – stwierdził Decker.

Wszyscy spojrzeli na niego, ale nie rozwinął swoich słów.

– Co tam słyhać u Teda Rossa? – zapytał Deckera Baron.

– Poszedł na współpracę. W zamian za dożywocie bez możliwości warunkowego zwolnienia. Brał udział w dystrybucji narkotyków na skalę całego kraju. Dzięki jego informacjom DEA rozbiła podobne szajki w czterech innych stanach. Kemper powiedziała mi, że meksykańskie władze aresztowały szefów dwóch karteli. A prezes wielkiego koncernu farmakologicznego w Chinach popełnił samobójstwo, zanim po niego przyszli.

– Jak Ross skumał się z takimi grubymi rybami w narkobiznesie? – zapytała Riley.

– Ten facet zawsze żył na skróty. Niezależnie od tego, czy coś budował, czy prowadził zakłady włókiennicze, albo popełniał oszustwa, albo defraudował fundusze. Zeznał, że kiedy zaczął się kryzys opioidowy, zwęszył okazję i rozprowadzał prochy na małą skalę w rejonie Baronville. W ten sposób poznał Briana Collinsa, z którym zrobił kilka interesów. Po tym, jak dostał

robotę menedżera centrum dystrybucyjnego, zgłosił się do Collinsa z pomysłem wykorzystania tego miejsca do szmuglowania fentanylu. Władze od dawna walczą z przemytem narkotyków drogą pocztową, ale w takim centrum dystrybucyjnym przesyłek jest tyle, że nie sposób sprawdzić wszystkich. Dzięki znajomościom Collinsa rozkręcili interes na olbrzymią skalę. Ross podczas swoich obchodów odbierał paczki z miejsc, gdzie pracowali opłacani przez niego ludzie. System śledzenia przesyłek był ustawiony tak, że dostawy fentanylu trafiały tylko tam. Miał też kogoś w dziale IT, kto zacierał po nim elektroniczne ślady, kiedy już paczki zniknęły z systemu. Wszyscy oni robili to za dużo większe pieniądze niż te, które mogliby zarobić gdziekolwiek indziej. Do diabła, Alice Martin płacili rocznie sześciocyfrowe kwoty praktycznie tylko za to, że przemykała oko na ruch pod swoim domem. To daje wyobrażenie, jak wielkimi pieniędzmi obracali.

– Mniejsze miasta nie mają tylu sił porządkowych, co metropolie, stały się więc siedliskiem organizacji przestępczych – dodała Jamison. – W połączeniu z wysokim bezrobociem – gdy ludzie łapią się każdego zajęcia, żeby tylko coś zarobić – to gotowy przepis na katastrofę.

– Aż strach pomyśleć – wtrąciła Riley – ile jeszcze takich miast jak nasze boryka się z tym samym.

– Z pewnością Baronville nie jest jedyne – stwierdził Decker.

– No dobrze, ale skoro Lassiter i Green byli zamieszani w ten biznes – zauważył Baron – to dlaczego pracowali z wami nad tą sprawą?

– Green nie miał świadomości, że Lassiter też w tym siedzi, chociaż ona o jego udziale wiedziała. Twierdziła, że dla Rossa była dodatkowym zabezpieczeniem. Green nie powiedział nam, że w mieście popełniono więcej morderstw. O tym dowiedzieliśmy się od Amber. Kiedy jednak zapytałem go o to wprost, podjął szybką decyzję, żeby nas dopuścić do śledztwa. Dzięki temu mógł nam patrzeć na ręce i odpowiednio interweniować, w razie gdyby uznał, że jesteśmy na właściwym tropie. Poza tym w ten sposób oddalił od siebie podejrzenie.



Lassiter początkowo nie chciała nam pozwolić na podjęcie dochodzenia. Potem jednak, jak sądzę, ona też uznała, że tylko tak będzie mogła mieć nas na oku. Wcale nam nie pomogli w śledztwie. Tylko patrzyli z boku i od czasu do czasu sprawdzali, jakie zrobiliśmy postępy. Lassiter wiedziała, że ich koroner jest do niczego. Doświadczeni detektywi z wydziału zabójstw powinni wiedzieć o takich rzeczach, jak stężenie pośmiertne czy infestacja. Tymczasem oni różnili głupa. Nie podejrzewałem niczego, ponieważ zdarzało mi się spotkać w policji ludzi, którzy zwyczajnie się na tym nie znali. Lekarz dorabiający sobie jako koroner, chociaż nie ma o tym bladego pojęcia, nie jest dla mnie niczym niezwykłym. Tymczasem Green i Lassiter tylko udawali ignorantów, żeby spowolnić śledztwo. Nie powiedzieli nam, że Toby Babbot doznał urazu podczas pracy w centrum dystrybucji, bo nie chcieli kierować na to naszej uwagi. Chociaż potem i tak się zainteresowaliśmy tym miejscem... z innego, koszmarnego powodu. – Spojrzał na Jamison.

– Ross wyjawiał nam, dlaczego zabili Franka – powiedziała cichym głosem.

– Myślałam, że zginął, bo sfiksował jakiś robot! – zdziwiła się Riley.

– Okazało się inaczej – odpowiedziała Jamison. – Ross przyznał się, że Frank zobaczył, jak w trakcie obchodu odbiera dostawę fentanylu. Ross nosił w tym celu specjalną kamizelkę z wewnętrznymi kieszeniami, które pasowały wielkością do pudełek z prochami. Potem te pudełka ukrywał w swoim schowku w biurze. Od czasu do czasu wynosił kolejne partie towaru. Zawoził go tam, gdzie z proszku tłoczyli tabletki – zwykle do pustych domów.

– Frank prawdopodobnie zaczął wypytywać zespół na temat codziennych obchodów Rossa po hali – kontynuował Decker. – Jak już mówiłem, Ross miał tam swoich ludzi. Frank pechowo zapytał jednego z nich o zachowanie menedżera, które mu się wydało podejrzane. Ten ktoś doniósł o tym Rossowi. Kiedy więc ekipa budowlana poszła na fajrant, Ross wysłał Franka do nowej części centrum pod pretekstem sprawdzenia czegoś. Tam go

dopadli w kilku i ogłuszyli. Potem zanieśli pod to zautomatyzowane ramię... Resztę już wiecie.

– Szkoda, że Frank nie zechciał nam opowiedzieć o swoich podejrzeniach – stwierdziła Jamison.

Decker wzruszył ramionami.

– Myślę, że ostatnia rzecz, której chciał Frank, to narobić problemów nowemu szefowi. Miał prawo wierzyć, że istnieje jakieś logiczne wytłumaczenie tego wszystkiego. A Ross to wykorzystał.

– Co za kanalia! – oburzyła się Riley.

Decker pokiwał głową.

– Powiedział nam też, że to Marty Green omal nas nie usmażył w przyczepie Babbota. Ross twierdził, że Babbot zaczął się dziwnie zachowywać. Odgrażał mu się, że wie, co Ross kombinuje. I że nie chodzi tylko o skarb. To był powód, dla którego zginął.

– A więc Lassiter podrzuciła broń do mojego domu? – zapytał Baron.

Decker skinął głową.

– To była część planu usunięcia cię z posiadłości. Kiedy wszystko już przygotowali, Ross polecił Lassiter przeszukać twój dom. Trefny pistolet miała przy sobie. Zrobiła, co zrobiła, a ty wylądowałaś w areszcie. A potem wymyślili historię z wymianą, żebyśmy nie pokrzyżowali im planów. Mieliśmy pojechać na tyle daleko, by dać im czas na przeszukanie dwóch potencjalnych miejsc ukrycia skarbu: komórki ogrodowej i mauzoleum. – Zerknął na Riley. – Gdyby Cindi nie zadzwoniła i nie powiedziała mi, że Lassiter wypisała się ze szpitala, ta historia mogłaby się skończyć zupełnie inaczej.

Baron ujął Riley za rękę.

– Cindi zawsze była bystrzejsza ode mnie.

Jamison pokręciła głową.

– Miałam Lassiter za dobrą glinę.

– Była dobrym gliną – odparł Decker – dopóki się nie sprzedała. Ross nie do końca ufał Greenowi, dlatego chciał mieć w policji jeszcze kogoś – o kim wiedziałby tylko on. Lassiter nienawidziła

Barona i szukała pieniędzy. Ross szybko ją urobił. Drogo za to zapłaciła.

– A świńska krew pod nogami wisielca? – zapytała Jamison.

– To był chory pomysł Freda Rossa. Uparł się, żeby powiesić jednego z agentów, gdyż w jego przekonaniu tak się robi ze szpiegami. Ted Ross powiedział mi później, że uważał tę krew i wieszanie za głupie, ale jego stary nie dał sobie wybić tego z głowy. Potem obaj musieli pożałować, ponieważ właśnie ta krew doprowadziła do zwarcia, które zwróciło moją uwagę i przywiodło mnie do tamtego domu. Pomysł użycia munduru policjanta był Greena. Ta szajka opłacała niejednego miejscowego glinę. Green chciał ich postraszyć, żeby któremuś nie przyszło do głowy się wycofać. Wszyscy zostali już aresztowani. W Baronville zrobiono prawdziwą czystkę w policji – czas ku temu był najwyższy.

– Ale jak Ted Ross skumał się z Costą? – zapytała Riley.

– Dość prosto – odparł Decker. – Centrum dystrybucji płaciło pensje pracownikom za pośrednictwem banku Costy. Było jego największym klientem. Zaprzyjaźnili się. Costa zaczął mu opowiadać o rzekomym skarbie Baronów. Ross już wcześniej nasłuchiwał się o tym od własnego ojca. Dzięki badaniom Costy zawężili obszar poszukiwań. To Ross wpadł na pomysł wrobienia Johna i usunięcia go z posiadłości, żeby móc rozpocząć akcję. Widzieliście, ile sprzętu przywieźli ze sobą. Nie mogliby tego zrobić po kryjomu, dlatego najpierw musieli pozbyć się ciebie, John.

– Przecież wystarczyło po prostu mnie zabić i wtedy zacząć szukać. Albo zabrać się do tego, kiedy siedziałbym w areszcie w oczekiwaniu na proces.

– Zapytałem o to Rossa. Obawiał się, że Alex i ja – albo ktoś inny – przyjdziemy tu i zaczniemy węszyć. Poza tym uznał, że twoje zaginięcie czy śmierć byłyby zbyt podejrzane. Costa chciał cię załatwić zarzutem o posiadanie narkotyków, zwłaszcza po tym, jak odkryli, że Swanson mieszka w twojej komórce ogrodowej. W tym celu zamierzał użyć przeciwko tobie klauzuli w umowie hipotecznej, którą z tobą podpisał. Costa nie chciał nikogo

mordować. Nie wiedział też, że jego wspólnik należy do gangu handlarzy fentanylem. Ross miał inne plany. Chciał się pozbyć Costy i Babbota z wiadomych powodów. Wymyślił więc sobie, że zrobi cię w morderstwa, a wtedy bank odbierze ci posiadłość. Ross nie tylko chciał skarbu. Marzył o tym, żebyś poszedł do więzienia na długie lata, a jeszcze lepiej – dostał karę śmierci. Tak samo jego stary. Obaj ubzdurali sobie, że muszą się na tobie zemścić. Jesteś Baronem. Ucieleśniasz wszystko, czego nienawidzą.

– Ross liczył na to – wtrąciła Jamison – że odkupi twoją posiadłość od banku przez podstawionego człowieka. Miał na to pieniądze z handlu prochami.

– Kiedy jednak zabili agentów DEA i wszystko zaczęło się sypać – dodał Decker – musieli improwizować. Porwali Amber i Zoe, ponieważ potrzebowali przynęty, żeby nas odciągnąć gdzie indziej. A agentów zabili, bo ci odkryli ich biznes z fentanylem. Ross wiedział, że ma niewiele czasu. Słusznie się spodziewał, że kiedy wyjdzie na jaw tożsamość zabitych, zwali się tutaj DEA. Zamierzał wydobyć skarb, wywieźć go razem z pieniędzmi za prochy i zniknąć. Nie mógł jednak przewidzieć, że Alex i ja włączymy się w to śledztwo. Liczył na to, że Green i Lassiter będą je celowo przeciągać. Gdyby to oni prowadzili sprawę, obaj agenci jeszcze długo pozostaliby anonimowi. Dopiero kiedy zasugerowałem, żeby ich odciski palców sprawdzić w bazach danych służb federalnych, okazało się, kim byli.

– Prawie im się udało – zauważyła Riley.

– Ross, podobnie jak ja – kontynuował Decker – zdobył i przejrzał egzemplarz kroniki szkolnej. Te wszystkie dziwaczne rzeczy na miejscu zbrodni – werset z Biblii i symbol śmierci na czole Costy – kazał zrobić po tym, jak z kroniki dowiedział się, że John interesował się mitologią, a Tanner była w liceum jego dziewczyną i nauczała Biblii.

– To dlatego dociekałeś, dlaczego mój bar nazywa się Merkury? Podejrzywałeś, że maczałam palce w tych morderstwach?

– Nie wykluczałem żadnej możliwości – wybrnął pokrętnie Decker.

– Ale co z tymi polisami na życie? – zapytała Riley. – Powiedziałeś, że Linda Drews może mieć kłopoty.

– Nie sądzę, żeby ktokolwiek był zainteresowany ściganiem pani Drews. Straciła syna i nie ma dowodu na to, że miała świadomość, w co się wplątała. Policja znalazła i aresztowała Williego Norrisa. Płacił laborantom za fałszowanie wyników badań. Współpracował z wieloma towarzystwami ubezpieczeniowymi, żeby żadne nie połapało się w jego machinacjach. Kiedy któreś przeprowadzało własne śledztwo w sprawie śmierci klienta, używał różnych sztuczek, żeby prawda nie wyszła na jaw. Większość firm nie miała wyboru, musiała wypłacić świadczenie zgodnie z umową. Ponad dwadzieścia polis, które w ich imieniu zawarł Norris, budzi podejrzenia. Jeśli za każdą taką polisę zgarniał trzysta tysięcy, to więcej nie potrzebował. A potem osobom, które się u niego ubezpieczyły, na różne sposoby podsuwał tabletki przeciwbólowe zaprawione fentanylem. Nie wszyscy przez nie zmarli, ale wielu tak. Jak na ironię, Norris kupował te tabletki u dilerów pracujących dla Rossa. Odbierał wypłatę z polisy i zgarniał swoją działkę. Tu chodziło tylko o pieniądze. – Zamilkł i spojrzał na Jamison. – To Norris uszkodził zawór gazu za domem Amber. Najwyraźniej zaczął panikować i zanim uciekł, chciał nas uciszyć na zawsze.

– A Fred Ross? – zapytał Baron, spoglądając na Deckera.

– Przyznał się do zamordowania twoich rodziców. Resztę życia spędzi w więzieniu. Chociaż nie sądzę, żeby długo tam wytrzymał.

– W końcu doczekałeś się sprawiedliwości, John – powiedziała Riley, ściskając go za ramię.

Decker wstał i wyciągnął rękę.

– Powodzenia z twoją drugą szansą.

Baron uścisnął jego dłoń.

– Nie miałbym jej, gdyby nie ty i Alex.

– Wszyscy czasem potrzebujemy pomocy – powiedziała Jamison.

Baron ujął Riley za rękę.

– Cindi pomoże mi z tym wszystkim. Zawsze była dla mnie

wspaniałym przyjacielem. – Uśmiechnął się. – Może przypominam jej ojca.

Riley pocałowała go w policzek.

– Może widzę w tobie kogoś zupełnie innego.

– Macie ochotę na lunch, zanim się pożegnamy? – zapytała Jamison.

– Świetny pomysł. Ja stawiam – zapewnił szybko Baron.

– O nie, ja stawiam, jedziemy do Merkurego – oświadczyła Riley.

– Wybaczcie, że nie będę wam towarzyszył – powiedział Decker. – Jedźcie beze mnie.

Jamison spojrzała na niego badawczo.

– Masz randkę czy co?

– Można tak powiedzieć.

Decker zatrzymał samochód, wysiadł i pospieszył na drugą stronę. Otworzył drzwi od strony pasażera i pomógł wyjść Zoe Mitchell.

Dziewczynka wyciągnęła do niego rękę, którą ujął w swoją dłoń.

W drugiej trzymała bukietek.

On w drugiej ręce niósł złożony koc.

Wolnym krokiem udali się na miejsce, do którego przyjechali.

Niebo było czyste aż po horyzont, bez choćby jednej chmurki. Wiał lekki, rześki wiatr. Decker pomyślał, że to najpogodniejszy dzień z tych wszystkich, które spędził w Baronville.

– Dzięki, Amos, że ze mną przyszedłeś – powiedziała Zoe.

– Nie ma takiego miejsca na świecie, gdzie wolałbym teraz być bardziej niż tu z tobą – odpowiedział.

– Ładnie dzisiaj, prawda? – zauważyła.

– Myślę, że ktoś nad tobą czuwa.

Zoe zadarła głowę i zerknęła w niebo, a potem na Deckera.

– Naprawdę tak myślisz?

– Tak. Naprawdę.

Po chwili przystanęli przed świeżo usypanym kopcem ziemi. Nie było jeszcze nagrobka, ale mama Zoe zapewniła ją, że wkrótce się pojawi. I wszyscy się z niego dowiedzą, że Frank Mitchell był dobrym mężem i ojcem.

Decker miał świadomość, że Zoe będzie tu wracała przez resztę swojego życia, nawet jeśli wyprowadzi się daleko. Dla niej Baronville na zawsze pozostanie punktem odniesienia; miejscem, o którym chciałyby zapomnieć, ale też takim, z którym będzie czuła nierozdzielalną więź.

Wiedział to wszystko z własnego doświadczenia.

Z pomocą Zoe rozłożył koc na ziemi obok grobu.

Pomógł dziewczynce umieścić kwiaty u wezglowia kopca, a potem usiedli na kocu.

Zoe była ubrana w swoją najlepszą sukienkę. Włosy miała uczesane w kucyki, które – jak powiedziała Deckerowi – jej ojciec tak uwielbiał.

Decker też się wystroił w najlepsze ubranie, jakie ze sobą przywiózł. Nic specjalnego, ale przynajmniej było świeżo wyprane i uprasowane.

Zoe spojrzała na niego niepewnie.

– Co mam teraz zrobić? – zapytała.

– Możesz porozmawiać ze swoim tatą.

– Co mu powiedzieć?

– A co mu zwykle mówiłaś?

– Opowiadałam, co się działo w szkole i co robiłyśmy razem z mamą, kiedy był w pracy. I o ulubionej książce.

– Śmiało, opowiadaj. Jestem pewny, że dzisiaj też chce o tym wszystkim usłyszeć. Dzięki tobie będzie na bieżąco.

Zoe rozejrzała się po nagrobkach wokół.

– Mam szeptać? – zapytała przyciszonym głosem. – Tu chyba nie wolno głośno mówić.

– To bez znaczenia, Zoe. Twój tato i tak cię usłyszy.

– I odpowie mi?

– Tak, tylko nie w taki sposób, jak to robił do tej pory. Ale kiedy o nim pomyślisz, usłyszysz jego głos w swojej głowie. Okej?

– Okej.

Dziewczynka pochyliła się nad kopcem i zaczęła mówić półszepem.

Decker cierpliwie czekał, aż skończy. Spoglądał na innych ludzi odwiedzających groby bliskich.

Baronville miało dużo problemów, jak wiele innych lokalnych społeczności, mniejszych i większych. Ale problemy można było rozwiązywać, a życie zmieniać na lepsze. Decker wierzył, że nie ma takich upadków, po których nie można się podnieść.

*Jestem żywym dowodem na to, że tak jest.*

Mimo to, kiedy tak się rozglądał, w jego myśli wkradł się niepokój. A co, jeśli obudzi się nazajutrz i stwierdzi, że stracił swoją pamięć absolutną? Że już nie widzi tych wszystkich kolorów? Jeszcze bardziej niepokoiła go perspektywa, że jego



mózg, zamiast poszerzać swoje możliwości w pewnych obszarach, zacznie się zmieniać na gorsze, czyniąc go ograniczonym umysłowo.

Z Jamison rozmawiał o swojej karierze futbolisty i licznych urazach głowy, których się nabawił przez te wszystkie lata, jakby to nie było nic wielkiego. Doskonale jednak wiedział, że w jego wypadku ryzyko trwałego uszkodzenia mózgu jest wysokie.

Ten narastający w nim niepokój zaczął się zbliżać do granicy strachu, kiedy poczuł na ramieniu dotyk dłoni.

Obejrzał się i zobaczył wpatrzoną w niego Zoe.

Uśmiechnął się, widząc jej niewinną, emanującą zaufaniem buzię. Fala paniki, która właśnie zaczęła go ogarniać, natychmiast ustąpiła.

– Powiedziałaś tacie wszystko, co chciałaś? – zapytał.

Dziewczynka skinęła głową.

– Chyba tak. Przynajmniej dzisiaj. Ale kiedy tu przyjdę następnym razem, będę miała więcej do opowiedzenia.

Decker dotknął swojej piersi.

– Poczułaś tutaj? To ciepło?

Zoe energicznie pokiwała głową.

– Poczułam! Było tak, jak mówiłeś! A tato mi odpowiedział. W mojej głowie.

– Wierz mi, dla niego to wiele znaczy, że tu jesteś. Zawsze będzie z tobą, przez całe twoje życie. Gdziekolwiek się znajdziesz.

– Bo tak naprawdę jest tutaj? – zapytała, dotykając swojej piersi.

– Tak.

– Chciałabym, żeby był tu ze mną tak jak ty teraz – powiedziała, a jej duże oczy nagle napełniły się łzami.

– Ja też bym chciał, żeby Molly była tu teraz ze mną. Ale skoro nie mogą, musimy dalej żyć dla nich. Robić dobre rzeczy. Takie, z których byliby dumni, okej?

Zoe skinęła głową.

– Możemy tu jeszcze trochę zostać, Amos? Z moim tatą?

– Możemy tu zostać, ile tylko chcesz.

Zoe złapała go za rękę. Właściwie to on trzymał się kurczowo

tej drobnej dłoni.

Mimo wszystko od bardzo dawna nie odczuwał takiego wewnętrznego ukojenia. Poświęcił życie na ściganie tych, którzy wyrządzali zło innym, dlatego musiał wierzyć, że nie czyni tego na próżno; że jest jakieś dobro, którego warto bronić. Inaczej, podobnie jak Kate Kemper, zatraciłby sens tego, co robi.

*Czasem po prostu trzeba wierzyć.*

Głęboko westchnął, nie puszczając ani na chwilę rączki Zoe.

Mała dziewczynka i wielki facet siedzieli obok siebie, a wokół nich krążyły życie i śmierć.

## PODZIĘKOWANIA

Dla Michelle, gdyż każdy dzień małżeństwa z Tobą przypomina mi, że dostałem od życia więcej, niż na to zasłużyłem!

Dla Michaela Pietscha, wspaniałego i troskliwego wydawcy.

Dla Lindsey Rose – za to, że jesteś taka świetna w swoim fachu.

Dla Andy’ego Doddsa, Nidhi Pugalia, Bena Sevier, Briana McLendona, Karen Kosztolnyik, Beth deGuzman, Brigid Pearson, Boba Castillo, Anthony’ego Goffa, Michele McGonigle, Cheryl Smith, Andrew Duncana, Josepha Benincase’a, Tiffany Sanchez, Stephanie Sirabian, Matthew Ballasta, Jordan Rubinstein, Dave’a Epsteina, Rachel Hairston, Karen Torres, Christophera Murphy’ego, Ali Cutrone, Tracy Dowd, Marthy Bucci, Lukasa Fauseta, Thomasa Louie, Laury Eisenhard, Anne Twomey, Mary Urban, Barbary Slavin, Seana Forda, Genevieve Kim i wszystkich pozostałych w Grand Central Publishing – za to, że od ponad dwudziestu lat tak ciężko pracują nad moimi książkami.

Dla Aarona i Arleen Priestów, Lucy Childs, Lisy Erbach Vance, Mitcha Hoffmana (dzięki za kolejną znakomitą redaktorską robotę), Frances Jalet-Miller, Johna Richmonda i Rachael Burlette, najlepszych specjalistów w swoim fachu.

Dla Anthony’ego Forbesa Watsona, Jeremy’ego Trevathana, Trishy Jackson, Katie James, Alex Saunders, Sary Lloyd, Claire Evans, Roba Coxa, Stuarda Dwyera, Geoffa Duffielda, Jonathana Atkinsa, Anny Bond, Leanne Williams, Natalie McCourt, Sarah McLean, Charlotte Williams i Neila Langa z Pan Macmillan, światowej klasy wydawcy. Mam szczęście należeć do tej rodziny.

Dla Praveena Naidoo i zespołu Pan Macmillan w Australii, którzy przechodzą samych siebie z każdą kolejną książką.

Dla Caspiana Dennisa i Sandy Violette – za radość wspólnej pracy i jeszcze większy ubaw po pracy!

Dla Kyfa Brewera i Orlagh Cassidy za ich niesamowitą interpretację lektorską. Otrzymujemy mnóstwo pochwał

od słuchaczy naszych audiobooków, wszystkie zasłużone.

Dla Stevena Maata i całego zespołu Bruna – za ich wkład w rozwój marki.

Dla Boba Schule'a za ponowne konsultacje w trakcie pracy nad manuskryptem.

Dla Terry'ego Williamsa z Langford Insurance za wykład na temat tajników polis ubezpieczeniowych!

Dla Rolanda Ottewella za fenomenalną adiustację tekstu.

Oraz dla Kristen White i Michelle Butler – za prowadzenie Columbus Rose od sukcesu do sukcesu!